



VANESSA  
MONTFORT

LEGENDA  
NIEMEJ  
WYSPY

Każda wyspa kryje jakąś  
tajemnicę lub ukryty  
skarb. Na tej znajdziesz  
i jedno, i drugie.

Świat Książki

## **Spis treści**

Karta tytułowa Karta redakcyjna Mapa \* Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3  
Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10  
Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16  
Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22  
Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28  
Rozdział 29 Rozdział 30 Epilog Podziękowania

VANESSA  
MONTFORT

LEGENDA  
NIEMEJ  
WYSPY

Z hiszpańskiego przełożyła  
Anna Magdalena Jankowska

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
La leyenda de la isla sin voz

Wydawca  
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący  
Tomasz Jendryczko

Redakcja  
Maja Lipowska-Wiktorowska

Korekta  
Marzenna Kłós  
Halina Kozłowska

Copyright © Vanessa Montfort, 2014  
Copyright © for the Polish translation by Anna Magdalena Jankowska, 2016

Świat Książki  
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
Laguna

Dystrybucja  
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl), tel. 22 733 50 10  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-519-8

Skład wersji elektronicznej  
pan@drewnianyrower.com

*Dla Fernando Mariasa  
za to, że wyprawił mnie w podróż, jaką jest literatura*

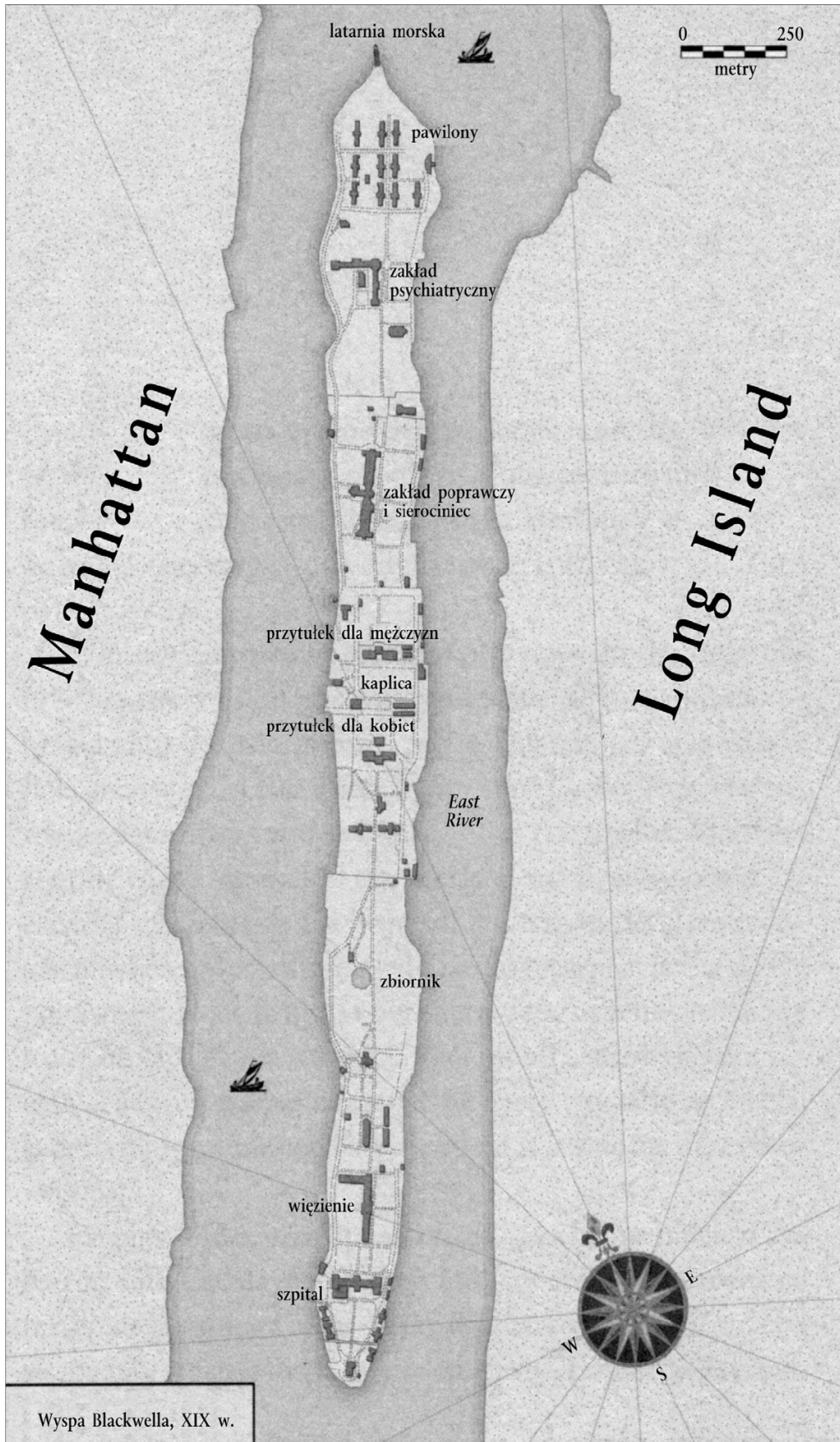
*Dla Lucy Ecji  
za to, że jest światłem i latarnią oświetlającą tę powieść*

*Dotarłem do tego miejsca morzem, na łodzi należącej do położonego na wyspie więzienia. W ruch wprawiała ją załoga złożona z więźniów. Ich biało-beżowe pasiaki sprawiały, że wyglądali jak wyblakłe tygrysy.*

KAROL DICKENS

Notatki z podróży do Ameryki, 1842 r.

tłum. Barbara Czerwijowska





Ta powieść nie powinna była powstać. Historie wielu pisarzy nigdy nie opuściły kałamarza. Tylko nieliczni autorzy byli zdolni napisać na nowo przeznaczenie swoje i innych. Wyśmiać je, poprawić i wytyczyć drzwi w pokojach bez ścian.

Opowiem wam o tym, co wydarzyło się na skrawku lądu długości zaledwie trzech kilometrów. Z lotu ptaka wygląda on niczym cień starego pirackiego okrętu. Ta wyspa po dziś dzień unosi się na rzece East River, spoglądając na Nowy Jork, który wówczas mógł jedynie marzyć o słynnej dziś statui i niebotycznych drapaczach chmur. Od północy ląd graniczył z piekłem, od wschodu z Historią, od południa z niewolnictwem, a od zachodu z wolnością. Wyspie tej można by nadać niejedną nazwę, bez najmniejszej obawy o to, że nie będzie ona odpowiednia. Wyspa duchów, wyspa zbłąkanych, wyspa niespełnionych marzeń, wyspa zapomnianych czy w końcu wyspa milcząca... Co ciekawe, słynny angielski pisarz, dopłynąwszy do brzegów tej wyspy pewnego spowitego mgłą stycznia, opisał ją w swoich notatkach z podróży jako wyspę wyblakłych tygrysów.

Ta historia wydarzyła się na jednej z wysp na East River, którą niektórzy nazywali po prostu Wyspą, jakby nie było żadnej innej poza nią. Rozpoczyna się w środku pierwszego kryzysu na Wall Street. W chwili gdy trwa wojna o zniesienie niewolnictwa, a w słynnej La Scali w Mediolanie rozbrzmiewają rewolucyjne oklaski po premierze *Nabucco*. Kilka sekund przed tym, kiedy Stendhal wyda ostatnie tchnienie w swoim wytwornym paryskim pokoju. W czasie gdy w nowojorskim porcie na ląd schodzą tysiące Irlandczyków... W chwili gdy mewa poderwie się do lotu z Manhattanu i odważy się przelecieć nad rzeką East River. Kiedy niczym biała strzała będzie lecieć do celu we mgle spowijającej świat rewolucji i zmian.

Czytając niezwykle historie zawarte w tej książce, zapewne nieraz zapytacie, ile w niej prawdy, a ile literackiej fikcji. Obawiam się, że aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, będziecie musieli przebrnąć przez niezliczone biografie i porównać daty podróży poszczególnych bohaterów. A kiedy już to wszystko zrobicie, okaże się, że znaleźliście się na nieznanym wodach, ponieważ ci, którzy byli świadkami opisanych tu wydarzeń, już od dawna spoczywają w grobach. Być może właśnie

wtedy poczujecie nagły i niemożliwy do zaspokojenia głód wyobraźni i dojdziecie do wniosku, że ważne jest nie to, czy opisana tu historia wydarzyła się naprawdę, ale czy mogła się wydarzyć.

*Nowy Jork, grudzień 1867 r.*

Tam, gdzie wszystko jest niemożliwe, nagle wszystko staje się możliwe – przypomniał sobie nieoczekiwanie. Trzykrotnie stuknął laską w sufit i powóz zatrzymał się w porcie. Z zewnątrz dobiegło go wrzenie miasta, za którym tak bardzo tęsknił. Skrzywienie bloków linowych, bicie okrętowych dzwonów, poszczekiwanie psów i szalony stukot kół uderzających o bruk. Uchylił aksamitną zasłonę, jednocześnie gładząc brodę. Zza gęstej chmury lepkiego dymu dostrzegł las masztów, a jeszcze dalej rój promów kursujących pomiędzy brzegami szerokiej rzeki. Przewoziły pasażerów, dyliżanse, konie, wozy, kosze, skrzynie i całe mnóstwo beczek. Choć widział znacznie gorzej niż kiedyś, zdołał dojrzeć na horyzoncie dwa potężne okręty zmierzające dostojnie ku Europie. Sprawiały wrażenie luksusowych. Zaledwie kilka godzin wcześniej, w środku nocy, on sam zszedł z pokładu okrętu przybyłego z Liverpoolu. Zatrzymał się w hotelu przy Broadwayu, w jednym z tych apartamentów, w których tak lubowali się Amerykanie. Z westybulem i salonem wielkości londyńskiego mieszkania. Po przyjeździe udało mu się chwilę zdrzemnąć, trochę odświeżyć i doprowadzić ubranie do porządku. Był gotowy na spotkanie z Nowym Jorkiem i przeszłością.

Wysiadł z powozu.

Słońce oświetliło go jasnym i chłodnym światłem, jakby właśnie wyszedł na scenę. Był mężczyzną korpulentnym, noszącym się z dyskretną elegancją, na co wskazywały czarny surdut z wydatnym kołnierzem oraz biała koszula z czarną aksamitką pod szyją. Zniecierpliwiony, dostrzegł na koszuli żółtawą plamę – zapewne od zjedzonego na śniadanie jajka. Nerwowo potarł ją, szukając pomocy u odbijającego się w szybie powozu swego bliźniaczego ja – z falą kręconych siwiejących włosów nad uszami, podgolonymi bakami zdradzającymi europejskie pochodzenie i oczami, które wydawały się nieustannie poszukiwać niezwykłych historii.

\*

Z angielskim spokojem sięgnął prawą ręką po spoczywający na siedzeniu cylinder, a lewą po laskę. Zawsze i niezmiennie robił to właśnie w tej kolejności. Spojrzał na otaczający go wielokolorowy tłum – ludzi było znacznie więcej niż

dawniej.

Rozpoznał tawerny z charakterystycznymi szyldami w kształcie boi, zapach morza i świeżo zgaszonego ogniska, tkwiące mu w pamięci od dwudziestu pięciu lat, kiedy to wracał do Londynu z Nowego Jorku, w którym przeżył najbardziej pasjonującą przygodę swojego życia. To jedyna historia, której przysiągł nie opisywać w żadnej ze swoich książek. Zdradził ją jedynie młodemu Juliuszowi Verne'owi, a i to dopiero po wielu latach i wielu szklaneczkach whiskey.

– Proszę pana... czy tu chce pan wysiąść?

Słowa woźnicy wyrwały go ze wspomnień. Zwracał się do niego z nieco przesadnym szacunkiem. Wydawało się, że go rozpoznał. Być może wtedy, gdy w hotelu podeszły do niego dwie damy, prosząc o autograf.

– Przyślą po mnie łódź. Ile jestem winien?

Woźnica zawahał się. Ściągnął czapkę. Przycisnął ją do piersi obiema rękami.

– Proszę mi wybaczyć, że się ośmielam, ale... nie rozumiem, dlaczego chce pan jechać na Wyspę. Jeżeli chce pan odwiedzić instytucje dobroczynne, to znajdzie pan odpowiedniejsze na Manhattanie. To nie miejsce dla dżentelmena, a tym bardziej nie dla...

– Ile się należy? – powtórzył Anglik, jakby wcale nie słuchał, jakby był gdzieś daleko, jakby cofnął się w czasie.

Mężczyzna jednym susem zeskoczył na ziemię.

– Już mi pan zapłacił. Miałem zaszczyt wieść słynnego Karola Dickensa.

Pisarz wręczył mu kilka szylingów, których nie zdążył wymienić na dolary. Przepraszył, wymawiając każdą sylabę z akcentem, który oczarował woźnicę. Zachwycony mężczyzna przyjął zagraniczne monety – skarb, który przekaże dzieciom i wnukom. Po pierwsze, dlatego że dotknął ich przecież autor *Olivera Twista*, a po drugie, ponieważ w tamtych czasach raczej trudno było je wymienić.

– Niech Bóg panu błogosławi – powtarzał woźnica, odjeżdżając. Zatrzymał się kilka metrów dalej, poklepał konie i zszedł schodami w dół. Wyglądało to, jakby znikł pod ziemią. Czym prędzej chciał opowiedzieć o wszystkim kolegom przy piwie.

Karol – którego, skoro już wiemy, kim jest, będziemy nazywać po imieniu – zamknął oczy, by ochronić je przed lodowatym podmuchem. Tymczasem wokół toczyło się portowe życie. Wiatr dał zawzięcie, unosił grzywy koni i spódnice kobiet, łopotał żaglami statków i przynosił zewsząd więcej obcych dźwięków, niż słyszący je mógł rozpoznać. Nad wszystkie wybijał się wyraźny irlandzki akcent: głosy młodych ludzi, głosy dziewczynek i staruszek, głosy zmęczone i świeże... Kadłuby statków skrzypiały, ocierając się o pomost, jakby wypleciono je z wikliny. Nagle dobiegło go rzenie, a potem grzmot końskich kopyt, turkot kół i pokrzykiwania.

– Odsunąć się! – Czyjś głos wynurzył się z wrzawy.

Otworzył oczy w samą porę, aby nie dać się przejechać przez czarnego konia z długą grzywą, który wyglądał, jakby uciekł z samego piekła.

Podnosząc cylinder z ziemi, pisarz przyglądał się powozowi z zakłopotaniem kogoś, w kim odżyło dawne wspomnienie. Koń z Czarną Marią – jakby wyjęte z sennego koszmaru. Czarny powóz bez okien, którym zesłanych na Wyspę przywożono na pomost.

Tak jak za pierwszym razem, gdy go ujrzał, tak i teraz wokół kotłował się tłum ciekawskich. Chcieli zobaczyć skazańców, podczas gdy strażnik próbował rozgonić zgromadzonych.

Wysiadali powoli. Niczym duchy opuszczające wielką i źle zamkniętą trumnę. Pierwsza szła zwalista kobieta z potarganym kokiem siwych włosów – być może postarzała prostytutka, pomyślał Karol. Następnie schowana pod chustą staruszka, trzęsąca się ze starości i zimna – pewnie jedzie do przytułku. Kilkuletni chłopiec wtulony w niewiele starszą dziewczynkę, która mogłaby być jego siostrą. Dwóch odpychających wyrostków, pokrytych taką warstwą brudu, że trudno było rozpoznać, jakiej są rasy. Jeden był biały, a drugi czarny. Wili się jak bazyliuszki, kiedy policjant wyprowadzał ich z powozu. Bez wątpienia mieli trafić do więzienia. Drobną, młodą blondynką, która na przemian śmiała się i płakała, bo wiatr zerwał jej kapelusz. Niechybnie ofiara załamania nerwowego. Była tak nieprzytomna, że potknęła się i wpadła na jedną z przyglądających się scenie kobiet.

– Biedactwo. Przecież to dama. Pobyt na Wyspie ją zabije – jęknęła kobieta, podczas gdy jeden ze strażników wykręcał dziewczynie ręce i popychał ją w stronę pomostu.

Karol przyglądał się tej scenie, jak gdyby czytał rozdział książki, którą napisał dawno temu: podpici strażnicy uganiający się za prostytutkami, uciszający chorych i nerwowo popłakujący staruszkowie... ale szybko wszyscy ucichli i jeden po drugim oddalali się w kierunku wielkiej rzeki.

Nadciągnęła mgła.

Łódź.

Zbliżała się powoli w ich stronę, popychana wiosłami, przy których siedziało sześciu więźniów ubranych w czarno-beżowe pasiaki. Na ciemnej burcie dostrzegł białe litery „Wyspa Blackwella”.

Nazwa, którą w Nowym Jorku niechętnie wypowiadano. Nazywano ją Wyspą, jakby była tą jedną jedyną, jakby Nowy Jork nie był jednym wielkim archipelagiem, jakby Manhattan też nie był wyspą.

Wszyscy, ciężkim krokiem, podeszli do łodzi. Kiedy Karol stanął przed jednym ze strażników i wręczył mu oficjalne pozwolenie na odwiedzenie Wyspy, ten tylko na niego spojrział. Przeczytał. Ponownie spojrział i znowu zaczął czytać.

Potem kazał mu zająć miejsce u szczytu łodzi. Karol wykonał polecenie, posuwając się naprzód chwiejnym krokiem, jak uczące się chodzić dziecko. W końcu udało mu się usiąść. Jeżeli im się poszczęści, to zimno uciszy lamenty tych nieszczęśników – powiedział strażnik, zrzucając cumy z pomostu do brudnej wody. Cumy uderzyły w wodę, która rozprysnęła się, zanim zatonęły.

I tak łódź zniknęła pomiędzy oparami niczym w Styksie.

Ręce mu zdrętwiały. Otulony płaszczem chwilami tracił czucie w dłoniach. Płynęli w głąb East River i choć dystans dzielący ich od Nowego Jorku nie był duży, to miasto wraz z całym swoim gwarem i radością zniknęło za mgłą. Była tak gęsta, że Karol ledwie mógł rozróżnić sylwetkę chorej psychicznie dziewczyny, która siedziała bokiem do niego, na drugim końcu łodzi. Była tak sztywna i blada, że wydawała się lodową rzeźbą. Jaką skrywała historię? Tak bardzo przypominała... Karol postawił kołnierz. Zimno uprzytomniło mu także, że się starzeje. Znosi je coraz ciężej, pomyślał, prostując zdrętwiałe kolana. Po rzece płynęły szerokie lodowe kry. Sunęły niczym ostrza noży, niczym kawałki rozbitego lustra, w których przeglądało się miasto. Pisarz zamknął oczy, aby ochronić je przed zimnymi podmuchami wiatru. W jego pamięci rozsypały się niedopasowane do siebie fragmenty układanki wspomnień z Wyspy: szaleńcy tańczący na łące, skuci kajdanami więźniowie maszerujący plażą, jego własne dłonie wkładające złoty kompas do podróżnego kufra, błysk towarzyszący jednemu z pierwszych zdjęć, jakie mu zrobiono.

Otworzył oczy.

Otaczała ich woda, a cisza wręcz ogłuszała. Z kieszeni wyciągnął pogniecione zdjęcie, które od pamiętnego dnia zawsze nosił przy sobie. Poniżej znajdował się napis: „Zakład psychiatryczny na Wyspie Blackwella, 1842 r.”. Była taka młoda. To ona. Trzydziestolatka siedząca na jego kufrze podróżnym przed budynkiem z kamienia. Wokół niej stała grupa ludzi tak malowniczych, że mogliby być postaciami z jednej z jego powieści: blondynek o kulach, staruszka z szycją i włosami upiękuszonymi papierowymi ozdobami, karłowaty albinos w nieokreślonym wieku i w zbyt dużej czapce, czarnoskóry wielkolud o pociągłej twarzy z pochodnią w dłoni, więzień w pasiaku z malującym się na twarzy niepewnym uśmiechem, ubrana w warstwy białych ubrań wysoka i chuda kobieta z rudymi włosami splecionymi w warkocz oraz młoda pielęgniarzka z blond włosami pod czepkiem – Anne – powiedział pisarz na głos. Zdawała się świecić białym i tajemniczym światłem.

Jego pamięć bez zbytniego wysiłku podkoloryzowała tę scenę.

W końcu z bieli wynurzyło się światło.

Latarnia.

Wyspa wyrosła przed jego oczami, jak gdyby niewidzialna dłoń naszkicowała ją węglem na powierzchni mgły. Tak jak wtedy, potężny budynek

więzienia wydał mu się średniowieczną twierdzą, z wyrastającą w środku wieżą i powiewającym na jej szczycie proporcem w pasy i gwiazdy. Na północnym krańcu znajdowała się latarnia morska i łąka prowadząca do zakładu psychiatrycznego, a poniżej rysowały się sylwetki przytułku, sierocińca i zakładu poprawczego. Po plaży, we mgle spacerowały wyblakłe tygrysy. Więźniowie zakuci w kajdany i uzbrojeni w szpadle oraz kilofy. Nieco dalej grupka pielęgniarek dodawała bieli śniegowi. Karol przypomniał sobie: pierwszy przystanek to więzienie. Pod jego murami wysadzili trzech mężczyzn i zwalistą kobietę. Drugi przystanek – przytułek. Tu z pokładu zeszła staruszka, która trzęsła się tak bardzo, że ledwie mogła chodzić. Na trzecim przystanku z łodzi wyszła dwójka dzieci i wierzgający chłopcy. Mieli trafić do sierocińca i zakładu poprawczego. Ostatnim przystankiem był zakład psychiatryczny.

Dopłynęli do podniszczonego pomostu, od którego odchodziła ścieżka. W łodzi pozostali jedynie: młoda blondynka, pisarz oraz jeden ze strażników.

Karol ścisnął w dłoni pogniecioną fotografię i włożył ją na powrót do kieszeni płaszcza.

– Jesteśmy na miejscu. Za chwilę ktoś po pana przyjdzie – poinformował strażnik i wciągnął drewniany trap do łodzi.

W ten właśnie sposób przybysze wpadali w pułapkę Wyspy.

Łódź, gotowa wrócić do tamtego świata, odplynęła cicho i szybko zniknęła. Pisarz błędził tak daleko wśród własnych wspomnień, że nie zwrócił uwagi na zbliżającą się za jego plecami postać.

– Pan Dickens – powiedział miły głos, który, jak się szybko okazało, należał do kobiety o kręconych włosach.

– Anne...

– Nie, proszę pana. Na imię mam Margaret, miło mi pana poznać – przedstawiła się dziewczyna tonem, który wydał mu się czuły.

Wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Była wysoka. Miała kasztanowe włosy zwinięte w kok, zaczerwieniony od zimna nos i policzki, szerokie plecy, wąską talię i oczy uśmiechające się nawet wtedy, kiedy ich właścicielka nie poruszała żadnym mięśnieniem twarzy.

Karol zwrócił uwagę na naturalność, z jaką Margaret objęła zziębniętą dziewczynę, jednocześnie zarzucając jej na ramiona szorstki koc. Podeszli do starego powozu, który czekał przy drodze.

Pomogła wsiąść młodej pacjentce, a kiedy, oferując pomoc, podała ramię Karolowi, ten wbił w nią wzrok:

– Margaret, proszę odpowiedzieć mi „tak” lub „nie”, dobrze? Anne już tu nie ma, prawda?

Pielęgniarka uśmiechnęła się, a pomiędzy warg wymknął się jej obłoczek pary.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

\*

Koń stapał ostrożnie, ciągnąc za sobą powóz, który wyglądał, jak gdyby miał się lada moment rozpaść. Torował sobie drogę pomiędzy gęstymi zasłonami mgieł dzięki strażnikowi, który szedł przed nim z zapaloną pochodnią w dłoni, chociaż nie było jeszcze nawet południa. Przy drodze Karol zauważył przekrzywioną jak niegdyś drewnianą tabliczkę:

#### DROGA NIEDOSTĘPNA DLA GOŚCI

Margaret przez całą drogę nieustannie mu się przyglądała, pocierając jednocześnie dłonie dziewczyny, która zasnęła oparta o okno. Z kącika ust zwisała jej cienka i przezroczysta nitka śliny. Pielęgniarka patrzyła na niego z czułością i uśmiechała się bez skrępowania, ze śmiałością kobiety nieświadomej swojej urody.

Karol odwzajemnił uśmiech:

– Nowy Jork bardzo się zmienił, a Wyspa prawie wcale.

Zareagowała, jakby dotarła do niej głębia tego, co powiedział. Albo jakby znała go od co najmniej ćwierćwiecza.

– Jeżeli ma pan ochotę, zanim pokażę panu przygotowany na dziś pokój, możemy pójść na spacer. – Spojrzała przez okno. – O tej porze wiatr zaczyna przewiewać mgłę nad ocean. Nie ma pan bagażu?

Uśmiechnął się nostalgicznie. Nie, jedyny bagaż, jaki ze sobą miał, znajdował się w jego głowie.

Powóz zatrzymał się ze skrzypnięciem. Pasażerowie wysiedli. Przed nimi znajdowały się schody, przy których ustawili się do ostatniego zdjęcia, oraz masywny budynek z kamienia – budzący lęk zakład psychiatryczny na Wyspie Blackwella. Dickens przesunął po nim wzrokiem, próbując dostrzec jakąkolwiek zmianę: rozpoznał charakterystyczny ośmiokątny budynek, pod kopułą którego znajdowały się szerokie kręcone schody prowadzące do biur i ambulatorium. Przypomniawszy sobie stołówki zalatujące odorem brudnej wody, pełne szaleńców kiwających głowami w blasku światła z wysokich i wąskich okien. Towarzysząca im młoda dziewczyna wzdrygnęła się na ten widok. Jakby jakiś wewnętrzny alarm ostrzegał ją przed tym miejscem, z którego prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie.

Karol poprawił cylinder na coraz bardziej przerzedzonych włosach, a Margaret pożegnała woźnicę gestem dłoni. Powiedziała, że odprowadzi dziewczynę do środka, a potem pójdą na spacer.

Nowy Jork bardzo się zmienił, a Wyspa prawie wcale – powiedział pisarz sam do siebie, wyobrażając sobie miasto, które zapewne wciąż wrzało po drugiej stronie rzeki. Zatopił się w powracających szeroką ławą wspomnieniach: mały



Tim, stara i ekstrawagancka Ada, Olbrzym Tom i Anne, Anne Radcliffe, która niczym latarnia morska oświetlała blaskiem wszystko, na co spojrzała.

– Witamy, panie Dickens – wydawało mu się, że mówi do niego z tamtą energią. – Znalazł się pan w jednej ze swoich powieści.

Pół godziny później mgła powoli przepływała nad wodę, a on spacerował z Margaret. Powiedziała mu, że dwa dni wcześniej potężna śnieżycą sparaliżowała miasto. Minęli grupki więźniów, którzy z mozołem, stukając miarowo łopatami, odgarniali śnieg z drogi. Margaret zapytała go, dokąd miałby ochotę pójść. Bez wahania odparł, że na plażę. Udali się więc w tym kierunku.

Podczas spaceru Karol czuł na sobie ciężar uważnego wzroku towarzyszącej mu młodej przewodniczki.

– Być może to nieco impertynenckie, ale proszę mi powiedzieć, ile ma pani lat, Margaret – zapytał, patrząc w dal.

– Dwadzieścia pięć, proszę pana.

– Ach... – przytaknął nostalgicznie. – Czyli nie pamięta pani nic z tego, o czym teraz myślę.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chodziło o to, co pamiętała, ale o to, co jej opowiedziano. Czy... powinna mu wyjawić, że od dawna na niego czekała? Że już dawno powiedziano jej, że kiedyś wróci? A może lepiej pozwolić mu przywołać wspomnienia?

– W „New York Timesie” było napisane, że w Stanach odbędzie się aż siedemdziesiąt pana odczytów – powiedziała, nie kryjąc podziwu. – Naprawdę siedemdziesiąt? To w ogóle możliwe?

Lód skrzypiał pod ich stopami. Oczy łzawiły z zimna.

– Taką mam nadzieję – potwierdził. – W przeciwieństwie do mojego lekarza nie sądzę, że bym był za stary na taki maraton.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Odpowiedziała, że z całą pewnością nie jest za stary i że ostatnie powieści wskazują na jego doskonałą formę. I że ona oczywiście jest jego wielką fanką.

– Nie chodzi pani w kitlu – zauważył.

– Och, ja nie... nie jestem pielęgniarką. Jestem nauczycielką.

Spojrzał na nią z uwagą, z jaką ogląda się nowy, nieodkryty gatunek.

– No proszę... – Był wyraźnie zaskoczony. – To ci dopiero zmiana. Nauczycielka na Wyspie Blackwella...

Zaproponowano jej prowadzenie lekcji dla dzieci z zakładu poprawczego i sierocińca, powiedziała, wpinając szpilki we włosy. W czasie wolnym organizowała też zajęcia dla pacjentów zakładu psychiatrycznego i kółko czytelnicze dla osadzonych w więzieniu kobiet. Skuliła ramiona. Chciałaby zrobić znacznie więcej... ale była jedyną nauczycielką na Wyspie. Poza tym przebywała tu z inicjatywy rządu, który dzięki temu mógł krytykować to, że w przeszłości osoby

ubogie nie otrzymywały wystarczającej opieki. Nie wiedziała, co z nią będzie po zbliżających się wyborach.

– No tak – fuknął pisarz. – To mi coś przypomina...

Oboje się zamyślili.

– Czy znajduje pan Stany bardzo zmienione?

Wydawało się, że przez chwilę się zastanawia.

– Cóż, podczas mojej pierwszej podróży John Tyler objął prezydenturę po swym poprzedniku, który zmarł na przeziębienie zaledwie cztery miesiące po wyborach. – Uniósł brwi. – A teraz dowiaduję się, że urząd objął wiceprezydent Andrew Johnson, bo Lincolna zastrzelono. Odpowiedź brzmi: tak, zmieniły się. Moim zdaniem jesteście coraz bardziej niecierpliwi w kwestii zmiany prezydentów.

Nauczycielka uśmiechnęła się. Właśnie tak go sobie wyobrażała. Przenikliwy wzrok, długa i szpiczasta broda oraz wystudiowana, niemal aktorska wymowa i akcent, który sprawiał, że to, co mówił, brzmiało jeszcze bardziej elegancko.

– Dlaczego zdecydował się pan wrócić po tak długim czasie? – Była bardzo ciekawa, ale widząc, jak poważnieje, zaczęła żałować swojego pytania. – Przepraszam, jeżeli...

– Chciałem pogodzić się z krajem, który zaczyna wierzyć w wolność jednostki – odpowiedział Karol. Po chwili ciszy kontynuował szeptem. – Poza tym coś komuś obiecałem.

Margaret zamilkła. Zbliżali się do plaży. Kiedy chciała zadać mu kolejne pytanie, Dickens przypomniał sobie, jak źle odebrano jego wystąpienie przeciwko niewolnictwu na uniwersytecie Columbia. Przywołał w pamięci zaciekły atak nowojorskiej prasy („Cóż ten Anglik sobie wyobraża...”). Jego książka *Notatki z podróży do Ameryki* wywołała falę miazdzącej krytyki. Przypomniał sobie też, co wtedy napisał w liście do Macredy’ego – dobrego przyjaciela, który opiekował się w Londynie czwórką jego dzieci. „Jestem miłośnikiem wolności, który się rozczarował”. Taka była prawda. Był przeciwnikiem monarchii, marzącym, by poznać tę republikę wolności, za którą uznawał się Nowy Świat. Ale rzeczywistość pokazała, że ta pierwsza eksperymentalna demokracja akceptowała, na przykład, niewolnictwo.

Poprawił cylinder i spojrzął na drugi brzeg. Musiał przyznać, że Nowy Jork, z którym dopiero co odnowił znajomość, był podobny do jego marzenia. A wolność wywalczona niedawno przez Amerykanów przypominała mu jego własną.

On też się wyzwolił. Podczas pierwszej podróży dopiero zaczynał cieszyć się sławą pisarza. Choć miał już żonę i czwórkę dzieci, był daleki od konwenansów: trzymał w domu kruka, na którego wołali Grip. Wrócił do Ameryki, która

próbowała pozbierać się po krwawej wojnie secesyjnej. Miał pięćdziesiąt pięć lat. Był po rozwodzie, a na karku miał dziesiątkę odchowanych już dzieci i piętnaście powieści, które czytano na świecie. A biedny Grip, wypchany, tkwił na półce nad kominkiem.

A mimo to, postawiwszy stopę na Wyspie, Karol odniósł wrażenie, jakby czas się zatrzymał. Tyle że zniknęli stąd ci, których znał, i zaczynała mu drzeć ręka przy składaniu autografów na książkach.

Rzeka, znad której mgła już całkiem zniknęła, zaczęła wypełniać się żaglowcami i parostatkami, które defilowały przed ich oczami jak potężne łabędzie. Po drugiej stronie rysował się tętniący życiem port – obecnie jeden z największych na świecie. Śnieg na plaży błyszczał niczym cukier.

Margaret podeszła do ławki i wytarła ją spódnicą. Pomimo młodego wieku doświadczyła okropności wojny. Podczas zamieszek w Nowym Jorku widziała, jak spłonął sierociniec dla ciemnoskórych dzieci na Manhattanie. Była świadkiem grabieży i rozbojów, chociaż większość tej straszliwej tragedii obserwowała z Wyspy, gdzie dochodziły zaledwie stłumione odgłosy wojny. To stąd obserwowała pożary, tam w oddali, za wodą. A teraz na Wyspie zbierali owoce tamtej tragedii: sieroty, kalekich, bezdomnych... Nie byłby zdolny nawet sobie tego wyobrazić – zapewniała.

Karol słuchał przerażony.

– Oby Bóg nie dopuścił do kolejnej wojny – powiedziała Margaret, jak gdyby ciągle miała przed oczami tamten koszmar.

Oboje szukali nawzajem w swoich oczach nadziei na to, że tak się nie stanie. Podejrzewali jednak, że ta nadzieja jest wątła. Zatopili się w myślach. W tym samym czasie po drugiej stronie oceanu szwedzki inżynier Alfred Nobel opatentował swój wynalazek i zarejestrował znak towarowy „dynamit”. A zaledwie miesiąc wcześniej w zimnym domu w Polsce swój pierwszy krzyk wydało dziecko, które będzie się nazywało Maria Salomea Skłodowska. W przyszłości Marie Curie, miała otrzymać nagrodę noszącą imię wspomnianego Szweda. Nagrodę z dziedziny fizyki za odkrycie radioaktywności. Wielkie umysły, które sądziły, że robią coś wielkiego dla ludzkości.

I tak za otoczonymi wodą murami tworzyła się Historia.

Śnieg błyszczał w promieniach zimowego słońca. Karol zatrzymał wzrok na dziewczynce bawiącej się na brzegu rzeki. Z włosami splecionymi w długie i nieco potargane warkocze wyglądała niczym piękna choć podniszczona lalka. Wełniany niebieski płaszczyk z białymi frędzlami różnił się od ubrań dzieci, które zwykło się tu widywać. Miała oczy tak duże i błyszczące, że zdawały się sztuczne.

– Mówię do niej Nellie – powiedziała Margaret porozumiewawczo. – Poznałam jej rodziców w Pensylwanii. Są przejazdem w Nowym Jorku. Poprosili, żebym się nią dziś zajęła. Nie miałam odwagi powiedzieć im, że pracuję w... Więc

spędzi ten dzień z nami. Mam nadzieję, że to panu nie...

– Nellie? – zdziwił się Dickens.

– Tak. Przypomina mi pańską małą Nell z *Magazynu osobliwości*.

– Ciężki wybrała pani los dla tej małej dziewczynki, nie sądzi pani? – zaniepokoił się pisarz.

– Przeczytałam tę książkę trzy razy. Być może liczyłam na to, że za którymś razem skończy się inaczej.

– Nie chciałem, żeby umarła – pisarz pospieszył z usprawiedliwieniem. – Ale czytelnicy czasami chcą cierpieć. Tak przynajmniej mówi mój wydawca.

– No cóż – podsumowała, wstając i się uśmiechając. – Jest mi pan winny szczęśliwe zakończenie dla Nellie.

Podbiegła do dziewczynki.

Dickens się zamyślił. Dlaczego to powiedziała? Czy wiedziała o nim więcej, niż sądził?

Patrząc, jak bawi się na plaży, ponownie wyciągnął zdjęcie z kieszeni. Tamtego stycznia też było zimno. W drugiej kieszeni miał list. Trzymał go od tamtego czasu, mimo że atrament niemal całkiem wyblakł. Anonimowy list, który sprowadził go na Wyspę po raz pierwszy. To dzięki niemu poznał ludzi, którzy sprawili, że uwierzył w cuda. Twarze ludzi, którzy przekonali go, że aby zaznać wolności, trzeba najpierw o niej marzyć, spoglądały teraz na niego ze starej fotografii.

Kiedy Margaret podeszła z dziewczynką uwieszoną u jej ramienia, przypomniał sobie siebie w wieku trzech lat. Życie wydawało się wtedy takie proste. A on czuł się bezpieczny i otoczony opieką rodziców. Nic nie wskazywało na to, że popadną w skrajną nędzę. Jakim cudem udało mu się przejść tak wiele w tak młodym wieku... Próbował pozbyć się tej myśli. Przyjrzał się małej. Sądząc po wieku, była wojennym dzieckiem. Być może dlatego patrzyła na świat tak rozumnym wzrokiem. Z nonkonformizmem, który – wydawało się – mógł stawić czoło każdemu przeznaczeniu.

Jaką historię bym jej wymyślił, gdybym musiał o niej napisać? – zapytał sam siebie. Nagle poczuł się jak ktoś, kto nagle staje twarzą w twarz ze swym doppelgängerem[\*]. Bratnią duszą. Swoim małym ja. Poczuł się tak złączony z duszą zamkniętą w ciele trzylatki, jak gdyby była jego duchowym, fantasmagorycznym sobowtórem. Być może było to przeczucie, bo pisarz nie mógł przecież wiedzieć, że los tej dziewczynki już przeglądał się w jego własnym losie, jak w lustrze. Że spotkanie na Wyspie Blackwella miało się okazać najważniejszym rozdziałem w ich życiach. Nie mógł wiedzieć, że uśmiechnięta dziewczynka, podobnie jak on, już wkrótce straci ojca. I że utonie w nędzy, do życia w której się nie urodziła. Nędzy, której będzie musiała stawić czoło.

Nellie to opowieść, którą będziemy poznawać w odcinkach. W końcu tak

napisano wiele z najznamienitszych powieści w tamtym wieku. Tak właśnie pomyślał o niej pisarz tamtego zimowego dnia.

– No dalej, powiedz panu Dickensowi, jak masz na imię – podpowiedziała Margaret i pchnęła ją lekko naprzód.

Dziewczynka, pełnym przekory gestem ścisnęła patyk, którym się bawiła. Jedną po drugiej, narysowała na piasku litery składające się na jej nowe imię, tak aby mogły przeczytać je gwiazdy.

Właśnie wtedy Karol postanowił, że one usłyszą tę wielką historię, której nikomu nie zdradził. Jedyną, której przysiągł nie opisać.

Wyciągnął list z kieszeni. Jego palce – tak pomarszczone, że wydawały się zrobione z takiego samego papieru – delikatnie musnęły drobne i okrągłe litery.

\* W wierzeniach ludowych zły brat bliźniak.

*Nowy Jork, styczeń 1842 r.  
Dwadzieścia pięć lat wcześniej*

Zimny wiatr zatrzepotał listem w jego dłoniach. O mały włos, a porwałby go i uniósł w morze. Karol ścisnął arkusik mocno, opierając się o barierkę na górnym pokładzie. Któż mógł go wysłać i dlaczego to zrobił – domysły przerodziły się niemal w obsesję. Chociaż taka tajemnica to najlepszy sposób na rozpoczęcie podróży – pomyślał, obserwując sylwetki pasażerów wchodzących na pokład. Palce miał poplamione granatowym atramentem. Kilka lat temu zmienił jego kolor. Wcześniej zawsze używał czarnego. Szczycił się tym, że jest człowiekiem poukładanym, chociaż Kate mówiła, że w wieku trzydziestu lat prześcigał w tym poukładaniu niejednego staruszka. Było wcześniej, a on wykorzystał sen Kate i wyszedł na pokład. Nie chciał przegapić momentu wpływania do portu w Nowym Jorku ani mijania Hell's Gate, Hog's Back, Grying Pan i innych miejscowości pojawiających się w książkach jego ukochanego Washingtona Irvinga.

Przeciągnął się. To, co najbardziej dokuczało mu podczas długiej podróży do Ameryki, to bez wątpienia brak możliwości wykonywania ćwiczeń fizycznych. Torturą było zejście z transatlantyku w Bostonie, żeby zaledwie dzień później zaokrętować się na parostatku zmierzającym rzeką do Nowego Jorku. W dodatku sześciomiesięczny objazd po Stanach Zjednoczonych zapowiadał się męcząco. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko po raz kolejny pogodzić się z tym. Musiał przyznać rację Kate. Być może jak na swój wiek był zbyt uporządkowany. Wydawało mu się, jakby całe wieki spędził na siedzeniu i pisaniu. Jeżeli nie urozmaicał sobie pracy długimi spacerami po Londynie, dokuczały mu plecy. Mówiąc szczerze, najgorsze na statku nie było to, że nie mógł ćwiczyć, ale okropne mdłości. Nawet najbardziej wybujała wyobraźnia nie byłaby zdolna odgadnąć, jak bardzo może huścić ogromnym parostatkim na falach wzburzonego sztormem Atlantyku. Najgorsza była noc tuż przed zawinięciem do Bostonu – przypomniał sobie. Przetarł balustradę chusteczką i ponownie oparł się na niej łokciami. Z wywołanej mdłościami obojętności mógł przywołać jedynie to, że jego żona czuła się na tyle źle, że przez jeden dzień nie była zdolna rozmawiać z nim. Uśmiechnął się półgębkiem. Tak, to sprawiło mu szatańską wręcz przyjemność. W tamtym stanie nic by go nie zdziwiło. Gdyby krasnoludek pojawił się w jego

kajucie z listem w dłoni, przeprasząc go za to, że jest przemoczony, ale w końcu szedł przecież przez ocean, to zapewne byłby mu podziękował za przesyłkę.

Z całego tego chaosu pamiętał, że gdy w końcu lepiej się poczuł, zdał sobie sprawę, że stoi na pokładzie, trzymając się czegoś – nie mógł sobie przypomnieć, czy była to jakaś lina, czy może bosman. Nie potrafił odróżnić nieba od morza, a horyzont rozmywał mu się przed oczami. Wszystko się kołysało, wszystko się chwiało, a każdy z kelnerów podczas kolacji przewrócił się przynajmniej raz.

Dickens westchnął i wbił wzrok w wodę. Na Boga... co za przygoda. Wystawił twarz do słońca. Czy to możliwe, że w Londynie jest prawie ciemno, a jego dzieci szykują się do łóżek? W ciągu ostatnich lat mało żył, za to dużo marzył. A jego powieści, potrzeba pisania, narodziły się nie ze wspaniałych przeżyć, a z przeciwności losu. Za jego sukcesem stała tragedia, która naznaczyła jego dzieciństwo i której do końca życia nie mógł ujawnić w angielskich wyższych kręgach, zaczytujących się w jego książkach.

Teraz był słynnym Karolem Dickensem.

Miał zaledwie trzydzieści lat, gdy okrzyknięto go ukochanym synem Edynburga, a jego książki dotarły za ocean, zanim on sam tam zawitał. Dlatego tak ważne było, by przeżył przygodę. Pomyślał o swoich dzieciach, o tym, że zobaczy je dopiero za sześć miesięcy. Ukłuło go poczucie winy. Żadne z nich nie przekroczyło sześciu lat. Ale w domu Macredy'ego będzie im dobrze – powiedział sam do siebie z przekonaniem. Będzie im bardzo dobrze.

Wciągnął nadpływające znad morza powietrze. Poranek był wilgotny, spokojny i bardzo mglisty, ale już zaczynało wschodzić słońce. Gęste, kasztanowe włosy opadły mu na twarz. Kate uważała, że powinien obcinać je krócej. W końcu miał już swoje lata. Ale Karol chciał pozostać młody, odsuwał myśli o dorosłości i starzeniu. Smutne dzieciństwo ciążyło mu. Może dlatego tak emocjonalnie zareagował na żart. I być może właśnie dlatego nikomu o tym nie powiedział. Nawet Kate.

Rozłożył papier. Ktokolwiek napisał list, postanowił się nie podpisywać. Wręczył mu go recepcjonista hotelu w Bostonie tuż po tym, jak zeszli ze statku. Ale stempel był z Nowego Jorku.

*Szanowny Panie Dickens!*

*Nie mogę wyjawić, kim jestem, ale wierzę, że jako pisarz potrafi Pan wyczytać nadzieję, jaka kryje się za moimi słowami. Pozwalam sobie wysłać tych kilka linijek, ponieważ niedługo zawita Pan do naszego kraju. Słynie Pan ze swojej wrażliwości na bezbronnych oraz wspierania szczytnych idei. W prasie napisano, że w czasie Pańskiej wizyty planuje Pan odwiedzić instytucje dobroczynne, więzienia, szpitale dla psychicznie chorych i sierocińce, aby zobaczyć, jak działają. Dlatego zapraszam Pana, by podczas wizyty w Nowym Jorku odwiedził Pan Wyspę Blackwella. Proszę mi wierzyć, Pańscy amfitrioni nie wspomną Panu o niej. Proszę*

*poprosić jednego ze swoich wpływowych znajomych o dwutygodniowe pozwolenie na odwiedzenie tego miejsca.*

*Każda wyspa skrywa jakąś tajemnicę lub ukryty skarb. Na tej znajdzie Pan i jedno, i drugie.*

*Niech Bóg Panu błogosławi, Panie Dickens.*

Litery były tak okrągłe i drobne, że zdawały się nakreślone ręką dziecka. Ale język należał do dorosłego. Przedstawił tajemnicę w kobiecy sposób, ale ton wydawał się mieć lekko męskie zabarwienie. Karol poczuł ciepło słońca na włosach. Poprawił aksamitkę przy kołnierzyku i rozpiął płaszcz. Kimkolwiek był autor listu, wiedział, jak rozbudzić głód powieściopisarza.

Właśnie wtedy statek wpłynął do utworzonego przez wyspy przesmyka, który wydał mu się znajomy. To musiał być Hell's Gate, czyli Brama Piekieł. Słyszał z tego, że o jego brzegi rozbijały się jednostki zepchnięte przez prąd East River. Były wśród nich statki kupieckie, holenderskie, a nawet budzące strach galeony pirackie, które choć przetrwały niejedną sztorm, rozbijały się właśnie tu. Wiedział to z książki Washingtona Irvinga. To on w jednym ze swoich opowiadań opisał, jak w dzieciństwie chodzili nad rzekę, gdy tylko opadał poziom wody. Chcieli zobaczyć wynurzający się z wody dziób jednego z rozbitych statków, o przerażającym kształcie czarnej syreny. Marzyli wtedy, że kiedyś do niego podpłyną, by szukać skarbu pomiędzy zaplątanymi między algami szkieletami.

Karol pomyślał, mierzwiąc przy tym włosy, że ma ogromną ochotę spotkać się z Washingtonem. Zwrócił uwagę na wychodzącą na pokład kobietę w żółtym kapeluszu przypominającym olbrzymi grzyb. Kate spodoba się Sunnyside. To niezwykle hojne, że pisarz zaprosił ich do siebie.

Teraz po prawej i lewej stronie dostrzegł zielone wzgórza wysp usiane pięknymi posiadłościami z trawnikami i drzewami. Czy tak wygląda posiadłość Washingtona? Nigdy nie pomyślał, żeby w ten sposób opisać Bramę Piekieł. Ale skoro tak wyglądała brama, to piekło nie było chyba takim złym miejscem.

W oddali dostrzegł Wyspę. Najpierw zauważył latarnię morską, położoną na jej północnym krańcu. Potem przyjrzał się pozbawionym proporcji budynkom z kamienia. Nietypowe światło sprawiało, że cała wyspa zdawała się być w cieniu. Nie widział żadnych domów. Nie dostrzegł, żeby ktokolwiek po niej chodził. I nagle zauważył, że z ostatniego budynku, najbliższego statku, wybiegła na plażę grupka ludzi. Rzucali w górę czapki na powitanie przepływającego „Nowego Jorku”.

– Przepraszam! – krzyknął Karol do jednego z marynarzy, który zwijał linę, przygotowując się do wejścia do portu. – Co to za miejsce?

Mężczyzna podniósł wzrok i dłonią osłonił oczy przed słońcem.

– To? – Wytarł czoło. – Piekło, z którego nikt nie wraca.

– Ale co to za budynki?



Mężczyzna wskazał na nie brodą.

– Więzienie, zakład poprawczy, ten z tyłu to przytułek, a ten najbliższy, przed którym przepływamy, to dom wariatów. – Zaśmiało się szelmowsko i dodał: – Niech pan popatrzy, jak nas witają ci biedni wariaci. Zawsze to robią.

Pisarz spojrzął na list, potem na Wyspę i znowu na papier. Nie wiedział dlaczego, ale marynarz właściwie nie musiał wyjawiać mu nazwy tego miejsca. Instynktownie podniósł dłoń i pozdrowił szaloną gromadę, patrzącą na statek z plaży.

Wtedy po raz pierwszy zobaczył Wyspę Blackwella.

\*

Kilka minut później statek wpłynął do połyskującej w słońcu, majestatycznej zatoki. Oczom Karola i Kate, którzy teraz już razem stali na pokładzie, ukazała się chaotyczna gęstwina budynków, a za nią chmura wznoszącego się powoli czarnego dymu, las masztów, powiewające pasiaste i gwiazdzone flagi i wpływające oraz wypływające z portu niezliczone promy oraz statki pasażerskie i transportowe. A na brzegu setki zaaferowanych istot biegających we wszystkich kierunkach. W oddali dostrzegli szczyty gór i kilka wysp wyłaniających się z połyskującej rzeki, która wiła się daleko w błękitny bezkres.

Niespodziewanie ukazał im się Nowy Jork. Oszołomiony widokiem, pomyślał, że nie będzie mu brakowało życia na statku – zabijania czasu spacerowaniem, paleniem czy piciem rozwodnionego brandy. Nie zatęskni także – jak mówili marynarze – za stukotem damskich obcasów nad głową. Ani tym bardziej za nieustającym, choć jak sam musiał przyznać uzasadnionym, narzekaniem Kate na to, że wyciągnął ją w tak długą podróż bez dzieci. Nie będzie mu też tęskno za zupełnym brakiem ciszy – za falami rozbijającymi się z hukiem o burty i skrzypieniem statku, które przypominało trzeszczenie ogromnego stosu chrustu. Jego mózg aż drżał z podniecenia – tak bardzo chciał sprawdzić, co czekało go w mieście, o którym mówił cały Londyn.

Kate chwyciła go pod ramię, jak gdyby wygląd miasta ją zaniepokoił. „Ile tu statków”, wymamrotała, poprawiając długie czarne loki spływające na pełne piersi. Przyjrzał się jej. Nie pamiętał, żeby choćby raz w życiu była rozczochrana. Nawet wtedy, kiedy rodziła kolejne dziecko z ich czwórki. Ani kiedy stała na pokładzie, a wiatr delikatnie muskał jej twarz. Ta myśl ubawiła Karola. Postanowił nadać tę cechę jednej ze swoich postaci. Potem zatrzymał wzrok na jej tak charakterystycznym tiku – delikatnie, kolejno uderzała palcami, jakby grała na niewidocznym pianinie czy myślała w brajlu. A może liczyła minuty pozostałe do zejścia z pokładu, miesiące spędzone bez dzieci albo lata dzielące ją od śmierci. Któż mógł to wiedzieć. Kate pozostawała dla niego zagadką. Pierwszy raz, kiedy zauważył, że to robi, byli w gabinecie jej ojca, wówczas redaktora naczelnego

„Morning Chronicle”. Uderzała palcami w biurko. Wtedy była dla niego jedynie Catherine Thompson Hogarth, córka szefa. A on był autorem kilku opowiadań i kilkunastu artykułów. W tamtym czasie albo ona nie odliczała czasu miarowym uderzaniem palców, albo jemu zupełnie to nie przeszkadzało. Być może dlatego nie starał się jej poznać. Na wszelki wypadek, gdyby jednak nie skrywała żadnej tajemnicy.

Zawyły syreny statku i twarz jego żony znikła pod rondem kapelusza.

\*

Kiedy w końcu przybili do brzegu, bagaże kursowały po pokładzie w tę i z powrotem, a pasażerowie przyglądali się młodemu Nowemu Jorkowi z bezpiecznej perspektywy balustrady. Mnóstwo ludzi tłoczyło się na pomoście, oczekując, aż szybki i słynny „Nowy Jork” wpłynie do portu. Z przesadną radością wykrzykiwali zdanie, którego Karol nie był zdolny wychwycić.

– Co krzyczą? – zapytała Kate. – Wygląda, jakby patrzyli w naszą stronę.

Za tłumem dwukołowe wózki kreśliły skomplikowane rysunki na śniegu. Starsze kobiety piekły kasztany i zachwalały je nowo przybyłym pasażerom. Ludzie zderzali się, chodząc tam i nazad z wiklinowymi koszami. Ładowano statki przed wypłynięciem: grupka mężczyzn wciągała krowę, inni ładowali warzywa, prosiaki i ptactwo... Nieco dalej marynarze ściągali cumy. W końcu dojrzał czapkę nadzorcy załadunku. Szedł przywitać się z tłumem ludzi, którzy nadal krzyczeli coś zupełnie niezrozumiałego.

– Robią to od miesięcy, za każdym razem, gdy do portu zawija statek z Anglikiem na pokładzie. Tym razem jednak wiedzą, że to pan przyplłynął, panie Dickens.

– Nie rozumiem.

– Najwyraźniej do Nowego Jorku nie dotarł jeszcze kolportaż pańskiego *Magazynu osobliwości*. Nie mogą się doczekać. Proszę ich pozdrowić. To pańscy amerykańscy czytelnicy.

Oniemiały Karol uniósł w górę dłoń. Jakaś młoda dziewczyna wrzasnęła: Tam jest! To Karol Dickens! Wtedy jasno i dokładnie usłyszał, co krzyczeli.

– Pan Dickens! Pan Dickens! – powtarzały głosy kobiece, męskie, młode i dojrzałe. Pisarz przysłuchiwał im się z otwartymi ustami. Zaczęło do niego docierać, że odniósł międzynarodowy sukces. – Panie Dickens! Czy to prawda, że mała Nell umarła?

Rozpromieniona Kate odwróciła się do niego i wzięła go pod ramię.

– Kochanie, czekali tu na ciebie.

Czoło pisarza zasnuł cień.

– Tak, umarła – szepnął zrezygnowany.

To była prawda. Musiał uśmiercić swoją ulubioną postać. Tak właśnie

kończył się *Magazyn osobliwości*. Miliony osób miesiącami śledziły publikowane w odcinkach przygody jego biednej sieroty. Śmierć dziewczynki – tak samo prawdopodobna jak patetyczna – poruszyła Anglię, wywołując reakcje podobne do tych, jakie wywołuje śmierć kogoś znanego. Jeden z torysów zapewniał, że przepłakał całą noc. A sam zgryźliwy Wilde napisał, że po melodramatycznej, pretensjonalnej i łzawej śmierci Nell można się było popłakać, ale raczej ze śmiechu.

Zwolennicy czy przeciwnicy, nikt z nich, poza samym Dickensem, nie mógł nawet podejrzewać, że autor opisał tę agonię, opierając się na swoich własnych przeżyciach. Dokładnie tak umarła w jego ramionach ukochana szwagierka, mieszkająca z nim i z Kate szesnastoletnia Mary Hogarth. To na niej wzorował postać Nell.

Pisarz przywołał w pamięci dziewczynę, którą tak pokochał. Wyciągnął z kieszeni niewielki przedmiot z brązu. Ten zepsuty kompas podarowała mu Mary. Tamtego dnia po raz ostatni widział ją uśmiechniętą. Wychudła tak bardzo, że wydawała się ubranym na różowo cieniem. Wskaże ci marzenia – powiedziała. Jej dłoń, wychudła i blada, położyła kompas na jego dłoni. Pisarz przyglądał się błędzącej wskazówce. Tańczyła raz w jedną, raz w drugą stronę. Nagle, zupełnie nie wiadomo dlaczego, wskazała na wschód. Wydawało się, że odnalazła tam swoją nową północ.

Karol spojrział w tym samym kierunku. Nad horyzontem przeciągała burza.

Poniżej, w porcie, jego amerykańscy czytelnicy wiwatowali i pytali o los małej sieroty.

Ściągnął kapelusz i skłonił głowę.

Pomachał kapeluszem i spojrział na białe niebo zwiastujące jeszcze więcej śniegu. Padał na nich deszcz sadzy wydobywającej się z kominów bogatych dzielnic. Karol poczuł się jak wesoła figurka w środku szklanej kuli zamykającej świat w negatywie.

Godzinę drogi na północ od Nowego Jorku, w sielskim miasteczku Tarrytown, znanym z cmentarza Sleepy Hollow i opowiadania o jeźdźcu bez głowy, słynny autor tegoż prowadził ożywioną dyskusję z politykiem z Partii Demokratycznej. W wieku niemal sześćdziesięciu lat Washington Irving był najbardziej lubianym nowojorczykiem – za opowiadania o starym Nowym Jorku, za łagodność w spojrzeniu, dyplomację słów oraz za nieustające wysiłki w dążeniu do zmiany miasta. Tym razem miał na myśli nowy i nad wyraz ambitny projekt.

– Jak duży miałby być? – zaniepokoił się polityk, który wiedział co nieco o wpływach i uporze pisarza.

Irving przesunął pulchny palec po mapie, kreśląc potężny prostokąt, który zaczynał się w połowie Manhattanu i piał się ku północy. Polityk otarł czoło chusteczką. Irving zacisnął wargi.

– Panie Perkins, ludzie potrzebują przyjemnego miejsca, żeby wypocząć po pracy, z rodziną. Bez porządnego parku miasto nie jest prawdziwym miastem – uniósł się pisarz, gładząc niewielki pierścionek na małym palcu. – Chyba że woli pan, żebyśmy podtrzymywali wzruszający i zdrowy angielski zwyczaj urządzania pikników na cmentarzu. Na litość boską!

Irving spojrzał na przywieziony z Hiszpanii zegar, wiszący na ścianie pokrytej orzechową boazerią. Pożegnał się. Tego dnia miał do niego przyjechać bardzo miły gość. Musiał się przygotować.

\*

Przebudzony Karol nie wiedział, gdzie się znajduje. Nadal odczuwał kołysanie statku. Przechodząc przez pokój do łazienki, nieustannie się potykał. Był przekonany, że hotel lada moment zatoni. Kate także była niedysponowana. Żadne z nich nie zdążyło zjeść śniadania, gdy pojawił się przysłany przez Irvinga powóz, który miał zawieźć ich do jego domu w dolinie Hudson. Pakując równo złożone ubrania do niewielkiego kufra podróżnego, Karol pomyślał, że wysiłek wart był swojej ceny. Nawiązał znajomość korespondencyjną z nowojorskim pisarzem kilka lat temu, po spotkaniu w Londynie. Więź z jego twórczością i głoszonymi ideami była tak głęboka, że już teraz darzył Irvinga ogromną sympatią. Wydawało się, że

uczucia były odwzajemnione. Kiedy tylko amerykański pisarz dowiedział się, że Dickens wraz z żoną odwiedzą Nowy Jork, zaprosił ich do zakupionej przez siebie angielskiej posiadłości, którą nazwał Sunnyside. Urządzane tam spotkania towarzyskie powoli stawały się jedną z legend Nowego Jorku.

\*

Powóz w końcu się zatrzymał. Kate wyjrzała przez okno i na jej twarz wrócił rumieniec. Dom przypominał słoneczną wersję tych, które Irving opisywał w swoich opowiadaniach. Stojący na brzegu rzeki Hudson budynek był otoczony oprószonym śniegiem romantycznym ogrodem. Gdzieś tam prześwitywały ścieżki z ławki do podziwiania widoków. Kamienny dom przywoływał na myśl gotyk. Trzy piętra i czerwony dach z licznymi oknami i kominami.

Od razu rozpoznał korpulentną i energiczną sylwetkę Irvinga, który szedł w stronę powozu. Za nim podążała uśmiechnięta, również korpulentna i lekko zdyszana kobieta – zapewne gosposia.

Karol wyszedł z powozu.

– Panie Irving, nie boi się pan gościć Anglika? Jeżeli mi się spodoba, jestem gotów tu zostać! – powiedział, wyciągając rękę do gospodarza.

– Już raz przeciwko wam walczyłem. A mundur polowy nadal trzymam w szafie – odpowiedział Amerykanin, śmiejąc się i ściskając Karola.

Kate wyjrzała przez okno powozu i Washington pospieszył jej pomóc.

– Droga Kate, witaj. Twoja uroda przyćmiewa nasz piękny pejzaż.

Kate przyjęła komplement z uśmiechem, narzucając jednocześnie czerwoną, bawełnianą pelerynę.

– Washingtonie, od naszego ostatniego spotkania urodziłam czwórkę dzieci.

– Uśmiechnęła się ironicznie. – Ale doceniam, że dla odmiany okłamuje mnie inny pisarz. Przynajmniej robisz to z wdziękiem...

Washington docenił ripostę Kate, a Karol zachował milczenie. Całą trójką ruszyli do domu.

Nie da się jednym słowem opisać posiadłości Sunnyside, bo dom składa się z detali. Wystarczy powiedzieć, że to trzypiętrowa biografia jej właściciela. Pokoje mogłyby wydawać się utrzymane w stylu angielskim, gdyby nie to, że rozjaśniało je światło wydobywające z mroku francuskie, angielskie i hiszpańskie obrazy, którymi właściciel niemal wytapetował ściany. W każdym pomieszczeniu, z łazienkami włącznie, znajdowały się regały pełne ciężkich tomów Historii. Sypialnie, odmalowane na radosne kolory, miały łukowate sklepienia, a pod oknami umieszczono siedziska, z których można było podziwiać rzekę. W pokoju gościnnym niczego nie brakowało: stały oddzielne wieszaki na męskie cylindry i damskie kapelusze oraz toaletka, a na niej flakonik perfum i zimowe kwiaty.

Kate zajęła się rozpakowaniem bagaży, a Karol udał się do gabinetu

Washingtona.

\*

Zaczął padać śnieg. Pani Nightingale, gosposia, dorzuciła do kominka i suche gałązki wystrzeliły iskrami niewielkich fajerwerków. Mężczyźni usiedli po dwóch stronach biurka, na którym stało kilka kałamarzy i leżały trzy przywiezione z Hiszpanii sztylety obok zgaszonej lampki gazowej. Karol spoglądał na biurko oczami fetyszysty. To na nim napisano takie dzieła, jak *Opowieści z Alhambry* czy *Opowiadania podróżnika*. Obserwował Washingtona, gdy ten nalewał im szkockiej whiskey, co najmniej dwa razy starszej od niego. Miał mocne dłonie pokryte delikatną skórą, a na małym palcu nosił pierścionek pierwszej narzeczonej. Mankiety spięte spinkami, biały gors, angielska kamizelka, wydatny kołnierzyk, a pod nim czarna aksamitka. Nadal ubierał się niezwykle elegancko. Przybrał na wadze. Upływający czas wymalował mu nad uszami kilka białych smug, zmarszczył trochę sympatyczny i pełny nos, łagodzący nieco surowe spojrzenie. Właśnie takim, zabarwionym czułością, spojrzeniem teraz go mierzył.

– Drogi Dickensie, nie wiem, co ci tak służy, ojcostwo czy międzynarodowa sława, ale wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek – powiedział, podając mu trunek.

– Muszę przyznać, że sława zaczyna kosztować mnie tyle, co ojcostwo.

Zaśmiali się i napili whiskey.

– Drogi przyjacielu, nie wierzę ci. Lepiej mi powiedz, jak ci się podoba w... jak wy to mówicie w Europie? W Nowym Świecie? Czy to przypadkiem nie robi z was starców?

– Poza tym, że ani na sekundę nie zostawiliście mnie samego oraz szkaradnym zwyczaju nieustannego żucia i wypluwania tytoniu, wasz kraj wydaje się rajem na ziemi.

Ponownie wybuchnęli śmiechem.

Washington z dumą wyciągnął kilka gazet z szuflady.

– Miasto oszalało na twoim punkcie. O niczym innym się nie mówi. – Skrzywił się. – Pochwaliłbym się tak zacnym gościem, ale obawiałem się karawany dziennikarzy pielgrzymujących do domu. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Czy miło cię przyjęto?

Karol, zawstydzony, poprawił się na krześle.

– Muszę przyznać, że nasze służby celne powinny brać przykład z tego, jak wita się przybywających do Stanów Zjednoczonych. – Poprawił rękawy surduta. – Zawsze uważałem, że sposób, w jaki przyjmujemy obcokrajowców, hańbi Anglię. To, że w naszych progach witają ich warczące psy, jest... – Przewrócił oczami.

Washington wydawał się zadowolony. Pomimo sławy Dickens nadal z pewnym dystansem przyjmował komplementy. Lubili się. W dalszym ciągu nie wierzył, że może cieszyć się przyjaźnią człowieka, którego dzieła czytał, kiedy sam

marzył o tym, by zostać pisarzem. A Washington wiedział, że wrażliwy na problemy społeczne Anglik napisze ważną stronę encyklopedii wszechświata.

Przez chwilę nadrabiali zaległości. Pięćdziesięciodziewięcioletni Washington właśnie przyjął nominację na ambasadora Stanów Zjednoczonych w Madrycie – Hiszpania nadal była jego wielką pasją. Karol opowiedział mu, że odżyła plotka o rzekomym romansie, który połączył ponoć przebywającego w Londynie nowojorczyka z pisarką Mary Shelley, wdowie po Percym.

– To akurat prawda – oznajmił Washington zaskoczonemu przyjacielowi.

– Dlaczego nie poprosiłeś jej o rękę? Mary zawsze wyraża się o tobie z wielką sympatią.

Washington zamoczył usta w alkoholu, jak gdyby chciał zgasić żar dawnych pocałunków.

– Ponieważ powiedziała swojemu przyjacielowi Payne’owi, że już raz była żoną geniusza i że wyjdzie dopiero za następnego.

Karol uniósł brew. Związek Washingtona z autorką *Frankensteina* zapewne sprawiłby czytelników w osłupienie. Kto wie, jakie dzieła literatury zrodziłyby się z ich rozmów, które wiedliby przed tym kominkiem. Ale Karol aż za dobrze wiedział, że jego przyjaciel uciekał przed miłością. Wskazywał na to pierścienek zaręczynowy, który nosił na małym palcu – tylko na niego był w stanie włożyć tak niewielką ozdobę.

Uciekał od miłości, bo już był zakochany.

Co prawda w duchu, ale był zakochany. Stracił Matyldę, swoją pierwszą miłość, która odeszła po bolesnej chorobie w wieku zaledwie siedemnastu lat. Prawie czterdzieści lat później, w sypialni swojej romantycznej kryjówki, wciąż mówił dobranoc ukochanej. Noc w noc.

– Widziałeś to? – powiedział nagle Washington, przerywając zadumę Anglika. Rzucił na biurko egzemplarz „New York Herald”, który przed chwilą wertował. Przeczytał nagłówek: „Angielski pisarz Charles Dickens twierdzi, że Stanom Zjednoczonym daleko do stania się Republiką Wolności”. – Skrzywił się szyderczo. Karol parsknął wściekle:

– Co zrobiliście z wolnością słowa? Kiedy cytuję Bancrofta czy jego *Historię Stanów Zjednoczonych*, mówią mi, że powinienem trzymać język za zębami, bo Bancroft to czarna owca i demokrat. Jak mówię o konieczności wprowadzenia międzynarodowego prawa autorskiego, ostrzegają, żebym miał się na baczności...

– Międzynarodowe prawo autorskie? – przerwał mu zdumiony Irving. – Masz zamiar wygłosić u nas odczyt o prawie autorskim?

– A co w tym złego? – Karol ściągnął surdut. – Na Boga, Washingtonie! Gdybym swoje pierwsze powieści napisał w tym kraju, biorąc pod uwagę wszystko, co mi mówią, umarłbym młodo i z głodu!

Nowojorczyk spojrział na niego krzywo i otworzył kolejną gazetę.

– Ach, spójrz, tu też zadedykowali ci nagłówek. Jest nawet zabawny: „Anglik protestuje przeciwko piractwu?”.

– Nieźle. – Karol zeszywniał na krześle. – Będę protestował przeciwko piratowaniu... książek.

– Mój drogi i młody przyjacielu... – powiedział Irving i poklepał Karola po ramieniu. – Podziwiam twój idealizm. Sam próbowałem przeforsować prawo ochrony własności intelektualnej. Argumentowałem, że w naszym kraju jest pokolenie nowych pisarzy, którzy powinni móc żyć z pisania. – Otworzył pudełko z cygarami i chciał go poczęstować. Karol odmówił ruchem dłoni. – Ale ten kraj jest tak młody, jak ty. Karolu, jesteś wielkim pisarzem i bez wątpienia pobijesz nas wszystkich na głowę. Ale jestem od ciebie mądrzejszy o czterdzieści lat życia. Nikt nie lubi, kiedy obcokrajowiec mówi mu, co ma robić. Szczególnie że w tym przypadku chodzi o Anglika – zakończył, rozkładając rękę.

Powąchał cygare, zdecydowanym ruchem odgryzł końcówkę i dodał:

– Karolu... od wojny minęło zbyt mało czasu. Ominęły nas wszystkie wasze inwazje i rewolty: rewolucja francuska, kolonializm... – Otworzył szufladę i szukał czegoś niecierpliwie, aż w końcu wyciągnął pudełko zapalek. – Do tej pory toczyliśmy jedynie wojnę o niepodległość. I to zupełnie niedawno. W naszej Historii tylko o niej możemy opowiadać. Chociaż jeżeli nic się nie zmieni... To znaczy, jeżeli nadal będziemy mieć prezydenta, który ma się za południowego arystokratę, zapewne czeka nas wojna domowa. – Potarł zapałką o pudełko. Zapałka rozpałała się gwałtownie. – Z tym, z czym wy mierzyliście się przez osiemnaście wieków, my musimy poradzić sobie w czasie zaledwie jednego. Nie oczekuj gruszek na wierzbie.

Karol słuchał poirytowany, gładząc rytmicznie nóżkę kieliszka.

– Pewnie masz rację. Być może łudziłem się jak chłopiec wizją republiki, w której realizuje się sen o wolności...

– Sen o wolności? – zdziwił się Irving. – Na Boga miłosiernego, Karolu! Byłeś na Południu? Widziałeś plantacje? Lepiej dajmy spokój, bo pewnego pięknego dnia się pomylisz i zamiast mówić o jednej ze swoich książek, wygłosisz orędzie przeciw niewolnictwu.

– Już to zrobiłem.

– Co takiego? – Tym razem to Washington wychylił kieliszek do dna. – Będę z niecierpliwością oczekiwał kolejnych nagłówek.

Nowojorczyk przyglądał mu się badawczym wzrokiem, a Karol skoncentrował się na bursztynowym płynie w swoim kieliszku.

– Tylerowi naprawdę tak kiepsko idzie?

Irving się poruszył.

– Stanowisko wygrał niemal na loterii, a po dojściu do władzy zawetował



reformy własnej partii i biednego Harrisona, który niech odpoczywa w pokoju. Jest zwolennikiem absolutyzmu i wierzy w potęgę stanów południowych. Szczerze mówiąc, myślę, że idzie mu fatalnie. Do tego stopnia, że wyrzucili go z jego własnej partii.

– Więc kto wami rządzi?

– Sami chcielibyśmy wiedzieć.

– Już nie partia wigów?

– Nie, już nie. Teraz Tyler twierdzi, że jest „niezależny”. Wyobrażam sobie, że chce nam przez to powiedzieć, że rządzi sam. – Westchnął. – Wigowie, demokraci czy republikanie, koniec końców, mój drogi Karolu, wszyscy są „niezależni”.

Dickens zmarszczył brwi. Być może przyszła pora na zmianę tematu.

– Powiedziano mi, że znowu piszesz dla „Knickerbockera”. Myślałem, że nudziło cię pisanie artykułów dla magazynów.

– Owszem, nudzi. Ale potrzebowali kogoś słynnego, żeby złapać wiatr w żagle, a mnie przyda się jakiś dodatek na utrzymanie Sunnyside. Taki urok starych domów: nieustannie łatam dziury.

– Twój protegowany nadal dla nich pisuje?

– Edgar? – zapytał nowojorczyk, zanosząc się śmiechem.

Wiedział, że jego protegowany publicznie wychwalał powieści Dickensa, by prywatnie miażdżąc go krytykować. Karol przytaknął obojętnie.

– Tak – przyznał Irving. – Młody Edgar ma niezwykły talent do literackich morderstw... Powinieneś szepnąć o nim słówko twoim wydawcom.

– Dobrze by było, gdyby jego recenzje były nieco mniej, jakby to powiedzieć, euforyczne. A najlepiej, żeby pisał na trzeźwo. Czasami jego proza jest nazbyt skomplikowana i krwawa.

– Cóż. Taki ma styl.

Karola drażniła słabość Washingtona do Edgara Allana Poe. Być może się z nim identyfikował, ponieważ Poe też stracił narzeczoną, albo pociągał go jego niezależny sposób bycia, a może to, że był sierotą... Co za bzdura! – pomyślał Karol. Przecież on też miał trudne dzieciństwo, patrzył jak ojciec popada w ruinę i trafia do więzienia. Ale z tego powodu nie walczył z całym światem, nie mścił się ani nie robił z siebie pisarza wyklętego. Różnili się tym, że Poe mówił o swojej przeszłości, a on nie. Ale prawda też była taka, że Poemu nie udało się wyjść ze świata marginesu społecznego, a jemu tak. Co by się stało, gdyby w Londynie poznali jego pochodzenie? Gdyby Kate dowiedziała się o wszystkim przed ślubem? Karol nie musiał odpowiadać na to pytanie. Nawet w myślach.

\*

Kilka minut później śnieżycą ucichła i mężczyźni postanowili wyjść na

spacer. Słońce bezskutecznie próbowało rozmrozić krajobraz, a dom wyglądał jak beza. Rozmawiali nieustannie przez niemal dwie godziny. Washington był bardzo konserwatywny. Idealnie nadawał się do rozprawiania o stanie swojego kraju. Jego inteligencja i zdolności dyplomatyczne sprawiły, że propozycje objęcia różnych stanowisk otrzymał zarówno od lidera partii wigów, jak i od demokracji Jacksona, którego oskarżano o przyczynienie się do kryzysu finansowego.

– Kto wie, czy kiedykolwiek wyjdziemy z tego przekłętego kryzysu – powiedział Washington, prostując się. – Od pięciu lat nie mówi się o niczym innym. Mam tego dość.

– W Anglii wymyśliliśmy nawet powiedzonko z tym związane.

– Tak?

– Mówimy: „Jesteś wart mniej niż amerykański kredyt”.

– Jak miło... – Obydwaj parsknęli śmiechem i chwiejnym krokiem weszli w głąb ogrodu. – Kryzys był nie do uniknięcia, Karolu. To kraj nieustannych zmian. Byłeś w porcie, prawda? Widziałeś nadciągające hordy Irlandczyków. Biedacy bez wykształcenia. Tu uważa się ich za plagę, oskarża o pijaństwo, kradzieże i gwałty. Traktuje się ich gorzej niż czarnych.

Widząc, że Karol traci równowagę, bo jego buty ślizgają się to w przód, to w tył, Irving chwycił go pod ramię.

– No, tak – powiedział, już stojąc pewnie. – Ciekawe, czy ci, którzy traktują ich jak śmieci, zastanawiają się, kto zbuduje im drogi.

– W tym się zgadzamy, Karolu – przytaknął. – Ale to nie rozwiązuje problemu. Jest nas za dużo. Na południu Manhattanu grasują bandy; imigranci walczą z rodowitymi Amerykanami.

– Rodowici Amerykanie? Przecież ich rodzice czy dziadkowie też byli imigrantami!

– Za „rodowitych” Amerykanów uważają się ci, którzy walczyli przeciwko wam w wojnie o niepodległość.

– Ledwie trzy dni temu.

– Tyle dla nas znaczący...

Wymienili ironiczne uśmiechy. Irving zdjął prawą rękawiczkę i przekręcił pierścionek na małym palcu.

– Ponad połowa nowojorczyków urodziła się za granicą. Ponad połowa, Karolu! Bezrobocie jest bardzo wysokie. A Jackson, nie ma co się oszukiwać, też nie stanął na wysokości zadania.

Karol strzepnął buty. Wydawał się zaskoczony.

– Chcesz powiedzieć, że jest odpowiedzialny za to, co wydarzyło się w trzydziestym siódmym?

– Cóż... – zawahał się Irving. – Panikę wywołała gorączka spekulacyjna na giełdzie. Nie mam co do tego wątpliwości, Karolu. Ale prawdą jest też, że Jackson

powiedział kilka rzeczy o Drugim Banku Stanów Zjednoczonych tylko ze względu na brak sympatii dla dyrektora. Potem wycofał poparcie dla banku, a to zaalarmowało farmerów z Południa, którzy rzucili się, by wyciągnąć swoje pieniądze i BUM! – Klasnął. – Bank upadł, wywołując reakcję łańcuchową. Minęło pięć lat, a my nadal ponosimy konsekwencje tamtego wydarzenia.

Karol pokręcił głową sceptycznie. – Nie szukacie przypadkiem kozła ofiarnego? – zapytał nowojorczyka, podczas gdy ten pokazywał mu ścieżkę biegnącą wśród krzaków, z których zwisały długie i przezrocyste sople lodu. Szli nią dookoła domu.

Karol potarł brodę:

– Ale Jackson miał dobre zamiary. Dopiero co oskarżyłeś Tylera o przyzwalanie na niewolnictwo. Jackson przynajmniej był populistą i w zasadzie jedynym prezydentem niskiego pochodzenia, który przejmował się...

Washington się zatrzymał. Wypuścił obłoczek pary z ust.

– Zgoda, ale tak jak już ci wspominałem, drogi przyjacielu, trzeba uważać na to, co i jak się mówi oraz przede wszystkim na to, kiedy się mówi. Nie bądźmy hipokrytami. Nikt nie przejmował się warunkami życia biedaków aż do pożarów z trzydziestego piątego. Nie przejmował się ani Jackson, ani nawet ja.

Karol westchnął.

– Tak, wiem. To musiało być straszne – powiedział, zacierając dłonie.

– Straszne? To było piekło. Przy Wall Street spaliło się sześćdziesiąt budynków. Nowy Jork zmienił się na zawsze, Karolu. Miasto już nigdy nie będzie takie samo. W strefie pożaru nadal zieje wielka czarna dziura. Tak jakby Bóg chciał wyrwać miastu olbrzymi spróchniały ząb. A w wielu budynkach wokół dawnej giełdy nadal odczuwalne są skutki tego pożaru.

– Skoro tak, to Bóg pewnie chciał wyrwać budynek giełdy. Szkoda. Ręka obsunęła mu się o jeden kwartał – podsumował, krzywiąc się.

Washington spojrział w stronę rzeki, którą znów mieli przed sobą, i mówiąc jakby do siebie, kontynuował:

– Dopiero wtedy my, bogaci, zaczęliśmy przejmować się biednymi. Czy raczej tym, jak niebezpieczne jest to, by biedni nadal żyli w takich warunkach.

Z tego samego powodu, przynajmniej zdaniem Washingtona, w siłę urosł stowarzyszenie Tammany Hall, które już teraz zyskuje przychyłność lokalnych wyborców. Wyzyskują biednych Irlandczyków, którzy tłumnie nadciągają, uciekając przed głodem.

– A ty, Washington? Z kim trzymasz?

Jego rozmówca zaśmiał się niemal kokieteryjnie.

– Przecież wiesz, że uważam się za federalistę – wykrzywił usta – bardziej ze względów estetycznych niż politycznych.

Karol tylko się uśmiechnął. Nie mógł się powstrzymać, mimo że był

dypłomata.

\*

Gdy wrócili ze spaceru, rzeka płynęła burzliwie, jakby z pośpiechem. Washington powiedział, że kupił ten dom, bo był pewien, że gdyby przypadkiem wpadł do rzeki, jego ciało bez większych problemów dopłynęłoby do nowojorskiego portu w niecałą godzinę. Sylwetki mężczyzn w czarnych dopasowanych płaszczach odcinały się na tle bieli. Zerwał się lodowaty wiatr, a pani Nightingale stanęła w drzwiach, by dać im znać, że obiad już czeka.

Na stole były orzechy, winogrona i pieczeń wołowa, na widok której ślinka pociekłaby nawet wegetarianom. Kate zmieniła strój podróżny na ładną zimową suknię w szkocką kratę. Jej zwykle blade policzki zaróżowiły się tak żywo, że wyglądała jak mała dziewczynka.

Kiedy zasiedli do stołu, lokaj nalał im wina, którego bukiet wypełnił jadalnię.

– To wino z południa. Nie z Hiszpanii, ale jest smaczne – powiedział Washington i dodał, odwracając się do Kate: – Mówią, że twój mąż był nierozważny i że ponoć byliście nawet w Five Points.

– Ja nie pojechałam. Po tym, co opowiedział mi Karol, wiem, że bym tego nie zniosła – powiedziała Kate, skubiąc delikatnie winogrono.

– Powziąłem odpowiednie kroki, towarzyszyło mi dwóch policjantów – bronił się oskarżany.

– Karolu, w tej dzielnicy nawet w towarzystwie wojska nie jest się bezpiecznym – powiedział Washington, krzyżując ramiona. – I to nie tylko ze względu na przestępczość. Do portu zawijają często statki poddane kwarantannie. Kiedy jedni wyciągają z ich wnętrza dziesiątki trumien, inni szabrują. Niektóre gangi porywają statki wpływające do portu.

Karol widział, jak zaróżowione policzki jego żony bledną. Takie komentarze mi nie pomogą – pomyślał. Włożył dłoń do kieszeni, gdzie schował tajemniczy list, zapraszający go do odwiedzenia Wyspy Blackwella.

Tymczasem Washington kontynuował swój wzbudzający strach wywód, którym najwyraźniej chciał przerazić żonę Karola na tyle, by wybiła mężowi z głowy lekkomyślność.

– Zabójstwa są na porządku dziennym – mówił z zapałem – rodowici anglosascy Amerykanie zwalczają napływowych katolickich Irlandczyków... a jakby tego było mało, brukowce robią im reklamę.

– A co wiesz o Wyspie Blackwella? – Karol upił łyk wina i przez chwilę trzymał je w ustach.

Zapadła cisza. Nawet lokaj wydawał się nieswój.

– Chyba nie wybierasz się tam na wycieczkę! – Washington patrzył na niego

zdziwiony.

– Na wycieczkę, nie. – Uniósł kieliszek do ust. – Chciałbym odwiedzić instytucje dobroczynne. Poza tym nabrałem ochoty, by zobaczyć Wyspę, po twoich opowieściach o piratach.

– Mam nadzieję, że żartujesz. – Dał znak lokajowi, który skłonił głowę i opuścił jadalnię.

– Nie żartuję. – Odstawił kieliszek. Spojrzał na Washingtona, a następnie zerknął na Kate. – Wiem, że aby ją odwiedzić, potrzebne jest specjalne pozwolenie. A ty możesz je załatwić. Kate zostałaby tu na tydzień lub dwa, a ja zrobię, co mam do zrobienia.

– Tydzień lub dwa? – zdziwił się Amerykanin.

– Ależ Karolu... – zaprotestowała Kate.

– Najwyżej dwa – poprawił się Anglik.

Kate zrezygnowała z dalszej rozmowy – natychmiast rozpoznawała to spojrzenie, które oznaczało, że jej mąż wbił sobie coś do głowy.

– Wyspa Blackwella już dawno nie jest miejscem z bajki – powiedział Washington, upuszczając łyżkę na talerz. – To żaden raj. To miejsce, z którego skazańcy nie wracają. Nie znajdziesz tam nic poza zgryzotą i rozpaczą. Nieuleczalnie chorzy, szaleńcy bez szans na wyleczenie, najbiedniejsi z biednych i sieroty, których nikt nie chce – mówił stanowczym tonem, a oczy Anglika błyszczały. – To nowojorskie wysypisko ludzkich śmieci. Wszystko, na co społeczeństwo nie może nawet patrzeć, jest właśnie tam. To nie miejsce dla kogoś takiego jak ty. Na Boga! Co chcesz tam robić przez dwa tygodnie? Chociaż, kiedy teraz o tym myślę... to tak, jakbyś szukał inspiracji na tej wyspie. – Ironicznie zmarszczył nos. – Powinni nazwać ją Wyspą Dickensa. Zaproponuję to w Kongresie.

– Zrobisz to?

– Pytasz, czy proponuję zmianę nazwy w Kongresie? Oczywiście, najlepiej jutro. Nie doceniłem pańskiej próżności, panie Dickens!

Washington prychnął. Karol przyglądał się mu wyczekująco. Nowojorskie wysypisko ludzkich śmieci – powtarzał w myślach. Washington połknął całe winogrono.

– Zgoda. Napiszę do kilku znajomych. Jedź na Wyspę, a po powrocie opowiesz mi, jak było. Ekstrawagancki i uparty Anglik. Taki właśnie jesteś, wiesz?

Karol położył dłoń na dłoni Kate, ale ona wysunęła swoją i zamarła bez ruchu ze wzrokiem wbitym w kominek. Uśmiechnięty Washington skupiał się na dźwięku łyżki uderzającej o talerz. Na jego twarzy malowało się coś na kształt podziwu. Koniec końców to on z pamięci recytował teorię indywidualizmu. Musiał być konsekwentny.

Karol pedantycznie odkroił kawałek mięsa. Musiał podążyć za śladem

zostawionym przez list. Pojedzie na Wyspę, tym bardziej po tym, co właśnie powiedział Washington. Być może Kate miała rację – tworzył światy, żeby móc je kontrolować. Po raz pierwszy mógł dać się porwać nieznanemu.

Zauważył, że Washington podnosi wzrok znad talerza i puszcza do niego oko. Podziwiał go. Miał przed sobą jednego z najslynniejszych pisarzy swoich czasów. Kogoś, kto zdołał sprawić, by mieszkańców jego miasta, na cześć bohatera jednej z jego książek, nazywano Knickerboxers. Ale przede wszystkim był jego przyjacielem.

Tej samej nocy, ostatniej spędzonej razem, kiedy Washington potwierdził, że postanowił żyć sam, zapytał go bez namysłu: „Umrzeć też chcesz sam?”. Nie odpowiedział mu, a Karol pożałował zbytnej śmiałości wywołanej przez alkohol. A kiedy siedemnaście lat później usłyszał, że w przemierzającym Manhattan orszaku żałobnym uczestniczyło sto pięćdziesiąt powozów i ponad tysiąc osób, Washington stanął przed jego oczami w romantycznym raju Sunnyside, przy kominku, nalewający wino wszystkim swoim przyjaciołom, którzy przez lata przewinęli się przez jego dom. Otoczony pamiątkami z podróży i książkami niczym podróżnik, który spełnił swój obowiązek wobec Historii. Wiecznie gładzący pierścionek połyskujący na małym palcu.

*Wyspa Blackwella, 1842 r.*  
*Dzień 1*

List.

Ten list...

Więzienna łódź wpłynęła w opary niczym w Styks. Mgła szybko rozmyła paski na strojach więźniów. Wyciszyła lamentsy skazańców. Pozwolenie dostarczono do domu Washingtona rano, a po południu Karol był już gotowy do drogi. Kate nie mogła zrozumieć, skąd taki pośpiech. Oczywiście nie zdradził jej, co tak naprawdę go do tego skłoniło. Nie powiedział o swojej nowej obsesji, o tych kilku anonimowych linijkach, przez które nie mógł zasnąć. Uznałaby to za dziecinadę. Nie przyznał też, że tak naprawdę uciekał. Nie chciał wraz z nią uczestniczyć w szalonym życiu towarzyskim, jakie prowadzili ich nowojorscy amfitrioni. Czyste szaleństwo. Zamiast tego udawał się na Wyspę Blackwella! Nie mógł zabrać nic ponad małą torbę z ubraniami. Miano ją przeszukać. Kategorycznie zakazane były brzytwy, nożyczki czy inne ostre narzędzia. Strażnik, który jedynym okiem – drugie miał przesłonięte opaską – sprawdził jego pozwolenie wstępu na Wyspę, uważnie spojrzął na gęsie pióro, którym Karol zwykł pisać. Najwyraźniej wydało mu się zbyt ostre. Z drugiej strony zignorował butelkę brandy, którą Dickens dostał w prezencie od Washingtona – na wszelki wypadek, gdyby przebywając w takim miejscu, musiał się pilnie napić.

Kufer podróżny Karol postanowił zostawić w Sunnyside, gdzie Kate miała spędzić kolejne czternaście dni w towarzystwie kuzynki Washingtona. Kiedy żegnał się z nowojorczykiem, poczuł, że przyjaciela w głębi duszy kłuje zazdrość i pisarska ciekawość. Nie mógł ich uniknąć, choć słowa Washingtona były roztropne. A przecież nie wiedział nawet o istnieniu tajemniczego listu.

Kate tylko poprosiła męża, żeby podczas pobytu na Wyspie napisał do niej przynajmniej raz. Wydawała się zadowolona, że będzie mogła uczestniczyć w kolacjach i potańcówkach, które Karola męczyły coraz bardziej.

Nagle przypomniał sobie słowa, które Washington wypowiedział poprzedniego wieczoru: prądy w rzece East River były tak silne, że nie było potrzeby trzymać tych biednych dusz pod kluczem. Plażą spacerowali szaleńcy, więźniowie, sieroty oraz porzuceni i bezdomni. Każdy, kto próbował uciec

z Wyspy, kończył w oceanie.

Pomiędzy morzem mgły dostrzegł ciemne kształty, w które zamienili się pasażerowie łodzi. Widział, jak wysiadali z Czarnej Marii – makabrycznego powozu bez okien, który przewozi więźniów i chorych ze szpitali, sądów i więzień Manhattanu na pomost. Kilkoro dzieci, jedna staruszka, żebracy i skuci kajdanami więźniowie... Wszyscy zmienili się teraz w szarawe kształty bez twarzy, kulące się przed przeznaczeniem.

Przed wejściem na pokład podszedł do niego dziennikarz z „New York Timesa”. Na Boga! Chowają się chyba pod kamieniami! Nie zdziwiłby się, gdyby jakiś dziennikarz rzucił się w pław przez rzekę, żeby przeprowadzić z nim wywiad. „Seymour Friedman”, powiedział, wyciągając dłoń. „Miło pana poznać”. Był to mężczyzna niewysokiego wzrostu, schowany pod czapką w kratkę. Miał zajęczą wargę, która nadawała jego twarzy przebiegły uśmiech. Wyrażał się tak górnolotnie, że wszystko wydawało się i pilne, i ważne. W ułamek sekundy wyjaśnił, że chciałby mu zrobić serię zdjęć do reportażu o jego zainteresowaniach filantropijnych i społecznych. Wydawał się bardzo zaintrygowany wyprawą na Wyspę Blackwella. Dickens zmarszczył brwi. Nie było mu to na rękę, jeżeli miał rozwikłać tajemnicę listu. Poza tym ktokolwiek go napisał, najwyraźniej miał powody do zachowania dyskrecji. Aby zagwarantować milczenie, obiecał fotografowi, że pozwoli mu na zrobienie portretu na Wyspie, ale dopiero po upływie czternastu dni, gdy wykona „swoje zadanie”. Fotograf wydawał się podniecony ofertą na wyłączność i zanotował mu swoje nazwisko i adres na kartce. Karolowi wydawało się, że Friedman lada moment zacznie się ślinić. Powtarzał, że to dla niego niezwykle ważne, że dzięki temu przyniesie do domu więcej pieniędzy, rozumie pan, że ciągle haruję... chociaż jego Dora wolałaby, żeby dał jej dziecko, rozumie pan, ale nic z tego, spali razem i to często, a od pięciu lat ciągle nic, ale... wszystko w swoim czasie, prawda? Mówił jak nakręcony, a żegnając się, dotknął palcem daszku czapki.

Karola do szału doprowadzali ludzie, którzy zakładali, że taki słowotok można zrozumieć. O co chodzi? Sądził, że go rozumie! Na miłość boską! Przecież mówi po angielsku! Z tym że ten był jak lokomotywa, która postanowiła rozjechać język i okaleczyć wszystkie końcówki.

\*

Uderzenie zimnego powietrza wyrwało go z rozmyślań. Każde pociągnięcie wioseł wycinało okrąg we mgle. Karol wpadł w hipnotyczny trans. Z każdym metrem zdawał się być bliżej wymyślonemu świata i dalej od rzeczywistości. Nie mógł się oprzeć, kiedy na myśl przyszło mu jedno z opowiadań Irvinga. Szczególnie gdy zobaczył przepaskę, którą strażnik zasłaniał lewe oko. Teraz wydawała się lewitować w chmurach. Znalazł się w świecie dziecięcych



wspomnień swojego przyjaciela. Znał każde napisane przez niego słowo, a teraz zaczął rozpoznawać opisany krajobraz: „Biedna Łódź, która wypłynie na te wody”, pisał Irving w swoim opowiadaniu. Podniecony, przypomniał sobie akapit o chłopcu, który idzie na wagary, żeby udać się w miejsce, gdzie można zobaczyć statek zepchnięty przez wiry na skały. „Mówili, że to resztki pirackiego okrętu, który brał udział w krwawych wyprawach – opowiadał. – Podczas odpływu było widać sporą część porytego algami kadłuba, który wyglądał jak szkielet potężnego morskiego potwora. Ostał się też jeden z masztów. Zwisaly z niego nędzne reje i boczki, które tańczyły, kołysane wiatrem, i śpiewały, łącząc się z głosami albatrosów krążących nad smutnym szkieletem”. Marynarze opowiadali, że nocą ukazywały się tu zjawy o łysych czaszkach i fosforyzujących oczodołach.

Z lewej strony dobiegł Karola szczęk metalu.

Był tam. Z wody wynurzał się złamany maszt, który upewnił go, że wkracza do krainy fantazji.

\*

Gdy wreszcie mgła rozstała się niczym zwiewna kurtyna opery, jego oczom ukazała się Wyspa. Podróżujące razem z nim kłęby łachmanów podnosiły się powoli, by na nią spojrzeć. Padające z północy światło latarni raz po raz omiało ich głowy. Wydała mu się okiem ogromnego morskiego cyklopa. Przez potężne gotyckie budynki z szarego kamienia Wyspa wyglądała jeszcze upiorniej. Ziąb był tak przejmujący, że życie tu wydawało się niemożliwe. Dopływając do południowego wybrzeża, kilkakrotnie się zatrzymali. Pierwszym przystankiem było więzienie. Dochodziły z niego głucho uderzenia kilofów więźniów pracujących w kamieniołomie. Zobaczył, jak ubrani w pasiaki wolno spacerują plażą. Potem zakład poprawczy, przytułek, i tak jeden po drugim przymusowi pasażerowie opuszczali łódź. Strażnik rzucił mu chrapliwym głosem, żeby nie wstawał aż do ostatniego przystanku, do zakładu dla psychicznie chorych tuż obok latarni. Za zakładem znajdował się dom pielęgniarek i lekarzy, w którym miano go przyjąć. Takie odwiedziny nie były częste, musieli więc improwizować – powiedział strażnik, zionąc tanim alkoholem. Wydawało się, że mrugnął skrytym za przepaską okiem.

W końcu ostatni przystanek. Jedyne, z którego nie było widać żadnego budynku. Trap uniósł się za plecami Karola, a on stał na lądzie tak skołowany jak reszta pasażerów, aż do momentu, kiedy kobiecy głos z delikatnym irlandzkim akcentem na chwilę przeniósł go do domu:

– Witam, panie Dickens. Znalazł się pan w jednej ze swoich powieści.

\*

Anne Radcliffe, jak się przedstawiła, była pielęgniarzką w zakładzie dla

oblakanych na Wyspie Blackwella. Ale zajmowała się także kwaterowaniem przybywających na Wyspę medyków oraz towarzyszyła nieczęsto ją odwiedzającym przedstawicielom władz. Miała dwadzieścia lat, wyraz twarzy równie sztywny jak plecy, blond włosy okalające jej twarz drobnymi lokami, które wyglądały anielsko, co z kolei kontrastowało z jej wysoką posturą, niskim głosem i małymi, pełnymi i popękanymi od zimna wargami. Była atrakcyjna w intrygujący i mitologiczny sposób. Spoglądała nad wyraz śmiało małymi oczyma koloru zimowej rzeki, szarymi i błyszczącymi, o niedowierzającym spojrzeniu. Niemal przezroczysta skóra zaczerwieniła się na nosie, a mróz wyszczytał jej policzki. Była bardzo szczupła, przez co wydawała się jeszcze wyższa. Poruszała się szybko i zwinnie. Bez wątpienia była niezwykłą osobką, która bez skrępowania poinformowała go, że jego przyjazd na Wyspę nie spodobał się jej zarządcom, chociaż ona sama uważała, że to żaden problem, prawda? Powiedziała mu, że na pewno rozumie, że w sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie Nowy Jork, lepiej nie stracić pracy. Potem przeprosiła go w imieniu dyrektora zakładu, pana Scraugha, który przez kilka dni będzie nieobecny. Wizyta pisarza była zaskoczeniem, ale dyrektor przyjmie go zaraz po powrocie. Ordynator, pan Angelopoulos, jeszcze nie wrócił z weekendu, ale chętnie odpowie na jego pytania o zakład i zaprasza go, by zjadł z nim jutro śniadanie. Gdyby przez kolejne czternaście dni czegoś potrzebował, to powinien się zgłosić do niej. Zapozna go też z zasadami, których należy przestrzegać.

– Panie Dickens, musi pan zrozumieć, że to miejsce odosobnienia – dodała na koniec tyrady, kiedy powóz toczył się nieutwardzoną drogą. – Mamy tu bardzo surowe zasady nawet odnośnie do rzeczy, które mogą wydać się panu błahe.

– Czy jedna z nich to zakaz uśmiechania się? – zapytał.

Chociaż nie osiągnął zamierzonego celu, Anna spojrzała na niego z takim zaskoczeniem, że atmosfera na chwilę się ociepliła.

Wysiedli z powozu tuż przed bramą zakładu. Był to masywny budynek z kamienia, z dziesiątkami okien. Wydawał się wyciągnięty z powieści o duchach. W środku znajdowała się szeroka ośmiokątna wieża, w połowie spowita mgłą. Anna Radcliffe zniknęła w jej wnętrzu, by wziąć klucze do pokoju, który dla niego przygotowano. Karol obszedł budynek dookoła. Po obu stronach wieży znajdowały się czteropiętrowe skrzydła. Na zewnątrz nie było żywej duszy. Pomimo tego czuł się obserwowany. Postanowił umilić sobie oczekiwanie spacerem na plażę. Wiatr rozwiał mgłę, a zmierzch zaczął malować niebo zimnymi kolorami.

Nowy Jork zdawał się być teraz bardzo daleko. Na drugim brzegu zapalały się wątle światła gazowych latarni. Oświetlały miasto, którego obraz odbijał się w wodzie niczym płynne marzenie.

Nagle, już na plaży, dostrzegł coś, co poruszyło go do głębi.

Na piasku stała kobieta, szczupła i nadzwyczaj wysoka. Bosa, wspięła się na

palce, jak gdyby próbowała dostrzec coś na wodzie. Była ubrana w niezliczone warstwy jasnych ubrań, które wyglądały jak niechlujna i potargana tunika. Jej długie rude włosy sprawiały, że cała sylwetka falowała. Zdawała się ostrzegać żeglarzy przed dziwnymi prawami rządzącymi Wyspą. Karolowi wydała się wychudłą wersją pięknego maszkarona dziobowego.

– Widzę, że już pan poznał pannę Lili – krzyknęła za jego plecami Anne Radcliffe, próbując przebić się przez wiatr.

Kobieta, która najwyraźniej usłyszała swoje imię, spoglądała na nich uśmiechnięta i tak spokojna, jakby żadna burza nie mogła zniszczyć spokoju jej duszy. Podeszła do nich tak blisko, że Karol poczuł zapach wilgotnej odzieży kogoś, kto właśnie wynurzył się z głębi oceanu. Przyglądała im się przez chwilę, a potem ujęła dłonie pisarza. Jej oczy były zielone i niewyspane, poprzecinane czerwonymi żyłkami. Głos miała piskliwy jak jakieś morskie stworzenie. Ekstrawagancka nimfa morska powiedziała:

– Znowu jest. Widzicie ją? – Zaniósła się zmęczonym śmiechem. – Wielka Biała Dama. Szła po wodzie, wyszła z oceanu, o tam. Ale teraz miasto mi ją zasłania.

Ponownie wspięła się na palce. Spojrzała na południe, jakby w ten sposób mogła ominąć Manhattan i dojrzeć horyzont. Słuchali, jak po raz kolejny opowiada o zjawie ze szczegółami godnymi doświadczonego narratora, którego talent czy też choroba pozwala zobaczyć to, czego inni nie widzą.

## *Dzień 2*

Następnego dnia wcześniej rano obudził go deszcz mocno uderzający o szybę. Potem dobiegł go dziwny i przenikliwy dźwięk dzwonu. Pomyślał, że dochodzi z onirycznego świata.

Nie mógł ponownie usnąć. Zaszło mu w gardle. Ale tak naprawdę w spaniu przeszkadzało mu rozniecone poczucie przygody, które sprawia, że nie wiesz ani gdzie, ani po co jesteś. Czuł się tak po raz pierwszy. Dał się ponieść wydarzeniom. Pokój był skromny, ale wygodny. Stały w nim tylko jedno łóżko, mały stół z krzesłem, na którym zeszłej nocy położył starannie rozprostowane spodnie, koszulę i surdut. Na podłodze leżała nadal otwarta torba podróżna. W środku były cztery zmiany odzieży, butelka podarowana przez Irvinga i uszkodzony kompas, który po raz pierwszy wskazywał północ. Na ścianach wisiały podniszczone lustro i dwie ryciny Wyspy, a obok stała nieco wgnieciona, biała miednica, do której wrzucono kostkę szarego mydła. W nogach łóżka znajdował się jeden z tych nieprzerwanie dymiących piecyków, które tak bardzo upodobali sobie Amerykanie.

W ołowianym półmroku poranka, po raz kolejny przeczytał list, próbując znaleźć coś między wierszami. Nie ulegało wątpliwości, że ktokolwiek go napisał, musiał być zdesperowany, skoro zdecydował się zwrócić w ten sposób do kogoś, kogo nie znał. Dlatego Karol poprosił Anne Radcliffe, by dzisiejszego ranka zwiedzili całą wyspę. Jeżeli autor listu nie mógł wyjawić swojej tożsamości, to zakładał, że w jakimś momencie i w jakiś sposób spotkają się.

Zaczął czytać od początku: pisze, że zwraca się do niego, ponieważ słynie ze „wspierania szczytnych idei”. O jaką ideę może chodzić tym razem? Karol wyciągnął się na łóżku. Musiał ściągnąć koszulę nocną i światło poranka skąpało jego nagi, spocony tors. Podeszedł do lustra. Spojrzało na niego jego własne, pokryte rdzą odbicie. Pomyślał, że czas obchodzi się z nim łagodnie. W wieku trzydziestu lat nadal zachował atletyczną sylwetkę, chociaż literatura i prozowane kolacje mogły jej wkrótce zaszkodzić. Postanowił zrobić kilka przysiadów. „Każda wyspa skrywa jakąś tajemnicę lub ukryty skarb. Na tej znajdzie Pan jedno i drugie”, powiedział na głos. To mogłoby być zakończenie rozdziału powieści w odcinkach. Trzeba przyznać, że list jest dobrze napisany, a jego autor wiedział, jak zarzucić przynętę. Podniósł się i podeszedł do okna. Przez gęstą jak żelatyna

kurtynę deszczu dostrzegł rzekę i nieustannie poruszające się światło latarni w północnej części wyspy. Bez dwóch zdań, to miejsce wyglądało, jakby skrywało jakąś tajemnicę, ale... Jakiż to skarb mogła skrywać Wyspa Blackwella?

\*

Schodząc po schodach, zatrzymał się na wysokości drugiego piętra. Jego noga zawisła w powietrzu. Znowu ten dźwięk. Dzwon. Karol uniósł głowę niczym kot. Przenikliwy dźwięk zdawał się dochodzić z wnętrza Wyspy. Pękata młoda pielęgniarka – wyglądająca jak rogalik w czepku – zawołała go po nazwisku i poprosiła, żeby przeszedł z nią do jadalni.

– Czy to dźwięk dzwonu? – zapytał, nie ruszając się z miejsca.

Potaknęła wyraźnie zdenerwowana i spuściła wzrok. Miała błyszczące powieki oraz idealnie gładkie i zaróżowione policzki, jakby ze świeżo wypalanej porcelany.

– To dzwon z kaplicy Świętego Nelsona – wyjaśniła zmęczonym głosem. – Dziś niedziela, więc przyjeżdża kaznodzieja.

– Święty Nelson? – zdziwił się. – A cóż to za święty?

Pielęgniarka skupiła się na wbijaniu wzroku w zakładkę spódnicy, jeszcze bardziej kuląc się w sobie.

Kiedy weszli do jadalni, Karol poczuł się jak w gołębniku. Przyglądała mu się chichocząca nerwowo trzydziestka dziewczyn w nienagannej bieli. Ucieszył się, gdy odkrył, że jest herbata i owsianka. Zamówił obie, usiadł pod oknem i wyciągnął notes, wiedząc, że obserwuje go trzydzieści par oczu, których właścicielki szeptały między sobą.

Nie bez powodu.

W trakcie nocnych dyżurów pielęgniarki zwykły czytać sobie na głos przez całą noc. A *Oliver Twist* czy *Magazyn osobliwości* były ich ulubionymi lekturami. Każda z tych dziewcząt niejedną raz tuliła portret słynnego na cały świat angielskiego dżentelmena, o którym w ostatnich dniach rozpisywały się wszystkie gazety, a który teraz romantycznym wzrokiem spoglądał na deszcz za oknem. Zachwycaly się tym, jak się nosił, jego elegancją, nienaganną kamizelką. Poza tym był bardzo przystojny i miał taki męski głos. Zastanawiały się, dlaczego przyjechał bez żony. Przecież „New York Herald” podawał, że podróżowali razem. W końcu jedna z nich, Włoszka o kasztanowych lokach, ruszyła w jego stronę, klucząc tak, jakby chciała białą spódnicą zamieść całą jadalnię. Do piersi przyciskała książkę, która przeszła przez tyle rąk. Z miną uczennicy powiedziała:

– Panie Dickens – Karol spojrział w jej brązowe, iskrzące oczy – czy mógłby pan podpisać ją dla mnie? Spędziłam z panem wiele bezsennych nocy. To znaczy, chciałam powiedzieć, z książką.

Rozległ się podekscytowany szmer wielu głosów.

– No cóż – powiedział. – Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej niż wspomnienie tych bezsensownych nocy.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego, przygryzając wargę. Karol skupił się na dedykacji. Jeżeli coś szczególnie zwróciło jego uwagę, to na pewno czar nowojorskich kobiet. Mieszanina tak wielu nacji zrodziła ogólne i zróżnicowane piękno, które w połączeniu z niespotykaną w Londynie swobodą czyniło je jeszcze bardziej atrakcyjnymi. Musiał przyznać, że pielęgniarka stojąca przed nim będzie nie lada wyzwaniem dla jego silnej woli. Pozostałe dziewczęta zdały sobie sprawę ze sprytnego posunięcia Włoszki. Wstały i początkowo jedna po drugiej, a w końcu wszystkie naraz domagały się, by w dedykacji uwzględnił także ich imiona. Gwałtownie rozgonił je głos, który przywiódł Karolowi na myśl skrzywienie drzwi.

Ich przyszłe wcielenie, starsza pielęgniarka, podeszła do niego, rozwiewając wszystkie fantazje, i podała mu dłoń.

– Proszę wybaczyć tę niestosowną wesołość, panie Dickens. Panna Grady, przełożona pielęgniarek.

Kobieta, która przedstawiła się w ten sposób, była ubrana tak samo jak pozostałe pielęgniarki. Miała około sześćdziesięciu lat, gruby szary kok, pomarszczoną twarz żółwia i ręce drwała. W chwilach takich jak ta chętnie zamieniłby swoją wyobraźnię na jakikolwiek inny talent. Nie wiedząc czemu, wyobraził sobie tę kobietę nocą, rozpuszczającą dywan włosów na jego ciało... Przetarł oczy. Panna Grady miała gęste brwi. Część włosów zdawała się wychodzić jej z nosa, a inne wystawały z czarnego pieprzyka, pełzającego po szyi niczym pająk. Zmarszczone wargi i zmrużone oczy nadawały jej twarzy wyraz wiecznego niezadowolenia, teraz kontrastującego z uśmiechem, który najbardziej go niepokoił. Jak się przekonał nieco później, gdy coś mówiła, miała w zwyczaju zginać rękę na wysokości piersi i zaciskać pięść wokół krzyża, który nosiła zawieszony na szyi. Sprawiała przez to wrażenie, jakby lada moment miała odprawić egzorcyzmy nad swoim rozmówcą. Karol zwrócił uwagę na poddańcze i przestraszone miny malujące się na twarzach dotychczas rozbawionych dziewcząt.

– Panna Radcliffe jeszcze po pana nie zesłała? – zapytała, a skrzywienie jej głosu przenikało powietrze niczym nieproszona wilgoć ściany. Stojąca obok Luciana uśmiechnęła się złośliwie.

Spojrzał na zegarek. Wskazywał ósmą dwadzieścia dziewięć. Była spóźniona piętnaście minut. „Ma szczęście, że pan Scraugh jest nieobecny”, syknęła, a pozostałe dziewczęta wzdrygnęły się na dźwięk nazwiska. „A właśnie, prosił, żeby przeprosić pana w jego imieniu”, ciągnęła pielęgniarka. Kierownictwo Wyspy zostało wezwane przez burmistrza. Bardzo to dogodne, pomyślał Karol. Dyrektor miał wrócić pierwszy i przyjąć go natychmiast po powrocie.

I wtedy zobaczył przez okno pannę Radcliffe wbiegającą po schodach, skrytą

pod dużym parasolem.

– Powiedziała, że przyjdzie po mnie o... ósmej trzydzieści. – Zmęczona Anne Radcliffe weszła do jadalni. – Oto i ona!

– Przepraszam, panno Grady, to niedopuszczalne – wytłumaczyła się.

– Nie szkodzi, kochana, nie szkodzi – pospieszył z odpowiedzią. – Dwudziestosekundowe opóźnienie w żaden sposób nie umniejszyło pani doskonałej brytyjskiej punktualności.

Karol podał jej ramię. Wsunęła pod nie dłoń, zdezorientowana, i razem wyszli z jadalni odprowadzani zazdrosnym wzrokiem jej koleżanek. Panna Grady przymknęła oczy i podeszła do Włoszki.

– Masz ich nie spuszczać z oczu, rozumiesz? – warknęła. Luciana zwilżyła wargi. Panna Grady mogła być pewna, że to zadanie będzie wykonane z przyjemnością.

Na zewnątrz Anne poprosiła, by chwilę zaczekał. Zdziwiony Karol patrzył, jak pielęgniarka wchodzi do biura koło drzwi wyjściowych, zbliża się do zegara ściennego, otwiera szklane drzwiczki i popycha wskazówkę godzinową.

\*

Szli jakieś dziesięć minut w deszczu, trzymając się pod ramię. Ścieżka prowadziła w dół, na południe, tuż przy linii wody. Omijali śliski mech i martwe ryby. Anne była cicha – zdawało się, że nie spała zbyt długo. Jej zadarty nos zaczerwienił się od zimna, jakby przysła gdzieś z daleka. Cesała się zapewne w pośpiechu, bo spod czepka wymykały się loki, które wskazywały na długie włosy.

– Wydaje się pani zmęczona – powiedział Karol. – Mam nadzieję, że moja wizyta nie przysparza pani problemów.

Anne wytarła nos chusteczką.

– Nie będę ukrywać, że denerwuję się bardziej niż zwykle – przyznała.

– Bardzo mi przykro.

Spojrzała mu w oczy i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Dziękuję za to w jadalni. Poznał pan pannę Grady. Lepiej jej nie złościć.

– Tak mi się właśnie wydawało – odpowiedział. – A pan Scr...

– Scraugh, tak. Jego tym bardziej.

– Czym się zajmuje?

Anne spojrzała na niego bezbrinnie.

– Jest dyrektorem zakładu psychiatrycznego.

Szli przez chwilę w milczeniu. Ścieżkę eskortowały nagie drzewa, przypominające gigantyczne szkielety. Ptaki spały w swoich kryjówkach.

– Na pańskim pozwoleniu napisano, że chce pan odwiedzić wszystkie ośrodki na Wyspie. – Podniosła wzrok. – Mogę zapytać, co pana tu przywiodło?

Nikt nigdy tu nie przyjeżdża.

– Droga Anne, to tajemnica. Zrujnowałbym pani przyjemność odkrywania tej opowieści...

– Przepraszam za swoją impertynencję – ucięła.

– Och, nie, nie, nie... – przeprosił. – Żartowałem. Ja... jako pisarz czuję się odpowiedzialny. Lubię pokazywać to, czego ludzie nie widzą. A większość z nich nie wie, w jakich warunkach żyją biedacy i dlaczego kończą w miejscach takich jak to.

– Ale dlaczego Wyspa Blackwella? Mieszka pan na drugim końcu świata.

– To, że takie miejsca istnieją, jest porażką nas wszystkich.

Wydawało się, że zaniepokoiła ją ta odpowiedź.

Co lub kto ściągnął go w to miejsce, było dla niego tajemnicą. Powodem, dla którego podczas swoich zagranicznych podróży zawsze odwiedzał więzienia czy sierocińce, były ich najlepiej strzeżone tajemnice. Stojąc przed wejściem do więzienia, w deszczu, przypomniał sobie siebie, dwunastolatka odwiedzającego ojca w więzieniu dla dłużników Marshalsea. To było bolesne wspomnienie, a mimo to – jakże cyniczny wybrał sobie zawód – skorzystał z niego podczas pisania *Małej Dorrit*. Dlaczego nie potrafił odciąć się od przeszłości? Dlaczego nieustannie odtwarzał ją w powieściach? Być może część krytyków miała rację, mówiąc, że nie należy wykorzystywać powieści do pertraktacji z własnymi demonami. Ale co mógł poradzić, kiedy prawdę można wyznać jedynie w swoich książkach?

Anne pożegnała się z nim przed wejściem. Powiedziała, że zaczeka na niego w więzieniu dla kobiet. Do męskiego nie wolno jej było wchodzić.

\*

Dźwięk zamykanych krat, dźwięk wykolejonego życia, nie był mu obcy. Niestety. Ale zaskoczyła go silna woń mydła, jakby przed chwilą skończono myć podłogę. Jego doświadczenie wskazywało, że taki zapach nie pasował do tego typu miejsca podobnie jak radość.

Wzdłuż pierwszego korytarza znajdowało się trzysta cel – poinformował go towarzyszący mu strażnik Tytus. Kwadratowej postury, niemal tak samo wysoki jak szeroki, ze spróchniałymi zębami i z ciągnącą się od czoła po brodę blizną, dzielącą twarz na dwie części. Jakby ktoś próbował przeciąć go na pół, pomyślał Karol, idąc za nim niekończącymi się korytarzami. Domyślał się dlaczego. Połowa twarzy strażnika spoglądała na niego z dobrocią i spokojem. Tymczasem druga połowa, skutek paraliżu, marszczyła brew i spoglądała na świat z niepokojącą obojętnością. Gdyby mógł wybierać, też wolałby, żeby towarzyszyła mu jedynie ta lepsza połowa Tytusa.

Przeszli przez potężną halę. Z zewnątrz dochodził szum strumienia wody spływającej kanałami. To dlatego więźniowie nie wyszli dziś do kamieniołomu,



tłumaczył mu strażnik, drapiąc się pękiem kluczy po okrągłej, kędzierzawej głowie. Dlatego siedzą w celach. Nie powiedział mu jednak, że za grubymi murami podwórza prawie pięćdziesięciu przemokniętych i trzęsących się z zimna skazańców kręciło więziennym młynem.

Więźniów na podwórzu nie mógł zobaczyć, ale widział tych zwiniętych w kłębek na pryzkach, leżących twarzami do ściany, tych wpatrujących się w posadzkę i tych, którzy niczym znużone zwierzęta w zoo podchodzili, żeby na nich popatrzeć. Powietrze było duszące i wilgotne. Ustawiona pośrodku koza buchała dymem, a Karol zza zapachu mydła poczuł woń tysięcy zatęchłych parasoli i koszy na wpół wypranych ubrań.

Kiedy zbliżali się do wyjścia, zapytał strażnika, dokąd prowadzą wąskie schodki na końcu galerii. Tytus wahał się przez kilka sekund.

– Tam są... kolejne cele – odpowiedział, zapraszając gestem dłoni do wejścia.

– W piwnicy? – zapytał Karol, idąc w stronę mroku i schodząc jeden stopień.

Korytarz był wąski i pozbawiony wentylacji. Karola doszedł nieznośny smród uryny. Zauważył, że posadzka pokryta jest kałużami.

– Nie sądzi pan, że te cele są raczej niezdrowe? – zapytał, schodząc jeszcze jeden schodek i zakrywając usta oraz nos szalikiem.

– Owszem, ale tu trzymamy wyłącznie czarnych – wytłumaczył strażnik, zastępując mu drogę.

Karol westchnął głęboko.

– Nie wychodzą na ćwiczenia?

– Dają radę bez tego. Poza tym tu jest bardzo zimno.

Zapadła cisza. Karol nie mógł się dłużej powstrzymać:

– W Anglii, o wyznaczonej porze dnia, nawet człowiekowi skazanemu na śmierć pozwala się wyjść na powietrze i poćwiczyć.

Komentarz rozbawił Tytusa, który odpowiedział śmiechem.

– Naprawdę? Ech, ci Anglicy...

Stojąc w wejściu, z trudem dostrzegł kilku więźniów wyciągniętych na pryzkach. Na środku każdej celi leżała kupka ubrań. Poświecił lampą strażnika.

– Wcześniej mieli haczyki – wytłumaczył strażnik.

Karol zauważył, że w ścianach zostały jedynie ślady po haczykach.

Gruby czarny szczur wielkości kota wystawił drżący pyszczek z dziury pod jednym ze stopni. Strażnik zerknął na niego skonsternowany i upewnił się, że pisarz go nie zauważył. Przerażający krzyk i dzwonienie kajdan dały Tytusowi szansę kopnąć gryzonia, który pospiesznie uciekł. Strażnik zdawał się nieporuszony, ale Karolowi ścięło krew w żyłach.

Odgłosy dochodziły z celi za ich plecami.

– Proszę się nie martwić – uspokoił go Tytus. – Jest nieszkodliwy. To jedyny

z więźniów, który chce odsiedzieć więcej, niż się należy. Wyobraża pan to sobie?

– Mógłbym go poznać? – zapytał Karol.

Odwrócili się i zobaczyli młodego mężczyznę skutego kajdanami. Był bardzo chudy, włosy miał związane w koński ogon, a z rysów jego twarzy można było wyczytać przerażającą historię. Wydawało się, że płakał całymi godzinami, a może i dniami. Kiedy przeszli obok niego, więzień się uklonił.

– Pan Dickens, jestem zaszczycony – wyszeptał ku zaskoczeniu pisarza.

– Co pan powiedział? – zapytał Karol.

Ale więzień, nie spuszczać z niego oczu, opadł na pryczę. Strażnik wzruszył ramionami.

Karol stał naprzeciw więźnia, który wciąż na niego patrzył. Pisarza przeszedł dreszcz podobny do tego, kiedy podczas pisania poznawał jednego ze swoich bohaterów.

Gdy wyszli, zapytał strażnika o owego nieszczęśnika. Najwyraźniej był woźnicą. Kłopoty finansowe wpędziły go w alkohol i któregoś dnia, pijany, potrafił matkę z dzieckiem. Matka została poważnie ranna, a dziewczynka zmarła – miała przetrącony kręgosłup. Wie, co zrobił. Często wrzeszczy po nocy, bo nękają go koszmary.

– Ma jakiś kontakt ze światem zewnętrznym? Korespondencja? Ktoś go odwiedza?

– Ech... nie – odparł strażnik. – W więzieniu na Wyspie Blackwella to zabronione.

– Chce mi pan powiedzieć, że więźniowie nie otrzymują listów od rodzin? Nawet o śmierci czy narodzinach?

– Ech... nie – powtórzył. – Być może nie to chciałem powiedzieć.

Pisarz się zniecierpliwił:

– Więc co chciał pan powiedzieć?

Strażnik przełknął ślinę. Nie tak miało być. Rozpraszał go wyszukany sposób mówienia tych cholernych Anglików.

– Do czasu ukończenia kary nie otrzymują nic.

Karol ponownie pogrzyżył się w ciszy, a tymczasem strażnik trąkotał jak najęty. Takie właśnie jest więzienie na Wyspie Blackwella, mówił, unosząc dłonie. Nawet najbardziej zaprawieni w bojach strażnicy nie chcieli tu skończyć. A ci nieszczęśnicy, których pech skierował na odsiadkę w tym miejscu, byli najniebezpieczniejszymi przestępcami w całej Five Points. Żadne środki nie były przesadne w porównaniu z ich przestępstwami. Żadne! Pisarz słuchał tyrady wygłaszanej przez Tytusa, ale równocześnie w głowie prowadził monolog: pogrzebali tych ludzi żywcem, odgrzebią ich dopiero, gdy upłyną wolno płynące lata kary. Jak takie postępowanie ma ich uczynić lepszymi? Ale tamten człowiek go zafascynował, bo sam siebie pogrzebał. Nie wyglądał na kogoś umiejącego

czytać czy pisać, a jednak zawołał go po imieniu. Karol odnotował w pamięci numer jego celi: 106.

\*

Przeszli do skrzydła przeznaczonego dla kobiet, gdzie dołączyła do nich Anne. Zasepiona mina pisarza nie uszła jej uwadze. Przed nimi szła gruba, pachnąca potem strażniczka. Żelaznymi kluczami, niczym kastanietami, uderzała o poręcz schodów. Zauważył, że większość więźniarek, słysząc dźwięk kluczy, cofa się w głąb swoich cel. Zadzwonił dzwonek wzywający na posiłki i liczny zastęp strażniczek przekręcił pokaźne klucze w zamkach o precyzyjnym mechanizmie. Kobiety ustawiły się w rząd i gęsiego ruszyły na koniec długiego korytarza. Po wejściu do stołówki stanęły w dwóch rzędach. Na początku każdego pierwsza więźniarka była odpowiedzialna za rozdawanie kawałków chleba. Wyciągały je z wielkich pudeł. Nie wolno było ich napocząć przed dojściem do stołu. Stoły były długie i wąskie. Na więźniarki czekały śliwki i na każdą talerz zupy, która, jak podejrzewał Karol, już dawno wystygła. Jadły w absolutnej ciszy. Czarne oddzielone od białych, chore od zdrowych. Wychodząc, także ustawiały się w dwóch rzędach, a talerze odkładały do miednicy. Zdawały się tu panować ład i dyscyplina.

Za stołówką znajdowały się dwa pokoje do pracy. Jeden przeznaczony do szycia, a drugi do wyplatania koszyków z wikliny. Strażniczka wyjaśniła Karolowi, że w porze jedzenia są puste. Jednak kiedy wychodzili, Karolowi wydało się, że pomiędzy koszami dojrzał czyjaś twarz.

– Kto to jest? – zapytał.

Strażniczka wlepiła szeroko otwarte oczy w Anne Radcliffe, pospiesznie odpowiedziała, że nikogo tam nie ma, i zamknęła drzwi. Karol pchnął je delikatnie.

Usłyszał stukot laski, a w jego stronę, kuśtykając, ruszyła szczupła postać, która wyglądała jak wypleciona z wikliny. Był to nie więcej niż ośmioletni chłopiec, poruszający się o kulach. Do jego ud i kostek rzemieniami przytwierdzono kawałki żelaza, które usztywniały nogi chłopca i działały jak coś w rodzaju zewnętrznego szkieletu.

– Witaj, mały – powiedział pisarz, schylając się.

Chłopiec spojrział na niego z góry na dół, uśmiechnął się szeroko, ale nie powiedział ani słowa.

– To dziecko jednego z więźniów – wytłumaczyła strażniczka, kołysząc się z boku na bok. Jest tutaj... powiedzmy, że ze względów bezpieczeństwa.

– Proszę to jakoś wyjaśnić – powiedział Karol z surową miną.

– Musi zeznawać przeciwko własnemu ojcu – dodała pospiesznie strażniczka.

– Słucham?! – krzyknął Karol, wzburzony. – Uważa pani, że to odpowiednie

miejsce dla młodocianego świadka? Jak można go zmuszać do zeznawania przeciwko własnemu ojcu?

– Zatrzymano go za kradzież. Dzieciak był przy tym. Co mam panu powiedzieć? Jego własna matka wołała, żeby został tu z ojcem. Ponoć nie ma dość pieniędzy, żeby trzymać dzieciaka w domu. Dopiero co urodziła kolejnego.

Pisarz pochylił się nad chłopcem, który patrzył na niego z wyciągniętą ręką.

– To dla mnie? – zapytał.

Chłopiec włożył mu do ręki rysunek, na którym namalował siebie tuż obok czegoś w rodzaju uśmiechniętej gąsienicy. Karol doszedł do wniosku, że to nowo narodzony brat chłopca.

Podziękował mu, a kiedy się podnosił, chłopiec pociągnął go za kamizelkę.

– Proszę pana, na tej wyspie jest skarb. Wie pan o tym?

Zaskoczony Karol ponownie się pochylił.

– Mały, nie zaczepiaj pana – powiedziała Anne Radcliffe, widocznie podenerwowana.

– Nie, nie... Proszę poczekać... Lubię dzieci. – Przymknął oczy i zwrócił się do chłopca. – No proszę, prawdziwy skarb, co? Pewnie wiesz, gdzie jest?

Chłopiec uśmiechnął się porozumiewawczo, odwrócił się i opierając na kulach, pokuśtykał przez duży pokój pełen wiklinowych koszyków, aż w końcu zniknął między nimi.

Patrząc na oddalającego się, Karol przywołał własne wspomnienia z dzieciństwa, kiedy wraz z matką i rodzeństwem przenieśli się do celi ojca, w której mieszkali aż do zakończenia odbywania przez niego kary. Wszyscy z wyjątkiem Karola i jego siostry Fanny. Oni rzucili szkołę i pracowali dziesięć godzin dziennie, napełniając puszki w fabryce pasty do butów Warren's. Zarabiał tam sześć szylingów na tydzień i płacił nimi za nocleg poza więzieniem. Chłopiec i jego rysunek nie mogły dotknąć go głębiej. Jego niewspółmierny do sytuacji uśmiech nie mógł poruszyć go jeszcze bardziej. Tylko Anne Radcliffe, która oparta o framugę drzwi obserwowała zasmuconą twarz pisarza, być może przez chwilę wyczuła, jak dogłębnie rozumie on tragedię chłopca.

Pokój do szycia był ostatnim, jaki odwiedzili w więzieniu. W środku około trzydziestu pochłoniętych pracą kobiet szyło rękawiczki i kapelusze.

– Jakie przestępstwa popełniły? – ciekaw był Karol. – Większość z nich wygląda na zwyczajne pracujące kobiety.

Anne wytłumaczyła mu, że wiele z kobiet znajdujących się w pokojach pracy nie popełniło przestępstw z użyciem przemocy. Zostały zesłane na Wyspę Blackwella dla przykładu. Jednym z takich przypadków będzie w przyszłości anarchistka, Emma Goldman. Skazano ją za popieranie kontroli urodzin. Tuż obok jasnowłosej więźniarki z warkoczem oplatającym głowę siedziała starsza, zwalista kobieta, która wbijała igłę tak, jakby zakładała szwy. Madame Restell, wskazała

Anne, trafiła do więzienia za wykonywanie aborcji. Zatrzymano ją kilka miesięcy temu, po odnalezieniu ciała Mary Rogers w rzece Hudson. Gazety sugerowały, że wykrwawiła się podczas aborcji przeprowadzanej przez Restell. Nie, żeby wcześniej nie wiadano o jej praktykach, ale po raz pierwszy można było ją z nimi powiązać. Karol potarł ramiona dłońmi, próbując trochę się rozgrzać, podczas gdy spacerowali pomiędzy szwaczkami, które wydawały się zwykłymi gospodyniami czekającymi na mężów przed kominkiem.

– Czy którąkolwiek z nich skazano za użycie przemocy? – rozmyślał głośno.

Wiedział, że Radcliffe nie odpowie na jego pytanie. Był pewien, że w większości popełnione przez nie przestępstwa w ten czy inny sposób łączyły się z mówieniem. Ich głosy uciszono, izolując je za wodą. To właśnie najlepiej wychodziło starej i monarchicznej Europie, powiedział sam do siebie, idąc za Anne Radcliffe. Jedna sprawiedliwość dla wszystkich i prawdziwa wolność słowa... Przez chwilę myślał, że po drugiej stronie oceanu, w nowej i wolnej republice będzie inaczej.

Właśnie dlatego, że wymarzona wolność jeszcze się nie ziściła, Ida C. Craddock szyla rękawiczki. Jej przestępstwem było napisanie słynnego podręcznika życia małżeńskiego *Noc poślubna*, który został uznany za brudny, obsceniczny i grzeszny. W trakcie śledztwa udawała chorą psychicznie, żeby nie tkwić w więzieniu i wyjść przed terminem. Niestety taka strategia może wywoływać nieodwracalne konsekwencje – okaleczenie duszy.

Z tego powodu, zarówno Restell jak i Craddock, popełnią samobójstwo wkrótce po przyznaniu się do szaleństwa. Pierwsza podcięła sobie gardło we własnym domu na Piątej Alei. Druga po skazaniu jej na karę sześciu lat więzienia za inną książkę. Nie chciała ani przeproszać, ani ponownie udawać chorej psychicznie. Miała czterdzieści pięć lat, kiedy skazano ją na karę sześciu lat pozbawienia wolności. W jej rozumieniu było to dożywocie, dlatego odebrała sobie życie, wdychając gaz po wcześniejszym podcięciu sobie żył.

O tych kobietach Karol dowie się już w Londynie z gazet, rozpoznawszy jedną twarz i przypomniawszy sobie, jak szyla w tamtym pokoju. Przypomni też sobie, że wtedy właśnie zrozumiał, że Stany Zjednoczone musiały jeszcze dorosnąć jako naród, by wolność słowa stała się faktem. Wtedy nie mógł jednak wiedzieć, że po upływie wieku w dalszym ciągu wiele słynnych kobiet będzie skazywanych na Wyspie Blackwella. Poczynając od Mae West za sztukę *Seks* (będącą moralną zgubą młodzieży), a kończąc na Billie Holliday, która obchodziła swoje trzynaste urodziny w więzieniu, skazana razem ze swoją matką za prostytutkę. Ponoć to właśnie tam po raz pierwszy usłyszała nagrania Armstronga i Bessie Smith.

\*

Spacer na świeżym powietrzu, ramię w ramię z Anne, podbudował go.

Nawet pomimo tego, że Anne wymieniła długą listę nowych zasad, których musiał przestrzegać podczas pobytu na wyspie. Tym razem to Karol zamilkł. Minęło wiele czasu, odkąd był w tak niehumanitarnym więzieniu, o tak deprymującej atmosferze i stosującym tak okrutne metody.

Z drugiej strony zaczął się czuć nieco paranoicznie. Spotkanie z tamtym więźniem i chłopcem... Miał niejasne poczucie, że na niego czekali. Ale żaden z nich nie mógł mieć nic wspólnego z listem. Byli całkowicie odcięci od świata. Poza tym czuł, że w odwiedzonych przez niego miejscach panował narzucony ład, który go niepokoił. Zbyt cicho. Zbyt dużo mydła. Zbyt wiele zamkniętych drzwi. Anne kontynuowała wyliczanie zasad, jakby recytowała modlitwę: nie wolno mu podawać więźniom i pacjentom żadnych szczegółów ze swojego życia, imion dzieci, adresu, imion rodziców czy jakiegokolwiek szczegółu, który mógłby ich do siebie zbliżyć. Nie wolno nosić ostrych przedmiotów. Nie wolno wejść do któregoś z budynków bez zezwolenia. Nie może wynosić jedzenia na zewnątrz...

– Jest pan bardzo milczący. – Anne Radcliffe przerwała jego rozmyślenia.

Pisarz podniósł głowę. Odetchnął powietrzem ciężkim od rzecznej wilgoci.

– Nikt nie potrafi sobie wyobrazić, jak to jest być zamkniętym w takim miejscu – powiedział zamyślony. – Ale kilka rzeczy mi tu nie pasuje.

Spojrzała na niego chłodno. Jakby wołała zignorować ten komentarz.

– Nie rozumiem... – ciągnął, skubiąc rękawy dopasowanego płaszcza. To miejsce wydawało się być całkowicie i bezwzględnie zamknięte. Jakby nikt nie chciał odzyskać dla społeczeństwa tych, których tam kierowano. Ściszywszy głos, jakby zawstydzony własną naiwnością, dodał: – Być może myślałem, że tu naprawiacie błędy nadal popełniane w Europie. Blizny, jakie pobyt w tym miejscu w nich pozostawi, są niewidoczne, ale głębokie... – Pokiwał głową. Anne spuściła wzrok. – Współczuję im.

Ponownie udała, że nie zwraca na niego uwagi i przemilczała jego słowa. Kilka minut później, przemieściwszy się na północ, weszli do zakładu poprawczego. Trafiali tam niemal wszyscy kieszonkowcy z Five Points, najgorszej dzielnicy Manhattanu. Było też kilka dziewcząt, które zaczęły się prostytuować. Karol zwrócił uwagę na to, że mieszkało tam sporo czarnoskórch dzieci. Większość szczerbatych, co nie było typowe dla przedstawicieli ich rasy. No chyba że straciły zęby w jakiejś bójce. Kiedy weszli, dzieci wyplatały kosze i kapelusze z liści palmowych. Strażnicy kazali im wstać, a one z niewytłumaczalną niczym euforią zaśpiewały piosenkę o wolności, która Karolowi wydała się nieodpowiednia i okrutna w ustach młodocianych więźniów.

– Dzieci podzielone są na cztery klasy – wytłumaczyła mu Anne, kiedy śpiewały. – Zobacz pan, że na rękawach koszuli mają numery. Nowo przybyli są w czwartej klasie, najniższej. Jeżeli dobrze się zachowują, mogą piąć się w górę aż

do pierwszej.

Nieopodal kręciło się czterech strażników, na których dzieci patrzyły spode łba i którzy wydawali im polecenia. Karol zwrócił uwagę na to, że pod ubraniami nosili broń. Odwrócił się do Anne.

– W Bostonie odwiedziłem zakład poprawczy, w którym strażnicy nie nosili ani pałek, ani broni palnej. Nie sądzę, by ich potrzebowali, biorąc pod uwagę to, jak świetnie zarządzany jest ośrodek. – Pokiwał głową. – Mógłbym porozmawiać z którymś z nauczycieli?

– Nie mamy tu nauczycieli – odpowiedziała i spięta spojrzała na towarzyszącego im strażnika.

Kiedy byli gotowi ruszyć dalej, niemal stratowali stojącą przed nimi niewielkich rozmiarów istotę. Karol nigdy dotąd nie widział tak niezwykłego stwora. Sięgał mu mniej więcej do pasa, nie był karłem, ale też nie był dzieckiem. Wydawał się dorosłym, który za sprawą czarów zmalał do rozmiarów dziecka. Włosy sięgały mu do ramion. Był biały, nieprzyjemną bielą albinosa, z typowymi zaczerwienionymi oczami. Ramiona miał długie i cienkie, a dłonie szczupłe o palcach dłuższych niż przeciętne.

– Mówimy na niego „Szczur” – powiedziała Anne Radcliffe. – Nie wiemy, jak ma na imię, i nie mogliśmy ustalić jego wieku. Dlatego umieszczono go w zakładzie poprawczym zamiast w więzieniu. Mówią na niego tak ze względu na wygląd... i ponieważ potrafi ulotnić się przez dowolną dziurę.

Szczur obserwował Karola nerwowymi oczami, jakby nieustannie oceniał szanse ucieczki. Potem beczelnie ziewnął szeroko, pokazując przednie zęby – długie i rzadkie.

– Jest pan Anglikiem? – powiedział tak szybko i tak piskliwym głosem, że trudno było go zrozumieć.

– Tak mi się wydaje – odpowiedział wciąż zdziwiony Karol.

Anne dała znak do wyjścia. Kiedy zostawili budynek za sobą, zobaczył Szczura jeszcze raz – jego drobna, pociągła twarz wyglądała przez kraty jednego z okien.

– Wie, kim jestem? – zapytał pielęgniarki.

Zaprzeczyła głową i otworzyła parasol.

– Przykro mi to mówić, panie Dickens, ale wątpię. To jedno z niewielu miejsc, do którego pańska sława raczej nie dotarła.

Poczuł się skrępowany jej odpowiedzią. To, co Anne zinterpretowała jako pisarską próżność, było raczej uczuciem, które trapiło go coraz bardziej. Nie wiedział, jak to możliwe, ale jedna z przebywających tu osób napisała list, który przywiódł go na tę wyspę. Tylko po co?

\*

Wracając do zakładu, wstąpili do przytułku i sierocińca. Mieściły się w budynku, którego dwa piętra otaczały przeszklone galerie. Przypominał nieco domy na północy Anglii. Jego piękno kontrastowało z wyglądem tamtejszych mieszkańców. Na zewnątrz, zakręcając wokół budynku, ciągnęła się niemająca końca kolejka trzęsących się łachmaniarzy, czekających na śniadanie. Anne wyjaśniła, że w przytułku mieszkało niemal tysiąc biedaków. Kobiety i mężczyźni oddzielnie. Karol nie potrafił rozróżnić płci chudonogich obdartusów, którzy powoli przechodzili do środka. Dom wydawał mu się słabo wietrzony, źle oświetlony i niezbyt czysty. W sypialniach prycze piętrzyły się jedna obok drugiej. Biedacy używali swojego marnego dobytku jako poduszek. Wielu z nich to staruszkowie porzuceni przez dzieci, które nie mogły się nimi zająć. Innych policja zgarnęła z pomostu, zanim przez kogokolwiek zostaliby odnalezieni. Anne pchnęła masywne drzwi. Karol rzucił się naprzód, by je otworzyć, nieomal na nią wpadając.

– Do miasta handlowego, jakim jest Nowy Jork – tłumaczyła mu Anne, podczas gdy wychodzili na zewnątrz – przyjeżdżają ludzie niemal z całego świata. Wielu z nich przybywa bez grosza przy duszy. Nie znają też języka. Dlatego nie brakuje nam biedaków, których trzeba wspierać...

Karol stał bez ruchu, przyglądając się staruszce wyraźnie różniącej się od innych. Siedziała na ganku i mamrocząc, patrzyła w niebo. Była filigranowa, miała długie czarne włosy zaplecione w dwa warkocze, które zdawały się wyrastać tuż za dużymi uszami. Wyglądała jak zrobiona z wysuszonego liścia tytoniu, a jednak nie miała ani jednego siwego włosa. Zachowała też dwa rzędy dużych i nierównych zębów. Miała wyraźnie zarysowaną szczękę, płaski nos i bardzo małe oczy. Owinęła się wełnianą chustą. Gdy szła, wydawało się, że otacza ją chmara zielonych ptaków i niebieskich kwiatów. Zgarbiony staruszek o ciemnej karnacji chodził za nią krok w krok, wsłuchując się w wydawane przez nią polecenia.

Na ziemi ułożyła linię z rzecznych otoczków, prowadzącą do suchego drzewa.

– *Cualli cemilhuatl*, panno Radcliffe – krzyknęła, idąc w stronę pielęgniarki szybkimi i drobnymi krokami.

Anne podeszła do niej z uśmiechem, który rozpromienił jej piegowatą twarz.

– Dzień dobry, Florito. Co pani robi na zewnątrz. Gotowa pani złapać zapalenie płuc! – powiedziała z wyrzutem.

– To samo jej mówię, ale nic to nie daje! Uparła się czekać na słońce, żeby zobaczyć zegar! – wymamrotał staruszek, kuśtykając do budynku.

Karol podszedł do nich.

– Panie Dickens, to jest Florita – powiedziała Anne, oplatając staruszkę długimi i szczupłymi ramionami. – Pochodzi z Meksyku. Była akuszerką.

– Witaj, *cocone*. – Staruszka miała słodki uśmiech i zmatowiałe oczy. – Mogę pana nazywać synem, prawda? Jestem tu najstarsza. Liczę sobie półtora



wieku.

Karol popatrzył na pielęgniarkę pytająco.

– W takim wypadku, proszę pozwolić mi powiedzieć, że wspaniale pani wygląda – odparł zdziwiony Karol.

– Florita posługuje się kalendarzem azteckim – wyjaśniła mu szeptem Anne Radcliffe. – A mężczyzna, który był z nią, to jeden z jej licznych kochanków.

Anne zaśmiała się. Staruszka chwyciła jej dłoń.

– Ma pani trzydzieści lat, ale... *elotamaltlapictli!* Twarda jak *tamal*. Potrzeba pani porządnego czyszczenia krwi – staruszka postawiła diagnozę.

Florita potajemnie zbudowała zegar słoneczny. Posiadała naturalną wiedzę i mądrość, co sprawiło, że została szamanką w swojej wiosce. Kiedy w zachodnim świecie zagryzano drewniany kijek, żeby znieść ból operacji, ona od dawna potrafiła stworzyć naturalne odkażacze i środki znieczulające. Dzięki własnej inteligencji opracowała metodę mierzenia czasu. Miała świadomość tego, że w miejscu takim jak to, gdzie zakazano zegarów, dokąd nie docierały żadne informacje z zewnątrz, umysły starców powoli zamierały. Ludzie tracili orientację i popadali w obłąd. Dlatego całe dni spędzała przy swoim zegarze. Odgadywała porę roku z konstelacji, z biegu rzeki czy migracji ptaków. Wszystkie te informacje oznajmiała na głos innym mieszkańcom przytułku, by uchronić ich przed demencją. „Jak dobrze, że już południe! Za niedługo będzie jedzenie!” – ogłaszała w sali, w której spędzali niekończące się godziny, siedząc na ławkach tak twardej, że od siedzenia bolały kości. Albo: „Już niedługo będzie wiosna”... Wszyscy cieszyli się, myśląc, że wkrótce skończą się mrozy.

Staruszka kręciła się wokół własnej osi z wyciągniętym do góry palcem, który od czasu do czasu śliniła. „Huragan!” – powtarzała, wirując jak bąk i rozkładając rozkloszowaną spódnicę i ręce. „Huragan!”. Jej słowa zaalarmowały pisarza. Anne uspokoiła go, tłumacząc, że to imię majańskiego boga wiatru, którego przyzywa, by zabrał mgłę.

Anne odwiedzała ją dla jej mądrości. Florita była chodzącą encyklopedią naukową. Jej wiedza i doświadczenie przydawały się często.

Karol był głęboko poruszony. Być może dlatego, że zdał sobie sprawę, że pielęgniarką nie kierowało miłosierdzie. Ceniła to, co niezwykajna staruszka miała w głowie.

Po drodze na kolejne odwiedziny Anne powiedziała mu, że pomimo uśmiechu goszącego na twarzy Meksykanki, jej historia była smutna. Kiedy przywieziono ją na Wyspę Blackwella, nie znała ani jednego słowa po angielsku. Dlatego nie mogła wytłumaczyć policjantom, którzy znaleźli ją w porcie, że przyjechała do Nowego Jorku na zaproszenie swoich dzieci, które mieszkały w mieście już od jakiegoś czasu. Pech chciał, że policjanci znaleźli ją pierwsi. A że nie potrafiła nic wytłumaczyć, wysłali ją do przytułku na Wyspę Blackwella.

Minęły cztery lata, zanim potrafiła wytłumaczyć, co się stało. Anne bardzo się starała, ale nie udało jej się odnaleźć rodziny Flority. Mogli się wyprowadzić albo trafić do więzienia. Nie wiadomo. Imigranci często przywozili rodziców ze sobą. Kiedy okazywało się, że starsi ludzie nie potrafili się przystosować, młodzi zostawiali ich w przytułkach, bo nie mieli pieniędzy, by ich odesłać w rodzinne strony. Być może nigdy się nie dowiedzą, co naprawdę przydarzyło się dzieciom Flority. Ale ona była gotowa im wybaczyć, niezależnie od tego, dlaczego zniknęli.

Kiedy dotarli do sierocińca, przestało padać. Pielęgniarki wyprowadzały dzieci na zewnątrz. Otoczyło ich stado rozwrzeszczanych dzieciaków – żaden nie miał więcej niż dziesięć lat. „Tato! Tato! To ja!” – krzyczało jedno z nich, ciągnąc go za płaszcz. Mniejsza dziewczynka skuliła się między jego nogami. „Tatusiu!” – mówiła. – „Tutaj jestem!”. Jeszcze inny – prawdziwy twardziel – prosił: „Nie patrz na nich! Jestem twoim synem. Nie widzisz, jacy jesteśmy podobni?”. Kiedy w końcu udało im się wejść do środka, Karol miał dość. Poluźnił aksamitkę przy nieskazitelnie białej koszuli i oparł się o ścianę.

Anne podeszła, zdezorientowana.

– Bardzo mi przykro, panie Dickens. Przepraszam za ich zachowanie. Nie można było tego przewidzieć... Nikt tu nigdy nie przyjeżdża... Ja... Ja nie wiem, co powiedzieć...

Pisarz odgarnął grzywkę z oczu. Pocił się pomimo chłodu. Czuł, że krew zupełnie odpłynęła mu z głowy.

– Proszę się nie martwić – odparł po chwili ciszy. – Mam małe dzieci.

W środku pachniało gotowanym mlekiem. Było zimno. Poowijaane grubą tkaniną niemowlęta piszczwały, kwiliły i wniebogłosy płakały. Leżały w rzędzie na kilku materacach. Dwie kobiety na zmianę karmiły je z butelek.

– Co to za żalony płacz? Czy tam też są dzieci – zapytał pisarz.

Skierował wzrok w stronę drzwi w głębi, które zamknęły się powoli. Za nimi dwie kolejne pielęgniarki bezskutecznie próbowały nakarmić piętnaścioro maluchów strzykawkami.

– Czekają na karmienie – opowiedziała Anne, spięta. – Czasami trochę się niecierpliwia.

Karol poprosił, żeby wyprowadziła go stamtąd.

\*

Szli w ciszy przez szeroką łąkę, która po deszczu pachniała świeżością. Poranek przechodził w popołudnie, ptaki opuściły gniazda, a Karol nie chciał się zatrzymać nawet na obiad. To, co zobaczył i przeżył, zaczynało przypominać mu okrutną kompilację z jego powieści. Tych, które już napisał, i tych, które napisze w przyszłości. Czy naprawdę sądził, że jego pisanie oprze się takiej niesprawiedliwości? Cały smutek, ból i okrucieństwo koncentrowały się na tej

wyspie, a ktoś, z nieznanego mu jeszcze powodu, chciał, żeby zobaczył to wszystko na własne oczy.

Nadeszła kolej na zakład dla psychicznie chorych. Ze wszystkich instytucji na Wyspie właśnie on budził największy strach. Tymczasem na Karolu, przynajmniej z zewnątrz, początkowo zrobił najlepsze wrażenie. Budynek był nieco fantasmagoryczny, ale piękny. Zdziwiły go szerokie i eleganckie kręcone schody, zajmujące cały ośmiokątny westybul. Patrząc w górę, miał wrażenie, że potężna spirala schodów zaczyna się kręcić niczym ogromy korkociąg, celując w kopułę, a potem w niebo. Jeżeli jakiś pacjent patrzyłby się na nie zbyt długo, mógłby mieć szalone wizje – zażartował, ale Anne jego żarty zdawały się nie bawić.

Zakład mógł przyjąć dużą liczbę pacjentów. Zaraz po wejściu Karol zorientował się, że nie stosuje się tu systemu leczenia, jaki obserwował w zakładach w Bostonie. W westybulu natknęli się na dwójkę więźniów, którzy, kiedy tylko ich zobaczyli, przyspieszyli kroku i zniknęli w głębi korytarza. Gdy zdziwiony zapytał, skąd się tam wzięli, pielęgniarka odpowiedziała mu, że jest niedziela i lekarze, a także większość pielęgniarek, dziś nie pracują, a zastępują ich właśnie więźniowie, którzy wykonują najprostsze prace.

– Najprostsze prace? – oburzył się Karol. – Toż to absurd!

Jak mogli powierzać opiekę nad chorymi osobom bez odpowiedniego przygotowania? I to w dodatku więźniom? Tak jak poprzednio, Anne ograniczyła się do przemierzania korytarza i otwierania kluczem niektórych drzwi, które potem zamykała. Znowu ten zapach. Podłogi i nieliczne meble były nadzwyczaj czyste. Gdyby chodziło o jedną z jego powieści, powiedziałaby, że to wszystko jest bardzo niespójne.

Weszli do obszernej, pustej sali. Jedyne pod ścianami stały masywne ławki. Naga rzeczywistość była przerażająca: przy ścianie stał przygnębiony mężczyzna z opuszczoną głową porośniętą długimi, rozczochranymi włosami, inny stał nieco dalej i nieustannie bełkotał, obok kobieta rozszarpywała na sobie ubranie, a oskarżycielsko wymachujący palcem mężczyzna ogłaszał koniec świata. Nieobecne spojrzenia, wściekłe twarze, kobiety i mężczyźni smutno skubiący dłonie lub wargi. W pozbawionym mebli kącie, w którym wzrok napotykał jedynie puste ściany, stała panna Lili, owinięta w kilometry jasnych ubrań. Smutna niczym porzucona w kącie miotła.

– Zachowuje się tak, ponieważ ze względu na złą pogodę nie pozwolono jej wyjść na plażę – zapewniła Anne, z czułością odgarniając rdzawe pasmo włosów z jej twarzy.

Karol przyglądał się jej obliczu, jakby uwięziony we wspomnieniach. Zirytowane zielone oczy.

– A jaka jest jej historia? – zapytał.

Anne podeszła do drzwi i upewniła się, że nikogo nie ma na korytarzu. Przewrotnie zamknęła drzwi. Według oficjalnej wersji Lili była córką przedsiębiorcy z Manhattanu, mówiła ściszym głosem. Ponoć oszalała, kiedy powiedzieli jej, że mężczyzna, którego kochała, nie żyje. Anne nie rozumiała jednak, dlaczego jej rodzina, skoro mieli pieniądze, umieściła ją w psychiatryku na Wyspie Blackwella. Niektórzy twierdzili, że to dlatego, żeby nie natknęła się na nikogo ze swojej klasy, bo było w niej coś mrocznego. Szybko dodała, że tak naprawdę to tylko plotki. Mówi się nawet, że jej ukochany w rzeczywistości wcale nie umarł...

– Wierzy w to pani? – zapytał Karol.

Anne uśmiechnęła się.

Wyraz twarzy był jej jedyną odpowiedzią. Potem zmrużyła oczy, prawie je zamykając.

Odeszli, zostawiając za sobą smutną Lili, która z uwagą przyglądała się ścianom.

W westybulu drogę przeciął im smętny, senny lekarz. Poruszał się tak niezdarne, że zdawał się nie mieć kości. Przedstawił się nazwiskiem, którego Karol za nic nie potrafił wymówić.

– Doktor Angelopoulos, ordynator. – Miękkim ruchem wyciągnął dłoń i apatycznie skłonił głowę. – To prawdziwy zaszczyt, panie Dickens.

Pisarz obserwował go z zaciekawieniem: okrągłe i nieco zabrudzone okulary, długi, garbaty tułów i niechlujstwo kogoś, kto dopiero się obudził lub spał w ubraniu.

– Pan Scraugh polecił mi pana zapytać, czy pod jego nieobecność nie uczyniłby pan nam zaszczytu i nie zechciałby pan zjeść z nami kolacji w jadalni lekarzy – dodał, ziewając.

– Obawiam się, że nie mogę przyjąć zaproszenia, panie... doktorze – przeprosił Karol. – Przywiozłem ze sobą sporo pracy i nie chciałbym panów zanudzać rozmową.

Lekarz powoli przytaknął. Sposób, w jaki patrzył, sprawiał, że Karol czuł się nieswojo.

– Pan Scraugh chciałby wiedzieć, ile czasu chce pan z nami spędzić... – Zawiesił głos. – Chce zapewnić panu odpowiednią gościnę.

– Czternaście dni. – Anne wyrwała się z odpowiedzią i speszona zrobiła krok do tyłu.

Lekarz uśmiechnął się półgębkiem i powiedział, że chętnie odpowie na każde jego pytanie o zakład. Ten Anglik nie wytrzyma tu nawet czterech dni – pomyślał, wlokąc się korytarzem.

\*

Wychodząc, natknęli się na mocno posuniętą w latach damę, teatralnie

opierającą głowę o konsolę kominka. Była ubrana w taką samą bawełnianą tunikę jak wszyscy, ale uszy i szyję przyozdobiła papierową biżuterią. We włosy wplotła tyle tasiemek i pasków materiału, że wyglądały jak ptasie gniazdo. Karolowi wydała się promienna w tych wymaginowanych kosztownościach. Zauważywszy ich, podeszła majestatycznym krokiem. Pod pachą ścisnęła zatłuszczoną gazetę, która zdaniem Anne pamiętała czasy, kiedy damę tu zamknięto. Kobieta zdjęła okulary ruchem tak delikatnym, jakby były zrobione ze złota, i dystyngowanie podała dłoń pisarzowi.

– Ta dama – powiedziała Anne niezwykle uroczyście – to pani tego domu. Posiadłość należy do niej. Jak już pan pewnie zauważył, to rozległy dom i wymaga zatrudnienia licznych służących. Proszę pani – powiedziała, zwracając się do kobiety – ten dżentelmen przyjechał z Anglii po długiej i burzliwej podróży. Panie Dickens, przedstawiam panu panią tego domu.

– Ma pan ochotę na filiżankę herbaty? – zapytała Ada, bo tak właśnie miała na imię kobieta.

Karol z przykrością odrzucił zaproszenie na niewidzialną filiżankę parującej herbaty. Staruszka z największą ostrożnością wycięła kwadracik ze starej gazety i podała go pisarzowi. Na „wizytówce” było jej nazwisko: Ada Schnell, i adres w East Side w Nowym Jorku, zapisane okrągłym i starannym pismem. „Czy zaszczyli mnie pan kiedyś swoją wizytą?” – zapytała, odchodząc. „Tylko proszę mnie wcześniej zawiadomić, żeby służący zdążyli wszystko przygotować”. Ale Karol już jej nie słuchał. Nerwowo przyglądał się literom, które sprawiły, że jego serce o mały włos nie eksplodowało.

Gdy chciał z nią porozmawiać, stała już cicha i nieruchoma, z głową teatralnie opartą o kominek.

Wychodząc z budynku, Karol zatrzymał się, żeby przeczytać napis nad nadprożem, wykonany pięknymi, ozdobnymi literami.

*Dziękujemy za umiejętność zapanowania nad sobą, ciszę i spokój.*

– Dziwny napis jak na takie miejsce – skomentował Karol.

Zauważył, że Anne powoli przesuwała wzrok po napisie, niczym dziecko, które nadal z trudem rozpoznaje litery, jedną po drugiej. Zdążyła przeczytać pierwsze trzy, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że pisarz się jej przygląda. Szła obok niego obojętnie.

Było już ciemno, gdy wychodzili. Anne zadzwoniła dzwonkiem, żeby strażnik oświetlił im drogę do domu. Czekając w świetle gazowej latarni zwisającej nad wejściem do zakładu, Karol zapragnął dowiedzieć się więcej o zasadach obowiązujących na Wyspie Blackwella. Chciał poukładać wrażenia, jakie wywołało w nim to miejsce. Musiał spróbować odkryć, poprzez eliminację wszystkich swoich podejrzeń, kto mógł mieć możliwość wysłania listu.

Anne wytłumaczyła mu, tym razem szeptem, że pielęgniarkom nie wolno rozmawiać o swoim życiu poza Wyspą, o rodzinach i pochodzeniu. Według pana Scraugha, nie można było mieć pewności, czy osadzeni na Wyspie kiedyś jej nie opuszczą. Twierdził, że kiedy otrzymują wiadomości z zewnątrz, stają się bardziej buńczuczni. Scraugh zabronił także dostępu do zegarów, informowania o upływie czasu i przekazywaniu wiadomości dotyczących tego, co się dzieje na świecie.

Karol nie mógł tego dłużej znieść:

– Cóż to za okrutny człowiek! Co to mają być za sposoby! Na miłość boską! Jak ci nieszczęśnicy mogą żyć w takich warunkach. Brutale staną się jeszcze bardziej brutalni, cierpiący na depresję będą próbowali się zabić, a niezrównoważeni psychicznie zupełnie postradają zmysły – powiedział, chowając dłonie w kieszeniach płaszcza.

Podszedł do niej tak blisko, że pomarańczowe światło latarni wyostrzyło rysy jego twarzy.

– Jak możecie przykładać do tego rękę! Jak możecie na to nie reagować, Anne! Proszę mi to wytłumaczyć. Widziałem pani czułe gesty, jak może pani akceptować...

Anne, którą początkowo zaskoczył gniew pisarza, patrzyła teraz na niego, zaciskając wąskie, popękane wargi.

– Nie ma pan prawa mnie osądzać.

Karol zamilkł.

– Ma pani rację, panno Radcliffe. Proszę mi wybaczyć.

Zbliżyła się do niego i szepnęła:

– Pan... pan nie ma o niczym pojęcia. Nie wie pan, na co bym się naraziła, gdybym... Być może nie powinnam tego mówić, ale... Mamy tu też inne zasady. Niepisane. – Przez chwilę się wahała. Anglik nadstawił delikatnie ucho. – Nie dają im nawet tych nielicznych listów, które przychodzą od krewnych. Panna Grady wrzuca je do ognia. Uważa, że mogą wywołać kryzys, przez który trudniej będzie nimi sterować. Kiedy przysyłają im ubrania, zostawia sobie te, które jej się podobają. Resztę rozdaje pielęgniarkom. O pozwolenie na odwiedzenie Wyspy jest niezwykle trudno, dlatego rodziny nie znają... jakby to powiedzieć... tutejszych warunków życia. Przez całą tę biurokrację, a niektórzy nie umieją pisać, rezygnują i nie chcą wiedzieć. Tu się nie obchodzi Bożego Narodzenia, nawet dzieci nie świętują. Zdaniem dyrektora ci ludzie są zbyt sentymentalni i niestabilni emocjonalnie...

Głos jej się załamał, a z ust wymknęło się głębokie westchnienie.

– A pani, Anne? – Karol szukał jej oczu. – Co pani o tym myśli?

Zęby pielęgniarki szczękały, a dłońmi wstrząsały niewidoczne konwulsje. Wygładziła białą spódnicę, jakby próbowała coś z niej strzepnąć. Karol zdjął płaszcz i zarzucił jej na ramiona. Pielęgniarka zamilkła na kilka sekund, ale

odpowiedziała:

– Uważam, że to ważne, by świętowali Boże Narodzenie, panie Dickens.

– Dlaczego uważa pani, że to ważne, Anne? – naciskał, nie spuszczać z niej oczu.

– Bo wtedy nawet najstarsi wspominają dzieciństwo. Dlatego to takie ważne. Bo nawet najwięksi niedowiarkowie ten jeden raz w roku mają jakieś życzenie. Bo wtedy przypominamy sobie, kim byliśmy i jakie mamy pragnienia. Bo dostajemy pozwolenie, by marzyć, panie Dickens. By wierzyć w cuda, przynajmniej przez tę jedną noc. – Jej twarz zamarła, tak że przez chwilę wyglądała jak z kamienia. – Dzisiaj nie pozwala się im obchodzić Bożego Narodzenia, bo nie potrafią docenić sensu świąt. Jutro nie napalą w kominkach, żeby się zahartowali. A pojutrze będziemy się zastanawiać, czy to w ogóle ludzie.

Kiedy zorientowała się, jak na nią patrzył, zamilkła. Z pewnością powiedziała za dużo. Ale nie dlatego na nią patrzył. Czuł, że jej słowa miały źródło w tak rzadko spotykanym rodzaju inteligencji. W niezwyklej umiejętności zmieniania świata na lepsze. Właśnie w tamtej chwili z ciemności wyłoniła się postać tak gigantyczna, że Karol niemal zwątpił w swój rozum.

Nazywali go Olbrzymem Tomem. Wyposażony w pochodnię, towarzyszył tym, którzy musieli przejść z budynku do budynku w środku nocy. Był czarny, miał pociągłą twarz i marsową minę. Jego głos brzmiał jak grzmot. Pielęgniarka zdawała się rozbawiona coraz bardziej osłupiałą miną pisarza.

Szli w niedalekiej odległości za nim, w ciemności. Fotograficzna pamięć Karola przywołała twarze osób, które poznał w ciągu dnia: więzień z celi 106, Szczur z zakładu poprawczego, mądra staruszka Florita, wizjonerka Lili oraz tajemnicza, elegancka Ada i jej idealnie okrągłe pismo.

*Wyspa Blackwella, 1867 r.*

Przypominał sobie każdą z tych twarzy, bez uciekania się do zdjęcia, które nadal trzymał w dłoniach. Powoli odzyskiwał poczucie rzeczywistości. Znowu siedział na ławce na brzegu rzeki, dwadzieścia pięć lat później. Tuż obok młodej nauczycielki, która go wysłuchała. Na jej kolanach siedziała dziewczynka, którą nazwali Nellie. Nauczycielka na Wyspie Blackwella... pomyślał zdumiony. To była naprawdę duża zmiana. A wszystko sprawiło, że nagle poczuł się staro. Rozejrzał się dookoła, gładząc siwiejącą brodę, pokręconą pod wpływem wilgoci. Był zdumiony tym, że Wyspa nie zestarzała się razem z nim, w tym samym rytmie. Tak jakby chciała mu przypomnieć, że on umrze, a ona pozostanie niewzruszona, niebacząca na zegary, otoczona mgłą i duchami.

Ale to normalne. Jego powieści też się nie starzały. Gdzieś w głębi to też mu przeszkadzało. On odejdzie, a one pozostaną. Jego fantazje – już na zawsze niezależne od autora. Kreacja literacka jest perwersyjna, pomyślał i spojrzał na małą Nellie. Dziewczynka bawiła się, wskazując jedna po drugiej – jakby w jakiejś zgadywance – osoby, które otaczały go na zdjęciu. „Ty”, powiedziała, wskazując młodego Dickensa siedzącego na kufrze podróżnym. „Anne”, ciągnęła zamyślona, a jej ciemne, ciężkie loki opadały na twarz... „Florita”, wskazała, zaskakując Karola i Margaret.

– A to? Kto to jest? – zapytała nauczycielka, wskazując na białą, stylową postać stojącą po drugiej stronie pisarza.

– Lili – powiedziała dziewczynka z przekonaniem, dobrze się bawiąc.

Oboje patrzyli na nią zadziwieni. Podobnie jak Dickens w młodym wieku, mała Nellie wykazywała niezwykle dobrą pamięć do szczegółów. Być może właśnie to spowodowało, że bardzo szybko zaczęła powtarzać dźwięki. W wieku dwóch lat mówiła swobodnie, a mając trzy lata dopasowywała dźwięki do liter, używając makaronu z zupy, pisząc kredą na kamieniu lub tak jak teraz – patykiem na piasku. W naturalny sposób przechowywała w główce wszystko to, co usłyszała, by potem opowiedzieć to własnymi słowami i z całą masą szczegółów. Szkoda, że musiała przyjąć tak potężną dawkę odartej ze złudzeń rzeczywistości w tak młodym wieku, nawet jeżeli były to zaledwie jedne odwiedziny, pomyślał Karol, rozglądając się dookoła. Zastanawiał się, czy przywiezienie dziewczynki w takie



miejsce to dobry pomysł.

– Czy to Ada napisała list? – usłyszał pytanie Margaret, która w dalszym ciągu tkwiła w przeszłości.

Twarz Dickensa spowiła mgła tajemnicy.

– Pismo było bardzo podobne, to pewne. Muszę przyznać, że początkowo właśnie ją podejrzewałem, ale ta biedna kobieta cierpiała na demencję. Z drugiej strony Anne mówiła, że listy które otrzymywali lub pisali pacjenci, lądowały w piecu. Nie, Ada nie mogła być autorką listu – stwierdził.

– A poznał pan pana Scraugha? – zapytała Margaret z dziwnym wyrazem twarzy. – Krąży o nim tyle legend.

Dickens uśmiechnął się z przymusem.

– Tak... i to bardzo dobrze.

Nie było już tak zimno, a słońce mocno świeciło na potężne lodowe kry, płynące w dół rzeki. Nellie wróciła do pisania na piasku. Margaret niecierpliwiła się – chciała poznać dalszą część historii.

Dlatego Dickens mówił dalej. Milczał zbyt długo. Wkrótce nie pozostanie ani jeden świadek tamtych wydarzeń, a on chciał złożyć świadectwo.

– Gdzieś w głębi było mi wstyd. Obawiałem się, że list napisał ktoś, kto znał moją przeszłość – przyznał.

Mógł jednak przysiąc, że ta obawa zesłała na drugi plan już pierwszego dnia, kiedy na własne oczy zobaczył nie więcej niż dziesięć procent nieszczęścia dotykającego mieszkańców Wyspy. Ktoś stamtąd prosił go o pomoc i to go napędzało, to sprawiało, że chciał rozwikłać zagadkę.

Margaret się zdziwiła:

– Ale czego mógł się pan obawiać w związku z ujawnieniem pańskiej przeszłości? Przecież jest pan Karolem Dickensem...

Pisarz przyglądał się jej tak, jakby zaczęły mu ciążyć tony własnych przeżyć i jakby musiał zrzucić ten balast.

– Drogie dziecko – rozpoczął – zbyt długo musiałem być dwoma osobami. Zbyt długo... Stworzona przeze mnie postać, Karol Dickens, nie mógłby istnieć w ówczesnym społeczeństwie, gdybym nie ukrył tego, że mój ojciec trafił do więzienia, że zostaliśmy z niczym, że żyliśmy w najgłębszej nędzy. Dla moich przyjaciół i znajomych najprawdopodobniej wychowałem się w domu przy Doughty Street, który kupiłem wiele lat później. Nie wiedzieli, że przechodziłem obok tego domu w drodze do fabryki pasty do butów, wyobrażając sobie, że to ja bawię się obok kominka. Owszem, później robiły to moje dzieci.

Ówczesny Londyn myślał, że Dickens zagląda do Candem Town w poszukiwaniu informacji do książki. Podziwiali go za to i nie podejrzewali, że mieszkał w tej dzielnicy z rodziną, kiedy nie stać ich było na nic innego.

– Gdy napisałem *Davida Copperfielda*, nikt nie podejrzewał, że za

dzieckiem z papieru kryje się dziecko z krwi i kości – jego głos zabrzmiał szorstko – dziecko, którym byłem ja sam.

Dziecko, które musiało rzucić szkołę, żeby pomóc swojej rodzinie. Dwunastolatek pracujący dziesięć godzin dziennie w fabryce wyglądającej jak domek z kart, który wkrótce zawali się i wpadnie do Tamizy. Pisarza przeszył dreszcz. Schodami fabryki biegały szare, stare szczury. Ich popiskiwanie i drapanie było jedyną muzyką, jakiej słuchał całymi dniami.

– Na taką historię nie było miejsca w biografii Karola Dickensa. Nie tego Karola Dickensa, którego dziś wszyscy znają.

Margaret wzruszyła się wyznaniem pisarza, który nie mógł się dłużej powstrzymać.

Nawet Nellie przestała się bawić i patrzyła na niego ze współczuciem. Jakby w jakiś sposób go rozumiała. Jakby już wiedziała, że jej ojciec niedługo umrze. Jakby już przeżyła moment, w którym podobnie jak ten mężczyzna straci dom. Jakby już poznała, jak to jest żyć z jałmużny wraz z matką i dziewięciorgiem rodzeństwa. Mając zaledwie piętnaście lat, Nellie będzie musiała wyjść na ulicę i szukać pracy, by pomóc rodzinie. Będzie też próbowała kształcić się na nauczycielkę w szkole Indiana Norman, ale po pierwszym semestrze zrezygnuje z braku pieniędzy. Ale pomimo to, zupełnie jak Dickens, będzie czytała po kryjomu i uczyła się na własną rękę. Aż w końcu napisze list do redaktora naczelnego jednej z gazet, protestując przeciwko artykułowi, który uzna za zbyt seksistowski. Nie będzie nawet podejrzewać, że tak zacznie się jej kariera...

Nellie podniosła wzrok i zarzuciła pisanie na piasku w połowie litery. Margaret uładziła palcami jej długie warkocze. Potem zwróciła się do Dickensa:

– Nie sądzi pan, że dzięki pańskim książkom wiele osób dowiedziało się o krzywdzących warunkach, w jakich żyją ci ludzie? – powiedziała nauczycielka, wyczuwszy w opowieści pisarza pewną dozę poczucia winy.

Pisarz milczał, wodząc wzrokiem za małą Nellie, która znowu pisała na piasku. Czy któraś z jego książek naprawdę komuś pomogła? Człowiek, który odpowiedziałby na to pytanie bez mrugnięcia okiem, w tej chwili znajdował się na drugim brzegu oceanu. W starej drukarni w Hamburgu prasy wypluwały traktat, któremu autor postanowił nadać tytuł *Kapitał*.

Karol Marks spojrzał na pierwszy tom książki, która miała być jego największym dziełem. Nie wiedział, że za życia na własne oczy zobaczy zaledwie jeden z trzech tomów. Ten sam człowiek powie swojemu przyjacielowi Engelsowi, że Dickens ogłosił więcej głębszych prawd o społeczeństwie niż wszyscy politycy, agitatorzy i moralisci razem wzięci. I to pomimo tego, że był żarliwym wyznawcą liberalizmu, doktryny, która jemu samemu od samego początku wydała się perwersyjna.

W tym samym czasie, i znacznie bliżej, w Saint Louis w stanie Missouri,

szczupły młodzieniec o imieniu Joseph Pulitzer kładł prawą dłoń na Biblii, by odrzucić obywatelstwo węgierskie i stać się obywatelem Stanów Zjednoczonych. Koniec końców zasłużył na nie, walcząc za ten kraj – powiedział sam do siebie, wymawiając słowa przysięgi. Przybył do miasta po zakończeniu wojny secesyjnej i po sprzedaniu szalika, będącego całym jego dobytkiem, kupił bilet na pociąg. W tamtej chwili na nowo napisał swoją przyszłość – artykuł, który później opublikuje w „Westliche Post”. Tak zaczęła się jego kariera, w wyniku której założył własną gazetę w Nowym Jorku i weźmie pod swoje skrzydła młodą reporterkę, a ona pewnego dnia powie mu, że nauczyła się pisać w wieku trzech lat, kreśląc patykami na piasku.

\*

Karol podniósł się z ławki i podszedł do Nellie, zaskoczony jej przedwczesną umiejętnością pisania. Dwa losy nieświadomie związane przez słowa i Wyspę. Dziewczynka zapisała wszystkie imiona zasłyszane w jego opowieści. Dickens stał jedno z nich butem, żeby je poprawić. „«Anne» pisze się przez dwa „n”, powiedział. Dziewczynka zwiesiła głowę niczym szczeniak. Wydawała się zadowolona ze zmiany. Karol uśmiechnął się z ulgą do swojej małej bohaterki. Jakikolwiek czekał ją los, dzięki inteligencji uda jej się go poprawić.

„Anne”, powtórzyła Margaret za jego plecami.

– Ostatnia rozmowa z Anne Radcliffe w drzwiach zakładu psychiatrycznego zmusiła mnie do przypomnienia sobie dzieciństwa – przyznał Karol, spacerując po plaży tuż obok młodej kobiety. – Przypomniałem sobie też, że sam jestem dowodem na to, że człowiek może stawić czoło własnemu losowi: odczarować przeznaczenie. Dlatego wróciłem. Bo w tym miejscu coś się we mnie zmieniło. Coś przekształciło mnie w człowieka, którego teraz pani widzi. Przyjechałem dowiedzieć się, co to było.

Poczuł małą, zimną rączkę dziewczynki w swojej dłoni. Spacerując plażą, ponownie zagłębili się w przeszłości.

*Wyspa Blackwella, 1842 r.*  
*Dzień 3*

Czubkiem palców zakreśliła idealny okrąg na zaparowanej szybie. Z okna ambulatorium, jak przez wizjer, uważnie obserwowała pisarza spacerującego brzegiem rzeki. Reszta krajobrazu rozmywała się za filtrem z pary. Anne Radcliffe spędziła pracowity poranek. Czas minął szybko. Spojrzała na zegar. Zostało jej jeszcze pół godziny. Usłyszała nieustające bębnienie wody o metalową miednicę, którą ustawiła pod przeciekającym miejscem. Nadal były w niej brudne gaziki. W końcu przestało padać, ale konsekwencje burzy dawały o sobie znać jeszcze przez tydzień.

W najzimniejsze miesiące wilgoć na Wyspie była nie do wytrzymania. Bezskutecznie próbowała pobudzić zdrętwiałe nogi. Przyklejona do wysokiego okna widziała, jak pisarz siada na ławce, pozdrawia grupę lekarzy i krótko z nimi rozmawia. Wydało jej się, że jeden z nich podał mu książkę do podpisania. Potem się pożegnali, a pisarz wyciągnął notes. Anne oparła łokcie na parapecie. Nawinęła na palec niesforny pukiel. Oddałaby wszystko, żeby dowiedzieć się, co w nim zapisał. Być może był to pamiętnik albo początek nowej powieści, której mogłaby być bohaterką – fantazjowała.

Nauczyła się czytać i pisać już jako dorosła. Potrafiła, choć ze sporym wysiłkiem, składać łatwe teksty. Ale zazdrościła niektórym koleżankom łatwości, z jaką czytały na głos. Próbowała z *Oliverem Twistem*, ale po kilku stronach poddawała się, wyczerpana. Teraz tego żałowała, bo Luciana, okrutna i zmysłowa Luciana, przy każdej okazji niby przypadkiem wpadała na pisarza. Ona czytała bardzo dobrze i rozmawiała z Dickensem o niuansach tych czy innych postaci, co zdawało się sprawiać mu przyjemność. Dużą. Luciana była jedną z odpowiedzialnych za czytanie koleżankom podczas nocnych dyżurów. Jej modulowany głos ożywiał opisy i dialogi tak bardzo, że Anne pamiętała niektóre fragmenty tych książek, zupełnie jakby sama je przeżyła. Teraz Luciana już nie pozwalała jej słuchać powieści. Za to, że pewnego razu głośno sprzeciwiła się nękanii jednej z nowych koleżanek. Od tamtego czasu Luciana uprzykrzała jej życie. Świdrowała kasztanowymi oczami pielęgniarki, które siadały obok Anne przy śniadaniu. Z czasem udało jej się sprawić, że Anne czuła się naprawdę

odizolowana na Wyspie Blackwella.

Westchnęła. Gdy była mała, jej naturalne upodobanie do fantazjowania doprowadzało matkę do rozpacz. Ale trzeba przyznać, że te skłonności były bardzo przydatne w miejscu takim jak Wyspa, gdzie tylko dzięki wyobraźni była w stanie przeżyć. Właśnie dzięki temu któregoś dnia wpadła na to, jak oszukać poczucie czasu panny Grady. Stara pielęgniarka zawsze sprawdzała czas na zegarze ściennym w swoim gabinecie – jedynym w całym budynku – kiedy ucinała sobie poobiednią drzemkę. Anne, wykorzystując jej sen, zakradała się do gabinetu i zatrzymywała zegar. Za każdym razem, gdy przełożona pielęgniarek otwierała oczy, myślała, że śpi od zaledwie kilku minut i ponownie zapadała w drzemkę. Dzięki temu Anne załatwiała trochę spokoju na Wyspie. Wykorzystywała te przerwy, by dokończyć pracę. W ten sam sposób, gdy zapadał zmrok, przesuwiała wskazówki zegara do przodu. Panna Grady życzyła wszystkim dobrej nocy i kładła się spać. Oczywiście budziła się w środku nocy wypoczęta. Towarzyszki Anne – nieświadome tego, co robiła – czuły ulgę i rozbawienie, sądząc, że starość dawała się panie Grady we znaki.

Wybryków było więcej, ale zawsze w dobrej wierze. Kiedyś Anne poprosiła Floritę, by przygotowała jej naturalny środek przeczyszczający, i przez cały tydzień dolewała go do herbaty Luciany. Nie chciała dopuścić, by Luciana dręczyła jedną z nowych pielęgniarek. Zazwyczaj urządziła im istne piekło. Przy tamtej okazji straciła przynajmniej siedemdziesiąt procent ze swojego autorytetu, puszczając gazy na korytarzach i szukając łazienki. Anne zaśmiała się łobuzersko na wspomnienie tamtego historycznego momentu. To dopiero było poczucie sprawiedliwości.

Znowu ona. Anne oparła pierś o parapet. Zaczęła obgryzać paznokcie. Luciana zbliżała się do pisarza, idąc wzdłuż plaży, jakby kroczyła po konturach Wyspy. Karol podniósł się i elegancko skłonił kapelusz – był dobrze wychowany. A Luciana denerwowała Anne sposobem mówienia, z ustami złożonymi w dzióbek nieustająco domagający się pocałunku, manią gładzenia swoich czarnych włosów i przerzucaniem ich na bok podczas mówienia, przekrzywianiem głowy, które z zamierzoną niewinnością odsłaniało szyję i słodkim zapachem piżma zwiastującym jej obecność. Cały ten erotyczny rytuał, którym dawała znać, że jest *chętna*.

Anne poczuła ukłucie w żołądku, którego nie potrafiła wytłumaczyć. Dlaczego nagle nienawidziła jej tak bardzo, jak tylko może nienawidzić człowiek? Może powinna poprosić Floritę o odrobinę środka na przeczyszczenie – pomyślała, marszcząc oczy. Wspięła się na parapet i usiadła. Rozmawiali żywo – wyglądali jak dwie wycięte z papieru figurki na tle szarej rzeki. Co za różnica – pomyślała Anne. Nie miała teraz czasu na głupoty, powiedziała sama do siebie, zeskakując jednym susem z parapetu. Zahaczyła palcem o ceramiczną płytkę – na zmianę kleła

i zegnała się, zostawiając niewielką czerwoną plamę na białej bluzce, na wysokości serca. Włożyła palec do ust i ssała go, niezadowolona.

Tak, miała znacznie ważniejszą misję, powtarzała z ulgą, czując zimny i wilgotny dotyk języka na ranie.

W poniedziałki i środy przychodziła poczta.

Ktoś zapukał do drzwi ambulatorium. Włożyła czepek i wrzasnęła: „Proszę!”. Ordynator, doktor Angelopoulos, zajrzał przez wpółotwarte drzwi.

– Panna Radcliffe – powiedział obojętnym, zachrypniętym głosem. – Ach... myślałem, że jest pani u pacjentki. Chodzi o Adę. Znowu twierdzi, że jest niedysponowana. Próbowałem ją przekonać, że w jej wieku to niemożliwe, ale wydaje się bardzo obolała. Tak jak poprzednio upiera się, że przez wstydlivość może rozmawiać tylko z panią.

Zza niego wyglądała twarz kobiety, ściągnięta niczym ostryga po polaniu sokiem z cytryny.

Anne chwyciła ją za ramię i zamknęła drzwi.

W środku padły sobie w ramiona.

– Jak mi idzie, kochana? – zapytała Ada, prostując się. – Jako mała dziewczynka zawsze chciałam być aktorką, ale nigdy by mi na to nie pozwolili. Ludzie z moich sfer uważali je za prostytutki.

– Ado, nie mamy zbyt wiele czasu. – Pielęgniarka westchnęła, wyciągając papier i koperty, które ułożyła w staranny stosik. – Musisz mi pomóc napisać kodowane listy. Muszę je jeszcze dziś podać dalej, żeby dotarły do Anglików. Dziś w nocy będzie bitwa.

Ada otworzyła szeroko oczy, klasnęła i obie zabrały się do pracy na stoliku laboratoryjnym w ambulatorium.

Anne robiła to, od kiedy przybyła na Wyspę Blackwella. Wiedziała, że jak to się wyda, panna Grady wyrzuci ją i o wszystkim poinformuje pana Scraugha, który Bóg raczy wiedzieć, co z nią zrobi przed wyrzuceniem. Ale wiedziała też, jak bardzo mieszkańcom Wyspy brakuje wieści z zewnątrz. Była pielęgniarką, dlatego stykała się z ludźmi z różnych znajdujących się tutaj instytucji. Opowiadali jej o swojej przeszłości, o osobach, które chcieli jeszcze zobaczyć, albo o tych, przez które nie chcieli być zapomniani. Od trzech lat zagłębiała się w ich życie, odtwarzając w głowie to, co ich bliscy mogliby powiedzieć, imitując ich sposób mówienia, przypominając sobie zdrobnienia, jakimi zwracali się do dzieci, dodając wspomnienia z ich ojczystych krajów włącznie z ulubionymi powiedzonkami. Zdając się wyłącznie na przypadek i własną intuicję, Anne co tydzień wybierała określoną grupę ludzi, którzy bardziej niż inni potrzebowali wieści od ukochanych. To one w ich imieniu pisały listy. Ona sama nie poradziłaby sobie ze względu na okropny charakter pisma. Dlatego postanowiła skorzystać z pomocy Ady, która była doskonale wykształconą damą. A znając jej paranoje, łatwo było ją przekonać.

Ada miała niemieckie korzenie. Była żoną amerykańskiego bankiera, pochodzącego z Anglii, który popełnił samobójstwo, gdy zrujnował go kryzys w 1837 roku. Ból wywołany nagłą śmiercią męża i utratą całego majątku sprawił, że szukała schronienia w najszcześniejszym okresie życia. Był to czas wojny o niepodległość, podczas której wraz z mężem służyli Anglii, wysyłając tamtejszym wojskom listy informujące o pozycji wojsk amerykańskich.

Innymi słowy mówiąc – Ada była szpiegiem. Albo przynajmniej tak jej się wydawało.

W dalszym ciągu marzyła o Ameryce pod brytyjskim panowaniem, zarządzanej w dobrym europejskim stylu i zgodnie z wiktoriańskimi zasadami. W dodatku teraz była podekscytowana odwiedzinami wytwornego angielskiego dżentelmena, który bez wątpienia był kluczowym elementem ich przyszłego zwycięstwa.

\*

Pierwszy list tego dnia był do panny Lili od rodziców. Z czasem Anne udało się dowiedzieć nieco więcej o jej przeszłości. Pracowała na Wyspie już od dwóch lat, gdy przywieziono Lili. Pamięta, jak wyciągano ją z łodzi. Kuliła się w sobie. Była ubrana w elegancką, czarno-czerwoną suknię jeździecką, dopasowaną w talii i pełną koronek. Rude włosy zebrane wstążkami w tym samym kolorze. Białe rękawiczki. Takie kobiety zwykle nie trafiały na Wyspę. Zdiagnozowano u niej załamanie nerwowe, kryzys, z którego miała wyjść w kilka tygodni. Przez cały ten czas Lili sądziła, że jest w szpitalu, z którego szybko wyjdzie. Nieustannie dopytywała o rodziców. Żadnej z nas nie wydała się szalona, powiedziała Anne w tajemnicy Caridad, pochodzącej z Kuby pielęgniarki, która zaciągała końcówki słów tak, jakby chciała rozkołysać je do tańca. W tamtym czasie Lili mówiła całkiem do rzeczy. Opowiedziała im nawet historię swojej miłości. Historia ta miała niewiele wspólnego z tą, którą rozpowiadano na Wyspie, ani z tą opisaną w historii choroby.

Z tego, co powiedziała, wynikało, że zakochała się w dżentelmenie z Południa, właścicielu plantacji bawełny, który regularnie przyjeżdżał do Nowego Jorku w interesach. Jej rodzice odkryli, że był żonaty. Przez dwa miesiące o niczym Lili nie powiedzieli. Za to pewnego ranka, gdy Lili wróciła z lekcji jazdy konnej, poinformowali ją o jego nagłej i niespodziewanej śmierci. Powiedzieli jej, że napadli go bandyci, gdy jechał odwiedzić rodzinę. Według Caridad, wielbicielki stron z sensacjami, brzmiało to mało prawdopodobnie. Takie wiadomości zwykle ukazywały się w „The Sun”, a nie pamiętała, żeby o czymś podobnym czytała. Właśnie dlatego Anne podejrzewała, że rodzice wymyślili tę śmierć, żeby wybić go Lili z głowy. Nie podejrzewali jednak, że ich córka postrada zmysły.

Pomimo wszystko dziewczyna doszła do siebie. Przez wiele tygodni

wychodziła na drogę, zapewniając, że dziś po nią przyjadą. Anne pamiętała pewien konkretny dzień, jedyny, kiedy widziała jej bogatego i szanowanego ojca. To był wiosenny poranek, po spacerze. Rozmawiał z panną Grady. Anne spacerowała z Lili po plaży, gdy zobaczyła ich z oddali. Mężczyzna pospiesznie wsiadł do powozu. Przez okno wysunął odzianą w rękawiczkę dłoń i podał przełożonej pielęgniarek kopertę. Lili rzuciła się w jego stronę, krzycząc: „Ojczy! Przebac mi, ojczy! Nie zostawiaj mnie tu! Nie zostawiaj!”. Ale nadzieja Lili szybko się rozviała.

Od tamtej chwili Lili powoli traciła zmysły. Na skutek porzucenia jej rozum kruszał niczym kamień drążony przez wodę. Nikt nie wierzył w to, co mówiła. Żaden z lekarzy jej nie słuchał. Nikt poza Anne. Być może właśnie dlatego Lili, czując, że jej rozum przegrywa walkę z bólem, powierzyła pielęgniarce ważne zadanie.

Drugim szczęśliwcem, który tego dnia dostał list, był mały Tim – niepełnosprawny chłopiec mieszkający w więzieniu, w oczekiwaniu na proces ojca. W tym wypadku list podpisywała matka. Prosiła chłopca, by opiekował się ojcem. Był już przecież duży. I nie musi przeciw niemu zeznawać, jeżeli nie chce... Anne zawahała się na chwilę, dyktując to zdanie Adzie. Po chwili dyktowała dalej: że jest z niego dumna i że niedługo pozna swojego małego braciszka.

– Skończyłyśmy? – zapytała Ada, która z wielką satysfakcją składała podpis pod każdym listem.

– Tak, Ado, to koniec na dziś – potwierdziła Anne poważnie. – Wyświadczyłaś wielką przysługę Imperium Brytyjskiemu. Będzie ci to wynagrodzone.

Kobieta uśmiechnęła się z satysfakcją i włożyła na palec jeden z papierowych pierścionków, który na czas pracy odłożyła na stół.

– Przekłęci Amerykanie... – powiedziała, uśmiechając się wściekle. – Nie mają pojęcia, co im przystoi! Boże, chroń Królową Wiktorię!

– Boże, chroń Królową! – odpowiedziała Anne, która już się przyzwyczaiła, że tak kończą się ich spotkania.

Podbiegła do okna. Ucieszyła się, że Karol i Włoszka nadal spacerowali. Byli teraz na końcu plaży.

Zbliżała się godzina spaceru chorych oraz dzieci z zakładu poprawczego i sierocińca. To znaczyło, że przynajmniej przez godzinę wszyscy będą na łące przed zakładem psychiatrycznym.

Schowała listy w kieszeni fartucha, na wysokości serca, które aż kipiało z emocji. Nerwowo obgryzała palce. Wzięła głęboki oddech.

Nadeszła pora na rozdanie listów!

\*



Osadzeni na Wyspie Blackwella też mieli swoje zasady. Kiedy ktoś otrzymywał list, musiał podzielić się nim z innymi, bo dla wszystkich było to wielkie wydarzenie. W te dni opowieściom nie było końca. Anne ukradkiem prowadziła szczęściarzy za kaplicę Świętego Nelsona, znajdującą się nieco poniżej, na wybrzeżu. Dobrze wiedzieli, co stałoby się z listami, gdyby dowiedziała się o nich panna Grady. Potem zaczynali czytać. Anne ledwie mogła opanować radość, gdy mały Tim wymachiwał kopertą w powietrzu. To do mnie! Krzyczał podekscytowany, chodząc tam i z powrotem. „To do mnie! Od mamy!”. Wszyscy otoczyli chłopca, a Anne z trudem zaczęła czytać. Raz po raz poprawiała ją Ada, która z dumą autorki zaglądała jej przez ramię. Chłopiec rzucił kule na trawę i wsłuchiwał się w głos Anne, trzymając się jej spódnicy. Oczy miał szeroko otwarte, próbował zapamiętać każde słowo. Gdy skończyła, Tim uśmiechnął się, a po jego policzkach spłynęły duże, okrągłe łzy.

Nadeszła kolej Lili, która sama chciała przeczytać list. Zacięła się na pierwszej linijce – przeczytała ją niemal dziesięć razy. Moja ukochana córeczko – powtarzała, jakby nie potrzebowała nic więcej, jakby te trzy słowa były lekarstwem. Czytała dalej, powtarzając co najmniej dziesięć razy wszystko to, co ją zainteresowało. Byli tak pochłonięci lekturą, że nie zauważyli zbliżającego się Karola. Na szczęście w końcu udało mu się uwolnić od napastliwej Włoszki.

– Przyszła poczta?! – krzyknął zdziwiony.

Anne podskoczyła tak wysoko, że aż spadł jej czepek.

Powinna była rozdać im listy, dać czas na przeczytanie i ponownie je zebrać. Zawsze tak robiła. Inaczej, wcześniej czy później, znalazłaby je panna Grady. Co za ciekawski typ! Pospiesznie zebrała listy, ale pisarz zdążył wziąć do ręki list małego Tima i przyglądał mu się z zainteresowaniem. Po kilku sekundach podniósł wzrok i zmarszczył brwi.

– Mógłbym rzucić okiem na jeszcze któryś z tych listów, Anne? – zapytał Anglik, a Anne podała mu kolejny, rumieniąc się jak uczennica, którą złapano na psikusie i która lada moment zostanie ukarana.

Nie miał wątpliwości. Pismo, papier i atrament były identyczne.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać na osobności, panno Radcliffe. Przejdziemy się? – powiedział poważnie, siląc się na uśmiech.

– Czy musimy... musimy teraz? Bo w tej chwili to niemożliwe – odpowiedziała, nerwowo zakładając czepek. – Muszę przyjąć nowego pacjenta i...

– Tak, obawiam się, że musimy porozmawiać teraz, Anne – nalegał nieznoszącym sprzeciwu tonem, podając jej ramię.

\*

Szli polną ścieżką, a Anne wydawało się, że serce wyskoczy jej z piersi. Deszcz zmył śnieg i spacerowali teraz po gąbce z mchu, która opryskiwała wodą

rąbek jej spódnicy. Co sobie o niej pomyśli? Może jest zły za to, że przyjechał na Wyspę? Jak mogła wpaść na coś takiego? Pisarz szedł obok niej z wysoko uniesioną brodą i surową miną. Dlaczego nic nie mówił? Gdy stracili z oczu budynek zakładu, nie zatrzymując się, i ani nawet na nią nie patrząc, powiedział:

– Ktoś panią nakryje.

– Obchodzi to pana? – odparła, próbując stawić czoło jego spojrzeniu ze złością, o którą się nie podejrzewała.

– Jestem tu od niedawna, ale wydaje mi się, że jeżeli się to wyda, czekają panią nieprzyjemności.

– To moja sprawa.

Zatrzymał się.

– Nie, Anne, teraz to także i moja sprawa, ponieważ ja także otrzymałem jeden z tych listów. Mam teraz dwa wyjścia: być pani współnikiem lub panią wydać...

– Nie zrobiłby pan tego... – Zaciśnęła zęby. – Poza tym chyba za wcześniej wyciąga pan wnioski, nie sądzi pan? Ja ledwie umiem pisać! Ja im jedynie przekazałam te...

Czwórka lekarzy przeszła obok i uprzejmie pozdrowiła ich skinieniem głowy, kierując się w stronę zakładu. Karol odpowiedział, ścisząc głos:

– Anne, nie urodziłem się wczoraj. Nie wiem, w jakim celu, ale manipuluje pani tą biedną staruszką, żeby je pisała.

– Sprawia jej to przyjemność. – Anne skrzyżowała ramiona. W oczach widać było irytację.

Między rozmówcami zaległa cisza.

– Oszukuje ich pani, Anne!

– Oszukuję ich?! – wrzasnęła i dodała ciszej – Oszukuję ich... Życie i tak już ich oszukało.

Nagle rzuciła w niego listami. Jak chce, niech na nią doniesie, choć myślała, że jest człowiekiem innego pokroju... Odeszła, ochlapując po drodze spódnicę. W dłoni trzymała zmięty czepek.

Karol pozwolił jej odejść, wykazując się charakterystyczną brytyjską flegmą. Niezły charakter – pomyślał. Potem postanowił pozbierać listy i ruszył za nią, nieustannie gderając, bo woda zalewała mu nogawki spodni. Zrównał się z nią tuż przed wejściem do budynku.

– Anne, nie wydam pani, ale muszę wiedzieć, dlaczego tu jestem – powiedział zmęczony pościgiem. – Wyobrażam sobie, że to długa historia i że to nie jest bezpieczne miejsce na rozmowę. Proszę mi powiedzieć, gdzie możemy porozmawiać dziś po kolacji. Chcę pani pomóc, ale musi mi pani to wszystko wyjaśnić.

Spojrzała na niego nieufnie. Podał jej listy, które ostatecznie wzięła

i ponownie schowała w kieszeni fartucha.

– Dziś w nocy, obok latarni – szepnęła. – Latarnik zamyka się na górze i nie schodzi aż do wschodu słońca. Obok latarni stoi stare, nieużywane już obserwatorium. W środku znajduje się biblioteka; przechowują w niej instrumenty pomiarowe. Jest też kominek. O dwudziestej trzeciej.

Pożegnali się. Z jednego z okien – które sprawiały, że budynek wyglądał niczym wielooki potwór – ktoś obserwował, jak się żegnają i odchodzą łąką w przeciwnie strony.

Punktualnie o ósmej Anne była już po kolacji. Życzyła koleżankom dobrej nocy i siedząc na łóżku z podkulonymi nogami, czekała, obgryzając paznokcie. Dwa piętra wyżej Karol z namaszczeniem otwierał list od Anne. List, który przywiódł go na Wyspę. Zastanawiał się, co kryło się w tej prośbie.

Punktualnie o jedenastej pisarz dotarł na najbardziej na północ wysunięty punkt Wyspy, gdzie stała latarnia. Z góry, raz po raz, dochodziła stara irlandzka piosenka, śpiewana ochryłym i przepitym głosem, wybijającym się nad dźwięk skrzypiec. Latarnik już rozpoczął swoją zmianę, pomyślał, dochodząc do drzwi obserwatorium – dwupiętrowego, kwadratowego budynku. Pchnął drzwi, które ustąpiły ze skrzypnięciem. Anne wyszła z zakładu kilka minut wcześniej, żeby nie widziano ich razem. Wiatr wyl tak, że nie usłyszała, jak wszedł.

Nic na Wyspie nie mogło zaskoczyć go bardziej niż ta niespodziewana oaza wiedzy. Wnętrze było przestronne, pełne sięgających sufitu regałów. Można było do nich dotrzeć stromymi, kręconymi schodami i przechadzać się między nimi wąskimi drewnianymi kładkami. To tu, to tam znajdowały się globusy, sfery armilarne do studiowania gwiazd, lunety i olbrzymi stół zastawiony teczkami pełnymi map, skalówkami i sekstantami. Przypomniał sobie swój stary kompas i to jak nagle się naprawił. Na pewno znalazłby tu instrument, z którym mógłby porównać jego działanie. Ze ścian zwisały tabele pomiaru pływów morskich, atlasy lokalnych roślin i zwierząt, stare mapy, kompasy i postarzałe od wilgoci obrazy olejne przedstawiające sceny morskie.

Pomyślał, że obserwatorium przypomina opuszczony gabinet mędrca.

W jednym z kątów płonął ogień w kominku. Przed nim, na krześle, siedziała Anne i poprawiała klocki drewna. Spojrzeli na siebie, jakby po raz pierwszy próbowali wyczytać swoje intencje. Ona: młoda kobieta umawiająca się w środku nocy, sam na sam z mężczyzną, w którego rękach spoczywa jej przyszłość. On: żonaty mężczyzna umawiający się pod latarnią morską z pielęgniarką, która w pomarańczowej poświacie kominka wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż wcześniej.

Po chwili krępującej ciszy odezwał się Karol:

– Anne, może mi pani zaufać. – Wyciągnął do niej dłoń.

– A skąd pan wie, że mnie można zaufać?

Anne wyciągnęła dłoń energicznym ruchem, siląc się na dzielną minę. Poczula, że znowu oddycha. Karol przysunął krzesło do kominka i zachowując stosowną odległość między nimi, zamienił się w słuch.

Najpierw opowiedziała mu, jak trafiła na Wyspę. Była córką irlandzkiego imigranta, jednego z pierwszych, który zszedł na ten ląd, na długo przed tym, jak zaczęto traktować ich jak plagę. Choć była Amerykanką, w jej krwi płynęła irlandzka krew. Do kołyski śpiewano jej irlandzkie kołysanki, a ona podziwiała wolę przetrwania swoich krajan. Ojciec pracował od świtu do zmierzchu przy budowie północnego odcinka kolei. Zginął podczas ataku Indian, którzy napadli na nich z zaskoczenia, w odwecie za wtargnięcie na ich ziemie. Matka została w Nowym Jorku sama, za to w ciąży i z czwórką dzieci do wychowania. Wysłała najstarszą córę, Anne, do pracy w domu doktora Akermanna – owdowiałego lekarza z największym, najczystszy i najbardziej chaotycznym domem, jaki kiedykolwiek widziała. Lata spędzone w bogatej, północnej części Manhattanu wspominała z pewną czułością. Była pojętna, a lekarz wkrótce nauczył ją czytać i pisać wystarczająco dobrze, by mogła przepisywać listę pacjentów. W ten sposób, krok po kroku, uczyła się pielęgniarstwa. Akermann omawiał z nią wiadomości z prasy i nieustannie powtarzał, że kiedy nauczy się czytać programy, spełni jej marzenie i zabierze ją do teatru.

Nie spodziewała się, że za parę miesięcy, jej brzemienna matka będzie potrzebowała ratunku. Zawiadomiły doktora Akermanna, który pomógł kobiecie, a asystowała mu Anne. Widziała, jak rodzi się jej najmłodszy brat. Kiedy matka dochodziła do siebie, doktor Akermann odwiedzał ją w domu. Był pod wrażeniem wykazanej przez Anne odwagi i pomyślał, że dobrze by mu się z nią pracowało. Bez ceremonii poprosił o rękę Anne. Matka Anne zgodziła się. Była zadowolona, a nawet zachwycona. A mimo to odwróciła nos z powodu nieprzyjemnego zapachu wydobywającego się z ust mężczyzny. Być może zgodziła się, chcąc zabezpieczyć przyszłość swojej pierworodnej. Dlatego nie zwracała uwagi na to, że przyszły mąż jej córki był starszy od niej o niemal trzydzieści lat. Tamtego dnia Akermann, nie zważając na jej nieumiejętność płynnego czytania, wręczył Anne dwa bilety do Park Theatre na następny wieczór.

Tej samej nocy Anne zniknęła z jego domu.

Tamtego dnia była pewna dwóch rzeczy: że zostanie pielęgniarzką i że żaden mężczyzna nie będzie decydował o jej losie. W porcie usłyszała, że na Wyspie Blackwella szukano pomocy do zakładu psychiatrycznego. Wyspa była wystarczająco blisko Nowego Jorku, żeby mogła dowiedzieć się, co słyhać u jej rodzeństwa, i wystarczająco daleko, żeby jej nie odnaleziono.

Anne przymknęła oczy i odwróciła twarz w stronę kominka, aż poczuła, że palą ją policzki. Teraz uważała się za Irlandko-Amerykankę, sufrażystkę i katoliczkę – z pewnymi zastrzeżeniami.

– Postanowiła pani zostać na Wyspie? – zapytał, pochłonięty jej historią.  
– To raczej Wyspa zdecydowała, że tu zostanę – odpowiedziała enigmatycznie. – Nie wiem, co by się stało z tymi, którzy tu żyją, gdybym któregoś dnia odeszła.

Zapadła cisza. Karol powoli przytaknął, gładząc brodę.

– W liście napisała pani, że Wyspa kryje skarb i tajemnicę – powiedział w końcu pełen ciekawości.

– Co chciałby pan odkryć najpierw? – zapytała, pocierając dłonie.

– Tajemnicę.

Anne wzięła głęboki oddech. Spojrzała na zbieleńnięte kostki dłoni. Szukała w oczach mężczyzny znaku, że może mu zaufać. Miał, niosące nadzieję jasne spojrzenie. Mógł ją wydać, ale nie zrobił tego. Poza tym już nie miała wyboru.

– Tajemnicą jest to, co kryje się w tutejszych ścianach. A pan dopiero zaczyna to odkrywać.

Zrobiła intrygującą pauzę. Otworzyła oczy i nie zamknęła ich aż do momentu, w którym poczuła, że nie ma już nic do powiedzenia:

– Niektórzy więźniowie nigdy nie wychodzą ze swoich cel. Wypuszczają tylko tych, którzy mogą pracować w kamieniołomie lub napędzać młyn na podwórzu. Często umierają w celach, a strażnicy dopiero kilka dni później orientują się, że ich ciała pożerają szczury. Strażnicy powyrywali ze ścian haczyki na ubrania, bo co tydzień znajdowali na nich wisielca. W zakładzie psychiatrycznym widziałam, jak przymuszone przez pannę Grady pielęgniarki, w środku zimy otwierały na oścież okna i kazały pacjentom chodzić w kółko po sali i sprzątać cały budynek, włącznie z pokojami lekarzy i pielęgniarek. Biedacy padali ze zmęczenia. Ale w gabinetach lekarzy i ich jadalni, oczywiście, jest ciepło aż do wiosny. Zresztą praktycznie nie ma tu lekarzy, są tylko studenci, którzy zmieniają się co miesiąc. Można ich spotkać, jak zabijają czas, spacerując po Wyspie czy wychodząc z pokoi pielęgniarek o nieprzyzwoitej porze. Za to pacjentami prawie się nie zajmują.

Podniosła się, wysoka i wzburzona, nagle płomienna. Przechadzała się po pomieszczeniu, od okna do okna. Z uporem uwięzionego motyla, któremu pozostał zaledwie dzień życia. Mówiła dalej:

– Wiele pacjentek trafia do ambulatorium z zapaleniem płuc. Wiele z nich z tego nie wychodzi. Gdy krzyczą albo mają koszmary, kąpie się je w lodowatej wodzie i kładzie spać na twardym, zimnym łóżku, na gołej ceracie. Pod głowę dostają poduszkę wypchaną słomą. Widziałam, jak się te kobiety diagnozują podczas przyjęcia. Zazwyczaj nie rozumieją, o co są pytane. Próbuje odpowiadać po angielsku, a że nie znają go za dobrze, udzielają sprzecznych odpowiedzi. Inne zachowują się ponoć nie całkiem przyzwoicie, przynajmniej według ordynatora, który nawet nie patrzy na nie, bo jest zbyt zajęty flirtowaniem z pielęgniarką.

Niektóre kobiety zsyła się na Wyspę Blackwella za domniemaną zdradę. Mnie też mogliby uznać za wariatkę, bo odrzuciłam małżeństwo, które z pewnością uratowałoby mi życie...

Wzięła oddech. Poczwała skurcz w brzuchu, ale mówiła dalej:

– Dzieci z zakładu poprawczego są dręczone i wykorzystywane. Te, które to przetrwają, jeszcze przed powrotem do normalnego świata, zmieniają się w żądne zemsty potwory. Pozostałe toną w rzece, próbując przedostać się na drugi brzeg. Dzieci w sierocińcu umierają z odwodnienia, bo na trzydzieścioro dzieci są zaledwie dwie butelki. Te słabsze karmi się, jak się da, ze strzykawki. Niektóre więźniarki i pacjentki zaszły tu w ciążę. Nagle przestają być w ciąży, ale dzieci w sierocińcu jakoś wtedy nie przybywa... Raz znalazłam worek, który zaklinował się między skałami na plaży, a w nim...

Anne podniosła dłoń do ust, jakby obawiała się, że zwymiotuje na samo wspomnienie tamtego widoku.

– Spokojnie, Anne – powiedział Karol, podsuwając jej krzesło. Musiał się powstrzymać, żeby jej nie objąć.

Anne przełknęła ślinę, usiadła i starała się otrząsnąć z okrutnych wspomnień. Opowiedziała mu, jak przekonała Adę do pisania listów, bo sądziła, że zesłańcy ich potrzebowali. Twarz Anne rozpromieniła się – pomysł podsunęła jej jedna z pielęgniarek. Wyjechała na weekend, a po powrocie, podczas śniadania, opowiedziała im, że Karol Dickens przyjedzie do Nowego Jorku. Zrobiło się niezłe zamieszanie, bo jak zapewne pamięta, na nocnych dyżurach wszystkie czytały jego powieści. Jednak ją najbardziej zainteresowało to, co tamta powiedziała potem: że był pisarzem biedaków i tych, których lekceważono. Anne mówiła tak, jakby wszystko przeżywała od nowa. Pielęgniarka powiedziała też, że podczas sześciomiesięcznej podróży chciał odwiedzić przytułki, więzienia i szpitale.

Wtedy na to wpadła. Napisze do niego! To na pewno był znak. Musiała ściągnąć go na Wyspę Blackwella.

– No proszę, więc jestem. – Karol uśmiechnął się uspokajająco. Zawiesił głos i dodał: – Co mogę dla pani zrobić, Anne?

Anne, zanim odpowiedziała, długo wpatrywała się w pisarza.

– Chcę, żeby był pan naszym rzecznikiem. – Zawiesiła głos. – Żeby przywrócił pan tym ludziom chęć marzeń. Chcę, żeby był pan głosem Wyspy.

Karol milczał przez kilka sekund.

– Ale jak mam to zrobić? – zapytał w końcu. – W ciągu czternastu dni nie uda mi się na własne oczy zobaczyć, co przeżywają ci biedacy.

Anne wbiła w niego małe, migdałowe oczy.

– A gdyby to oni sami panu o tym opowiedzieli?

Karol podniósł oczy. Uważaj – powiedział sam do siebie. Pomyśl, w co się pakujesz, przyjacielu – zdawał się słyszeć ojcowski głos Irvinga w swojej głowie.

– Zrobiliby to? – zapytał.

– Rozmawiałam z nimi i są gotowi – odpowiedziała Anne, zdecydowanie.

– Kto jest chętny?

Zapadła cisza.

Pielęgniarka uśmiechnęła się po raz pierwszy tej nocy, a Karol odetchnął.

– Większość już pan poznał.

Dziewczyna zamilkła. Nie śpiesz się, Anne – powiedziała sama do siebie.

Nagle zawahała się, czy aby nie powinna była powiedzieć mu całej prawdy, bez niedopowiedzeń. Nie ulegało wątpliwości, że potrzebowali świadka tego, co się dzieje na Wyspie. Świadka na tyle sławnego, żeby mógł o nich napisać... Potarła twarz dłońmi. Czuła, że pisarz ją obserwuje, szukając informacji w każdym jej ruchu. Karol był bardzo inteligentny. Na pewno wyczuwał, że mieli znacznie bardziej ambitny plan. Plan, który zakładał jego znacznie większe zaangażowanie. I właśnie dlatego – powiedziała sobie Anne – koniecznie trzeba było go wy badać i zobaczyć, jak daleko jest skłonny zaangażować się.

– Dobrze – potwierdził. – Pomogę wam, skoro tego pani chce. Ale jak mam się skontaktować z resztą?

– Jest pan pisarzem – powiedziała, nie mogąc ukryć radości. – Na pewno coś pan wymyśli przed jutrzejszym spotkaniem z dyrektorem zakładu.

– Spotkanie? Jakie spotkanie?

Ale Anne Radcliffe już zniknęła za drzwiami obserwatorium niczym piękny duch.

Karol podszedł do wysokiego okna. Oddzielało go od nowych wątków, od przygody, od jej bohaterów i niebezpieczeństw. Wiedział już, jaką tajemnicę kryła Wyspa – tak przynajmniej mu się wydawało. Ale zdał sobie sprawę, że w ich dialogu brakowało jednej kwestii. Anne wyszła, nie powiedziawszy mu, gdzie jest skarb.

*Dzień 4*

„Nietolerancja systemu nie zabija nikogo, ale ujarzma duszę. Narzucenie własnych kryteriów i drapieżna cenzura prowadzą do zubożenia ludzkości. Uciszanie czyjegoś głosu jest równoznaczne z niedopuszczeniem do rozwoju”. Te słowa brzmiały w głowie pisarza bezskutecznie próbującego przyszyty brodę pożyczoną brzytwą. To nie były jego słowa. Wypowiedział je John Stuart Mill podczas pewnej kolacji w jego domu. Od kiedy wyzwolił się spod wpływu ojca, zaczął mówić własnymi słowami – pomyślał Karol, wycierając ręcznikiem resztki piany z twarzy.

Być głosem tych, którzy głosu nie mają – w jego głowie pobrzmiwał celtycki akcent pielęgniarki. Strzepnął resztki piany z ostrza, uderzając nim o miednicę. A czy to nie on skarżył się Irvingowi na brak wolności słowa? – zapytał sam siebie z niewyraźnym uśmiechem.

Tego ranka Wyspa była zasnuta gęstą mgłą. Doskonałe tło do rozmowy, którą nieustannie przeprowadzał w myślach. Jeżeli Anne powiedziała prawdę, ci ludzie byli dosłownie niewidzialni dla świata.

\*

Wyszedł na spacer wcześniej bez śniadania. Doszedłszy do ogrodu, minął pielęgniarkę i lekarza, którzy zdawali się prowadzić bardzo osobistą rozmowę. Od nocnego spotkania z Anne nie zmrużył oka. Wciąż słyszał też smutny dźwięk skrzypiec, który dochodził z ciemności niczym śpiew nocnego ptaka. Wydawało mu się, że przechodząc obok latarni, zobaczył wychodzącą stamtąd postać. Ale nie zdołał jej się przyjrzeć.

Szedł, rozcierając dłonie i przeklinając się za to, że zapomniał rękawiczek. Po tym, co wyjawiała mu Anne, nie mógł się od niej odwrócić. Chociaż wiedział, co to za sobą pociąga: problemy. Niemal słyszał głos uwielbianego Washingtona, dobiegający z Sunnyside: „Widziałeś nagłówki, Karolu? Po to pojechałeś na Wyspę Blackwella? Żeby napytać sobie i mnie biedy?”. Zobaczył też niezadowolony wyraz twarzy Kate, czytającej przed kominkiem. Zaciskała wargi, żeby powstrzymać się od wyrzutów – przecież powinien myśleć o przyszłości ich dzieci. Nie zdawał sobie sprawy, że to oznacza wojnę ze Stanami Zjednoczonymi,



z prasą i z czytelnikami? Karol zagłębił się w mgłę, poczuł jej zapach i kierując się słuchem, szukał rzeki. Słyszał ją tak blisko, że obawiał się postawić kolejny krok, by do niej nie wpaść. Dobiegł go śmiech strażników eskortujących więźniów w drodze do kamieniołomu. Tytus pozdrowił go, unosząc dłoń i ruszył dalej, raz po raz spluwając.

Bez wątpienia będą z tego kłopoty – pomyślał Karol, ale czyż nie chodzi o przyszłość dzieci? Czy nie próbował zostawić im w spadku trochę bardziej sprawiedliwego świata? Jak mógł odebrać głos tym, których zmuszano do milczenia? Poza tym, dopóki nie wprowadzą praw autorskich, w tym kraju nie dostanie ani dolara za swoje książki. Co miał do stracenia? Sympatię? Sławę? Są sytuacje, w których trzeba się opowiedzieć po jednej ze stron. Brak działania też jest działaniem. Być może jego amerykańska powieść nie powinna być powieścią, ale pamiętnikiem z podróży – pomyślał. Otóż to! Książka napisana w pierwszej osobie opowiadająca o wrażeniach i doświadczeniach z kraju, który bez wątpienia będzie potęgą, ale który – jak to mawiał Washington – musi wpierw poczynić kilka ważnych kroków. Karol zrobił krok w przód i poczuł, że ma mokre skarpetki. Cóż za metafora – pomyślał, ścierając błoto liściem. Doskonała metafora tego, co zamierzał zrobić: chodzenia po ruchomych piaskach.

\*

Anne Radcliffe też wstała wcześniej. We wtorki przybywali nowi pacjenci. Musiała przygotować łóżka i karty przyjęcia. Przeczytała ich nazwiska: Samuel Fugate i Darcy Moore. Kolejna Irlandka – zmartwiła się. Według dokumentacji przywożono ich ze szpitala więziennego w Sing Sing. Anne zapięła bluzkę po samą szyję i sięgnęła po wełniany szal. Co tym razem było powodem przysłania tych nieszczęśników na Wyspę? Brakowało im łóżek w Sing Sing? Buntowali się? Ogarnął ją smutek. Zawsze tak się czuła we wtorki, na widok wypełnionej nowymi pensjonariuszami łodzi, kierowanej przez odrażającego, pijanego strażnika o wyglądzie pirata. Dziś jednak przepełniała ją energia. Wszystko szło zgodnie z planem. Tak jak to sobie wyobrażała, Karol był człowiekiem szlachetnym. Jednego tylo nie była pewna: jak wiele będzie skłonny zrobić?

Kiedy doszła na plażę, zdziwiła się, zauważywszy go siedzącego na ławce, we mgle. Wokół niego tłoczyły się dzieci z zakładu poprawczego.

– Widział go pan? – pytał szczerbaty chłopiec, wyciągając do góry brodę, by wydawać się wyższym.

– Nie! Broń Boże! Ale mój biedny przyjaciel Washington Irving i owszem. Opisał go w jednej ze swoich książek. Do dzisiaj się boi – odpowiadał teatralnym głosem z udawanym przerażeniem.

Gdy zauważyli nadchodzącą Anne, przywitani ją donośnymi krzykami:

– Panno Radcliffe! Słyszała pani, panno Radcliffe?

Śmiali się nerwowo, a najmłodszy zerkali na wodę z szeroko otwartymi oczami.

– Co się dzieje, panie Dickens? – zapytała, próbując ukryć śmiech.

– Opowiadałem tym młodzieńcom, dlaczego nie powinni zbliżać się do rzeki, kiedy jest mgła. Nigdy nie słyszeli o Spooke’u...

Anne udała przerażenie.

– Oczywiście, Spooke...

Na sam dźwięk tego imienia wymówionego przez pielęgniarkę podniosła się wrzawa. „Widziała go pani?”. „Naprawdę go pani widziała?”.

– A ten pana przyjaciel? Ten pisarz... – dopytywał najstarszy, w za małej czapce. – Skoro go widział, to czy powiedział panu, jak wygląda?

– Irving... – Karol tajemniczo zawiesił głos – tak.

Kolejna pauza, po której byli gotowi, by słuchać.

– Ale nie tylko on go widział – przekonywał Karol. – W swojej książce napisał, że gubernator Stuyvesant wystrzelił do niego srebrną kulę... – Zawiesił głos i zrobił groźną minę. – Irving napisał, że był to czarny mężczyzna w trójgraniastym kapeluszu. Siedzi za sterem łodzi i pojawia się w okolicy Hell’s Gate w mgliste i burzowe dni. Dlatego właśnie to miejsce nazywa się Bramą Piekieł. Spooke przypląwa tam, by zabrać dzieci, które kradną i nie słuchają się starszych, a przede wszystkim takie, które znęcają się nad słabszymi... – Ponownie zawiesił głos i odwrócił się w stronę rzeki. – Chwileczkę! Co to jest?

Doszedł do nich dźwięk wiosła uderzających wodę. Z mgły wyłoniła się łódź oświetlona wątlm światłem. Na przedzie stała skulona postać z przepaską pirata na oku.

– To Spooke! – wrzasnął najmłodszy z chłopców, a reszta zerwała się na równe nogi i zaczęła uciekać.

Anne i Karol wybuchnęli śmiechem.

– Już raczej nie będę się musiała martwić, że rzucą się do rzeki albo że podczas burzy trafi ich piorun – powiedziała Anne, patrząc za ostatnim z chłopców biegnących w stronę zakładu poprawczego.

– Potrafię nastraszyć dzieci. Proszę pamiętać, że sam mam kilkoro – odparł Karol.

Anne wyglądała na zdziwioną. Próbowała go sobie wyobrazić z rodziną. Jak opowiada bajki dzieciom przed eleganckim kominkiem, w salonie ozdobionym rodzinnymi obrazami, z ławką pod oknem. Zawsze tak sobie wyobrażała Londyn, z domami o wysokich sufitach i oknami wychodzącymi na ulicę.

– Proszę mi powiedzieć – rzekła, siadając obok – czy to prawda, że Irving napisał także o legendach Wyspy Blackwella?

Karol przytaknął.

– Widzę, że pani też się boi. Proszę nie zaprzeczać.

Anne zachichotała. Nagle coś zgasiło rozbawienie pielęgniarki.

Do pomostu dobiła łódź. Sześciu wioślarzy w więziennych pasiakach podniosło wiosła. Karol rozpoznał jednego z nich. Więzień z celi 106 przypatrywał mu się smutnymi oczami. Strażnik jednym susem zeskoczył z łodzi i wyciągnął trap, po którym zeszła dwójka nowych pacjentów: mężczyzna, który sprawiał wrażenie odurzonego, i młoda dziewczyna z gęstą, czarną czupryną. W dłoni trzymała przesadnie duży wachlarz z piór, a ubrana była w sukienkę tak krótką z przodu, że widać było jej jędrne nogi, niebieskie podwiązki i pocerowane pończochy. Schodząc z trapu, pewnie zeskoczyła na ziemię i spojrzała na Dickensa zaskoczona:

– No proszę – powiedziała i podeszła do niego, kręcąc biodrami tak, że z trudnością zachował powagę. – Nie jest pan przypadkiem moim lekarzem?

Karol posmutniał, a Anne czym prędzej wprowadziła nowoprzybyłych do środka. Jego uwagi nie przyciągnęło kołysanie bioder prostytutki, ale to, że mężczyzna podobno przywieziony ze szpitala był... niebieski. Anne Radcliffe także myślała, że śni, kiedy mężczyzna nieśmiało podniósł wzrok. Jego niepokojący wygląd nie był wynikiem hipotermii ani choroby morskiej wywołanej przeprawą przez East River. Samuel Fugate nie był ani biały, ani czarny, był niebieski.

Pisarz tak się zafascynował tym, co zobaczył, że nawet nie zauważył, kiedy łódź odplynęła. Po prostu zniknęła. Dostrzegł natomiast, że nieco dalej – tam, gdzie zniknął niebieski gość – podpierając ścianę zakładu psychiatrycznego, jakby próbowali zapobiec jej zawaleniu, odpoczywali więźniowie z żelaznymi szpadlami. Wśród nich szczebiotał Tim, kaleki chłopiec. Mężczyźni przekazywali sobie papierosa, aż w końcu jeden z nich zaoferował go chłopcu, który oparłszy kule o ścianę, ścisnął w dłoni zadziwiający, dymiący przedmiot. Kiedy włożył go do ust i zaczął się krztusić tak, że zrobił się czerwony, mężczyźni wybuchnęli salwą gromkiego śmiechu.

Karol prychnął. Jak ochronić chłopca przez takim otoczeniem? Chwilę przed tym, zanim opowiedział chłopcom z zakładu poprawczego historię Spooke'a, widział, jak mu dokuczali. Szczur, z czystym i nieskrywanym okrucieństwem, uciekł z jedną z jego kul. „No dalej, połamańcu, łap mnie!”, wrzeszczał z całych sił. A Tim, nie mogąc się wesprzeć na dwu kulach, kręcił się wokół własnej osi, podczas gdy inni chłopcy pluli na niego i ciągnęli go za uszy. Jak powiedział mu później jeden z nich, kula trafiła do zbiornika z wodą. To Anne ją wyciągnęła. Strasznie nakrzyczała na Szczura, ale nie odważyła się na niego donieść. Wiedziała, jaka kara czekałaby go w zakładzie poprawczym.

Zobaczył, że Tim macha do niego.

Chłopiec wziął kulę i kuśtykając, ruszył w jego stronę. Zajęło mu to ładną chwilę. Pomyślał, że dla tego malca przemieszczanie się między budynkami było prawdziwym wyzwaniem. Patrzył, jak idzie na sztywnych nogach. Nie mógł zginać

kolan, co sprawiało, że jego biodra i plecy przesadnie się skręcały. W Londynie jest ortopeda, który robi znacznie bardziej elastyczne aparaty, pomyślał pisarz. Mógłby się z nim skontaktować...

– Cześć, mały podróżniku – powiedział Karol, gestem dłoni pokazując mu, żeby usiadł.

– Kim pan mnie nazwał? – zapytał chłopiec.

– Podróżnikiem – powiedział Karol z przekonaniem. – Czy nie mieszkasz na wyspie?

– Tak... i dlatego jestem podróż...?

– Tak, podróżnikiem. Poszukiwaczem przygód. Odkrywcą. Skoro dotarłeś na wyspę, to pewnie już ją zbadałeś.

– Tak...

– A prawdziwy odkrywca znajduje miejsca, których nikt wcześniej nie odkrył...

Tim potaknął przesadnie energicznie.

– Pewnie! Na przykład pierwszy odkryłem, że obok latarni jest gniazdo raków!

– Widzisz! Byłem pewien! Odkryłeś nowy, endemiczny gatunek! Jak tak dalej pójdzie, będziesz sławny!

– Tak pan sądzi?

– Jestem pewien.

– Panu też się coś takiego przydarzyło?

– Coś bardzo podobnego.

– I będę mógł podróżować?

– Oczywiście.

– I zostać kapitanem statku?

– Być może.

Karol przecesał dłonią zakurzone włosy chłopca.

– Dokąd byś popłynął?

Malec energicznym ruchem rączki wskazał horyzont, zza którego wyłaniał się już kipiący porannym życiem Manhattan.

– Do tamtej zatoki.

Karol odetchnął powietrzem ciężkim od sadzy. Manhattan wydawał się mieszkańcom Wyspy bardzo daleki, choć jego dymy docierały tu tak łatwo.

– Jeżeli takie masz życzenie, to popłyniesz na tę drugą wyspę, ale musisz być bardzo ostrożny. – Gestem dłoni dał mu znać, by się zbliżył i nadstawił ucha. – Na tej wyspie roi się od wyblakłych tygrysów.

Chłopiec rozejrzał się w prawo i w lewo, podekscytowany. Pisarz mówił dalej:

– Spójrz na nie. Tam, z mgły, wyłania się grupa tygrysów... Widzisz?

Tim przetarł swoje duże oczy i zobaczył. Tuż przed nimi. To cud. Dlaczego nie widział ich wcześniej? Spowite mgłą tygrysy powoli spacerowały brzegiem plaży. Olbrzymie koty miały czarno-białe pasy. Spoglądały na nich migdałowymi oczami, a potem unosiły nosy i węszyły. Kiedy przeszły przed nimi majestatycznym krokiem, Tim dostrzegł ich wielkie pazury, długie białe wąsy i obłoki ciepłej pary wydobywające się z ich aksamitnych paszczy. I chociaż serce waliło mu ze strachu, pomyślał, że to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jaką w życiu widział.

– Takie jest życie odkrywcy, mały Timie. Czeka cię wiele niebezpieczeństw, ale szybko się wszystkiego nauczysz. – Położył mu dłonie na ramionach. – Musisz mi coś obiecać: będziesz się trzymał z dala od tygrysów. Niektóre wydadzą ci się urocze, ale nigdy nie możesz być ich pewien. Rozumiesz? Kiedyś to byli dobrzy ludzie, ale zbczyli ze swojej ścieżki i czary zmieniły ich w bestie. Dopóki nie zakończy się ich kara, będą wałęsać się po Wyspie i nie odzyskają dawnej postaci. Rozumiesz?

Chłopiec potaknął i zafascynowany patrzył na oddalające się stado. Bestie, owszem, ale jakie piękne... Pomyślał, że bez wątpienia czekało go wiele niebezpieczeństw, ale na Wyspie zostało mu jeszcze sporo do odkrycia.

Karol, gładząc jasne, szorstkie włosy Tima, patrzył na oddalających się więźniów, którzy żuli tytoń i palili papierosy. Pomyślał, że mały Tim jeszcze ma czas, żeby zapytać ojca, dlaczego zamienił się w tygrysa. Zresztą on sam to zrobi, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

\*

O tej porze osadzeni na Wyspie w różnych miejscach zaczęli wychodzić na zewnątrz. Karol patrzył, jak krajobraz zapełnia się chorymi psychicznie i więźniami. Gdzieś w głębi pokrzykiwała grupa dzieci. Chwiejnym krokiem nadchodzili starszycy, a nawet niewielka grupa palących fajki lekarzy w białych fartuchach. Gdzie się podzieją na cały dzień, pomyślał, gładząc delikatny zarost. Od kiedy tu przebywał, był coraz bardziej przekonany, że Wyspą rządzą strażnicy i pielęgniarki. Uważnie patrzył na bezimienny, szarobury tłum. Nie mógł się przyzwyczaić do tego, że o określonej godzinie łąkę na Wyspie zapełniali ludzie, z których każdy mógł być bohaterem powieści. O tej porze, jedyny raz w ciągu dnia, odpoczywali więźniowie wykonujący ciężkie prace. Wychodzący na zewnątrz pacjenci zakładu psychiatrycznego okryci byli tylko szalami. Mogliby im dać choć koce i przesunąć spacer o kilka godzin, by słońce stało nieco wyżej. Wtedy przynajmniej wyjście sprawiłoby im przyjemność. Powinien to zapisać w notesie i przekazać dyrektorowi zakładu, panu Scrau... Jakże on miał na imię? Mógł też przyjrzeć się z bliska nowemu pacjentowi, Samuelowi Fugate. Był to człowiek raczej młody, z początkującą łysiną, postawny, z jasną, nastroszoną

brodą, która kontrastowała z niebieskim odcieniem skóry. Spacerował po plaży samotnie, szukając swojego miejsca. Czarni zbierali się na łące za zakładem psychiatrycznym. Biali gromadzili się nieopodal kaplicy Świętego Nelsona. Ale Samuel był niebieski i nie pasował do żadnej z grup. Później Anne powiedziała mu, że wywołał wielkie zamieszanie w zakładzie, bo nie wiedzieli, w którym pokoju go położyć ani do której z ławek w stołówce go przypisać. Od początku bowiem dzielili pacjentów na mężczyzn i kobiety, białych i czarnych.

\*

W tamtych czasach myśleli, że to jakaś nowa rasa, ale okazało się, że Samuel cierpi na argyrię, wywoływaną przez zbyt długi pobyt w kopalni srebra. Pech chciał, że jego choroba przypadła na czas, w którym kolor skóry miał coraz większe znaczenie. Jej niebieski odcień sprawił, że Samuela zaliczono do czegoś najgorszego w Ameryce w tamtym czasie: widocznej mniejszości.

Do nielicznej i bardzo rzucającej się w oczy mniejszości.

Rodzina Samuela pochodziła z Appalachów i trudniła się wydobywaniem srebra. Jego matka, także niebieska, cierpiała na chorobę dziedziczną, w wyniku której krew przenosi mniej tlenu. U białych jej efektem jest wyraźnie niebieski kolor skóry. Ale żyjący w górach klan Fugate nigdy nie zwracał na to uwagi. Nie obchodziło ich to, czy są biali, czarni czy niebiescy. Ta cecha ustępowałyby, gdyby nie to, że podtrzymywali ją, żeniąc się między sobą. Dopiero gdy klan opuścił góry, zorientowali się, jacy są niezwykli. Zrozumieli też, że prawa i oczekiwania ludzi ze świata zewnętrznego zależą od koloru skóry. Dlatego skończyło się tym, że przez wiele pokoleń pokazywali swoją nietypową niebieskość za pieniądze.

Wydawało się, że jedynie Florita nie jest zaskoczona kolorem skóry Samuela. Ponoć w swojej wiosce widziała wiele przypadków zatrucia srebrem. Potomkowie Majów sądzili, że sole srebra leczą kaszel, przeziębienia, grzybice i inne choroby. Oczywiście na ciemnej skórze Indian niebieski pigment był znacznie mniej widoczny niż na skórze białych. Floricie podobał się niebieski człowiek i pomyślała nawet, że gdyby istniał Tepu, majański bóg nieba, to wyglądałby właśnie tak.

Spacerujący pomiędzy przedstawicielami innych ras Samuel Fugate, jako jedyny w Nowym Jorku reprezentant niebieskiej mniejszości, nie podzielał tej opinii. Ograniczył się do przyjęcia swojego wygnania, skazania na genetyczną izolację. A to wszystko na planecie, która pewnego dnia będzie, tak jak on i jemu podobni, nazywana niebieską.

\*

Karol poruszył się na ławce i poczuł zimno. Odkąd przybył na Wyspę, nie mógł się rozgrzać. A teraz na dodatek denerwował się spotkaniem z dyrektorem

zakładu, które Anne umówiła w jego imieniu. Wszyscy się go bali. Był jedynym z zarządzających Wyspą, który zechciał pokazać swoją twarz. Bez wątpienia musiał być nieludzki, skoro zezwalał, by zakład prowadzono w taki sposób. Pisarz miał zaledwie jeden dzień, żeby wymyślić wiarygodny powód, dla którego chciał zbliżyć się do swoich „informatorów”. Z drugiej strony musiał zapytać Anne, kim byli. Trochę o nich wiedział, ale obawiał się, że pielęgniarka zbyt liczy na jego wyobraźnię. Do licha, pomyślał. W końcu był pisarzem, a nie jasnowidzem!

W tym samym momencie zobaczył Anne, zbliżającą się do niego szybkim krokiem, z porozumiewawczym uśmiechem. W dalszym ciągu miał wrażenie, że w tych oczach w kolorze rzeki, kryje się jeszcze wiele sekretów.

– Co powiedział pan Timowi? Przyszedł do mnie cały podekscytowany i wręczył mi ptasie gniazdo, które spadło z drzewa. Powiedział, że odkrył endemiczny gatunek...

– No cóż. – Dickens zrobił tajemniczą minę. – Obawiam się, że ja też zacznę racjonować tajemnice.

Anne zrobiła minę udawanej złości i odwróciła się do wzburzonej rzeki. Karol pomyślał, że wygląda niczym smutna panna młoda, czekająca na powrót swojego ukochanego z morza. Czasami się zamyślała, a na jej twarzy malowała się melancholia. Czy Anne Radcliffe kogoś kochała? Kto zajmował miejsce w jej sercu? Gdyby była jedną z jego bohaterek, na pewno nie wyrzekłaby się miłości tak szybko, szczególnie będąc tak piękną. To byłoby mało prawdopodobne. A może jej duszę wypełniało niezłomne powołanie do pomagania innym?

Nigdy wcześniej nie poznał kobiety tak odważnej – tego był pewien. Stojąca nad morzem, wydała mu się romantyczną bohaterką z powieści. Chciał zadać jej tyle pytań, ale żadne z nich nie było stosowne. Powiedział więc tylko:

– Przepełnąłbym East River wpław, tam i z powrotem, żeby dowiedzieć się, o czym pani teraz myśli.

– Ściągnąłby pan cylinder, czy nie? – zapytała, rozbawiona.

– Zastanawia się pani, czy mnie o to nie poprosić, prawda? Ostatnimi czasy nieco pani przesadza...

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Myślałam o tym, że... – powiedziała – że żałuję, że jest styczeń i że nie było tu pana na Boże Narodzenie. Mógłby mi pan pomóc zmusić Scraugha do urzędzenia świąt.

– Jak miałbym to zrobić?

Podniosła zraniony palec do ust.

– Kiedyś pozwalano tu przychodzić przedstawicielom dwóch fundacji. Zbierały zabawki w bogatych dzielnicach i przynosiły je do sierocińca. Ale Scraugh stwierdził, że to niepotrzebne zamieszanie, bo dzieci już przywykły do tego, że nie mają zabawek i na pewno by ich nie doceniły... Pani Grady jak zwykle

zgodziła się z nim.

– Czyli trzeba będzie im zrobić zabawki, nie sądzi pani?

Anne odwróciła się do niego i skrzyżowała ramiona.

– Chyba nie rozumiem.

– Wyobrazimy je sobie, Anne. – Podniósł się i podszedł do niej. – Możemy sobie wyobrazić wszystko, co chcemy. Nawet to, że jest Boże Narodzenie. Najważniejsze, byśmy uratowali wyobraźnię tych dzieci. Czy nie tak powiedziała pani wczoraj? Żeby pozostały dziećmi. Żeby miały szansę przetrwać w tak wrogim otoczeniu, nie sądzi pani? Wyobraźnię możemy też rozbudzić u dorosłych. Pewnego razu mój ojciec, któremu niewiele udało się w życiu, powiedział coś niezwykle trafnego. Rzekł do mnie: „Synu, dusza żywi się dwoma rzeczami: literaturą i religią, bo obydwie uczą cię wierzyć w nieuchwytnie. Żeby być szczęśliwym, musisz wybrać przynajmniej jedną z nich”. I proszę, oto jestem. Literatura uratowała mnie wiele razy, gdy zaczynałem sądzić, że szczęście nie istnieje. – Anne nie mogła oderwać od niego wzroku. Jedną dłoń uniosła do góry niczym dyrygent orkiestry, który zwołuje instrumenty. – Wyobraźnię trzeba ćwiczyć, Anne. Jak słuch czy węch. Jak ciało. Jak pamięć. Dajmy im moc, by mogli przenieść się gdzieś daleko stąd lub zmienić tę Wyspę, tak jak im się to spodoba. Zaczniemy od pani.

– Ode mnie? – powiedziała, wracając do rzeczywistości.

– Tak. Proszę o coś poprosić. O coś, co chciałyby pani, żeby spełniło się w tej chwili.

Anne wpatrywała się w niewielką ranę na palcu. Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– No dalej, moja droga. Niech się pani nie wstydzi. Proszę sobie wyobrazić, co tylko pani chce – zachęcał ją.

– Nie wiem. – Schowała dłonie, których nagle zaczęła się wstydzić. – To zbyt wiele wolności naraz.

– Proszę się odważyć. Przed chwilą pani powiedziała, że chciałyby pani, żeby było Boże Narodzenie, prawda? – Zrobił krok w jej stronę. – O tym pani marzy?

Przytaknęła, zdezorientowana.

– Jest dwudziesty czwarty grudnia – zaczął. – Zimno, czujesz? I pachnie śniegiem. Jak wyglądają święta w twoim domu? Co robicie?

– Nie wiem – odrzekła i przez kilka sekund milczała. – Nie wiem. Już od dawna nie... zapomniałam – powiedziała, wsłuchując się w dźwięki nadbiegające z drugiego brzegu rzeki. Dźwięki, które zdawały się wypełniać jej wspomnienia kolorami.

– Śmiem wątpić. Widzisz, wydaje mi się, że widzisz teraz ludzi biegnących tam i z powrotem po ulicy. Na jakiej ulicy mieszkasz?



– Na Bowery – odpowiedziała, niemal nie otwórzysz ust.  
– Czy na Bowery jest jakaś piekarnia?  
– Tak, jedna – odrzekła, jakby ją właśnie zobaczyła.  
– Więc ludzie pędzą, by zanieść do niej mięso. To bardzo irlandzkie, prawda? W niedzielę piekarniom nie wolno piec chleba, więc ludzie korzystają z okazji, by upiec mięso. Mylę się?

– Nie.

– Dzwonią dzwony?

– Tak – przytaknęła. – Dziś dzwonią jakoś bardziej radośnie.

Karol ożywił się i dodał:

– Ludzie spotykają się z rodzinami, nawet jeżeli zbytnio się nie lubią. Ten jeden jedyny raz w roku zmuszają się, by ze sobą porozmawiać.

– Po sąsiedzku mieszka mała dziewczynka, która nigdy nie mówi mi dzień dobry – przerwała mu. – Ale dziś życzy mi Wesołych Świąt.

– Tak, ludzie składają sobie życzenia na ulicy. Nawet jeżeli wcześniej nigdy ze sobą nie rozmawiali. Matki pieką pudding i odwracają go ostrożnie, żeby się nie rozpadł. Wchodzisz do domu, kogo zastałaś?

– Jest ojciec i mama. Moi bracia i siostry. Pachnie świeżym praniem, ściereczką, w którą owinięty jest pudding. Potem polewają go odrobiną koniaku i podpalają, a tata ozdabia go gałązką ostrokrzewu...

Dzwony Manhattanu zaczęły bić. Zimny wiatr, który teraz niósł zapach pieczonych kasztanów, owiał ich twarze. Anne otworzyła oczy. Stali pośrodku gwarnej ulicy Bowery. Mijali ich uśmiechnięci ludzie, spieszący się na spotkania z rodzinami. Wszystko spowijało bursztynowe światło. Anne miała na sobie piękną czerwono-zieloną suknię. W dłoni trzymała niewielki koszyk pełen kandyzowanych owoców. Spojrzała na Karola wzrokiem, którego nigdy nie zapomniała.

– Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję.

Panna Grady miała wiele bardzo nieładnych zwyczajów. Mówiła z pełnymi ustami, rano smarkała do umywalki, przeczesywała nastroszone włosy wyrastające z pieprzyka i podglądała ludzi przez szpary, przyczajona niczym lisica gotowa skoczyć na bezbronną ofiarę.

I to właśnie robiła przez ostatnią godzinę. Z tym, że tym razem jej ofiary były okazalsze. Z ogromnego okna pokoju zabiegowego obserwowała angielskiego gościa, rozmawiającego z pielęgniarką Radcliffe. Tak samo jak wczoraj, gdy przyłapała ich w połowie drogi. Gdyby nie pogarszająca się krótkowzroczność, byłaby pewna, że się kłócili. Z żalem wspomniała dni, kiedy miała sokoli wzrok, który pozostawił na jej twarzy nieco ptasie rysy. Gdyby trzeba było opisać pannę Grady jako ptaka, najodpowiedniejsza byłaby stara, gruba mewa. Upodobał ją do niej chybotliwy chód, którym przemierzała przestronne sale zakładu psychiatrycznego, długi haczykowaty nos, złożone z tyłu ręce przypominające dwa niezdatne do niczego skrzydła i niewysokie podskoki, które wykonywała, spacerując po plaży, żeby nie dać się osiągnąć falom. Miała też zdolność wyczuwania słabszych od siebie ludzi z dużej odległości.

Słabość innych była jej siłą.

Pielęgniarką została nie z chęci pomocy innym, ale dlatego, że uzmysłowiła sobie, że pozwoli jej to znaleźć się w miejscu, w którym będą ją otaczały osoby bezbronne, a ona będzie mogła manipulować nimi do woli. Niektórzy sądzili, że właśnie dlatego nigdy nie opuszcza Wyspy, nawet w wolne dni. Panna Grady nie zniosłaby, żeby coś umknęło jej drapieżnej kontroli, i miała ku temu, jak i ku wszystkiemu innemu, powody.

\*

Nie wiadomo, od kiedy była tak okrutna, ale bez wątplenia narastało to z czasem. Zapewne pierwszy klaps, jaki otrzymała po narodzeniu, był mocniejszy niż zwykle i był pierwszym z wielu. Każdy słaby człowiek, który odkryje słabość w kimś innym, doznaje przyjemności. A kiedy zda sobie sprawę, że ma nad innymi władzę, do której nie jest przyzwyczajony, może popaść w nałóg. Panna Grady była najstarsza z sześciorga rodzeństwa. Jej ojciec, człowiek o podobnym

charakterze, przemawiał w domu językiem przemocy. Jeżeli jedzenie mu smakowało, żona dostawała klapsa. Kiedy był w dobrym humorze, policzkował ich. Jeżeli mu się sprzeciwili, dostawali w twarz. A kiedy miał zły dzień, okładał pięściami pierwszą osobę, na którą się w domu natknął. Rozmowa prowadzona tym brutalnym alfabetem Morse'a, zawsze kończyła się bolesną ciszą jego rozmówcy. Za to poza domem nikt by go nie określił mianem człowieka brutalnego. Pozdrawiał sąsiadów, ściągając czapkę. Nigdy nie awanturował się w barze i uważano go za umiarkowanie pijącego. Wszystko się zmieniało, gdy wracał do domu, w którym uważał się za silnego.

Panna Grady miała w sobie dużo z ojca, chociaż nigdy się nad tym nie zastanawiała. Odziedziczyła po nim nawet jego ulubione powiedzenie: „Ukorz się!”. Walała nim niczym biczem, by zastraszyć pielęgniarkę albo kiedy chciała, żeby któraś z pacjentek wróciła do szeregu. Powtarzała je nawet wtedy, kiedy spoglądała na swoje stare odbicie w lustrze. Mówiła tak sama do siebie, jakby w obliczu swojej wielkiej samotności potrzebowała ojcowskiego urągania, by czuć się mniej samotnie. Wyspa Blackwella stała się jej małym królestwem, gdzie upajała się nieszczęściem swoich poddanych.

Była najstarszą z pielęgniarek. Dlatego dyrektor zakładu psychiatrycznego – bardziej polityk niż lekarz – powierzył zarządzanie nim panie Grady, która udawała jedyną umiejącą zaprowadzić porządek. Pielęgniarki dobierała w zależności od tego, jak bardzo były służalcze. Jedną z jej ulubionych prób podczas rozmów z kandydatkami było liczenie szyb we wszystkich oknach budynku. Nadawały się te, które robiły to bez szemrania i starały się ją zadowolić. Z tymi, które pytały, czemu ma to służyć, sprawa była prosta. Nikt nie mógł podważać jej autorytetu i jej metod.

Pielęgniarka Radcliffe nie udała jej się. Zatrudnił ją dyrektor, kiedy panna Grady, jeden jedyny raz w życiu, leżała w łóżku. Musiała odpocząć, bo dokuczała jej kolka. Kiedy wstała, czekała na nią Anne, z loczkami, twarzą niewinnego aniołka i głosem tak mocnym i przeszywającym, jak jej wzrok. Chętnie by ją wyrzuciła, gdyby miała powód, ale to nie było takie łatwe.

Teraz zrobiło się jeszcze trudniejsze, przez tego wścibskiego Anglika, który najwyraźniej lubił jej towarzystwo.

Zarzuciła szal na ramiona i chwiejnym krokiem przeszła się między gablotami, w których spoczywały przyrządy medyczne – wyłożone czerwonym aksamitem przyborniki z narzędziami chirurgicznymi, flakoniki z próbkami włosów, zębami i innymi relikwiami zanurzonymi w tajemniczych płynach, przedpotopowy mikroskop, zestawy skalpeli, sondy z kości słoniowej i aptekarskie wagi. Potem usiadła i gwałtownie uderzała się po kolanach, aż mocno się zaczerwieniły. Nawet samej siebie nie potrafiła traktować z szacunkiem. Zimno i ta przeklęta mgła rozwijały jej reumatyzm, a to doprowadzało ją do szału. Omiotła

wzrokiem swój pokój, szukając kogoś lub czegoś, na czym mogłaby się wyżyć. Wyłożone kafelkami pomieszczenie było białe jak kostnica. Westchnęła. Cierpliwości, powiedziała sama do siebie, los wszystko zrekompensuje. A rekompensata właśnie nadpływała. Z okna dojrzała nadpływającą łódź, która z jej wysokości wyglądała jak unoszona przez prąd łupina kokosa. Na pokładzie, obok więźniów, były jeszcze dwie osoby. Wielka mewa wbiła wzrok w wodę i zaczęła wydzielać soki trawienne. Złapała krzyż, który należał kiedyś do jej ojca, i z całej siły zacisnęła go w pięści.

Miała misję.

To dawało jej siłę. Sprawić, by zdegenerowane dusze wyprostowały się niczym powyginane przez wiatr sitowie. Osiągnąć, by przez poświęcenie odpokutowały grzechy za życia. Oczyszczyć ich sumienie i ich czyny. Jeżeli to konieczne, poprzez cierpienie.

Pokorę osiągało się poprzez ukorzenie.

Skierowała drapieżne spojrzenie na swoją nową ofiarę. Nieprzyzwoita kobieta pokazywała nogi w sposób nad wyraz niestosowny. Panna Grady uważała Wyspę Blackwella za czyściec, a siebie za jego strażniczkę. Nie bez powodu Wyspa była położona niemal dosłownie w Bramie Piekieł. Trzeba znaleźć jakiś sposób na tę nierządnicę, która zapewne uniknęła więzienia, twierdząc, że cierpi na chorobę, przez którą nie może kontrolować libido. Nie pierwszy raz ma z taką do czynienia. Panna Grady uśmiechnęła się szeroko. Takie lubiła najbardziej. Odechce się jej rozkładać nogi, obiecała sobie. Na pierwszy rzut oka było widać, że tej nieszczęśnicy nikt nie opowiedział o tutejszym zakładzie psychiatrycznym. Nie wiedziała, co czeka ją w tych ścianach.

Panna Grady odwróciła głowę w stronę, gdzie pielęgniarka Radcliffe rozmawiała z pisarzem. Mieli sobie aż tyle do powiedzenia? Widok tych dwojga razem przyprawiał ją o mdłości. Musiała mieć ich bardziej na oku. Postara się omamić pisarza jedną ze swoich najwierniejszych pielęgniarek. Próbowwała przez Lucianę, ale Anglik zdawał się odporny na włoski czar. Przekłęta angielska flegma. Porozmawia z dyrektorem. Trzeba zabronić spacerów przynajmniej do końca wizyty Dickensa, żeby miał jak najmniejszy kontakt z chorymi. Coś wymyśli. Spojrzała na ścienny zegar. Zdziwiła się, jak szybko umknął jej poranek. Przez chwilę obserwowała białą mysz, która wynurzyła się zza jednej z gablot.

Pielęgniarka Radcliffe przechodziła przez łąkę w towarzystwie nowych mieszkańców Wyspy. Wyglądała niczym biały punkt w burym zimowym ogrodzie. Panna Grady zeszywniała, niemal przestała oddychać. Gryzoń rozejrzał się na prawo i lewo. Uniósł się na tylnych łapkach i węszył potencjalne zagrożenia. Potem rzucił się na kawałek sera i plask! Trzaśnięcie metalu, kilka cieniutkich pisków i głowa myszy utknęła w pułapce. Anne Radcliffe weszła do budynku. Spękane, drewniane drzwi zamknęły się za nią, jakby w powiększeniu tamtej

sceny.

Panna Grady stała w bezruchu i ścisnęła krzyż. Napawała się gorzkim smakiem czyjegoś cierpienia i niewielkim zastrzykiem władzy: człowieka nad myszą. Łatwo jest być sprawiedliwym. Jakże to przyjemne uczucie.

*Dzień 5*

Metalowa igła trwała nieruchomo, wskazując północ. W końcu się ustawiła. Karol potrząsnął kompasem. Potem kilkakrotnie postukał w szkiełko, jakby przeszkadzało mu to, że po tak długim czasie w końcu działał jak należy. Było tak, od kiedy przybył na Wyspę. Uparta niczym palec dziecka, które czegoś chce. Dlatego postanowił przeprowadzić eksperyment. Postanowił wziąć kompas ze sobą na spotkanie u dyrektora, żeby sprawdzić czy zmieni punkt odniesienia. Taką przynajmniej miał wymówkę. Przeczesał włosy dłońmi. Były sztywne od saletry. Z pietyzmem wyszczotkował kamizelkę i ponownie spojrzął na niewielki przedmiot, który do tej pory nigdy nie działał. Tak naprawdę zawsze nosił ten zepsuty kompas ze sobą, bo stał się jego talizmanem. Kate uważała, że to zabobony i grzech. Ale czy religia nie jest po prostu zbiorem ustalonych zabobonów? Kate nie rozumiała jego fascynacji tym, co niewidoczne. Kiedy mówił o mesmeryzmie, miała dreszcze. Tymczasem Karol uważał to za naukę, nie za przesąd. Jak co rano, dokładnie wyczyścił poły surduta. Zapiął guziki kamizelki i mankiety koszuli. Jakim cudem mały człowiek może być tak zarozumiały, żeby twierdzić, że zna się na tym, co widzialne i co ukryte. Dla niego świat był wielką tajemnicą. A ta mikroskopijna wyspa na środku rzeki była wielką zagadką. Dlaczego igła kompasu, która do tej pory nie wskazywała żadnego kierunku, nagle postanowiła skierować się na ten, a nie inny skrawek ziemi? Jego ukochana szwagierka Mary powiedziała, że ta igła wskaże mu marzenia... Kto to wie.

Zawiązał aksamitkę pod szyją i z zasmuconą miną szukał się w lustrze. Przez chwilę nie mógł się poznać. W oczach, które na niego spoglądały, odkrył coś nowego. Były jakby większe. Może schudł? Wydawało się, że jest w nich więcej światła, a może chciały mu coś powiedzieć albo o coś go zapytać.

Włożył płaszcz i rękawiczki. Do kieszeni wsunął kompas, który z uporem wskazywał północ. Udawał się właśnie w tym kierunku.

\*

Na północy Wyspy dyrektor zakładu psychiatrycznego, pan Scraugh, stał naprzeciwko kominka, w którym tlił się niewielki płomień. W takiej pozycji – pochylony z obiema dłońmi wspartymi na kominku – przypominał starego,

przyczajonego pająka zawieszzonego na pajęczynie. Zimno – wewnętrzne, nie zewnętrzne – wyostrzyło jego szpiczasty nos, zmarszczyło policzki. Zimno także usztywniło jego chód, kiedy codziennie rano przechadzał się długimi szpitalnymi korytarzami. Jak gdyby nie miał stawów. Właśnie tak, w gotowości do polowania, oczekiwał na swojego gościa. Od powrotu nie mówiono mu o niczym innym. Jakby nie miał innych zmartwień.

Angielski pisarz okazał się być utrapieniem – pomyślał Scraugh, wycierając chusteczką nos, z którego nieustannie kapąło, jakby tworzył się w nim stalaktyt. A teraz gość chciał się z nim spotkać. Panna Grady otrzymała polecenie, żeby podczas jego wizyty wszystko działało bez zarzutu. Dickens słynał z tego, że opisywał, a co gorsza, że wyrażał własne zdanie o wszystkim, co widział. A jakakolwiek publikacja o Wyspie mogła wywołać problemy na linii z nowym rządem Tammany. Poza tym pisarz miał zbyt wpływowych przyjaciół. Scraugh wyciągnął ręce do bezużytecznego ognia. Blask płomieni tańczył na jego twarzy, jakby chciał go roztopić.

\*

Kilka minut później Karol dotarł do zakładu psychiatrycznego. Spojrzał w górę. Chmury przepływały z taką prędkością, że wydało mu się, że budynek z szarego kamienia rośnie, by dotknąć nieba. Kiedy wszedł do środka, takie samo wrażenie zrobiły na nim kręcone schody. Być może źle się odżywił – pomyślał. Albo wygnanie, na które się zesłał, w jakiś sposób zaczynało mieszać mu rozum i zmysły. Wewnątrz zakładu znowu intensywnie pachniało mydłem. Nie potrafił przyzwyczaić się do tego zapachu. A może to trutka na szczury? Wszystko trwało nieruchome, otoczone ciężką ciszą.

„Trzeba wejść na trzecie piętro i skrócić w prawo. Potem prosto, aż do końca korytarza”, Karol przypomniał sobie słowa pielęgniarki Radcliffe. Wydało mu się, że na końcu korytarza zobaczył doktora Angelopoulosa, który wyszedł z jednego gabinetu i wszedł do drugiego, powłócząc nogami. Na piętrze powyżej wiatr uderzał w drzwi, w atawistycznym rytmie. Z zimna skurczyły mu się mięśnie, kłuło go w żołądku. Im więcej myślał o tym, jak rozwiązać kwestię spotkania z grupą informatorów, tym mniej miał pomysłów. Po raz pierwszy w życiu doświadczył syndromu białej kartki, na który narzekali niektórzy z jego kolegów. Nie sądził, że ten syndrom w ogóle istnieje. Wierzył jedynie w pracę i umiejętność bohaterów Wyspy do opowiadania mu swoich historii. Ale co zrobić, kiedy nawet nie wiedział, kim są ci bohaterowie...

Nagle znalazł się przed drzwiami z tabliczką „Dyrekcja”. Zastukał w drzwi, ale nic nie usłyszał. Kilka sekund później drzwi otworzyły się same. Tak przynajmniej myślał, dopóki nie zorientował się, że stoi przed nim zgarbiony niczym sęp Scraugh. W pokoju było niemal zupełnie ciemno. Dobiegł go dziwny

zapach starej skóry, który mógł wydzielać sam dyrektor.

– Proszę wejść, proszę... Niech pan tak nie stoi. Jest przeciąg. – Drzwi zamknęły się za nim z takim trzaskiem, że Karol pomyślał, że lada moment zawali się cały budynek.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać, panie Scrooge – powiedział pisarz, nieświadomie dodając własny akcent.

– Scraugh – poprawił go natychmiast stary dyrektor.

Karol przyglądał mu się z wynikającą z zafascynowania bezczelnością, za którą Kate zawsze robiła mu wyrzuty.

– Przepraszam, musiałem źle zrozumieć pannę Grady – przeprosił Karol grzecznie. Chociaż im dłużej mu się przyglądał, tym bardziej był przekonany, że to powykręcane ciało zamiast nazwiska w wymowie przypominającego kichnięcie powinno nosić wywołujące dreszcze nazwisko: *Scroooge*... Jego wzrok ścinał krew w żyłach i pasował bardziej do kogoś o nazwisku Scrooge.

– Niech pan usiądzie – powiedział dyrektor, niemal rozkazując. – Nie chciałbym, żeby angielski dżentelmen poczuł się u mnie traktowany z niedostateczną uprzejmością...

Karol usiadł obok kominka, w którym tlił się najbardziej posępny ogień, jaki w życiu widział. Ciemne drewniane meble z trudem wyzierały z mroku. Jedna z okiennic stuknęła na zewnątrz rytmicznie. Wystukiwała monotony i niezmienny hymn tego miejsca.

Scraugh opadł na fotel i przyglądał się pisarzowi z odrazą.

– Więc? W czym mogę panu pomóc? – wychrypiął. – Panna Radcliffe powiedziała mi, że interesują pana amerykańskie instytucje dobroczynne.

– Rzeczywiście tak – przyznał Karol, zastanawiając się, co powiedziała mu jego dzielna przyjaciółka. – Myślę, że możemy się od siebie nawzajem sporo nauczyć. My moglibyśmy zaimportować niektóre metody i sposób organizacji, który państwo wprowadzili. W zamian mógłbym pokazać metody, które z powodzeniem stosuje się w moim kraju.

Scraugh kichnął, a kichając, zdawał się wymawiać własne imię.

– My mamy uczyć was? – Kichnął jeszcze raz. Wytarł nos dużą chusteczką. – Dziwny pomysł, panie Dickens. Muszę przyznać, że jest pan raczej ekstrawagancki. Dżentelmen, który w najświętszej epoce Imperium postanawia mieszkać wśród wyrzutków, żeby o nich napisać.

– To pana dziwi, czy martwi? – Karol skrzyżował wzrok ze spojrzeniem starca, nieco rozdrażniony obraźliwym tonem, którego Scraugh nie krył, choćby przez wzgląd na dobre wychowanie.

– Raczej dziwi. Może pan pisać o czymkolwiek pan zechce.

Karol potarł dłonie nad niewielkim płomieniem. Jak ten człowiek mógł żyć w takiej ciemnicy? Potem dodał:



– Po prostu martwię się o osoby, które nie mają schronienia czy środków do życia.

– Nie mają schronienia i środków do życia? – Scraugh wypalił niczym iskra z kominka. – A jak pan nazwie to miejsce? Nie ma przytułków? Albo więzień?

– Owszem, są, ale myślę, że musimy sprawić, by w tych miejscach traktowano ludzi z godnością.

– Drogi panie – wymachiwał kościstym palcem dyrektor – godności nie można komuś przysporzyć. Albo się ją ma, albo nie. Dobroczynności nie można wymagać, a jedynie za nią dziękować. Ci, którzy tu żyją, powinni być wdzięczni, bo już wystarczająco dużo otrzymali.

– Nie mogę się z panem zgodzić, panie Scraugh – przerwał mu Karol. – Jeżeli możemy osądzać ludzi za wkład, jaki wnoszą w społeczeństwo, to mamy także prawo do tego, by rozliczać społeczeństwo z tego, co robi dla ludzi.

Dyrektor wydusił z siebie krótkie „Ach!”. Karol nie wiedział, czy był to śmiech, czy kaszel.

– Obawiałem się, że w końcu zaczniesz mnie pan zarzucać swoimi liberalnymi hasłami – drwił Scraugh, wrzucając do kominka mikroskopijnych rozmiarów gałązkę.

Karol poruszył się na krześle. Ten człowiek wywoływał w nim taką niechęć, że trudno będzie mu zachować dobre maniery, by przekonać go do swojego pomysłu. Ponowił atak:

– Zakładam, że jest pan na bieżąco z zasadami, jakie panują w zakładzie...

Starzec, najwyraźniej zezłoszczony, wstał. To pytanie było nie do zniesienia. Dlaczego jeszcze nie powiedział, żeby zostawił go w spokoju? Zebrał się w sobie i spróbował się uśmiechnąć:

– Organizacją pracy w zakładzie psychiatrycznym, przytułku i zakładzie poprawczym zajmuje się panna Grady. To nasza najbardziej doświadczona pielęgniarka. Przez ostatnie dziesięć lat nie było ani jednego przypadku buntu. – Głośno wydmuchał nos.

– Pytałem pana o jej metody...

– Panie Dickens – przerwał mu – w samym tylko zakładzie psychiatrycznym jest pięciuset pacjentów. W przytułku spanie i jedzenie dajemy prawie tysiącu biedaków. Ja muszę zarządzać tymi instytucjami, opierając się na raportach potrzeb przygotowywanych przez pannę Grady. Płacą mi za to, żeby wszystko szło tak gładko, jak to możliwe.

– Jestem pewien, panie Scrooge...

– Scraugh! – wrzasnął, jakby ktoś nastąpił mu na odcisk. Z jego ust wypłynęło kilka kropel śliny.

– Scraugh... – poprawił się Anglik. – Nie zamierzam kwestionować pańskiej pracy. Myślę tylko, że gdyby zobaczył pan warunki życia chorych na własne oczy,

to byłoby panu łatwiej wyjaśnić pewne kwestie zarządzania potrzebami – kontynuował ostrożnie, patrząc dyrektorowi w oczy. – Widzi pan, są nowe metody i dają naprawdę dobre rezultaty, w ośrodkach bazujących na przychylności i pojednaniu. Kilka lat temu uznawano je za heretyckie. W ośrodkach, o których mówię, urządzono sale do czytania, pacjenci grają w bule i uprawiają sport. A tu ograniczają się do spacerowania po mrozie. Nikt ich w żaden sposób nie zachęca. Co więcej, są w niebezpieczeństwie, bo nikt ich nawet nie pilnuje...

Sraugh słuchał osłupiały.

– A po co ich pilnować? Gdyby ktoś chciał uciec, musiałby wskoczyć do wody. – Jedna gęba mniej do wykarmienia, powiedział w duchu.

– Właśnie o tym mówiłem, to niebezpieczne – naciskał pisarz, rozluźniając nieco aksamitkę. – Nie dlatego, że mogliby uciec. Zagrożone jest ich bezpieczeństwo. Mógłby wydarzyć się wypadek i ktoś, uchowaj go Boże, mógłby wpaść do wody.

Podkreślił to zdanie z taką ironią, że na twarzy Sraugha pojawiło się napięcie. Karolowi wydawało się, że rozmawia z jednym ze znajdujących się w gabinecie głuchych, drewnianych mebli. Nawet drzwi okazałyby się bardziej ludzkie.

– W takim razie – powiedział Sraugh – ucieszy pana, że już dłużej nie będzie musiał się o to martwić. Zawiesimy spacer.

– Słucham? – zaniepokoił się Karol.

To wszystko komplikowało. Nie będzie mógł się spotkać z informatorami, których zebrała Anne.

Dyrektor dodał, że zdaniem panny Grady, aż do ustąpienia zimowych mrozów, pacjenci nie powinni spędzać tyle czasu na zewnątrz. Wielu z nich często choruje, a w zakładzie nie ma wystarczająco dużo koców i płaszczy...

– Myślę, że uzna to pan za bardzo ludzkie – podkreślił Sraugh ironicznie, z nosem wetkniętym w chusteczkę.

Potem starzec wymieniał wszystkie rzeczy, za które mieszkający na Wyspie powinni być wdzięczni. Tymczasem w głowie Dickensa gotowało się jak zawsze, kiedy próbował zacząć jedną ze swoich opowieści. Ta garstka ludzi pokładała w nim nadzieję. Anne mu ufała. Musiał ich jakoś wysłuchać. W końcu powiedział:

– Panie Sraugh, przyszedłem tu dziś, żeby pozwolił mi pan przeprowadzić pewien eksperyment.

Starzec na chwilę zamarł. Poczul się zaskoczony.

– Co pan powiedział? – Nachylił się nieco bardziej. Karol pomyślał, że lada moment głowa wpadnie mu wprost do kominka.

– Jak pan zapewne wie, przeprowadzam eksperymenty z głuchoniemymi dziećmi i osobami upośledzonymi, żeby zrozumieć ich potrzeby i poprawić warunki, w jakich żyją. – Próbował wytrzymać surowe spojrzenie swojego

rozmówcy. – Teraz chciałbym sprawdzić, jak pobudzanie wyobraźni wpływa na osoby żyjące w odosobnieniu.

Zabrzmiało to bardzo przekonująco – Karol pogratulował sam sobie. Scraugh patrzył na niego z szeroko otwartymi ustami. Wyglądał tak, jakby lada moment miał runąć na ziemię. W końcu wstał. Karol usłyszał, jak trzaska dwieście z dwustu sześciu kości w jego ciele.

– Zechce mi pan wytłumaczyć, po co chce pan rozbudzać pamięć i świadomość tych biedaków? – zapytał, nieco za bardzo podnosząc głos. – Nie wydaje się panu, że to najokrutniejsza ze wszystkich metod? Równie dobrze można podarować bibliotekę ślepcowi. Niech pan da spokój...

Pisarz poczuł ukłucie w żołądku i zamyślił się. Być może Scraugh miał rację. Zastanawiał się nad tym wiele razy. Do tej pory budulcem powieści była jego własna tragedia, był jego własny ból. To go legitymizowało. Ale teraz... teraz czuł, że handluje czyimś bólem. Wziął głęboki oddech. Był tak spięty, że zaczęło boleć go całe ciało. Z drugiej strony to jedyny sposób, by im pomóc... Ale jak sprawić, by ludzie, których tu pozna, nie przedostali się do jego książek. Wyspa była prawdziwą kopalnią i nie miał na myśli wydobywanego tu granitu.

Wyspa Blackwella była prawdziwą kopalnią postaci.

Spojrzał na starca, który przyglądał mu się triumfalnie, jakby wiedział, że trafił w sedno. Być może jego jedyną winą była przynależność do innego pokolenia. Do pokolenia, dla którego główna zasada to „przeżyć”. Dla Scraugha osadzeni byli wyrzutkami rozwijającego się społeczeństwa. Zepsutymi maszynami, których już nie dało się naprawić. Nie było na to czasu. Na tym właśnie polegał postęp. Nowe maszyny zastępowały stare, które łądowały w miejscu, gdzie pożerał je czas.

– Chciałbym tylko raz dziennie spotykać się z niewielką grupą, jedna lub dwie osoby z każdego ośrodka wystarczy. Chciałbym im opowiedzieć opowieść – wyjaśnił pisarz, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego to wszystko mówi.

– Opowieść? Tylko tyle?

Stary dyrektor obszedł pokój dookoła, a drewniana podłoga skrzypiała pod jego stopami. Powtarzał na głos:

– Opowieść... Chce im pan opowiedzieć bajkę...

Idąc w stronę drzwi, dumiał nad tym, co mu grozi, jeżeli się zgodzi. I z jakimi konsekwencjami będzie musiał się zmierzyć, jeżeli odmówi. Anglik miał zbyt wiele znajomości. Poza tym nie wytrzyma z grupą wariatów nawet trzech dni... Scraugh złapał za klamkę.

– Zgoda – powiedział. – Jeżeli to pomoże panu uważać nasz ośrodek za... jakby to powiedzieć, bardziej zgodny z pańskimi oczekiwaniami, to bardzo proszę, niech im pan opowie tę bajkę. – Spojrzał na niego z góry na dół i dodał: – Trzeba przyznać, że wy, Anglicy, jesteście dziwni...

Karol wyciągnął do niego rękę i zorientował się, że Scraugh trzyma w niej chusteczkę. Przełknął ślinę, licząc na to, że zostanie mu to zapomniane. Drzwi zamknęły się za nim z głośnym „do widzenia”, które zabrzmiało niczym wystrzał.

Zszedł po schodach z energią dziecka. Dotarłszy do ostatniego stopnia, usłyszał, że ktoś woła go z górnego piętra. Pośrodku spiralnej balustrady dostrzegł księżniczkę z bajki, wyglądającą przez okno w wieży. Anne uśmiechnęła się, napotkawszy jego zadowolony wzrok. Zrobił pierwszy krok, aby zbliżyć się do „ruchu oporu z Wyspy Blackwella”.

Moment euforii przerwał męski głos, który rozległ się za jego plecami.

– Panie Dickens... – usłyszał głos, który, jak już teraz wiedział, należał do młodego lekarza o twarzy podobnej do ziarnka grochu. – Proszę mi wybaczyć śmiałość. To zaszczyt, móc pana poznać... ja też piszę... – W drżących dłoniach trzymał opasły rękopis.

Karol przeczesał włosy palcami, wziął głęboki oddech i uśmiechnął się, nawet nie patrząc na niego. Nie sposób było zaprzeczyć. Od dawna nie czuł się tak młody.

Już na zewnątrz, dźwigając rękopis lekarza, zmierzył się z wyjąłym wiatrem. Przypomniawszy sobie, że w kieszeni ma kompas. Wyciągnął go ostrożnie. Igła znowu była w ruchu, kręciła się, zataczając szalone koła. Karol pomyślał, że zgodnie z teorią osoby, od której go dostał, igła wskazywała, że zmienia się kierunek jego przeznaczenia. Epicentrum było miejscem, w którym mogło się spełnić jedno z jego marzeń.

\*

Tamtej nocy na niebie wykwitł księżyc tak wielki, że wydawało się, iż lada moment zerwie się z nieboskłonu i wpadnie do rzeki. Pachnie śniegiem – pomyślała Anne, wychylając się przez okno swojego pokoju. W zimnym świetle zobaczyła okrytego płaszczem Karola, maszerującego w stronę latarni. Nie zastanawiała się nad tym dwa razy. Wciągnęła wełniane pończochy, włożyła swoją jedyną wyjściową suknię – wkładała ją, gdy w wolne dni udawała się do miasta – kilkakrotnie owinęła szyję szalikiem i wyszła.

W ogrodzie miała wrażenie, że znalazła się we śnie. Wszędzie było tyle światła, że wydawało się, że jest dzień. Dookoła wszystko błyszczało i mieniło się kolorami tęczy. Cieniutka i chrupiąca warstwa lodu spowijała każde bezlistne drzewo, trawę i gazowe latarnie oświetlające dom. Wyglądało to tak, jakby świat wykąpano w srebrze.

Kiedy weszła do obserwatorium, Karol odwrócił się zaskoczony.

– Na Boga, Anne! Nie nauczyli cię pukać do drzwi?

Anne przeprosiła i zmęczona oparła się o framugę. Zapadła między nimi cisza. Cisza, w której milkną słowa, a w której mówi się tak wiele. Anne już miała

się odwrócić, kiedy zauważyła, jak na nią patrzy. W ten sam sposób, w jaki ona obserwowała tamten krajobraz. Karol wiedział, że Anne czuje się skrępowana, ale nie chciał przestać na nią patrzeć. Jego oczy pisarza miały dar zauważania zmian. Kamień był nie tylko kamieniem, ale czasem, który na niego oddziaływał, szczerbiąc go. Rzeka była nie tylko rzeką, ale naturalną barierą, żywym organizmem, który uspokajał się bądź wściekał. W niektóre dni była przejrzysta, w inne wzburzona i przerażająca. Stała przed nim Anne Radcliffe. Kilka dni temu obca pielęgniarka. Dorosły głos zamknięty w piegowej twarzy dziecka. A teraz stała przed nim kobieta w soczystej zieleni, z długimi, opadającymi kaskadą do pasa włosami, które w tym świetle miały metaliczny blask. Wydała mu się magicznym stworzeniem, które spłynęło z księżycy, by spełnić jego życzenie.

– Wejdz, bo złapiesz zapalenie płuc – powiedział Karol. Dostrzegł, że dziewczyna się zarumieniła.

Tamtej nocy rozmawiali o wielu rzeczach i niechętnie opowiedzieli wiele o sobie. Ocenili spotkanie ze Scraughem. Ona pogratulowała mu genialnego pomysłu z eksperymentem. Jak na to wpadł? A on poczuł zastrzyk dumy. Zaśmiewali się z wrażenia, jakie zrobił na nim dyrektor. Powiedział, że przypomina mu jego ulubieńca Grippa, starego, oswojonego, kulejącego kruka, którego jego żona szczerze nie cierpiała. Podobał jej się sposób, w jaki on patrzył na świat – ironiczny i głęboki. A jemu pasja, z jaką wcielała w życie swój mały plan naprawy świata. Anne była marzycielką, to pewne. W epoce kryzysu i zmian, której przeznaczenie wydawało się wykute w żelazie i utkane z fabrycznych dymów, ta istota z krwi i kości, podobnie jak on, budowała marzenia słowami.

– Pan Scraugh nie rozumie mieszkańców Wyspy. Nie czuje, że potrafią cierpieć tak samo jak każda inna ludzka istota. A to dlatego, że nigdy z nimi nie rozmawia – powiedziała, przygryzając spękane od zimna usta.

– Ale ty ich rozumiesz. Wiesz, co myślą. Znasz ich lęki i pragnienia. Dałaś im nadzieję dzięki tym listom – powiedział. – Wiesz Anne, myślę, że będziesz wspinała pisarką – dodał.

– Nie, nie... – wyszeptowała, nie patrząc na niego.

Ona? Nawet nie potrafiła płynnie czytać. Miała okropne pismo i robiła tyle błędów ortograficznych, że Anglik pewnie by zemdlał.

– Dobry pisarz to taki, który potrafi odnaleźć dobrą historię. Jednak przede wszystkim żaden pisarz nie będzie pisarzem, jeżeli nie potrafi słuchać swoich bohaterów.

Oboje ponownie zamilkli, wsłuchując się w powolne pulsowanie kawałków węgla w koczku.

– Mam dla ciebie bożonarodzeniowy prezent – powiedział Karol, wyciągając książkę zza poduszki.

– Dla mnie?

– Tak. Teraz już nie masz wyboru. Będziesz musiała zacząć ćwiczyć ten twój literacki zmysł.

\*

Anne ujęła ją w dłonie, jakby była skarbem. Pogładziła okładkę. Karol wybrał *Legendy Starego Nowego Jorku* Washingtona Irvinga, by towarzyszyły jej w tej podróży. Irving zamieścił w niej dedykację dla swojego przyjaciela. Dickens powiedział Anne, że znajdzie w książce wiele opowieści z Wyspy Blackwella w tle. Dziewczyna otworzyła ją, jakby była oknem, przez które już teraz mogła podziwiać zniewalający pejzaż.

\*

Tamtej nocy rozmawiali o wielu sprawach. Karol opowiedział jej o życiu w Londynie. O tym, jak pracował jako stenograf w sądzie i jak zaczął pisać dla „Morning Chronicle”. Ona opowiedziała mu o zakątkach Manhattanu, których już nie odwiedzała, bo miała zaledwie dwa wolne dni w miesiącu. Potem wyznała mu, że chociaż nauczyła się czytać i pisać, to z trudem przychodziło jej stawianie czoła książce. Speszona przyznała, że nie przebrnęła przez żadną z jego powieści. Karol wyjawiał jej, że w Londynie czuł się czasem uwięziony przez surowe i klasowe społeczeństwo, z którym się nie identyfikował. Anne opowiedziała mu, że mając osiem lat, uczestniczyła w pobiciu czarnoskórej dziewczynki. Karol powiedział, że jego ojciec miał problemy z hazardem. Anne, że właściwie nigdy nie poznała swojego ojca. Karol wyznał, że czasem bał się, że nie będzie takim pisarzem, jakim chciałby być. Bał się, że żywi się cierpieniem innych, że ich wykorzystuje, że założył rodzinę, jakby pisał jedną ze swoich powieści, że umrze, nie powiedziawszy, kim naprawdę jest.

Anne na chwilę spojrzała mu w oczy. Karolowi wydało się, że zajrzała do jego wnętrza. Odchyliła głowę do tyłu, a kiedy długie fale jasnych loków opadły jej na plecy, powiedziała:

– A ja boję się, że umrę, zanim ktoś mnie jeszcze raz obejmie.

Mijał czas, a słowa nie były potrzebne. W końcu z księżycy zaczął opadać biały pył, który powoli obezwładnił krajobraz. Oboje patrzyli, jakby wydarzył się cud. Anne wertowała leżący na stole stary numer gazety „The New York Sun”. Znalazła w nim artykuł, który kiedyś czytała całkowicie zafascynowana. Wiedziałaś o tym?, zapytała, podając mu gazetę i dorzucając węgiel do piecyka. Niejaki sir John Herschel przez miesiąc pisał artykuły o tym, że dzięki ogromnemu teleskopowi z Norwegii, odkrył życie na Księżycu. Karol rozłożył gazetę i odszukał wiadomość, na którą kilka lat wcześniej poświęcono rzekę atramentu. Reportażowi towarzyszyły ekstrawaganckie rysunki, przedstawiające fantastyczne zwierzęta zamieszkujące satelitę: jednorożce, norki, dwunogie kozy

i ludzie-nietoperze, nazywani *Vespertilio homo*. Ponoć wznieśli na Księżycu mnóstwo świątyń i niezwykłych budowli.

Karol dobrze pamiętał tę sprawę. Co więcej, pytał o nią samego Irvinga, bo krążyły plotki, że pod nazwiskiem firmującym artykuł ukrywa się de facto Gaylord Clark, redaktor „Knickerbrockera”. Ponoć w ramach literackiego eksperymentu wysłał swój pierwszy artykuł do „The Sun”. Kiedy okazało się, że go przyjęli i umieścili na pierwszej stronie, chcąc nie chcąc, ciągnął tę plotkę dalej.

Irving wysłuchał spekulacji przyjaciela z uśmiechem i powiedział tylko: „Trzeba przyznać, że artykuły były dobrze napisane, a historia była fascynująca. Zdawało się, że ktoś je zaplanował niczym powieść. Równie dobrze mogłyby ukazać się w naszej gazecie”. Karol uśmiechnął się na wspomnienie tamtej odpowiedzi czy też uniku. Stary dobry Washington lubił wierzyć, w legendy. W chwili gdy zaczęły się spekulacje na temat tego, kto stoi za artykułem, a świat naukowy stanowczo odciął się od wyników badań, „The Sun” opublikował ostatni artykuł, w którym poinformowano, że olbrzymi norweski teleskop spłonął w tajemniczych okolicznościach.

Bez względu na to Karol rozkoszował się pasją, z jaką jego nowa przyjaciółka opisywała każdy szczegół wyników owych badań, podczas gdy obserwowali Księżyc, owinięty śnieżną zadymką. Jakby wcale nie przejęła się tym, że wszystko zdementowano. Jakby w tej właśnie chwili widziała stado białych jednorożców galopujących po powierzchni Księżyca.

*Wyspa Blackwella, 1867 r.*

– Anne była pisarką z potencjałem – powiedział Karol szorstkim głosem, myśląc o niej po latach. – Pisarką, która pisała, żeby czynić dobro.

Dickens przerwał opowiadanie, zauważywszy, że małą Nellie i Margaret pochłonał ten sam widok – widok księżyca przyklejonego do wieczornego nieba niczym przezroczyta ilustracja.

Ten sam ogromny księżyc, świecący nad pograżonym w nocy Paryżem, podziwiał Juliusz Verne, który trzęsącymi się palcami odpakowywał pierwsze angielskie tłumaczenie *Z Ziemi na Księżyc*. Powieść, którą napisał zainspirowany wyimaginowaną historią. Po tym, jak opisała ją jedna z nowojorskich gazet, historia zrobiła prawdziwą furorę w Europie. Miał wtedy zaledwie dwanaście lat, ale coś kazało mu zatrzymać wycinek z gazety. Juliusz pogładził dłonią okładkę i powąchał tom, który nadal pachniał świeżą farbą drukarską. Młodzieńcza fascynacja kosmosem dała początek tej historii, ale teraz jego pobudki były znacznie bardziej dojrzałe. Niektórzy krytycy atakowali go, twierdząc, że brakowało mu wiedzy naukowej. W swojej książce Verne napisał, że aby polecieć na Księżyc, trzeba użyć wielkiej armaty. Właściciel największej mógłby podbić satelitę. Wykazując się dużym poczuciem naukowego humoru, tak naprawdę kpił z wyścigu zbrojeń, jaki wywołała wojna secesyjna. W dodatku skonstruował falliczny symbol, który zachwyciłby Freuda, gdyby ten miał wystarczająco dużo lat, by przeczytać powieść. Akurat w tamtej chwili mały, zaledwie jedenastoletni Zygmunt, spał w zrujnowanym domu w centrum zabytkowego Wiednia, oparty o pierś swej atrakcyjnej matki, otoczony wianuszkami pięciu sióstr.

Verne niespecjalnie przejmował się krytykami uznającymi jego dzieło za naukowo niemożliwe. Nie był magistrem astronomii – to jasne. Miał za to dyplom z wyobraźni. I choćby nie wiadomo jak bardzo zawadzał tym, którzy nie umieli czytać między wierszami, nadal czuł się wolny, by pisać to, co chciał. Tego jeszcze brakowało! To w końcu jedyny jego przywilej, powiedział sam do siebie, a odłożywszy książkę na stolik, przyglądał się inspirującemu go ciału niebieskiemu przez niewielką lunetę. Literatura stała się dla niego środkiem transportu po tym, jak ojciec zabronił mu podróżować, karząc go za to, że chciał się zaciągnąć na statek do Indii. Całymi dniami przesiadywał w Bibliotece Narodowej w Paryżu,



gdzie robił notatki z chemii, botaniki, geologii, mineralogii, geografii, oceanografii, astronomii, matematyki, fizyki i mechaniki, dzięki którym wymyślał swoje podróże. Sprawić, by inni marzyli – powiedział Verne z przekonaniem, czochrając ciemne, kręcone włosy. Aby ci, którzy nie mogą podróżować, wyprawili się w niezwykłą podróż. Tak, jak ta dziewczynka po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego, na Wyspie Blackwella, która za jego przyczyną będzie marzyć, a która teraz spoglądała na ten sam księżyc.

Verne nie mógł wiedzieć, że w odległej Ameryce – w nowym świecie, który miał poznać za mniej niż miesiąc, okrętując się na „Great Eastern” – trzyletnia dziewczynka wsłuchiwała się w opowieść innego pisarza. Nie mógł też wiedzieć, że kiedy dziewczynka skończy osiemnaście lat, za wynagrodzenie za pierwszy artykuł kupi wydaną niedawno książkę *W 80 dni dookoła świata*. Ani że rozbudzi ona w niej takiego ducha przygody, że powie naczelnemu swojej gazety – samemu Josephowi Pulitzerowi – że chce być pierwszą na świecie osobą, która sprawdzi, czy taka podróż jest możliwa.

\*

Nellie, stojąc na piasku, pokiwała głową i palcem w powietrzu obrysowała kontur księżyca. Dickensowi zdawało się, że w jej dużych kasztanowych oczach dostrzegł wszystko to, co zobaczą w przyszłości: fascynujące podróże, widoki, których nawet on nie był zdolny sobie wyobrazić, i miliardy czekających na spisanie słów. Przez chwilę sądził, że w jej oczach zobaczył całą przyszłość. Nagle ta niewielka istota spotkana na plaży, istota, której jeszcze nie dotknęła tragedia, a którą już bezwiednie wyobraził sobie jako rozbitka, jako dziecko dotknięte przez niesprawiedliwy los, przestała nim być.

Teraz ogarnęło go dziwne przecucie; był nawet pewien, że gdyby miał napisać jej historię, musiałby zacząć od nowa. Pisarz powinien mieć zdolność widzenia swojej postaci nie taką, jaką była w danej chwili, ale taką, jaką się stanie. Powinien dostrzegać zmiany, jakie w niej zajdą. Jej wyjątkowość i rozwój. Dlatego dziewczynka w jego oczach przestała być zwykłym dzieckiem. Teraz była to Nellie, bohaterka wielkiej przygody.

Z drugiej strony także nauczycielka, Margaret, zaczęła się Dickensowi jawić w wielu odcieniach, których wcześniej nie dostrzegał. Na przykład, kiedy zapytał ją o Anne Radcliffe, od razu wiedziała, o kogo mu chodzi. Kiedy przyszła z nim na plażę, zatrzymała się dokładnie tam, gdzie zwykł siadywać, by snuć opowieść. Margaret zarzuciła na plecy szal z grubej wełny. Poprawiła kilka szpilek podtrzymujących jej ciężkie, niesforne włosy.

– Po tym, co mi pan opowiedział, nie wiem, jak może pan wątpić w to, że książki pomagają ludziom.

Dickens zamyślił się. Czy powinien wyjawic Margaret prawdziwy powód,

dla którego powrócił na Wyspę po dwudziestu pięciu latach? Czy, aby odpowiedzieć na jej pytanie, powinien wyjaśnić, dlaczego musiał na własne oczy zobaczyć ukryty na wyspie skarb?

Nauczycielka podeszła do dziewczynki, podniosła ją i otrzepała jej spódnice. Patrzyła na niego wzruszona. Stał przed nią sam wielki Karol Dickens, opowiadał jej swoją historię i poświęciwszy całe swoje życie literaturze, zastanawiał się, czy jego książkom udało się przemówić do ludzkich sumień.

– Literatura czyni nas wolnymi – powtórzyła Margaret, zamyślona. – Jaka piękna koncepcja. Coś podobnego mówił mój ojciec.

– W takim razie był mądrym człowiekiem – stwierdził pisarz. – Pochodzi stąd?

– Tak. Słuchając pana, pomyślałam, że mój ojciec, na swój sposób, także nauczył mnie marzyć. Moja religia jest bogata w literaturę.

– Judaizm?

Margaret potaknęła.

– Skąd pan wiedział, kogo zaprosić do udziału w eksperymencie?

Karol niemal uroczyście przeczesał szarą szpiczastą brodę.

– Tamtej nocy Anne przyniosła mi listę nazwisk i miejsc pobytu osób, o które miałem zapytać. Z każdego ośrodka był przynajmniej jeden przedstawiciel. Chcieliśmy, by każdy z nich mógł osobiście opowiedzieć mi o warunkach, w jakich żył na Wyspie, o okolicznościach, w jakich go skazano, i o tym, jak traktowali go strażnicy i pielęgniarki. – Zamilkł. – Ale jej ostateczny cel, choć wtedy jeszcze mi go nie wyjawiała, był znacznie bardziej ryzykowny. Właśnie dlatego mi o nim nie powiedziała. Chciała być pewna, że może mi zaufać.

Margaret chciała zapytać, czego jeszcze pielęgniarka Anne Radcliffe nie chciała mu powiedzieć, ale zrezygnowała. Niczym czytelnik, który nawet znając zakończenie, nie chce, by powieść się skończyła. Woląla poznawać rozdział po rozdziale, aż do końca. W rytmie wyznaczanym przez narratora łączyć ze sobą szczegóły i ważne informacje, których jeszcze nie znała. A pisarz, siedząc na żelaznej ławce, wracał myślami do tej samej ławki, którą dwie dekady wcześniej właśnie pomalowano na białe. Było to w dniu, w którym miała powstać jego najsłynniejsza opowieść.

*Wyspa Blackwella, 1842 r.*  
*Dzień 6*

Zaniepokojony zapachem farby, zerwał się jednym susem. Oglądał płaszcz, wykręcając głowę za ramię tak daleko, jak tylko mógł. Kiedy upewnił się, że nie ma żadnych plam, usiadł z powrotem. Karolowi wydawało się, że jest na Wyspie już całą wieczność. Czas zamarł. Podobnie jak Wyspa. Pomimo że praca w taki dzień musiała być bardzo niebezpieczna, do jego uszu dochodziły dźwięki więźniów pracujących w kamieniołomie. Wydobywali kamień przeznaczony na nowy budynek, który dzień po dniu rósł na południu Wyspy Blackwella. Jacy nieszczęśnicy potrzebowali nowego budynku – pomyślał, rozcierając mocno ramiona, by choć trochę się rozgrzać.

Wszystko przykrywała cienka warstwa jak z masy perłowej. Karol ledwie dotarł do ławki. Ślizgał się, ale udało mu się nie rozbić głowy. Nie miał najmniejszego zamiaru ruszać się stąd. Wydawało się, że nawet statki przymarzły po drugiej stronie rzeki. Manhattan był dziwnie cichy, jakby śnieg stłumił świat.

Mógł zrobić jedynie to: czekać.

Dzień wcześniej przekazał dyrekcji Wyspy, czyli właściwie jedynej obecnej osobie, listę zaproszonych do eksperymentu. Tej samej nocy odpowiedziano mu, że o jedenastej rano wszyscy będą czekali na placu przed zakładem psychiatrycznym.

Przez całą noc słyszał skrzypce. Instrument i jego właściciel stały się jego obsesją. Zobaczenie twarzy owego mężczyzny było palącą potrzebą. Podobną frustrację odczuwał, kiedy nie udawało mu się wyobrazić sobie twarzy swoich bohaterów. Tymczasem skrzypek był duchem, który objawiał się jedynie poprzez instrument. Te skrzypce, ta muzyka... wiele zdradzała. Jego zdaniem mówiła o utraconych rajach i odnalezionych ścieżkach. Zdawała się przychodzić z daleka, zza oceanu, spoza czasu. Zdecydowanie musiał poznać tego człowieka.

\*

Gdyby dało się mierzyć emocje w skali Richtera, tamtego ranka na Wyspie Blackwella zanotowanoby siedem stopni aktywności sejsmicznej. Mieszkaniec celi 106 podniósł się na odgłos kroków i obiema rękami chwycił za pręty krat. Coś mu mówiło, że plan się powiódł. Po sześciu latach spędzonych w więzieniu nauczył się

rozpoznawać każdy ze sposobów chodzenia. Kroki pewne i ciężkie, jasno wskazujące na to, że strażnik szedł otworzyć celę. Obchód strażnika stawiającego kroki wolniejsze, miarowe i jakby od niechcenia. Chwiejne kroki pijanego strażnika, gwałtownie potrząsającego kluczami, wróżyły złe zamiary.

W każdym razie, kiedy strażnik dotarł do jego lochu, on już był na nogach, ubrany w marynarkę.

– Dalej, Marley – powiedział, zaskoczony, że więzień już czeka przy kracie.  
– Masz szczęście. Spędzisz kilka godzin na zewnątrz.

\*

Piętro wyżej, w części przeznaczony dla kobiet, jedna z więźniarek pomagała małemu Timowi ubrać się. Zwykle spał razem z nią, chociaż cuchnęła i w nocy ciągle go szturchała, bo jej śmiech przypominał mu matkę. Włożyła mu pocerowane spodnie, zapięła aparat na nogi i dociągnęła paski rzemieni, na kostkach i niedorozwiniętych udach, tak bardzo, że przycięła mu skórę. „Aua!” – zaprotestował chłopiec. Podała mu kule. Podczas ubierania mały Tim miał minę dziecka niecierpliwącego się, by otworzyć prezent od Świętego Mikołaja. Pośpiech i wczesna pobudka mogły oznaczać tylko jedno: zaraz zacznie się jego wielka przygoda.

\*

Szczur wślizgnął się przez małe okienko do budynku przyległego do zakładu poprawczego, dwadzieścia minut przed tym, zanim go obudzono. Któregoś dnia w końcu go przydybią. Tylko jeden z kolegów wiedział, że wychodził nocami. I tylko raz próbował go zdradzić. Tamtej nocy, kiedy spał, Szczur ugryzł go w palec u nogi tak mocno, że niemal mu go wyrwał. „Na twoim miejscu powiedziałbym, że to był bardzo duży szczur albo kiedyś odgryzę ci następny!” – ostrzegł, podczas gdy ofiara wrzeszczała przerażona. Nigdy więcej nie miał podobnych problemów.

Jego wątłe ciało miało niezwykłą umiejętność, o której wiedziała wyłącznie Anne Radcliffe: jego mięśnie były nadzwyczaj elastyczne, co w połączeniu z niewielkim wzrostem pozwalało mu wślizgiwać się w szpary nieosiągalne dla innych. Strażnik znalazł go wyciągniętego na łóżku, w połowie jednego z jego szczurzych ziewnięć. Pod białą grzywką jego błyszczące oczy poruszały się niespokojnie w ciemności. Będę miał przez to wszystko problemy – pomyślał sobie, nerwowo marszcząc nos. Może nie jest jeszcze za późno, żeby się wycofać?

\*

Ada obudziła się w humorze lepszym niż kiedykolwiek, po regenerującym śnie, w którym skończyła się wojna, a ogromne brytyjskie flagi powiewały nad

Piątą Aleją. To był wielki dzień. Od Anne Radcliffe dowiedziała się, że jej angielski łącznik będzie czekał na nią na plaży o jedenastej rano, by przekazać konieczne instrukcje. Koniec wojny był bliski, a ona miała przyłożyć się do zwycięstwa Imperium. Na tę okazję musiała założyć swoją najwspanialszą biżuterię. Głowę przystroiła motylami z papieru. Szyję przyozdabiał gruby naszyjnik, który kiedyś był papierem śniadaniowym. Kiedy przyszła po nią jedna z pielęgniarek, Ada eleganckim ruchem upuściła starą, zatłuszczoną gazetę na kolana. Akurat czytała reportaż ze swoich odwiedzin na zagranicznym dworze. Potem zapytała o tę kandydatkę na jej damę do towarzystwa. Pannę Darcy Moore – powiedziała, wymawiając „r” z niemieckim akcentem. Nie widziała jej, od kiedy przybyła do domu. Nawet Ada, w swoim szaleństwie, zdawała sobie sprawę z tego, że młoda Irlandka mogła być w ciężkich tarapatach.

\*

W przytułku chyba nikt nie zmrzył tej nocy oka. Jeden ze starców zmarł nad ranem, co wywołało poruszenie i lamentsy dzielących z nim salę. Strażnicy bezkutecznie nalegali, by pensjonariusze położyli się spać, skoro i tak nie dało się nic zrobić, aż do następnego dnia. Dlatego, kiedy ktoś otworzył drzwi i ją zawołał, Florita poczuła, że Kukulkán w końcu jej wysłuchał. *Intla!* – krzyknęła. Czas wziąć się do roboty. Kuśtykała korytarzami w ślad za strażnikiem, powiewając spódnicą we wzór z zielonych ptaków.

\*

Tamtego poranka jedynie panna Lili zdawała się spokojna, jak zawsze. Kiedy otworzono drzwi jej pokoju, leżała skulona w pozycji embrionalnej, u stóp swojej pryczy. Twarz miała nieco opuchniętą od snu, a jej rude włosy sięgały podłogi.

– Lili, przyszedli po ciebie – wrzasnęła Luciana i oblała jej twarz szklanką wody. – Lepiej bądź grzeczna, bo jak nie, to wiesz, co cię czeka.

Lili podniosła się niezgrabnie. Na spływającej wodą twarzy malował się elficki uśmiech. Opuściła nagie stopy na zimną posadzkę z granitu. Jedno po drugim, zsunęła wszystkie ubrania, w które była owinięta.

Anne Radcliffe szła już w kierunku zakładu psychiatrycznego, by ją odebrać. Nocna śnieżycza i bezwietrzna pogoda sprawiły, że Wyspę otaczał gruby kordon chmur, który odcinał ją od świata. Mieli zaledwie tydzień. Musieli przeprowadzić całą operację przed wyjazdem Dickensa, a nie wiedziała nawet, kiedy nastąpi ta wielka chwila. Ta, na którą wszyscy czekali już od tygodnia. A jeżeli się opóźni? Jeżeli pisarz wyjedzie, zanim się wydarzy, i nie będzie jej świadkiem?

Anne odetchnęła głęboko. Nie czas na rozważania, które napęniały ją niepokojem. Z miejsca, w którym stała, widziała już Karola czekającego na ławce.

Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem.

\*

Pierwszy na miejsce przybył więzień z celi 106 w towarzystwie Tytusa, więziennego strażnika. Karola zdziwiło, że więźnia zakuto w kajdany. Długi i ciężki łańcuch zwisał mu u kostek. By iść, musiał trzymać go w dłoniach.

– Musi zostać w kajdanach? – zapytał Karol. – Ten człowiek chce odsiedzieć więcej, niż mu zasądzono. Nie będzie uciekać.

Tytus odburknął niewyraźnie.

Więzień przyglądał się pisarzowi zaczerwienionymi oczami. Miał długie włosy zebrane w kucyk i odsłonięte czoło z głębokimi zakolami. Kiedy Karol chciał się do niego odezwać, odwrócił się twarzą w stronę rzeki.

Z czasem zaczęli pojawiać się inni członkowie grupy. Wynurzali się z mgły, jakby byli duchami wstępującymi na scenę – każdy w towarzystwie strażnika. Mały Tim wsparty na kulach szedł tak, jakby zaraz miało mu wypaść biodro. Florita owinięta w egzotyczny szal, w którym dziur było więcej niż w sicie. Ada, oświetlana pochodnią zwalistego Toma, pojawiła się wytworna niczym wielka dama. Szczur biegł przed strażniczką, która ciągle ślizgała się i wrzeszczała za nim... Karol pomyślał, że obecność strażników wszystko skomplikuje, ale może Anne wymyśli, jak pozbyć się ich. Wtedy ją zobaczył. Szła z panną Lili. Tworzyły dziwną parę. Obie były tak samo wysokie i szczupłe. Wyglądałyby identycznie, gdyby nie ilość ubrań, jakimi chora zawsze się owijała.

Jego uwagę zwróciła szczególna opiekuńczość Anne w stosunku do Lili. Kiedy podeszły do niego, pomogła jej usiąść na ławce i powiedziała głośno:

– Panie Dickens, to chyba wszyscy. Może pan zacząć swój eksperyment. – Oczy Anne rzuciły mu porozumiewawcze spojrzenie.

\*

Karol kolejno przyjrzał się ich twarzom, potem ich sylwetkom i miejscom, jakie zajęli w półokręgu wokół niego. Tuż obok, na tej samej ławce, siedziały Lili, Ada i Florita. Na powalonych pniach miejsce zajęli Anne i Tim. Szczur usiadł na ziemi, a nieco dalej stał Tom. Marley stał na plaży, odwrócony do nich plecami. Pielęgniarka Luciana została z tyłu, wraz z dwoma strażnikami obserwując zebranych. Karol poczuł się jak wtedy, gdy zaczyna opisywać swoich bohaterów, których relacje rozwiną się w powieść. W końcu mógł ich poznać. Teraz musiał się dowiedzieć, jaką rolę odegra każde z nich w jego opowieści. Jeszcze nie wiedział, kto będzie głównym bohaterem czy też główną bohaterką.

Uwagę pisarza od razu zwróciło to, że wszyscy obecni patrzyli na siebie nie z ciekawością, ale raczej z porozumieniem. Jakby wiedzieli, co tu robią i jaki mają cel. Olbrzym Tom trzymał się na drugim planie. Niezdecydowany, nie mógł sobie

znaleźć miejsca ani wśród pensjonariuszy, ani wśród strażników.

– Tom – zawołał Karol i mężczyzna niezauważenie uniósł głowę. – Tak masz na imię, prawda? Możesz podejść bliżej i usiąść?

Niektórzy członkowie grupy odwrócili się zdziwieni, nawet Ada wydawała się jakaś nieswoja. Olbrzym nie ruszył się nawet trochę. Wydał z siebie tylko stłumione warknięcie.

– Przecież on jest czarny! – odważył się w końcu dramatycznie pisnąć Szczur.

– To raczej oczywiste – odparł Karol. – Ale o ile wiem, to nie znaczy, że lepiej słyszy na odległość.

Olbrzym stał bez ruchu, nawet na nich nie patrząc, jakby wyczuwał rezerwę zebranych. Choćby Ady, która przyglądała mu się z wyrzutem, jakby miała mu za złe, że istnieje.

– Opowie nam pan jedną ze swoich historii, panie Dickens? – Najwyraźniej to Tim został wyznaczony do rozpoczęcia rozmowy z pisarzem.

Karol spojrział na niego zadowolony.

– Tak, opowiem – potwierdził. – Ale najpierw koniecznie musimy odnaleźć się w czasie i przestrzeni, w których wydarzy się ta historia. Czas jest ten sam, co u nas. – Wszyscy słuchali wyczekująco. – Mamy dwudziestego czwartego grudnia i jesteśmy w Londynie.

Zrobiło się małe zamieszanie, a Ada wrzasnęła: „Boże, chroń Królową Wiktorię!”, przekonana, że to hasło, na które odzew dała Anne, krzycząc: „Boże, chroń!”.

Strażnicy spojrzeli po sobie pytająco.

– Coś takiego – zdziwiła się Florita, z niepokojem wpatrując się w niebo. – Tym razem pomyliłam się w obliczeniach.

Karol kontynuował:

– To niezwykła historia, która przydarzyła się pewnemu mężczyźnie, właśnie dlatego, że zbliżało się Boże Narodzenie...

Wszyscy przygotowali się do słuchania. Głos pisarza unosił się nad nimi niczym kometa pędzona wiatrem.

– Na początek założmy, że Marley umarł – zaczął, a więzień z celi 106, słysząc swoje imię, delikatnie skrzył głowę, nie zaprzestając obserwacji rzeki. – Marley nie żył. Nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Akt zgonu podpisał pastor, parafialny skryba i właściciel biura pogrzebowego... Nawet sam... – zawahał się na chwilę i wtedy dojrzał wspartego na lasce dyrektora zakładu, przemierzającego łąkę – sam Scrooge je podpisał, a nazwisko Scrooge nadawało na giełdzie wielką wartość każdemu papierowi, który ten raczył podpisać. Stary Marley był tak martwy, jak gwóźdź w drzwiach.

– Scrooge? – powiedział mały Tim.

– A kim był Scrooge? – zapytał Szczur.

Wszyscy podążyli za wzrokiem pisarza, obserwującego dyrektora, który niczym stary kruk człapał do zakładu psychiatrycznego.

– Był skąpcem! – wrzasnął Tim znienacka.

– I sknerą! – wtrąciła Ada, odprowadzając dyrektora wzrokiem.

– *Lechonmeh tlahuillo...* – wymamrotała Florita, spoglądając psotnie. Nikt jej nie zrozumiał, ale wszyscy uważali, że zabrzmiało to brzydko.

– Wyzyskiwacz, chciwiec, złodziej, chytrus, mizogin i stary grzesznik. To właśnie cały Scrooge – rzekła Anne bez ogródek i przygryzła wargę.

Pisarz zrobił zdziwioną minę i mówił dalej:

– Twardy i ostry jak krzemień, z którego żadne krzesiwo nie było w stanie wykrzesać ani jednej iskry hojności. Milczący, podejrzliwy i samotny jak palec. Zimno wewnętrzne skurczyło mu oblicze, wyostrzyło szpiczasty nos, pomarszczyło policzki, usztywniło chód, zaczerwieniło oczy i wykrzywiło usta. – Nabrał powietrza i zaostrzył ton. – Sprawilo, że mówił głosem suchym i skrzypiącym. Wszędzie wnosił ze sobą lodowatą atmosferę. – Udał dreszcz.

– I nigdy nie rozpałał w kominku! – wrzasnęła oburzona Ada, wywracając oczami.

Anne zachichotała i Luciana spojrzała na nią z wyrzutem. Karol mówił dalej:

– Tak, to prawda. Mroził swoją obecnością powietrze w kantorze podczas upałów i pilnował, żeby nie odtajać nawet w Boże Narodzenie. Bo musicie pamiętać, że tak jak teraz, zbliżało się Boże Narodzenie...

Wtedy Olbrzym Tom swoim tubalnym głosem ryknął w stronę dyrektora, który zbliżał się do budynku zakładu. Były to pierwsze słowa, które wielu z nich usłyszało z jego ust:

– Panie Scrooge! – Imię odbiło się echem od niemal każdego kamienia na Wyspie. – Wesółych Świąt!

Dyrektor zakładu zatrzymał się pośrodku łąki i powoli się odwrócił. Strażnicy i pielęgniarki patrzyli na siebie w napięciu.

– Bach! Cóż za głupoty! – odciął się starzec, upewniwszy się, że chodzi o gamoniowatego pisarza i jego grupkę wariatów.

Karol Dickens uśmiechnął się pogodnie, i odprowadził go wzrokiem.

– Scrooge oddalił się wąskimi uliczkami starej dzielnicy, kierując się do swojego kantoru, w którym zawsze tlił się tak wąty płomień w kominku, że musiał się nad nim pochylać, by zaczerpnąć co nieco ciepła. – Karol puścił oko do Anne i mówił dalej. – Lubił ciemność, przesiadywał w półmroku swojego kantoru. Ciemność jest tania, dlatego tak bardzo podobała się Scrooge'owi.

Karol mówił dalej, zadowolony, że tak blisko znalazł bohatera swojej opowieści. Na wzór dyrektora namalował skąpego, odrażającego i samotnego człowieka, podchodzącego do Bożego Narodzenia ze zgorzknieniem osoby, której



przeszkadza czyjeś szczęście. Scrooge – to nazwisko wywoływało dreszcze. Wyjaśnił swoim barwnym słuchaczom, że Scrooge, jak nazwał następcę dyrektora zakładu, nie zawsze był taki. Ale o tym porozmawiają kiedy indziej...

– Stary Scrooge był otoczony wartościowymi osobami, których nie potrafił docenić i szczęściem, którym nie potrafił się cieszyć. Schował się w swojej jaskini niczym dziki zwierz. Jego jedynym zajęciem było liczenie pieniędzy w kantorku. Powoli tracił jakiegokolwiek ludzkie cechy. Miał buchaltera. Płacił mu źle, a traktował jeszcze gorzej. Wykorzystywał go nawet w Boże Narodzenie. Kiedyś miał też współnika, Marleya – powiedział Karol, spoglądając na więźnia. – Starego grzesznika, który od kilku lat nie żył. Starzec był tak skąpy – mówił obrazowo – że nawet nie pofatygował się, by zmienić szyld, na którym nadal widniał napis „Marley & Scrooge”.

W ten sposób dotarł do momentu zawiązania akcji. Starzec wyrzucił dwóch mężczyzn, zbierających datki na cele dobroczynne, i został na noc w swoim posępnym kantorku sam. Wkrótce usłyszy straszliwy hałas na dziedzińcu. Karol zawiesił głos, a jego słuchacze wstrzymali oddech. Mówił dalej:

– Wtedy go zobaczył... tak... to była twarz Marleya – zapewnił ich, podnosząc głos. – Nie otaczała jej nieprzenikniona ciemność, która spowijała inne przedmioty na dziedzińcu. Oświetlało go smutne światło.

– Ale przecież powiedział pan, że umarł! Ciekawe, czy to się jakoś wyjaśni – powiedział Szczur, który już wciągnął się w opowieść.

– Wiem – przyznał Karol, ciesząc się uważną miną małego Tima, który słuchał z szeroko otwartymi ustami. – Potwierdziłoby to wielu świadków. Ale Scrooge go widział: jego włosy dziwnie powiewały... jakby poruszał nimi oddech czy powiew ciepłego wiatru. W połączeniu z trupią bladością jego skóry dawało to naprawdę koszmarny efekt...

Przerwał mu zgiełk. Luciana wrzasnęła, a więzień Marley głośno brzęczał kajdanami.

Zrobiło się zamieszanie. Strażnicy byli zdezorientowani. Florita wyjęła spod tuniki duże zielone kartki. Ułożyła z nich wokół grupy okrąg na piasku, stanęła w jego środku i rozglądała się na wszystkie strony podejrzliwie.

– Wtedy – ciągnął dalej Dickens, korzystając z zamieszania – dobiegł go przeraźliwy szcęk łańcuchów.

Marley wstrząsnął łańcuchami, nie zdając sobie sprawy z tego, że staje się częścią tej opowieści.

– Co zrobił stary Scrooge? – niecierpliwił się mały Tim.

Karol i Anne spojrzeli na siebie porozumiewawczo, co nie umknęło uwagi Luciany.

– Jak możecie sobie wyobrazić – kontynuował Karol z przerażoną miną – pan Scrooge stał oniemiały i przypatrywał się zmarłemu Marleyowi, z jego

kucykiem, nieodzowną marynarką, spodniami i butami... – Pisarz spojrział na więźnia, który przyglądał mu się zaczerwienionymi oczami. – Łańcuch, który ciągnął, opasywał go w pasie: był bardzo długi i owijał się dookoła niego niczym jakiś długi ogon. Najdziwniejsze było to – mówił Karol, nie spuszczać wzroku z Marleya – że był zrobiony z sejfów, kluczy, kłódek, ksiąg rachunkowych, pism i ciężkich, stalowych worków.

– Dlaczego był skuty? – przerwał mu mały Tim.

– O to samo zapytał go starzec – odpowiedział Karol, wkładając płaszcz. – Jesteś skuty w kajdany – powiedział Scrooge, trzęsąc się. – Dlaczego?

Pisarz zmienił głos na bardziej mroczny: – Noszę kajdany, które wykułem sobie za życia – odpowiedział duch. Ogniwo za ogniwo i krok za krokiem – wytłumaczył swojemu oniemiałemu byłemu współnikowi, który trząsał się coraz bardziej...

Wszyscy, z wyjątkiem panny Lili, która wydawała się obojętna na wszystko, co mówili, drżeli. I to nie z zimna.

Potem duch wyjaśnił starcowi, że siedem lat wcześniej i jego łańcuch był równie ciężki i długi.

– Wydłużałeś go przez ten czas. Twój łańcuch nie ma końca! – wrzasnął Karol, udając głos ducha.

Więzień Marley wrzasnął i potrząsał łańcuchami. Tim i Szczur rozglądali się niespokojnie dookoła, próbując odgadnąć, jak długie są ich łańcuchy.

Karol opowiadał dalej o tym, jak duch tłumaczył Scrooge'owi, że był zakuty w kajdany, ponieważ w swoim ziemskim życiu zmarnował każdą, nawet najmniejszą okazję, by się innym przysłużyć. Każdą okazję, by zrobić coś dobrego... Wtedy przerwał mu głos Anne Radcliffe:

– Ale także to, że ukazał się, by mu powiedzieć, że dla niego jest jeszcze nadzieja, szansa na zmianę przeznaczenia.

Mina Luciany zdradzała, że ma tego wszystkiego dość. Ale Karol nie był przyzwyczajony, by ktoś wtrącał się do jego twórczości. Pisarskie ego ustąpiło miejsca ciekawości. Nagle poczuł, że w jakiś niewytłumaczalny sposób ze słów tej kobiety potrafił odczytywać ukryte znaczenie.

– Odwiedzą cię trzy duchy. Pierwszy przyjdzie jutro... – mówił dalej, grobowym głosem ducha.

– O której godzinie? – wrzasnęli wszyscy.

– Kiedy wybiję pierwsza – ponownie wtrąciła Anne.

Karol zorientował się, że to godzina, na którą prosił o wyznaczenie spotkań w kolejne dni. Chciał, żeby słońce było nieco wyżej. Wszyscy byli zachwyceni tym, że w jakiś magiczny sposób godzina z opowieści pokrywa się z godziną, w której wysłuchają kolejnej części.

Karol zamilkł na widok sceny, która zmaterializowała się przed jego oczami.

Początkowo wziął ją za wytwór wyobraźni. Ośnieżoną ścieżką nadchodziła grupa kobiet. Szły rzędem związane ze sobą w pasie. Powłóczyły nogami, a przy każdym kroku zawodziły.

Ich twarze wykrzywiało szaleństwo. Dwie strażniczki popędzały je, pokrzykując niecierpliwie. Szły, zostawiając długi ślad na śniegu. Później Karol dowie się od Anne, że nazywają je „tymi od liny”. Były to krnąbrne pacjentki, traktowane ze szczególnym okrucieństwem. Zamykano je w celach karnych, wyprowadzano na takie spacerunki ku przestrodze pozostałych pacjentów zakładu psychiatrycznego.

Za nieprzebranie zasad – powiedziała mu bardzo poważnie Anne, groziło zostanie jedną z nich.

Karol, poruszony, zamknął oczy. Wściekłe porywy wiatru targały mu włosy. Po chwili milczenia podjął przerwana opowieść.

– Scrooge usłyszał niepokojący szmer – powiedział pisarz. – Pomieszane odgłosy jęków i rozpacz, straszliwe wycie. Zjawa przez chwilę nasłuchiwała, a potem dołączyła do ponurego chóru. Scrooge, popychany ciekawością, podszedł do okna. Wyrzał na zewnątrz. – Kobiety przeszły tuż obok nich, noga za nogą, zjednoczone w chóralnym lamencie. – Scrooge zdał sobie sprawę z tego, że w powietrzu unoszą się tysiące zjaw. Latały tam i z powrotem, nieustannie wyjąc. Wszystkie, tak jak Marley, były zakute w kajdany. Niektóre były nawet skute parami.

Karol ponownie zamilkł, a wiatr dał coraz silniej. Lili i Ada podniosły wzrok za wyimaginowanymi zjawami.

– Popatrz – powiedziała Lili zafascynowana. – Są wszędzie...

Ada uniosła dłoń, próbując drżącymi palcami dotknąć jednej z cierpiących dusz. Nawet Marley podszedł bliżej, a Florita wyciągnęła rękę do Olbrzyma, żeby dodać mu otuchy. Szczur i Tim, zwinięci w kłębek, nie odważyli się nawet otworzyć oczu. Strażnicy i Luciana rozglądali się wokół, zaniepokojeni.

Za to Anne Radcliffe nie mogła oderwać oczu od pisarza ogarniętego pasją tworzenia. Nie potrafiła wytłumaczyć sobie tego cudu.

Bez wątpienia był czarodziejem.

Człowiek, który słowem potrafi wydzierać obraz w umyśle innych ludzi. Zdolny sprawić, że uwierzysz we wszystko. Otuliła szyję szalem, choć nie czuła zimna. Patrzyła na jego twarz i szarpane wichrem włosy. Tymczasem on swoim pięknym angielskim tworzył kolejne zjawy. Pomyślała, że mogłaby go słuchać przez całe życie.

– Scrooge nie był zdolny stwierdzić, czy to zjawy rozpląnęły się we mgle, czy to mgła je przysłoniła... – Karol kontynuował opowieść z zamkniętymi oczami. – Ale zjawy i szmery rozpląnęły się jednocześnie. Powróciła noc taka, jaka była, gdy Scrooge wchodził do mieszkania...

Pisarz otworzył nieprzytomne oczy, powracając do świata realnego. Miał pewność, że niechcący sprowadził na świat jedną ze swoich najważniejszych postaci. Chciwego Ebenezera Scrooge'a, którego imieniem od tej pory będą nazywani wszyscy skąpcy w Historii.

Marley, ten prawdziwy, też właściwie nie żył. A przynajmniej bardzo tego chciał. Z jego punktu widzenia to, że jeszcze oddychał, nie miało żadnego znaczenia. Dlatego chciał pozostać na zawsze na Wyspie Blackwella. Karol zdał sobie z tego sprawę, kiedy strażnik powiedział mu, że ten więzień chce odsiedzieć karę dłuższą, niż zasądzona, i poprosił o najgorszą celę. Marley chciał umrzeć, ale życie niczym morze wypycha człowieka do góry, nawet jeżeli ten chce się utopić. Marley nie miał siły odebrać sobie życia i dzięki temu został ważnym uczestnikiem misji Anne.

Członkowie grupy pożegnali się do następnego dnia i zostali zabrani przez strażników, a Karol poprosił, by pozwolono mu towarzyszyć Marleyowi.

Strażnik szedł kilka kroków za nimi. Na początku nie rozmawiali. Karol szedł obok więźnia, obserwując, jak ciągnął ciężkie łańcuchy. Powłóczył nogami, zostawiając za sobą głęboki ślad w pokrywającym drogę lodzie. Pisarz zanotował w pamięci każdy szczegół jego fizjonomii: przetluszczone włosy związane w kucyk pod więzienną czapką, zmrużone oczy na granicy wybuchu wściekłości, chude ciało w pasiaku i buty tak dziurawe, że widać było przez nie skarpetę na prawej nodze. Marley był starym, pozbawionym nadziei człowiekiem.

– Mogę ci towarzyszyć? – zapytał pisarz.

Mężczyzna nie odpowiedział. Kontynuował mozolny marsz.

– Te kajdany zdają się bardzo ciężkie.

Więzień delikatnie odwrócił głowę w jego stronę, unikając spojrzenia. Odpowiedział mu obojętnie:

– Dlaczego mnie pan zamknął w swojej opowieści? Nie dość już jestem uwięziony?

Pisarz się zadumał. Chciał sprowokować go do rozmowy, ale nie spodziewał się takiej reakcji.

– Ja jedynie tworzę na podstawie tego, co przeżywam i co czuję. Nie miałem zamiaru...

– Nałożyć na mnie kolejnego ciężaru? – zapytał Marley, odwracając się do niego. – Chce pan wiedzieć, ile to waży? Chce pan wiedzieć, jakie znaczenie mają dla mnie te kajdany?

Słyszając ton więźnia, strażnik podszedł bliżej, ale Karol uspokoił go gestem dłoni.

– Po to tu jestem, Marley. Żebyście opowiedzieli mi wasze historie, żeby dowiedzieć się, w jakich warunkach żyjecie na Wyspie. Nikogo nie oceniam, nawet moich bohaterów.

– Nie, panie Dickens. Nawet pan nie podejrzewa, dlaczego pan tu jest. – Splunął na ziemię. – Widzi pan jedynie wierzchołek góry lodowej, a to co najważniejsze znajduje się pod powierzchnią wody. Kiedy się pan dowie, nie zechce pan nam pomóc.

Pisarz poprawił szalik pod szyją. Skąd to dziwne uczucie, że wszyscy wiedzieli o czymś, coś przed nim ukrywali?

– Być może – powiedział Karol. – Być może... Ale widzę, że cierpisz. Twoje oczy i ochryple głos zdradzają, że często krzyczysz i płaczesz. Ale przede wszystkim widzę, że żałujesz tego, co się stało.

Więzień stanął jak wryty i wbił wzrok w czubki butów, jakby nagle nic innego go nie obchodziło.

– A czemu służy żal? – zapytał głosem mędrca. – Kto może mi wybaczyć, jeżeli ja sam sobie nie wybaczę? Po co sędzia ma mnie wyciągać z więzienia, jeżeli ja sam sobie nie dam wolności?

Karol nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Być może dlatego, że się z nim zgadzał. Nie mógł mu ulżyć religijną przypowieścią, bo sam nie był zbyt religijny. Zauważył, że więzień nosi na szyi drewniany krzyż. Jednak z jego słów i bólu wywnioskował, że był to jedynie fetysz, pamiątka po tym, w co wierzył, a w co już nie wierzy. Co miał mu powiedzieć? Że jeżeli będzie żałował tego, że potrafił matkę z dzieckiem, to Bóg mu przebaczy? Pomyślał sobie, że religia była bardzo wygodna. Wystarczyło w ostatniej chwili żałować za grzechy, by się ocalić. Ale nie Marley. Marley się tym nie zadowalał. Marley sobie nie przebaczał. Podczas tego spaceru powiedział mu dlaczego.

W takt rytmicznego dźwięku łańcuchów ciągnęły się także jego słowa. Wydawały się nawet cięższe od łańcuchów. Opowiedział mu, jak poznał Lan. Była młodą dziewczyną. Tak jak on mieszkała w Five Points. Marley pamiętał, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy – klęczała przy ojcowym straganie z przyprawami. Wtedy nie potrafił ocenić jej wieku, ale wydała mu się figurką wyciętą z papieru. Była tak szczupła i delikatna. Wiatr zwiewał pukle jej długich, czarnych włosów na bladą twarz, a ona próbowała je ujarzmić, wsuwając za uszy.

Woźnica zatrzymywał się przy stoisku, choć nigdy nic nie kupował. Wyszedłszy z tawerny Dow – gdzie zawsze wypijał o kilka piw za dużo – przed powrotem do swojego pokoju na ostatnim piętrze odrapanego domu zatrzymywał się, by spojrzeć na Lan. Dziewczyna otoczona suszonymi kwiatami i ziołami i wyglądała niczym bogini, której złożono ofiarę. Zasypiał z obrazem Lan

zamkniętym pod powiekami.

Aż któregoś dnia Lan uśmiechnęła się do niego. Następnego dnia, chociaż nie zamienili ani słowa, kiedy pojechał do niej na codzienną wizytę, otworzyły mu się drzwi powozu, które jakiś pasażer musiał zostawić niedomknięte. Nie wiadomo, czy ich przeznaczenie zmieniło by się, gdyby tamtego dnia Lan nie potraktowała tego jak zaproszenie i nie wsiadła do środka.

Problem w tym, że wsiadła i wtedy, i w kolejne dni. Marley otwierał drzwi powozu. Ona zaś wsiadła do środka, czując się jak dama. Zawoził ich w oddaloną część portu. Tam uwiązywał konia i niecierpliwie, a zarazem delikatnie, odsłaniał Lan niczym bożonarodzeniowy prezent. A ona mu na to pozwalała, uśmiechnięta, wąta niczym orchidea. Dopiero później dowiedział się, że to właśnie znaczy jej imię: orchidea. Powiedział mu o tym Chińczyk, z którym dzielił celę, po tym, jak wysłuchał jego historii. Pewnej nocy, kiedy miał ją rozebrać, delikatna orchidea zbladła i speszona dotknęła klatki piersiowej na wysokości serca. Marley nie wiedział, co chciała przez to powiedzieć. Wydało mu się jednak, że o coś go pyta.

Nie potrafił odpowiedzieć, choć rozmawiali w najbardziej uniwersalnym z języków.

Wiedział, że ten rodzaj znajomości będą musieli utrzymać w tajemnicy. Co powiedzieliby jego towarzysze z tawerny? Wszyscy by stwierdzili, że jest prostytutką. W Five Points Chinki utrzymujące stosunki z białymi najpierw żądały zapłaty. Od tamtej nocy Marley zmienił swoją trasę i już nie przejeżdżał obok stoiska z przyprawami. Myślał, że o nim zapomni, że spotka kogoś ze swojej rasy. Ale przeznaczenie Lan zmieniło się na zawsze w momencie, w którym przez pomyłkę wsiadła do powozu. Nie mogła o nim zapomnieć, nawet jeżeli by tego chciała. Nie mogła ułożyć sobie życia z kimś podobnym do niej. Marley nie wiedział o tym aż do dnia, kiedy zobaczył ją kilka miesięcy później. W porcie do jego powozu wsiedli podróżnicy z Anglii: krzykliwa kobieta o siwych włosach i jej zamyślony mąż. Ponieważ im się spieszyło, Marley postanowił jechać na Broadway, gdzie małżeństwo miało się zatrzymać, przez Bowery Street. Wtedy zobaczył Lan. Stała na rogu ulicy, chudonoga, z rozpuszczonymi, nieco krótszymi niż dawniej włosami. W ramionach trzymała ciemnowłose dziecko okryte kocem. Popatrzyli sobie w oczy przez kilka długich sekund. Strzelił z biczem, tak jakby chciał uderzyć samego siebie. Zwierzę pomknęło w górę ulicy, a Lan, która nie odrywała z niego wzroku, wpadła pod koła.

Karol powrócił do rzeczywistości, usłyszawszy jęk Marleya i szczęk jego łańcuchów. Oczy więźnia były pełne bólu. Karol wyobraził sobie twarz kilkumiesięcznej dziewczynki, znikającej pod drewnianymi kołami powozu. Zobaczył Marleya podtrzymującego jej bezwładną główkę, w której rozpoznał swój nos i znamię na brodzie, wielokrotnie widziane w lustrze. Ciężko ranna Lan patrzyła na Marleya trzymającego dziewczynkę w ramionach. Podniosła dłoń do

piersi, ale tym razem nie było to pytanie, lecz odpowiedź. Kiedy na miejsce przybył policjant, Marley zeznał, że pił w tawernie i potrafił kobietę z dzieckiem. Powinien za to zapłacić – to było pewne.

Nigdy nie dowiedział się, jak było naprawdę. Czy Lan chciała podejść do powozu i pokazać mu dziecko, czy tak jak sądził, rzuciła się pod koła.

Kiedy Marley kończył opowiadać, dotarli do bramy więzienia, do którego wracał jak do miejsca przeznaczenia. Wróciłby tam eskortowany czy nie.

– A teraz co? – zapytał. – Niech mi pan nie mówi, że mi pan współczuje. Ani że uważa pan, że cokolwiek bym panu opowiedział, i tak na to nie zasłużyłem.

Więzień ruszył naprzód, ciągnąc ciężkie łańcuchy.

– Marley! – krzyknął pisarz, zanim ten zniknął za pierwszą kratą. – Czekam na pana jutro, na plaży.

Więzień zatrzymał się na chwilę, zanim zniknął w ciemności korytarza.

Karol pomyślał, że czeka go trudne zadanie. Będzie musiał przekonać Marleya, że już zapłacił wystarczająco wysoką cenę, a tego, jak go tu traktują, nie da się niczym usprawiedliwić. Potrzebował go, by poznać tajemnice więzienia. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że Marley nie miał zamiaru opuszczać współtowarzyszy, ani Wyspy. Po raz pierwszy czuł się częścią czegoś, co miało cel znacznie ważniejszy niż jego ból i poczucie winy.

\*

– Chodźmy! Chodźmy! To tam! Na pewno! – krzyczał mały Tim, który szedł tak szybko, jak pozwalały mu na to usztywnione nogi.

Tuż za nim szli chłopcy z zakładu poprawczego. Za nimi spieszyła Anne Radcliffe, ściskając pod pachą książkę Irvinga. Biegli, skakali, wyrzucali w górę zbyt duże lub zbyt małe czapki, które komuś ukradli albo gdzieś znaleźli. Ubrani w spodnie, które – aby ich nie zgubić – podtrzymywali szelkami. Zbyt obszerne dla ich chudych bioder; zbyt dużo biegali, uciekając przed strażnikami, czy też jedli tylko tyle, by przeżyć. Niektórzy nosili kamizelki albo wysłużone marynarki w trudnym do określenia burym kolorze. Niektórzy na szyi wiązali chustki.

Jeden z nich, bardzo szczupły i z przepaską na lewym oku, ciągnął pielęgniarkę za fartuch, domagając się uwagi. Skąd Tim wie, gdzie znajdują się wskazówki? Przecież jest kaleką? Anne, zmęczona szybkim tempem, tłumaczyła mu, że to dlatego, że Tim uczył się czytać. Trzeba umieć czytać, żeby znaleźć wskazówki? Mały łobuziak nalegał, a ona, wypuszczając z ust urywane obłoczki pary, odpowiadała, że pisarz, który znał te legendy, zostawił wskazówki na piśmie.

Nagle usłyszeli piskliwy głos Szczura, który dobiegł do latarni morskiej.

– I co dalej? – zawołał, spoglądając na porośniętą trawą wierzchołek.

Kiedy mały Tim i Anne Radcliffe dobiegli do niego, otoczeni resztą podekscytowanych przyjaciół, pielęgniarka otworzyła książkę.



– Tu napisano, że kolejnym kapitanem będzie ten, który, aby zobaczyć to, czego inni nie widzą, będzie musiał znaleźć tego, co chodzi wspan – udało, że czyta.

Wymyśliła to, ale była pewna, że mógłby to Irving napisać.

Tim, sapiąc z podniecenia, wrzasnął: „Już wiem!”. Podeszedł do jedyne rosnącego na plaży krzaka, a za nim biegł zaciekawiony Szczur. Przecież tam jest gniazdo raków! – pomyślał Tim. One chodzą wspan! Rzucił kule na ziemię i usiadł na piasku. Wyciągnął chudą rączkę i włożył dłoń do dziury. Powoli, z namaszczaniem i na oczach zaskoczonych kolegów, wyciągnął rdzawego raka, do którego przyczepił się jeszcze jeden uparty skorupiak.

Na widok osłupiałych oczu chłopca Anne się zaśmiała. Chłopiec wstał i zapytał uroczyście:

– Co pani na to, panno Radcliffe?

Anne podała mu książkę.

– Skoro jesteś naszym kapitanem, to sam powinieneś przeczytać. – Palcem wskazała mu stronę i akapit, od którego należało kontynuować czytanie.

Z wielkim wysiłkiem chłopiec skupił się na kartce.

– W... śro-dku prze-smy-ku... – sylabizował powoli, ale pewnie. – Nie-da-le-ko... gru-py... skał, na-zy-wa-nych Ku-ry i... kurczaki?

Anne potaknęła dumna, a chłopiec zwrócił się w stronę przesmyku.

Patrzyli na Hell's Gate.

– Brama Piekieł... – powiedział Tim. „Ooooch!” – wymamrotali pozostali.

Zdecydowanym ruchem wyciągnął lunetę i patrzył przez nią, szukając skał, o których pisał Irving w swojej książce. Właśnie wtedy dojrzał najwspanialszą rzecz, jaką widział w swoim krótkim życiu. Czarny szkielet kadłuba wyłaniał się z wody. Nad nim górował wysoki maszt. Zwisły z niego bloki, liny i kawałek czarnego materiału. Na szarpanym wiatrem skrawku dziecięcy umysł Tima narysował uśmiechniętą, białą czaszkę.

Odwrócił się oszołomiony. Wołał chłopców, jednego po drugim, by spojrzeli przez lunetę na to, co odkrył. Szczur jako pierwszy przyłożył białe rzęsy do okularu i ledwie uwierzył w to, co zobaczył.

Popatrzył na Tima. Odtąd już nigdy nie widział jego kul.

*Dzień 7*

Od wczesnych godzin porannych Manhattan sprawiał wrażenie bardziej zapracowanego niż zwykle. Wydawało się, że miasto z większą siłą wyrzuca dym z fabrycznych kominów. W porcie rozlegał się przedwyborczy zgiełk. Potem przyszła kolej na oklaski i gwizdy witające kandydata na gubernatora, demokratę Williama Christiana Boucka, który wpadł na wspaniały pomysł odwiedzenia Wyspy Blackwella. Powiedział, że chce zainteresować się losem najbiedniejszych i sprawdzić podobno fatalny stan, do jakiego doprowadziła Wyspę partia Wigów. Dlatego także w zakładzie psychiatrycznym działo się więcej niż zwykle. Późnym popołudniem lekarze – niektórych zatrudniono specjalnie na ten jeden dzień – i pielęgniarki biegali tam i z powrotem, szturchając niesfornych chorych. Wszyscy poza Anne Radcliffe, która krążyła po długich korytarzach, szukając nowo przybyłej Irlandki. Zdaniem Ady, która już uważała ją za swoją damę do towarzystwa, Darcy Moore zatrzymano w nocy, by wyciągnąć z niej informacje. Zmartwiona Ada doniosła o tym Anne, która martwiła się jeszcze bardziej. Zaalarmowało ją to, że panna Grady w towarzystwie dwóch pielęgniarek gdzieś ją zaciągnęła i od tej pory dziewczyny nie widziano. Anne, zmęczona, szła wypucowanym korytarzem, zaglądając do każdej z sal dla pacjentów i sal zabiegowych. Kiedy wróciła do przedsionka, zobaczyła, jak Luciana boleśnie uderzyła w ucho biedaka, który próbował iść do łazienki. Biedak posikał się z przerażenia. Luciana kazała dwóm strażnikom rzucić go na ziemię i wcisnęła mu twarz w urynek, jakby tresowała psa. Mężczyzna, z umoczoną twarzą, zaczął płakać i na czworakach czmychnął do kąta. Zwinął w kłębek, by ochronić się przed wściekłością Włoszki.

Chciałaby, żeby Karol zobaczył ją w pełnej krasie. Tak jak wtedy, gdy wepchnęła jedną z pielęgniarek do lodowatej wody za to, że krzyczała przez sen. Lucianę do szału doprowadzało, gdy ktoś jej przeszkadzał, kiedy czytała na nocnym dyżurze. Anne nigdy nie zapomni tamtej kobiety. Ani tego, jak Luciana przyciskała jej głowę do dna miednicy, wrzeszcząc: „Spróbuj jeszcze raz krzyknąć!”. Biedna kobieta kasłała i wymachiwała rękami.

Anne podeszła do mężczyzny i pomogła mu wstać. Kazała strażnikowi zabrać go i umyć. Włoszka śmiejąc się, przemierzała pomieszczenie.

– Święta Anne! – powiedziała. – Ach... Przenajświętsza! Nadciąga święta Anne! – I dodała z pogardą: – Chociaż od kiedy jest tu pewien pisarz... biedaczka żałuje tej swojej świętości...

Wymowę komentarza wzmocniły śmiechy jej popleczniczek.

Anne zaczerwienia się, mimo że tego nie chciała. Nie obchodziło jej, co myślą. Tu nie chodziło o nią. Ani o Lucianę. Ruszyła dalej przeszukiwać budynek. Najaktywniejszych, jak zawsze, skierowano do mycia podłóg i toalet oraz do oczyszczenia drogi z lodu, na którym można się było poślizgnąć. Politycy byli zaskoczeni, że budynek takich rozmiarów jest tak czysty. Scraugh postawił sprawę jasno: przez tego demokratę ani się nie zawstydzi, ani nie straci stanowiska. Nikt jednak nie wiedział, że sprzątaniami zajmowali się chorzy. Anne Radcliffe z zaniepokojeniem szukała Irlandki wśród twarzy wykrzywionych zimnem i zmęczeniem. Panna Grady nakazywała, by na czas sprzątania otwierać wszystkie okna i drzwi. Żeby nie umrzeć z zimna, chorzy musieli pracować szybko.

Weszła do jadalni lekarzy. Zdziwiła się, zastawszy prawie dwunastu lekarzy jedzących obfite śniadanie.

Doktor Angelopoulos usiadł miękko na swoim ulubionym krześle. Podniósł małe oczy, skryte za okrągłymi okularami o zatłuszczonych szklach. Poinformował Anne, że pan Scraugh szukał jej, by przekazać, że w dniu dzisiejszym nie odbędzie się sesja z panem Dickensem. Powiedziawszy to, zajął się swoim śniadaniem. Z przyległej jadalni dochodziły krzyki pielęgniarek. Brzmiały niczym nieprzerwana kanonada rozkazów: „Nie wychodzić z szeregu! Cisza! Szybciej! Idź!”. Sala jadalna pacjentów była długa i wąska. Psychicznie chorzy biegali w poszukiwaniu miejsca, próbując uniknąć spoliczkowania. Po obu stronach stołów znajdowały się długie ławki bez oparcia. Na końcu jednej z nich, naprzeciwko naczynia z różowawą substancją, którą pielęgniarki nazywały herbatą, siedziała panna Lili. Obok każdej miski leżała gruba pajda chleba i talerzyk z pięcioma śliwkami. Potężna kobieta, o męskim wyglądzie, sięgnęła po porcję Lili, która nie stawiała żadnego oporu. Kobieta wlała sobie zawartość miski do ust, dłonią przytrzymując swoją miskę. Anne dyskretnie wsunęła śliwki do kieszeni fartucha. Znajdował się w niej już kawałek ciasta z mięsem, który podkraśla z jadalni lekarzy. Kiedy podeszła do Lili, przeraził ją mizerny wygląd kobiety. Tymczasem Lili podniosła oczy znad pustego talerza i podała go Anne z olśniewającym uśmiechem, jakby były na nim same frykasy.

– Chodź, Lili – szepnęła Anne, delikatnie ją podnosząc. – Chodź, pójdziemy na plażę.

Trzymając się pod ramię, szły do wyjścia długimi korytarzami. Anne powtarzała tę operację od miesięcy. Kradła jedzenie z jadalni lekarzy – bo im i owszem podawano ciasto z mięsem, wędliny i owoce – i dawała je Lili na plaży. Kobieta jadła powoli, jak ptaszek, z głową opartą na ramieniu pielęgniarki. Anne

pilnowała też, żeby nie zmuszano Lili do ciężkiej pracy i żeby zbyt nie wysilała, bo to mogłoby odbić się na jej zdrowiu.

\*

Karol wyszedł na zewnątrz, zaalarmowany silnym zapachem spalenizny dobiegającym znanym z Manhattanu. Miał dobry humor, bo ostatnie dwa dni były bardziej niż owocne. Po pierwszej rozmowie z Marleyem wydawało mu się bardzo prawdopodobne, że na kolejnej sesji wysłucha opowieści o życiu w więzieniu. Nie mógł się tego doczekać. Prawdziwy świat pociągał go tak samo albo bardziej niż fikcja. W rzeczywistości był w nim kronikarz, który od czasu do czasu brał górę nad pisarzem. Nic nie dodawało mu więcej energii, niż możliwość zdemaskowania niesprawiedliwości. Ale jako pisarz też był zadowolony. Tamtego ranka, w końcu, udało mu się spełnić jeszcze jedno ze swoich postanowień. Prawie nie było chmur, a z okna jego pokoju, w oddali, widać było drzwi latarni morskiej. Postanowił czekać od świtu, aż do momentu, w którym skrzypek wyjdzie na zewnątrz. Było około szóstej trzydzieści. Jeszcze nawet nie zjadł śniadania. Znudzony oddawał się liczeniu mew i strażników przemierzających łakę. Odkrył nawet, że doktor Angelopoulos wstawał wcześniej, by uzbrojony w lornetkę obserwować ptaki. Wtedy zobaczył, jak jakaś postać wychyla się z ośmiokątnego tarasu latarni morskiej i spogląda w stronę morza. Jakby zależało od tego życie, Karol zbiegł po schodach, przeskakując co drugi schodek i omijając zaspane pielęgniarki, snujące się korytarzami. Przebiegł przez westybul i łakę pognął do latarni. Postać stała tyłem, odcinając się od blasku wschodzącego słońca.

Kiedy dotarł do stóp latarni, brakowało mu tchu. Uspokoiwszy oddech, zdołał jedynie powiedzieć: „Halo!”.

Szczupła, żyłasta postać, z bujną czupryną, wychyliła się przez poręcz wieży.

– Jest pan Anglikiem? – wrzasnął z wyraźnym irlandzkim akcentem.

– Tak – odparł Karol.

– To proszę zabierać się z mojego terenu albo pan tego pożałuje! – Schylił się i podniósł z podłogi coś, co okazało się być nocnikiem. Wylał jego zawartość przez poręcz tak nieszczęśliwie, że wiatr zwiął część z niej na taras.

Mężczyzna wrócił do środka, miotając przekleństwami. Zamknął drzwi z trzaśnięciem. Karol, biorąc nogi za pas, był zdziwiony tak nieprzyjaznym powitaniem. Dwa razy okrążył latarnię dookoła. Przyjrzał się opartej o drzwi stercie beczek na paliwo. Zauważył, że latarnik posadził dwa drzewa wyznaczające jego teren. Nie miał tu nic do roboty. Ruszył w stronę zakładu psychiatrycznego.

Udało mu się ominąć doktora Angelopoulosa, który wciąż namawiał go do zjedzenia śniadania w jadalni lekarzy. Usiadł w jadalni pielęgniarek, jak zawsze, przy stole obok okna. Właśnie podczas śniadania Caridad – pielęgniarka okrążyła

i słodka jak maślana bułeczka – opowiedziała mu niewiarygodną i niewesołą historię latarnika.

Nazywał się John McCarthy i był pacjentem zakładu psychiatrycznego na Wyspie Blackwella. Pochodził z Irlandii. Przybył do Nowego Jorku, kiedy Anglicy zaczęli wywłaszczać irlandzkie ziemie. Nigdy się nie zasymilował. Wciąż tęsknił za Irlandią. Five Points z wojnami gangów nie było miejscem wymarzonym dla tego spokojnego mężczyzny, który przyplynał statkiem ze skrzypcami pod pachą. Na Wyspę wysłano go po tym, gdy znaleziono go w porcie – niemal umierającego z głodu, mającego i przekonanego, że Anglicy lada moment zaatakują jego kraj. Po kilku miesiącach pobytu McCarty'ego w zakładzie, podczas pogodnego dnia, jeden ze strażników zauważył, że pacjent zaczął budować mur na północy wyspy. Używał do tego nadwyżek kamieni, które więźniowie wydobywali w kamieniołomie. Znacznie lepiej się czuł i był dumny ze swojej pracy. I nie bez przyczyny – potwierdziła Caridad. Według strażników mur był niezwykle mocnej konstrukcji i doskonale wykonany. Ci, którzy widzieli go z bliska, opowiadają, że w środku było mnóstwo napisów, planów i numerów, które sugerowały, że to jakiś rodzaj fortyfikacji.

Pewnego ranka okazało się, że John zbudował ośmiokątną wieżę i wszedł do jej środka. U podstawy zamieścił napis:

*Ten budynek wzniosł John McCarthy i każdy, kto do niego wejdzie, powinien pomodlić się za jego duszę.*

Spodziewał się angielskich inwazji. Krzyczał, kiedy próbowano go przekonać, żeby porzucił wieżę i się poddał. Nie tylko odmówił wyjścia, ale jeszcze rościł sobie prawo do ziemi. Nigdy nie miał własnej i nikt na świecie nie przekonał by go do tego, żeby się jej zrzekł. Negocjacje trwały już trzy dni, kiedy w nocy McCarthy zapalił ognisko na tarasie, żeby się ogrzać. Traf chciał, że dzięki światłu zaimprovizowanej latarni austriacki statek nie rozbił się o Bramę Piekieł. Z tego powodu, ale także dlatego, że na pokładzie znajdował się ambasador monarchii austro-węgierskiej, kapitan przyplynał na Wyspę Blackwella, by podziękować „latarnikowi” za sygnały, które uratowały mu życie. Kapitan nie przypominał sobie, żeby latarnia znajdowała się na mapie wybrzeża, mimo że od lat żądał, żeby wystawiono choć jedną, która pomagałaby przepłynąć przez tę cholerną Bramę. Dyrekcja Wyspy nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy ambasador osobiście wręczył latarnikowi podziękowanie od samej cesarzowej Sissi. Od tego czasu, i z tego powodu, pozwolono Johnowi mieszkać w wieży i zajmować się latarnią, którą uwzględniono na mapach. Wydaje się też, że jego umysł zaczął odnajdywać się w morzu szaleństwa.

Kiedy Caridad skończyła opowiadać, herbata Karola była już zimna. Gdyby pisząc, stworzył taką postać, uczyniłby go murarzem. Tak, irlandzkim murarzem,

który uciekł z ojczyzny i znalazłszy się na wyspie jako zakładnik, postanowił... Oczywiście, na wzór innych budowli masonskich, zbudował ją na planie ośmiokąta i wyrył swój podpis w kamieniu. Fantastyczna historia! – pogratulował sam sobie.

Poza tym jako liberał głęboko się wzruszył. To była niemal mowa na rzecz własności prywatnej. Zapisze ją, by użyć jej jako metafory podczas jednego ze swoich wykładów o „prawie do własności jako źródle rozwoju i inicjatywy jednostki... – powiedział sam do siebie. – Nienaruszalne prawo, które powinno być zapewnione i chronione...” – ciągnął pod nosem. Natychmiast pobiegł schodami na górę, by to wszystko spisać, zanim zdąży zapomnieć.

\*

Kilka godzin później, jak co dzień, spacerował po plaży, obmyślając drugą część opowieści. Tym razem jednak towarzyszyło mu uczucie nasycenia, jak po zjedzeniu doskonałego dania czy idealnej schadzce miłosnej. Tuż po wyjściu udało mu się przemknąć obok młodego lekarza, którego manuskryptu jeszcze nie zaczął czytać. Nie chciał, by cokolwiek odwracało jego uwagę od doświadczania na Wyspie Blackwella.

Trzeba przyznać, że popołudnie było dziwne. Słońce, zwykle błyszczące i zimne, wydawało się wywoływać na niebie krwotok i napełniało Wyspę niezemskim światłem. Zdaniem pisarza przez cały dzień wszystko przyczyniało się do budowania nierzeczywistej atmosfery – tła dla opowieści. Czuł się niezwykle zainspirowany. A jednak po raz pierwszy w życiu nie był zdolny napisać ani słowa. Nawt nie ogolił się. Po raz pierwszy nie miało to dla niego znaczenia. Jeszcze kilka dni temu niemożność napisania dwóch obowiązkowych stron dziennie wywołałaby u niego kryzys twórczy. Tymczasem fanatyk kontrolowania wszystkiego odprężył się i po raz pierwszy dał się porwać wydarzeniom i zasadom wyznaczanym przez nowy świat, jakim była Wyspa Blackwella. Tu nie rządził rozsądek, a on przejmował się jedynie tym, by każdego dnia przejść odległość trzech kilometrów.

Po wysłuchaniu historii Johna McCarthy’ego, w tej niezwyklej scenerii prawie nic pisarza nie dziwiło. Poza postacią, która robiła się coraz większa, w miarę jak gnała plażą w jego stronę. Z oddali wydała mu się postacią z mitologii. W miarę jak się zbliżała, rozpoznał niewielkiego mężczyznę z białą brodą. Niczym konia dosiadał silnego mężczyzny bez jednego oka. Zbliżyli się do niego i przystanęli.

– Coś ty za jeden? – krzyknął „jeździec”.

– Podróżnik, który chce przemierzyć te ziemie. – Dickens zaimprovizował, zafascynowany niezwykłą postacią. – Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

Mężczyzna z nocnikiem na głowie – na szczęście czystym, pomyślał pisarz – przyjrzał mu się wychodzącymi z orbit oczami. Jego „koń” zarżał głośno.

– Jestem don Kichot z La Manchy – odparł mężczyzna. – Musicie wiedzieć, że czyha na was wielkie niebezpieczeństwo. Dotarli do mnie wieści, że w okolicy grasuje niebezpieczny angielski czarownik.

Pisarz przyglądał się „don Kichotowi” z dziecięcym zachwytem. A ten, już oddalał się na swoim „rumaku”.

Oto prawdziwe błogosławieństwo szaleństwa – pomyślał Karol, odprowadzając jeźdźca melancholijnym wzrokiem. Zdolność do odtworzenia dowolnego marzenia z materii rzeczywistości. Tam gdzie niemożliwe staje się możliwym. W otoczonym wodą więzieniu było coś, czego nie można pozbawić: umysły wolne od więzów konwencji, rozsądku i autocenzury. Zdał sobie sprawę, że z każdym dniem podziwiał ich bardziej, niż żałował. Kim byłby on sam bez kontroli nad umysłem? Jak szalone sny udałoby mu się stworzyć? Może i on byłby rycerzem jeżdżącym na rumaku w blasku zachodzącego słońca? Coś najbardziej zbliżonego do tej wolności twórczej mają dzieci.

Kiedy dostrzegł dwie kobiety, na końcu plaży nadal majaczyła sylwetka jeźdźca. Bez wątpienia – pomyślał Karol – gdyby bohater Cervantesa był Nowojorczykiem, na pewno wysłano by go na Wyspę Blackwella.

\*

– Macie na Wyspie więcej takich sław? – zapytał żartobliwie Anne.

– O, mamy tu sześciu królów i jedną królową. Łącznie siedmiu monarchów, o ile nam wiadomo...

– Fantastycznie... – wyrwało się Karolowi. Poczł się zawstydzony, kiedy pielęgniarka podniosła na niego oczy. Słyszała, co powiedział?

– A tamten mężczyzna? – Karol wskazał na mężczyznę, który biegał tam i z powrotem, gwiżdżąc, wydychając obłoki pary i zataczając ramionami okręgi.

– Simon? Myśli, że jest maszyną parową – odpowiedziała Anne z czułym uśmiechem, odrywając zimnymi palcami kawałek mięsa i wkładając go do ust panny Lili.

Uwadze Karola nie umknął popołudniowy ruch w zakładzie psychiatrycznym. Wielu chorych zbierało kłody wyrzucone przez rzekę. Było więcej lekarzy niż zwykle; byli też bardziej zabiegani. Więźniowie, jak zwykle, skuwali lód ze ścieżki, jednak tym razem robili to znacznie szybciej. Poza tym widział też pana Scraugha w skrzypiącym powozie, który z samego rana przemierzał Wyspę.

Powodem tego wszystkiego, jak wytłumaczyła mu Anne, było to, że kandydat na burmistrza, republikanin James Harper, zapowiedział swoją wizytę na Wyspie. Kiedy dowiedział się o tym William Christian Bouck, kandydat demokratów na gubernatora, natychmiast postanowił zrobić to samo. Dickens pomyślał, że to znak nadziei.

– Nie odtrąbiaj zwycięstwa, Karolu – powiedziała Anne, uśmiechając się półgębkiem. – To zwyczajowa wizyta, którą odbywają wszyscy politycy przed zbliżającymi się wyborami. Kiedy już sami nie wiedzą, co robić, mówią: „Odwiedzmy Wyspę Blackwella!”. Żeby móc powiedzieć, że przejmują się wyrzutkami społecznymi, i przy okazji znaleźć haki na przeciwnika. – Anne oderwała dwa małe kawałki placka i włożyła je w dłonie Lili.

– W każdym razie – rzekł Karol – to mechanizm kontrolny. Dobrze, że politycy na własne oczy oglądają wyniki pracy poprzedników, nie sądzisz?

Anne westchnęła, spoglądając za siebie i widząc wyłaniającą się grupę mężczyzn w cylindrach, którzy szli w pogrzebowym tempie. Otaczali ich lekarze w białych kitlach. Nigdy wcześniej ich tu nie widziała. Przodem kroczył dyrektor Scraugh, zgarbiony bardziej niż zwykle, niemal usłużnie. Wskazywał to tu, to tam, a jego goście co chwila przystawali. Gdyby to miało jakikolwiek sens... – pomyślała Anne, wywracając oczami. Dwukrotnie uczestniczyła w takich spotkaniach. Odwiedzający ograniczali się do obejścia Wyspy i usiłując ukryć malujące się na twarzach obrzydzenie, uważali, by nie ubłocić butów. Zwiedzali miejsca przygotowane na ich przyjęcie, co zwykle oznaczało zagonienie do pracy więźniów i pacjentów, żeby zakłady prezentowały się bez zarzutu. Potem wybierano dwóch lub trzech przedstawicieli, którzy odgrywali rolę skruszonego więźnia, rokującego szaleńca lub zachwyconej sieroty, czekającej na przybycie nowej rodziny. Następnego dnia cała trójka dostawała za to dodatkową porcję obiadu.

– Przeżycie – powiedziała – to naczelna zasada. Ach, zapomniałabym. Dzisiaj nie będzie opowieści...

Zrobiła znużoną minę. Z pogardą spojrzała na znikających wewnątrz budynku polityków. Powiedziała, że nawet jeżeli do władzy dojdzie opozycja, to ograniczy się do zawieszenia wszystkich reform rozpoczętych przez poprzedników, nie zważając na to, czy były dobre, czy złe. Nie zmieniają za to pożałowania godnych warunków, w jakich żyją ludzie na Wyspie. Scraugh postanowił nawet, że nie będzie się ubiegał o zwiększenie środków na sierociniec. Wiedział, że go sprawdzano, a aktualny burmistrz, demokrata Robert Morris, obiecał mu ważne stanowisko na Manhattanie, jeżeli ponownie wygra wybory.

Karol słuchał rozczarowany. Jak to możliwe, że walka między partiami dotarła nawet do tego smutnego przytułku wyrzutków? Dlaczego osoby odpowiedzialne za dobro tych ciężko doświadczonych ludzi zakładały partyjne okulary? Cóż za podłe i żalosne chorągiewki – pomyślał Karol o politykach.

Zwrócił uwagę na pannę Lili, na Anne i sposób, w jaki karmiła dziewczynę.

– Rozchorowałaby się, gdybym nie robiła tego przynajmniej raz na trzy dni – powiedziała, gładząc Lili po plecach, po których spływały loki pomarańczowo-czerwonych włosów, unoszonych przez wiatr.



Po drugiej stronie rzeki już zapadł mrok. Na południu Manhattanu pojawiły się, niewidoczne do tej pory, czerwone błyski. Potem wiatr przyniósł dźwięk przeciągle wyjących syren.

– Pożary – powiedziała. – Z tego brzegu zobaczysz przynajmniej jeden na tydzień.

Oficjalny raport, opublikowany całkiem niedawno, dawał do zrozumienia, że nie wszystkie były przypadkowe. Spekulujące firmy posuwały się nawet do podpalania dochodowych interesów. Jednostkami gaszącymi pożary rządziły gangi. Kiedy na miejsce pożaru przyjeżdżały wozy dwóch konkurujących ze sobą gangów rozpętywała się awantura. Kiedy w końcu ustalono, komu wolno pożar ugasić, zajęty ogniem budynek zdążył spłonąć. Tak czy inaczej, wczoraj w nocy widziała jeden pożar, a dzisiaj po południu już dwa. Mogła się też założyć, że jutro wybuchnie przynajmniej jeden.

\*

Karol słuchał Anne, a jej słowa wrywały go ze świata fantazji. Miał zwyczaj tłumaczenia sobie rzeczywistości poprzez fantazjowanie. W ten sposób mógł podzielić ją na kawałki, rozłożyć na części, przeanalizować i zrozumieć. Dlatego jego uwagę szybko przyciągnęło to, jak Anne rozcierała dłonie Lili, by je trochę rozgrzać. Jak zaplatała jej długie, rude włosy. Czulość, z jaką pomagała jej wstać. Nagle Lili, tak wątpa, objawiła mu się jako bohaterka tej historii. Przypomniał sobie, jak wszyscy patrzyli na nią pierwszego dnia, kiedy tworzyli opowieść na plaży. Jak Florita ujęła jej twarz w swoje pomarszczone dłonie. Jak mały Tim usiadł u jej stóp. Jak Ada, która zwykle wyciągała dłoń do pocałunku, ustąpiła jej miejsca...

– To Lili, prawda?

– Nie rozumiem – odpowiedziała Anne, podnosząc wzrok.

– Chcę wiedzieć, dlaczego Lili jest bohaterką tej opowieści.

Nadszedł czas, pomyślała Anne, wycierając zatłuszczone palce w fartuch. Nadszedł czas, żeby opowiedzieć mu o Lili. Przeszedł już wystarczająco wiele prób. Wiedziała, że jest godzin zaufania. Nie mogła dłużej zwlekać.

– Karolu... poznałeś już tajemnicę Wyspy. – Zawahała się przez sekundę i mówiła dalej. – Najwyższy czas poszukać skarbu. Żeby powiedzieć ci, gdzie się znajduje, musisz najpierw poznać kilka szczegółów.

Tajemniczo zawiesiła głos, ogrzała dłonie własnym oddechem, i w końcu zaczęła opowiadać o skrywanym do tej pory przed pisarzem obliczu Wyspy Backwella.

\*

Kiedy Lili przybyła tutaj, nikt nie znał jej pochodzenia. Wiadomo było tylko,

że ma halucynacje i że przeszła załamanie nerwowe, dowiedziawszy się o śmierci swojego ukochanego. Uwagę pielęgniarki zwróciły jej czarne, rozszerzone źrenice nienaturalnie błyszczących oczu. Po kilku dniach zauważyła, że oczy dziewczyny są zielone. W tym samym czasie Lili wyraźnie lepiej się poczuła. Po tym jak Caridad – wierna czytelniczka prasowych doniesień – nie znalazła żadnej informacji na temat zabójstwa bogatego południowca, Anne zaczęła podejrzewać, że oficjalna wersja skierowania dziewczyny do zakładu była kłamstwem. Dlatego gdy ustały halucynacje, zawołała ją do pokoju zabiegowego na rozmowę w cztery oczy. Właśnie tam, nieco zdezorientowana, ale świadoma, Lili opowiedziała jej własną wersję wydarzeń.

Mężczyzna, w którym się zakochała, był bogatym właścicielem plantacji z Południa. I nie ulegało wątpliwości, że miał żonę. Lili pochodziła z zamożnej rodziny mieszczańskiej. Kiedy ojciec dowiedział się, że córka planuje uciec z kochankiem, powiedział jej, że go zamordowano. Kiedy dziewczyna się załamała, podał jej proszki „na sen”. Pogryzła się w koszmarze na jawie, z którego wybudziła się dopiero po kilku dniach. Do tego czasu jej ojcu udało się sprawić, by postawiono jej diagnozę w szpitalu psychiatrycznym i wysłano na Wyspę.

Anne przerwała na chwilę. Pisarz pogryzł się w zamyśleniu.

– Jest coś, co by mi nie pasowało w tej opowieści, gdybym to ja był jej autorem – powiedział. – Ojciec poinformował ją, że kochanka zabito. Chciał umieścić córkę w zakładzie, zanim się zorientuje, że kochanek jednak żyje. Ale dlaczego wysłał ją do instytucji dobroczynnej, skoro miał pieniądze, by umieścić ją w szpitalu?

– Moim zdaniem, nie chciał, żeby spotkała kogoś ze swoich sfer. Chciał uniknąć skandalu – powiedziała Anne bez cienia wątpliwości. – Przez te dwa dni, kiedy jej umysł był światły, zanim rozpacz pchnęła ją w objęcia szaleństwa, Lili próbowała przekonać lekarzy i pielęgniarki, że była pod wpływem narkotyków. Że nie postradała zmysłów. Ale im bardziej do rzeczy mówiła, tym bardziej przekonywano się, że oszalała. Nikt jej nie wierzył.

– Ale ty – tak.

– Owszem, ja tak...

Tak czy owak, to wszystko nie miało sensu – pomyślał Karol, próbując coś z tego zrozumieć. Pozwolił, by Anne, z surową miną i coraz większym zdenerwowaniem, kontynuowała opowieść.

– Wtedy – powiedziała, otaczając się ramionami – wpadła na to, żeby zbadała ją Florita. Może dzięki temu dowiedziałyby się, co jej podano. Zaaranżowanie spotkania nie było łatwe, ale skorzystała z okazji, jaką dawał spacer po plaży zarówno mieszkańców przytułku jak i zakładu psychiatrycznego. Szamanka zgodziła się. Florita kilkakrotnie potrząsnęła nad ręką Lili chusteczką

wypełnioną kolorowymi kamykami. Diagnoza była jednoznaczna. Podano jej belladonnę: czarne, błyszczące jagody. Zawarta w nich atropina powoduje rozszerzanie źrenic i nadaje oczom blask. W książkach do botaniki znajdujących się w obserwatorium Anne wyczytała, że efekt ten był uważany za piękny i bardzo pożądany w średniowieczu. W niewielkiej dawce belladonna jest halucynogenna, w większej zaś śmiertelna. Nazywano ją nawet „specyfikiem czarownic”, które robiły z belladonny maść. Smarowały nią potem miejsca intymne – dzięki temu narkotyk szybciej przenikał do układu krwionośnego, a czarownice myślały, że latają na miotłach. Żeby potwierdzić diagnozę, Florita upewniła się, że dziewczyna prawie nie wydzielala łez, śliny czy potu. To wszystko efekty uboczne zażycia belladonny. Ale Florita, spojrzawszy jej w oczy, odkryła też coś, czego Anne się nie spodziewała. Odkryła tajemnicę Lili, prawdziwy powód, dla którego jej ojciec postanowił ją odesłać i odciąć od ludzi z wysokich sfer, wśród których się obracała. Odkryła coś, co Lili, wściekła i zdesperowana, wyznała ojcu owego popołudnia. Coś, co przypieczętowało jej los.

Karol przyglądał się tamtej Lili. Próbował sobie wyobrazić, jaka była. Jak śmiała się pod satynową parasolką, zieloną albo żółtą. Otulona ozdobioną frędzlami jedwabną peleryną. Spacerująca jak dziewczęta, które widział na północy Manhattanu. Uczestnicząca w spotkaniu klubu czytelniczek, do którego tylko wybrani mieli wstęp. „Zechciałaby pani coś przeczytać?”. Ta druga Lili – zjawą, w którą się zamieniła – jakby na zawołanie wstała i podeszła do brzegu rzeki. Karol pomyślał, że jej białe stopy unoszą się jakby w powietrzu. Lili, jak zawsze, stanęła na palcach. Wyglądało to, jakby Manhattan zasłaniał jej coś ukrytego na drugim brzegu rzeki Hudson, a może jeszcze dalej.

– Jest – powiedziała. Oboje wstali, i spojrzeli w kierunku, w którym patrzyła.  
– Wielka biała pani. Idzie w naszą stronę. Z oceanu. Widzicie ją?

Długie rude włosy Lili falowały. Wyciągnęła mlecznobiałą rękę, z widocznymi żyłkami, w stronę Manhattanu.

– Jaka piękna – szepnęła głosem nimfy morskiej. Jej oczy napełniły się blaskiem. – Widzicie je? Widzicie mosty ze złotej nici, które połączą nas ze światem? Pociągi będą jeździć pod ziemią i pod morzem. I ludzie, dużo ludzi, którzy będą chcieli być razem. Tak dużo, że kiedy zabraknie miejsca, będą mieszkać jedni nad drugimi w sięgających nieba wieżach ze szkła...

Anne i Karol stali jak zahipnotyzowani wizją, którą Lili tak żywo opisywała. Przez chwilę widzieli całkiem wyraźnie las złocistych drapaczy chmur wznoszących się nad wodę, w której odbijały się wątle światła latarni gazowych, tamtego dnia ustępujące miejsca czerwonej poświacie pożarów.

Stali tak, aż w końcu silny podmuch wiatru odsłonił to, co w jednej chwili nadało sens wszystkim dywagacjom Karola od momentu przybycia na Wyspę Blackwella.

Wiatr rozwał spowijające Lili ubrania, odsłonił jej wychudzone ciało. Karol z zaskoczeniem dostrzegł największy z cudów: Lili będzie miała dziecko.

*Wyspa Blackwella, 1867 r.*

„Tam, gdzie niemożliwe, nagle wszystko staje się możliwym” – powiedział Dickens, postarzałym głosem, wciąż odtwarzając wizję, która dwadzieścia pięć lat temu snuła się na drugim brzegu rzeki. Stojące obok niego Margaret i Nellie, dzięki jego słowom, też zobaczyły las świetlistych wież, pnących się w górę, sięgających chmur, rozlewających się w tafli wody niczym płynne złoto.

W tej samej chwili i całkiem niedaleko, bo w Cincinnati, młodzieniec nazywający się Thomas Alva Edison marzył o wytworzeniu światła. Pochylony nad biurkiem w Western Union, przesiadywał godzinami, pracując nad wynalazkiem, który przyniesie mu pierwszy patent: prostą maszyną do automatycznego liczenia głosów. Miała dwa guziki – jeden do głosowania za, a drugi do głosowania przeciw. Rok później maszyna ta trafi do komisji Kongresu w Waszyngtonie, gdzie zapadnie brutalny, ale sprawiedliwy wyrok: „Młodzieńcze, jeżeli istnieje jakiś wynalazek, którego na pewno nie chcemy, to właśnie ten”. Ale wtedy Edison jeszcze tego nie wiedział, więc przetarł oczy zmęczone migotliwym płomieniem gazowej lampy i przeklął szybko zapadającą zimą ciemność. Gdyby miał wystarczająco światła, żeby móc pracować w nocy... Nie wiedział, że zaledwie dziesięć lat później przedstawi światu rozżarzoną bańkę, która rozjaśni ciemność i zmieni Nowy Jork w miasto z wizji Lili. W miasto, które nigdy nie śpi. We wrześniu 1882 roku w Nowym Jorku zapalą się tysiące żarówek, a nowojorczyki będą spacerować ulicami swojego miasta zdezorientowani i zachwyceni. Jasności szybko zapragną ludzie zamożni, teatry, wystawy, a nawet najsłynniejsza ze wszystkich pochodni. Nowy Jork będzie błyszczał nad wodą tak jasno, że zdezorientuje niejednego z kapitanów statków zmierzających do Nowego Świata. Dojdzie nawet do tego, że kapitanowie będą prosić władze, by nakazały wygasić światła miasta. Dickens, Margaret i Nellie stali teraz, rozmyślając nad wizją, którą wytworzył chory umysł Lili. Pomyśleć tylko, że za zaledwie piętnaście lat wizja się ziści. Pisarz miał nieodparte przecucie, że Nellie – zbliżająca się teraz do niego z czymś ukrytym w dłoni – ten widok zobaczy.

– Skarb – powiedziała zadowolona, otwierając dłoń i pokazując mu zielone szkiełko. Potem pobiegła szukać innych skarbów, które rzeka wykradła zatopionym statkom.

Dickens zachwycił się wytrwałością, z jaką szukała przedmiotów na brzegu rzeki. Był pewien, tak jak wtedy, kiedy zobaczył Lili, że dziewczynka stanie się bohaterką historii. Nie tylko swojej, ale także i innej, pisanej wielką literą. Być może przeczuł, że w jej dziecięcej główce układają się opowieści, które przed chwilą usłyszała. Jak, nie rozumiejąc jeszcze zbyt wielu słów, rozróżniała dobro od zła, sprawiedliwość od niesprawiedliwości.

Jeżeli robisz dobrze, a traktują cię źle, to niesprawiedliwe – pomyślała dziewczynka, notując w swojej główce niektóre ze zdań wypowiedzianych przez pisarza: „Dać głos tym, którzy głosu nie mają”... Nuciała maksyminy niczym dziecięce piosenki i wirowała wokół własnej osi, aż zakręciło się jej w głowie.

Nauczycielka też pogrążyła się w zadumie. Nie mogła przestać myśleć o pogrążonej w wizjach Lili, stojącej z otwartymi ramionami. O jej odmiennym stanie maskowanym warstwami ubrań.

– Czyli była w ciąży... – powiedziała, kładąc dłonie na piersi. Odwróciła się, wzięła głęboki oddech i przez kilka sekund dochodziła do siebie.

Karola zaskoczyło wrażenie, jakie ta część jego opowieści zrobiła na Margaret. Przypominało to, jakie wywiera na czytelniku, który zdążył już pokochać jednego z bohaterów i który angażuje się w jego perypetie. Pamiętał, że takie samo wrażenie wywarła na nim Lili, choć znał ją zaledwie od tygodnia.

Nawet po tylu latach dobrze ją pamiętał. To emocje odciskają obrazy w naszej pamięci. Odkrywszy, że Lili spodziewa się dziecka, tamten trzydziestoletni Karol wzruszył się.

– Cud. To cud, że nie straciła dziecka przez pierwsze miesiące zażywania belladonny – przyznał Karol. – Kto wie, czy taki nie był pierwotny zamiar jej ojca. Poza tym że chciał, by uznano ją za wariatkę.

Cudem było też to, że podczas jej pobytu na Wyspie Blackwella nikt tego nie zauważył. Potwierdziło to coś, o czym już mu opowiadała Anne Radcliffe: brak jakichkolwiek badań lekarskich.

– Jedno było pewne. Osoby, które mnie w to miejsce sprowadziły, znały tajemnicę Lili. Miały też plan, do którego zamierzały mnie włączyć – kontynuował pisarz.

Anne opowiedziała mu, co działo się z dziećmi urodzonymi na Wyspie. Wiele z nich było owocem gwałtów, których dopuszczali się strażnicy. Musiano więc jakoś uzasadnić przyjęcie nowego dziecka do sierocińca. Dlatego tuż po urodzeniu niemowlęta wrzucano do rzeki. Nawet gdyby Lili próbowała przekonać lekarzy, że przybyła na Wyspę już w ciąży, Scraugh i jego poplecznicy chcieliby uniknąć jakiegokolwiek skandalu.

– Dlatego od chwili, kiedy Anne odkryła stan Lili, myślała tylko o tym, jak wywieźć stamtąd dziecko.

Dickens zawiesił wzrok na drugim brzegu rzeki. Margaret zrobiła to samo.

Nauczycielka była bardzo przejęta tym, co przed chwilą usłyszała. W dłoni pisarza nadal tkwiło zdjęcie. Pisarz podał jej fotografię. Musiała jeszcze raz zobaczyć ich twarze. Tym razem Margaret spojrzała na Lili innymi oczami. Tym razem zobaczyła jej pełen nadziei uśmiech i ramiona ułożone w kołyskę.

Aby dopiąć swego, Anne zjednywała sobie na Wyspie te osoby, na których dyskrecję i pomoc mogła liczyć, bo wiedziała, co przeżyły. Marley widział w tym dziecku znak, który wysyłał mu los i dzięki któremu mógł się na coś przydać. Poza tym był jednym z więźniów wyznaczonych do przeprowiania łodzi na drugi brzeg. Mały Tim też się zgodził. Chłopiec, któremu nie było dane poznać własnego brata, nie chciał, żeby jakieś inne dziecko podzieliło jego los. Jako łącznik miał przekazać Marleyowi wiadomość o narodzinach dziecka. Florita była położną i tylko ona miała wystarczająco doświadczenia, żeby sprowadzić dziecko na świat. Szczur z kolei był jedynym tak małym mieszkańcem Wyspy, by wykraść się z zakładu poprawczego i wejść przez okno do pokoju Lili. Kiedy nadejdzie termin porodu, miał stać na straży i zawiadomić, że rozpoczęły się skurcze... Została im tylko jedna rola do obsadzenia: osoby, która wywiezie dziecko na wolność i poszuka mu rodziny. To musiał być ktoś wpływowy. Ktoś czuły na problemy społeczne. Ktoś o otwartym umyśle. Ktoś, komu mogli wyjaśnić, że nie mieli innego wyboru, że musieli złamać prawo.

– Anne dowiedziała się, że jakimś cudownym zrządzeniem losu przyjadę do Stanów Zjednoczonych dokładnie wtedy, kiedy dla Lili nadejdzie czas rozwiązania.  
– Pokręcił głową i uśmiechnął się. – Domyślam się, że wiedziała też, że nie jest mi obojętny los sierot. Zapewne z moich ostrych wypowiedzi w prasie na temat niesprawiedliwości w sierocińcach. Wtedy namówiła Adę, by napisać do mnie list. Musieli mnie ściągnąć na Wyspę, żebym na własne oczy zobaczył, jak ważne i konieczne jest, by zabrać z niej dziecko. Dla tej niewielkiej grupy jego wywiezienie stało się symbolem ich własnej wolności – rozumiesz, Margaret? Czymś, co nadawało sens ich życiu.

Kiedy skończył przemowę, podczas której coraz wyżej podnosił wzrok, zauważył, że Margaret słucha go ze łzami w oczach.

– To naprawdę niesamowita historia – powiedziała ledwie słyszalnie. – Ale nie rozumiem, jak mogłaby urodzić, żeby nikt się nie zorientował. Ani jak chcieli wywieźć dziecko z Wyspy. Jeżeli się nie mylę, to wtedy, tak samo jak teraz, nie można było przyjeżdżać tu z bagażem. A każdą, nawet najmniejszą torbę, przeszukiwano przed odjazdem.

Dickens uśmiechnął się z melancholią.

– Droga Margaret, najważniejsze nie jest ani to, czy to rozsądne, czy możliwe. Ani nawet to, czy im się udało. Najważniejsze jest to, że garstka pozbawionych nadziei osób wierzyła, że im się powiedzie, nawet jeżeli wszystko było przeciwko nim. Wymyślili swój mały plan, by zmienić świat na lepszy...

Spojrzenie kasztanowych oczu nauczycielki powędrowało na drugi brzeg. Będący symbolem wolności brzeg, który wskazywała mała Nellie. Wolność, o którą ta dziewczynka będzie walczyć za kilkanaście lat, kiedy dostanie posadę w gazecie, po napisaniu listu do redakcji, w którym skrytykuje artykuł dyskryminujący pracujące kobiety. Dziennikarze gazety Pulitzerza dostrzegą w jej liście ziarno talentu reporterki i odkryją umiejętność demaskowania prawdy. Odpiszą jej na łamach gazety, zapraszając ją do redakcji w Nowym Jorku. Redakcji, której już nigdy nie opuści...

Margaret patrzyła na Manhattan, nie podejrzewając nawet, że Nellie podbije tę wyspę zaledwie kilka lat później. Wyspę, na którą przybywali podróżnicy z innych kontynentów, z postanowieniem zmiany swojego życia. Przypomniała sobie też, co opowiedziała jej matka, która kiedy jeszcze mieszkała na Południu, widziała schodzących ze statków czarnych niewolników związanych ze sobą łańcuchami jak bydło. Na każdym trzech żywych przypadał jeden martwy. Odwodnieni, roztrzęsieni, z wielkimi z głodu i strachu oczami. Sprzedawano ich na placach. Od samej tej myśli zrobiło jej się zimno. Zarzuciła szal na głowę i zamknęła oczy. Zaledwie trzy lata minęły od wojny, która uwolniła niewolników z Południa. Przypomniała sobie, jak podczas rebelii przeciwko poborowi jej sąsiedzi, dzieci, z którymi dzieliła szkolną ławę, polowali na czarnych. Ścigali ich niczym zwierzęta i wieszali na latarniach Manhattanu.

Jak powiedział Dickens, Nowy Jork bardzo się zmienił, a Wyspa prawie wcale. Ale wolność, podobnie jak szczęście, nie są trwałe.

Niezmiennie było jedynie to, że na wolność trzeba zapracować, bo nie jest dana raz na zawsze.

Im więcej strachu, tym mniej wolności. A kiedy kurczy się wolność, zanika nasza zdolność do bycia szczęśliwymi. W tamtej chwili Margaret zrozumiała wszystko to, czego postarzała Anne Radcliffe nauczyła ją, kiedy spotkały się na Wyspie: ćwicząc wyobraźnię, daje się ludziom wolność i miejsce, w którym mogą się schować przed strachem. To ich jedyna szansa na szczęście. „Czas nie płynie, Margaret”, powiedziała jej pewnego razu Anne Radcliffe, zbierając siwiejące loki w kok. „Czas nie płynie, to my płyniemy”. Miała rację. Życie to zmiana. Nieustanny ruch, podobny do ruchu Historii, do ruchu rzeki, która unosi pnie drzew, łodzie i ludzi do morza. Rzeki, którą podziwiała, stojąc u boku wielkiego pisarza Karola Dickensa. Wiedziała, że rozmawiał z Anne Radcliffe wiele razy. „Pisarz przeznaczenia” – tak go nazywała.

– Największym nieszczęściem jest brak nadziei – przypomniała sobie Margaret, nie zdając sobie sprawy z tego, że mówi na głos.

Dickens zatopił się we wspomnieniach.



*Wyspa Blackwella, 1842 r.*  
*Dzień 8*

– Największym nieszczęściem jest brak nadziei – powiedziała Anne Radcliffe, zadawszy mu to najważniejsze pytanie.

Tym razem nie umawiali się. Nie było takiej potrzeby. Zaraz po zapadnięciu zmroku oboje ruszyli w stronę miejsca, które było ich schronieniem. Nie chciała zmuszać go do mówienia. Wiedziała, że musiał wszystko przemyśleć. Zrozumiała to, gdy zauważyła, jak patrzy na Lili. Jego milczenie. To, jak założył ręce za plecami, jak gdyby nagle bał się je pokazać. Czy drżały? Czy wielki Karol Dickens kiedykolwiek drżał, pisząc o niesprawiedliwości? Anne obserwowała, jak pisarz przechadza się ciężko po pomieszczeniu, z założonymi rękami, broniąc się przed podjęciem decyzji. W jej głowie kłębiła się burza pytań.

– Anne, prosisz, żebym popełnił przestępstwo.

– To chyba zbyt mocne słowo, nie sądzisz? – broniła się, zerkając mu w oczy.

– Jest, jak jest. Mój zawód polega na tym, żeby szukać słów, które najprecyzyjniej opisują rzeczywistość.

Podszedł do piecyka. Otworzył żelazne drzwiczki i gwałtownie rozgarnął żarzące się węgle. Nie mógł tego zrobić. Musiał walczyć o sprawiedliwość, ale w walce o nią trzeba jej przestrzegać. Trzeba próbować, by sprawiedliwość dotarła do wszystkich, ale odpowiednimi ścieżkami.

– Nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz, Anne. Nie w ten sposób.

Anne wstała i podeszła do niego, jakby chciała go uderzyć. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Nie pomożesz nam?

– Tego nie powiedziałem, Anne. Pomogę wam, ale po swojemu.

– Czyli jak?

– Jeżeli powiem, że na Wyspie urodzi się dziecko...

– Nie! – przerwała mu. – Nie rób tego! Nie rozumiesz, co to znaczy!

– Daj mi skończyć – powiedział gwałtownie i poczuł, że każde słowo ciąży mu w gardle. – Jesteś tu od zbyt dawna. Nie wiesz, jak funkcjonuje świat. Znam wielu wpływowych ludzi, którzy mogą zapewnić bezpieczeństwo dziecku. Jeżeli

odkryją prawdę, to i twoje, i moje życie mogą lec w gruzach. Nie rozumiesz? Według prawa porwiemy dziecko!

– Czyli głęboko w duszy jesteś formalistą... – powiedziała, nie kryjąc pogardy. – Jak myślisz, w najlepszym wypadku, co się stanie z dzieckiem Lili?

Karol potarł twarz dłońmi, jakby próbował wybudzić się z koszmaru.

– Nie możemy działać wbrew prawu, Anne.

– Możemy, jeżeli prawo ogranicza wolność i prawo do życia.

– Prawo zawsze ogranicza wolność, ale zapominasz, że bez prawa wolność nie istnieje.

Anne uderzyła ręką w stół.

– Nie mów do mnie jak jeden z tych nadętych polityków, z którymi popijasz herbatkę. Nie rozumiem cię! Odpowiedz mi jako ty, jako Karol Dickens, jako człowiek. Jak myślisz, co stanie się z dzieckiem? – Wbiła w niego wzrok. – Powiem ci. W najlepszym wypadku skończy w sierocińcu. Być może w tym na Wyspie, gdzie będą je karmić strzykawką. Ale zapominasz o najważniejszym. Lili chce, żebyśmy je wywieźli z Wyspy.

– Skąd możesz to wiedzieć? – powiedział, podnosząc głos. – Ma halucynacje! Na Boga, Anne! Widzi zjawy spacerujące po rzece!

– Bo mnie o to poprosiła, kiedy jeszcze była zdrowa. Bała się, że postrada zmysły!

Stali naprzeciw siebie niczym dwóch szermierzy, którzy obmyślają kolejny atak. Wiatr uderzał okiennicami o szyby. Przez szczelinę wpadał powiew, od którego płomienie świec tańczyły jak przy dźwięku piekielnej muzyki.

– Nie rozumiem cię – powiedziała z żalnym uśmiechem. – Jak możesz ufać instytucjom, po tym, co ci opowiedziałam, i po tym, co widziałeś? Powiedziałaś mi, że byłeś sądowym stenografem i że właśnie dlatego czujesz, że masz... jak to było? Że jako pisarz masz społeczne zobowiązania. Jakże pięknie to zabrzmiało! Że dlatego w powieściach o niesprawiedliwości piszesz o sprawiedliwości dla ubogich. Co takiego widziałeś w tym sądzie?

Spojrzał na nią zimno. Doskonale wiedziała, jak nadepnąć na odcisk. Przeklinał moment, w którym powiedział jej o tylu rzeczach. „Co takiego widziałeś?” – powtarzała raz za razem. – „Sprawiedliwość?”. Aż w końcu, głosem wydobywającym się z trzewi, powiedział:

– Widziałem sprzeczność między tym, w co wierzyłem, a tym, co widziałem. Szeroko otwarte oczy Anne zapłonęły.

– Jeżeli między tym, co widzę, a tym, w co wierzę, jest rozdźwięk – mówiła, podchodząc do niego tak blisko, że poczuł jej oddech – to albo zmieniam to, jak patrzę, albo to, w co wierzę.

Te słowa uderzyły go, jak bicz. Być może byłoby lepiej, gdybyś tyle nie widział – mówiła, uderzając dłonią w stół. Gdybyś na chwilę przymknął oczy... Nie

przerywał jej, pozwalał, by go raniła, nie bronił się. Nigdy wcześniej nikomu na to nie pozwolił. Światło świec wyostrzało jej rysy, zaciśnięte pięści i żyły na białej szyi, nabrzmiałe od napięcia.

– Twoje idealistyczne plany zaangażowanego liberała sprawdzą się fantastycznie tam, gdzie można je wcielić w życie. Tyle tylko, Karolu, że ten kraj jest w kryzysie. Co za sprzeczność! – drwiła.

Wyspa Blackwella to efekt tego, jak pozwala się traktować przerażone wizją głodu, zdesperowane i sparaliżowane społeczeństwo w kryzysie. Tego, jak rządzący zubożałym społeczeństwem zajmują się garstką wyrzutków. Wyrzutków! Powtórzyła, krążąc po pomieszczeniu w tę i z powrotem. Tym właśnie byli! Gdyby nie przeludnienie, dzieci byłyby pod ochroną. A niektórych przestępstw, takich jak na przykład prostytutka czy kradzież, nie traktowano by na tyle poważnie, żeby latami izolować człowieka od społeczeństwa. A dlaczego? Bo potrzebowaliby rąk do pracy. Ale teraz w Nowym Jorku ludzi jest za dużo. Na Boga! Nie ma pracy... Coś takiego! Więc chorych, niepełnosprawnych i biednych wysyłano do miejsc takich jak Wyspa. Żeby osobom jego pokroju nie zniszczyć pięknej wizji postępu – wyszeptwała, wbijając w niego wzrok.

– Tak, ludziom twojego pokroju, Karolu – powtórzyła, wymierzając w niego oskarżycielski palec. – Jaką wartość dla takiego społeczeństwa może mieć to dziecko? No, powiedz mi! Żadnej. Ale jaką wartość ma to dziecko dla grupy ludzi, którzy stracili wszystko? – Jej jasne rzęsy zatrzepotały. – Powiem ci jaką: odzyskają nadzieję. Poczują, że ich życie ma sens. Że chociaż jedno z nich dotrze na drugi brzeg.

Oddychała szybko. Na czoło wystąpiły jej krople zimnego potu. Ciągnęła dalej, gorączkowym szeptem:

– Nie możemy pozwolić, żeby paraliżowało nas rozczarowanie niesprawiedliwym światem. Żebyśmy przez nie stracili prawa, które wywalczyli dla nas nasi ojcowie. Ani ty, ani ja nie zmienimy historii Wyspy, ale owszem możemy uratować dziecko. A może w przyszłości ono ocali następne, a ono kolejną dziesiątkę, a dziesiątka pięćdziesiątkę. A ta pięćdziesiątka stanie się grupą wolnych ludzi, którzy będą pamiętać, że kiedyś ktoś pomógł im odmienić ich los. Będą wiedzieć, że to możliwe.

Ręce jej drżały. Karol szukał jej oczu. Odchrząknął.

– Nie pozwalam na taki emocjonalny szantaż, Anne. To niesprawie...

– Niesprawiedliwe? – dokończyła. – Nie. Oczywiście, że nie jest.

Karol zapiął płaszcz i wyszedł, trzaskając drzwiami tak mocno, że zadrżały meble. Anne podbiegła do okna i patrzyła, jak w kilka sekund znika w nocy.

Wybuchnęła płaczem.

Szlochała tak, jak nigdy dotąd. To koniec marzenia – powiedziała sobie, zwijając się na skórzanym fotelu. Co powie reszcie? Co zrobią, kiedy urodzi się

dziecko? Wszystko szło idealnie... Czują, że boli ją głowa, a łzy zaczynają spływać po policzkach. Głupi, głupi, głupi pisarz oszukał ją swoimi gładkimi słówkami. Co on mógł wiedzieć o cierpieniu, skoro żył otoczony sławą i luksusem? Nie przypuszczała, że w tej chwili Karol czuł, że niebo wali mu się na głowę. Po co zabiegał o przyjazd na tę Wyspę? Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, czuł zimny i mokry dotyk pasty do butów, wpijającej się pod jego dziecięce paznokcie i wywołane przez zimno odmrożenia palców. Przypomniawszy sobie kwaśny zapach mydła, którym pani Roylance przemywała mu rany, kiedy po pracy wracał do wynajmowanego w Candem pokoju. Dopadły go tłumione latami obrazy z dzieciństwa. Krople zastygłego wosku na stronicach *Don Kichota*, czytane po kryjomu. Ciężki i nieustępliwy dźwięk krat więzienia Marshalsea, które opadały za nim w niedziele, po wizytach u ojca. Zafrasowana twarz matki, która opuściła dom, by wraz z dziećmi zamieszkać w więzieniu. Niedomyte ciało, świad, poczucie wszechobecnego brudu, zapach czystości dochodzący z zakładów golibrodów i pachnące nowością piekarnie. Mocno potarł dłonie, jakby znowu miał dziewięć lat i nie mógł doczyścić paznokci.

Dotarwszy do budynku, wpadł na Olbrzyma Toma, który, jak we wszystkie mgliste dni, trzymał straż z pochodnią. Karol pozdrowił go gestem dłoni, wciąż pogrążony we wspomnieniach. Wchodząc po schodach, usłyszał kroki. Natychmiast ściągnął płaszcz i wrzucił do schowka pod schodami. Zaraz potem natknął się na pannę Grady, która także zdawała się gdzieś spieszyć. Obydwoje zwolnili kroku, skłonili się grzecznie, z zakłopotaniem kogoś, kto ma coś do ukrycia.

– Panno Grady, czy może pani polecić, by przyniesiono mi szklankę ciepłego mleka? W moim pokoju zrobiło się chłodno – powiedział.

Potaknęła. Każde z nich, idąc w swoją stronę, zastanawiało się, skąd wraca to drugie. Panna Grady – ciężkim, kaczym krokiem – pokonała trzy stopnie do wyjścia i zawołała do Toma.

– Już – poklepała dłonią jego muskularną pierś. – Mam to, czego potrzebowałam.

Tom ruszył wraz z nią śliską ścieżką prowadzącą do zakładu psychiatrycznego. Stara pielęgniarka ledwie oddychała z podekscytowania. Czyli o to chodziło – pomyślała, ściskając kieszeń fartucha, w której znajdowały się listy Anne Radcliffe. Teraz miała ją w garści... i uśmiechnęła się tryumfująco.

Kiedy Karol i Anne kłócili się w obserwatorium, panna Grady, która czekała, aż Anne wyjdzie z budynku, musiała zdecydować, czy śledzić ją, czy raczej przeszukać jej pokój. Próbowała to zrobić już od dwóch tygodni. Pech chciał, że listy napisane ostatnio przez Adę znajdowały się w kieszeni pielęgniarskiego fartucha Anne. A ona, jak co noc, idąc na spotkanie z Karolem, zmieniała strój. W białym fartuchu byłaby bardzo widoczna. Anne w końcu zrobiła coś, za co

będzie mogła ją wyrzucić – cieszyła się panna Grady, próbując nadążyć za Olbrzymem. Być może uda się zamknąć ją w więzieniu – z radością przypomniała sobie list, w którym rzekoma matka małego Tima przekonywała go, żeby nie zeznawał przeciwko ojcu. To na pewno przestępstwo – pomyślała panna Grady.

– Idź wolniej, kretynie! – wrzasnęła do Olbrzyna. Ten zatrzymał się w miejscu, jakby ktoś ściągnął mu lejce. – Czy mam zadzwonić do Barnuma, żeby cię zabrali?

Olbrzym w jednej chwili jakby się skurczył. Ciężką głowę zwiesił między ramionami.

– Niech pani tego nie robi – błagał tubalnym głosem. – Zrobię wszystko, o co pani poprosi, ale niech pani nie dzwoni do Barnuma.

Kobieta podeszła bliżej. Jej oczy były szeroko otwarte. Owszem, było coś, co mógł dla niej zrobić.

– Wyśpiewasz mi wszystko, co mówicie na spotkaniach z Anglikiem. Słyszysz? Chcę wiedzieć, co mówicie o zakładzie i o mnie. Może ta twoja wielka głowa przyda się wreszcie do czegoś. Jeżeli dobrze się spiszesz, nie zadzwonię do Barnuma.

Olbrzym przytaknął pokornie.

\*

W wielkim ciele, była bojaźliwa dusza. Kiedy Tom był dzieckiem, tak dużym, jak żadne inne dziecko na świecie, kupił go człowiek pragnący otworzyć na Manhattanie muzeum osobliwości. Początkowo wędrowali od jarmarku do jarmarku. Potem powstało American Museum, gdzie Phineas T. Barnum wystawiał wszystko: od zwłok syreny podobno wyłowionej u wybrzeży Fidżi, po czarnoskórą staruszkę, która twierdziła, że ma sto sześćdziesiąt lat i była niańką Jerzego Waszyngtona. Kiedy zmarła, Barnum sprzedawał bilety na sekcję zwłok. Nie dało się ukryć, że miała przynajmniej dziewięćdziesiąt lat mniej, niż twierdził przedsiębiorca.

„Zaskoczyć cynika i zaintrygować sceptyka”, to hasło umieszczał na plakatach. Nowojorczycy lubili odwiedzać jego specjalizujące się w oszustwach muzeum. Nie dlatego, że wierzyli w te cuda, ale by spróbować odgadnąć, na czym polegały jego sztuczki. Jego specjalnością były ludzkie dziwolągi. Szło mu tak dobrze, że w krótkim czasie stał się pierwszym impresariem, który na swe przedstawienia przyciągał tłumy.

Problem z Tomem polegał na tym, że nie było w nim nic nadzwyczajnego. Nie był zabalsamowaną mumią w witrynie ani oszustem. Tom był olbrzymem. Barnum kazał mu mówić, że przywieziono go z odległego kraju Brobdingnag, który leżał gdzieś pomiędzy Japonią a Kalifornią. Od świata oddzielały go wysokie góry, które opisywał Jonathan Swift w swoich *Podróżach Guliwera*.

Sęk w tym, że mierzący niemal trzy metry mężczyzna, nie umiał kłamać. Tom nie był wystarczająco inteligentny, by oszukiwać. Nawet wtedy gdy zależało od tego jego życie. Tom rozróżniał jedynie to, w co wierzy, od tego, w co nie wierzy. W to, co widział lub słyszał, i w to, czego nie widział i nie słyszał. Nie wiedział co to ironia, półprawdy czy metafory. Pewne było tylko to, co mógł zobaczyć na własne oczy. A on ani nie był w Brobdingnag, ani nie poznał żadnego Guliwera. Z początku nie stwarzał problemów. Barnum ograniczał się do usadzania go na ziemi, w towarzystwie kilkunastu mebli, żeby można było lepiej docenić jego monstrualność. Kłopoty pojawiły się, gdy publiczność zaczęła zadawać pytania. Spędził wiele nocy w piwnicy, skuty kajdanami. Barnum okładał go żelaznym prętem, żeby zmusić do posłuszeństwa. Raz prawie stracił język, po tym, jak Barnum przypalił go gorącym żelazem. Od tamtego czasu mówił niewyraźnie. Czasami budził się nad ranem, dręczony koszmarami.

Pewnego dnia wyszedł z muzeum i już nigdy do niego nie wrócił. Był tak poraniony, że zawieziono go do zakładu na Wyspę Blackwella. Trzeba było złączyć trzy łóżka, żeby móc go położyć. Tam po raz pierwszy czuł, że nie jest inny. Tam wszyscy byli inni. Szybko doszedł do siebie i zaczął pomagać w przesuwaniu ciężkich mebli, uciszał awanturujących się pacjentów zakładu psychiatrycznego i pilnował Wyspy po zmroku. W końcu został tu i pracował w zamian za jedzenie. W głębi duszy nadal był niewolnikiem.

\*

Olbrzym zgasił pochodnię w śniegu niczym wielkie cygaro i wrócił do siebie. Mieszkał w niewielkiej, pachnącej żywicą, szopie na narzędzia. Wydawało się, że lada moment zawali się niczym domek z kart. Zwinął się w kłębek na pryczy i kołysał się z boku na bok. W końcu jego pochrapywanie rozniosło się po całej Wyspie. Śniło mu się, że otoczyły go dzikie zwierzęta.

*Dzień 9*

Kiedy nocne mgły zaczęły sięgać okien, Scraugh już nie spał. Od dłuższego czasu nie sypiał zbyt dobrze. Na domiar złego Luciana powiedziała mu, że ten przeklęty angielski pisarz postanowił wziąć go za wzór postaci w swojej opowieści. Jakoś go to nie śmieszyło. Poza tym było też coś, o czym niewiele osób wiedziało. Scraugh lękał się Boga i był przesądny aż do obłądu. Dlatego nie podobały mu się historie o duchach czy zjawach, szczególnie wtedy, kiedy miał być ich bohaterem. Podekscytowana Luciana – najwyraźniej zaciekawiona opowiadaną przez Dickensa powieścią w odcinkach i zakochana w nim po uszy – powiedziała Scraughowi, że starego Scrooge’a odwiedzą trzy duchy. Ni mniej, ni więcej! A pierwszy miał przyjść godzinę po północy.

Starzec uniósł się na łokciach i w ciemności dostrzegł białą tarczę zegara, który wskazywał pięć minut przed pierwszą. Zerwał mokrą od potu szlafmycę i włożył na powykręcane stopy marne pantofle. Podszedł do okna. Mgły gęstniały. Starca przeszył dreszcz. Żołądek odmówił mu posłuszeństwa. Coś takiego nie przydarzyło mu się od szkolnych czasów, kiedy gaszono światła w internacie. Szybkiem krokiem ruszył do łazienki.

Niepokój Scraugha miał swoją przyczynę.

W stworzonej przez Dickensa postaci literackiej zobaczył się niczym w lustrze. A ponieważ nie wiedział, w jaki sposób tworzą pisarze, pomyślał, że przeklęty Anglik grzebał w jego przeszłości, albo jeszcze gorzej – był jasnowidzem. Opisał Scrooge’a jako odciętego od świata mizantropa, a on właśnie taki był. Scrooge nienawidził Bożego Narodzenia, zupełnie tak jak on. Też był katolikiem, a jako dziecko także był samotny. Nie miał dzieci. Miał za to siostrzeńca, na którego zupełnie nie zwracał uwagi. Skąd, u diabła, Anglik mógł to wszystko wiedzieć?

Scraugh nie zdawał sobie sprawy z tego, że wskazówki, z których skorzystał Dickens przy tworzeniu literackiej postaci, znajdowały się w jego własnym gabinecie. Pisarz stworzył postać jedynie na podstawie obserwacji. Kiedy po raz pierwszy wszedł do jego biura, zwrócił uwagę na mały krzyż wiszący nad drzwiami. Scraugh mógł go umieścić w innym miejscu, ale wybrał właśnie to, by chronić pokój. Dickens zauważył też, że każdy świecznik ma osobne gasidło. Taka

obsesja na pewno związała się z jakimś przesądem. Nie było portretów rodziny, rodziców, żony czy dzieci. O siostrzeńcu dowiedział się od Luciany. Powiedziała mu też, że Scraugh nie cierpi świąt Bożego Narodzenia, tak jak każdy, kto nigdy się nimi nie cieszył. Dickens wyobraził sobie więc dziecko, któremu odebrano dzieciństwo. Dziecko, które czuło się skrępowane gestami czułości. Człowiekowi o emocjonalnych brakach miłość przychodzi z trudem. To zapewne wpłynęło na jego relacje z kobietami. Na podstawie tego pierwszego szkicu pisarz popuścił wodze wyobraźni i zobaczył bezdzietnego Scrooge'a, który z ledwością utrzymywał kontakt z nieliczną rodziną, jaka mu pozostała. Broniąc się przed samotnością, wmówił sobie, że nienawidzi rodzaju ludzkiego, i znalazł schronienie w pracy. Chciał być dobrym zarządcą – to był jego jedyny cel.

Dickens chciał doprawić mieszaninę cech swojego bohatera solidną szczyptą okrucieństwa, ale ostatecznie zrezygnował z tego zamiaru. Chytry i zgorzkniały Scrooge zrobił minę, która zaalarmowała pisarza, która sugerowała, że być może ta smutna postać gdzieś głęboko w środku kryła odrobinę człowieczeństwa – prawdziwy Scraugh zmartwił się, że proponowany przez Dickensa eksperyment może być okrutny. Ta odrobina dobroci wystarczyła, by pisarz zdecydował, iż jego bohater nie zawsze był zimnym i zgorzkniałym sknerą, ale że kiedyś kochał, śmiał się i miał przyjaciół. Aby tchnąć w niego ducha, włożył mu w usta słowa, które zasłyszal u dyrektora zakładu: „Cóż za głupoty!”. Dickensowi wydały się dźwięczne i charakterystyczne.

Ale Scraugh nie potrafił sobie tego wszystkiego wyobrazić. W oczach pisarza i jego grupy wariatów czuł się nagi. Bóg jeden raczy wiedzieć, co jeszcze o nim wiedzą. Starzec przechadzał się po pokoju, przygarbiony, i gasił płomienie, jeden po drugim, każdy stosownym gasidłem. A co, jeżeli ten człowiek w jakiś sposób mógł przewidzieć jego przeznaczenie? Jeżeli to, co opowiadał, jakimś cudem się wydarzy?

„Cóż za głupoty!” – syknął starzec i wzdrygnął się na dźwięk własnego głosu. Nawet to powiedzonko mu ukradł. I teraz, za każdym razem, kiedy je wypowiadał, wydawało mu się, że naśmiewa się z samego siebie. Próbując przestać o tym myśleć, dotarł do świeczki palącej się na biurku. Zauważył, że gasidło zniknęło, a nie mógł jej ot, tak po prostu zdmuchnąć. Dopiero kiedy świeca wypaliła się do cna, udało mu się zapaść w głęboki sen. Jednak szybko dopadły go dziwne wizje, w których mieszały się duchy, gasidła i wspomnienia. To wszystko sprawiło, że zaczął mówić przez sen. Nie wiedział, że obserwuje go para błyszczących oczu, czekających w ciemności, by wyjść z ukrycia.

\*

Punktualnie o pierwszej po południu Karol wybierał się na spotkanie, by opowiedzieć drugą część historii. Na Wyspie był od dziewięciu dni; minęła już



połowa jego pobytu. Po raz pierwszy poczuł się przytłoczony wrażeniami. Tego popołudnia krajobraz zdawał się stworzony, by być tłem opowieści o duchach. Wielkie, ciemne i zasnuwające niebo chmury zakrywały słońce i rzucały cień na budynek zakładu psychiatrycznego. Karol zapisał w pamięci następującą scenę: przy drzwiach zakładu, niczym wykolejony pociąg, leżało dziesięć przewracanych przez wiatr wózków inwalidzkich. Ten obraz idealnie oddawał stan jego ducha. Nie był zdolny zjeść śniadania.

Obsesyjnie myślał o słowach wypowiedzianych zeszłej nocy przez Anne. niesprawiedliwie go osądziła. Nieświadoma niczego manipulanka. Jak mógł pozwolić, by posunęła się tak daleko? Za kogo ona się uważała! Potem dowiedział się od Caridad, że jeden z lekarzy czekał na niego w stołówce. Co chwila pytał, czy zjedzie na śniadanie. Znowu ten uparty młodzieniec – Karol pomyślał o kurzącym się na stoliku nocnym, nietkniętym rękopisie. Dwa pierwsze rozdziały nie nadawały się do czytania... A fikcji miał tu pod dostatkiem!

Martwiło go też spotkanie z panną Grady o tak późnej porze. Oboje mogli ponieść konsekwencje, gdyby odkryła ich nocne spotkania. To zniszczyłoby reputację ich obojga. Pomijając to, co mogłoby się stać, gdyby odkryła absurdalny plan Anne. Tak czy owak, zobowiązał się jedynie do tego, by ich wysłuchać, zebrać ich skargi i ujawnić je. Przed wyjazdem chciał też zaszczepić im wirusa wyobraźni, by ich życie w tym miejscu stało się nieco bardziej znośne.

Sam siebie przekonywał, że jest tylko pisarzem, którego jedyną bronią są słowa. Nie mógł dla tych ludzi zrobić nic więcej.

\*

Kiedy dotarł do wyznaczonego miejsca na plaży, wszyscy już czekali. Wszyscy oprócz Anne. W głębi duszy czuł niepokój przed tym spotkaniem. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Ucieszyło go, że tego dnia nie pilnował ich nikt poza adorującą go Lucianą. Potem dowiedział się, że Anne, w jego imieniu, poprosiła Scraugha o więcej intymności w trakcie eksperymentu. Starzec zgodził się, choć był pewien, że Dickens nie poradzi sobie z grupą. Zapewne bał się tego, co pisarz może potem opublikować w prasie.

Siedzieli w półkolu i patrzyli na niego. Jego postaci patrzyły na niego, niecierpliwie, jakby czekały, by wybrał je na bohaterów opowieści. Tak właśnie to sobie wyobrażał. Kiedy był dzieckiem, marzył, by zostać pisarzem tak sławnym jak Szekspir. Wydawało mu się, że postaci snują się w głowie autora od dnia jego narodzin. A pisarz musiał mieć wystarczająco talentu, żeby je umieć wykorzystać i dać każdej rolę, na którą zasługiwała. Siedzieli przed nim, bardziej materialni niż kiedykolwiek. Florita, stosownie do swojego imienia, przyniosła naręcze ziół porastających Wyspę. Zauważyła jego zaniepokojenie. Podtrzymywała niebieską, haftowaną suknię. Wyglądała niczym motyl, który próbuje poderwać się do lotu.

Zapewniła go, że zioła zapewnią mu spokój potrzebny do podjęcia najlepszej decyzji. Za nią stał Olbrzym Tom, jakby chciał schronić się za jej małym ciałem. Na ławce siedziała Ada. Wyglądała, jakby przed chwilą zesza z pokładu statku. Ada była przekonana, że uczestniczy w spotkaniu towarzyskim dla elity. Na tę okazję, ze swojej niekończącej się gazety, zrobiła sobie oryginalny toczek. Opowiadała im ze szczegółami o swoich niezwykłych wakacjach. U jej stóp siedział mały Tim, który kulą na piasku malował promienne słońce. Nieco dalej, twarzą zwrócona do rzeki, stała magiczna Lili. Balansowała, unosząc się na palcach, zamknięta w swoim świecie. Nadmiar ubrań ukrywał jej stan. Karol zorientował się, że za nią, niczym cień, stoi Marley, czuwający nad bezpieczeństwem dziewczyny. Karol miał wrażenie, że jeżeli Lili się osunie, Marley złapie ją w ramiona, jeżeli skoczy do rzeki, on rzuci się do wody, by ją uratować.

Jego uwadze nie umknęła obecność Luciany. W czekoladowych oczach pielęgniarki czaiła się żarliwa prośba, by pozwolił jej zostać. Poprosiła pannę Grady o pozwolenie – powiedziała, przygryzając mięsiste wargi... tak bardzo podobała jej się jego opowieść... Karol nie miał wątpliwości, że Włoszka donosi o każdym jego ruchu, ale wiedział też, jak odwrócić jej uwagę.

– Oczywiście, moja droga. – Uśmiechnął się, a jej oczy zapłonęły niczym latarnie. – Czytała pani moje książki tak wnikliwie, że nie mógłbym się obejść bez pani uwag o tej opowieści...

Na nieszczęście triumfalne spojrzenie rzucone przez Lucianę za jego plecy nieco zbyt późno uświadomiło mu, że Anne przysza na tyle wcześniej, by go usłyszeć. Kiedy się odwrócił, stała za nim. Twarz miała opuchniętą od płaczu. W dłoni trzymała ręczną robótkę.

– Panie Dickens, przepraszam za spóźnienie, ale miałam dość zajęty poranek – powiedziała, raniąc go każdym słowem. – Widzę jednak, że Luciana ma wszystko, jak zawsze, pod kontrolą.

Nie odpowiedział, ale zauważył, że reszta zebranych przygląda jej się z wyczekiwaniem. Karol pomyślał, że pewnie zastanawiają się, czy zgodził się im pomóc. W pełnych nadziei twarzach dostrzegł odpowiedź.

– Panie Dickens, panie Dickens... – powiedziała Florita, składając dłonie jak do modlitwy. Będzie pan z nami jeszcze przez zaledwie tydzień, może być *mahuiztiquez*...

– Masz rację, kochana – odparła Ada, która pogrążona w świecie wojen i inwazji zawsze odpowiadała jej tak, jakby ją rozumiała. – Tu wszystko jest możliwe. Nigdy nie wiadomo, kiedy zdarzy się cud...

Zapadła porozumiewawcza cisza.

– Myślę, że już niedługo, bardzo niedługo... *oritah!* – powiedziała Florita, szeroko otwierając oczy.

Wszyscy spoglądali na siebie nawzajem, żeby tylko nie patrzeć na Lili. Dziewczyna, obojętna na całe to zamieszanie, wpatrywała się w rzekę, to śmiejąc się, to szepcząc. Nawet Olbrzym Tom próbował nadażyć za tą dziwną rozmową i zapamiętać coś, co brzmiałoby rozsądnie, na wypadek kolejnego szantażu panny Grady.

– Pozwoliłam sobie przynieść trochę herbaty – powiedziała nagle zirytowana Anne, próbując, z pomocą Flority, rozplątać supły na wełnianej włóczce. – Nalać ci, droga Luciano?

Florita podniosła oczy znad włóczki i spojrzała na Anne. *Cihuachichi totonqui...*, szepnęła, patrząc na Włoszkę, która z radością przyjęła filiżankę, bo było naprawdę zimno. Spojrzenie, które starszka wymieniła z Anne, i to, że jemu jej nie zaproponowały, sprawiły, że Karol poczuł się nieswojo.

– Więc... – powiedziała Anne nieco zdenerwowana – skończyliśmy na tym, że Scrooge czekał na odwiedziny pierwszego ducha, który miał się zjawić o pierwszej.

Dochodzący z Manhattanu dźwięk dzwonu kościoła Świętego Patryka potwierdził godzinę. Karol zaś przypomniał sobie o tym, że Nowy Jork znajduje się tak blisko. Opowiedz im historię – pomyślał. – Zrób dla nich chociaż to. – Potarł dłonie. Miał wrażenie, że są brudne od pasty do butów. Rozpoczął:

– Bim, bam! Słyszycie? – zapytał pisarz. – Scrooge też słyszał – „Piętnaście po...” – liczył Scrooge. – Bim, bam!

– Wpół do! – wrzasnął mały Tim.

– Bim, bam! – powtórzył Karol.

– Za piętnaście! – krzyknęło kilka głosów.

– Bim, bam!

– Pierwsza! – zaśpiewała bardzo podekscytowana Ada.

Karol ściszył głos:

– I zegar... w końcu wykonał ostatnie, głębokie, dudniące i melancholijne uderzenie. Pierwsza. Pokój na chwilę oświetlił blask błyskawicy... – Wszyscy wstrzymali oddech. – Rozsunęła się kotara łóżka...

– I? – wrzasnął piskliwy głosik, dochodzący nie wiadomo skąd.

Wszyscy byli poruszeni. Anne, Luciana i Olbrzym Tom też. Nawet Karola przeszedł dreszcz. Lili oderwała się od wizji i klaskała jak mała dziewczynka. Zza górki piasku wychylił się Szczur, którego nieobecności do tej pory nikt nie zauważył. Z kieszeni jego marynarki wystawał mały złoty dzwoneczek z inicjałami. Pisarz potarł kark – gdzie już taki widział? Jego słynna pamięć podsunęła mu wyraźny obraz gabinetu dyrektora. Oczywiście, natychmiast sobie przypomniał. Ten drobny złodziejasek potrafił zakraść się dosłownie wszędzie. Uśmiechnął się przewrotnie i przemilczawszy to kontynuował opowieść.

Karol powiedział im, jak rozsunęła się kotara łoża. Przysiągłby, że zrobiła

to czyjaś dłoń. Pan Scrooge, przerażony, podniósł się na łokciach i stanął twarzą w twarz z bezcielesnym gościem...

– Był tak blisko, jak ja was – zapewnił pisarz i wstał, trzymając dłonie splecione na plecach. Podszedł do Szczura, któremu przyglądał się z zainteresowaniem. – To była dziwna postać – powiedział z żartobliwą miną. – Ni to dziecko, ni to starzec.

Szczur, który po raz pierwszy w życiu poczuł się wybrany do czegoś bardzo ważnego, wstał. W tej pozycji sięgał Karolowi prawie do pasa. Pisarz przyjrzał mu się bacznie i mówił dalej:

– Po szyi i ramionach spływały mu białe włosy starca, ale na twarzy nie było najmniejszej zmarszczki. Ramiona miał długie i muskularne, a duże dłonie zdawały się mieć nadzwyczajną siłę... – Szczur uśmiechnął się rozzuchwalony i zakręcił się wokół własnej osi. Karol obszedł go dokoła i ciągnął opowieść: – Miał na sobie śnieżnobiałą tunikę, ściągniętą na biodrach błyszczącym pasem, odbijającym światło... Pisarz ułamał gałązkę z rosnącego na plaży krzaka i włożył ją w dłoń Szczura, który trzymał ją uroczyście. – W dłoni trzymał... gałązkę świeżej choinki.

– Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że z jego głowy promieniowało światło... – Karol złowieszczo zawiesił głos. – Zamiast czapki zakładał na głowę gasidło, które teraz trzymał pod pachą...

Szczurowi, który przechadzał się wśród kolegów dumny niczym paw, oczy wyszły z orbit. Niepostrzeżenie zaczął się wycofywać, aż w końcu potknął się o piaszczysty pagórek.

Karol wyciągnął do niego dłoń. Szczur przez chwilę się wahał, aż w końcu wręczył mu gasidło, które ukradł poprzedniej nocy, gdy na prośbę Anne Radcliffe szpiegował dyrektora Scraugha. Stary zaskoczył go, bo wcześniej niż zazwyczaj przyszedł położyć się spać.

Wszyscy patrzyli na niego oczarowani. Jak gdyby nigdy wcześniej go nie widzieli. Jakby zmaterializował się duch.

– To był duch minionych świąt – wyjaśnił im Karol. – Pan Scrooge w koszuli nocnej i duch przeszli przez ścianę. Natychmiast znaleźli się wśród pól, na zasypnym śniegiem gościńcu. Starzec rozpoznał niektóre dzieci ze swojej wioski i chciał je pozdrowić. Ale duch powiedział mu, że to tylko cienie z przeszłości, które nie zdają sobie sprawy z ich obecności – opowiadał, wyraźnie widząc tę scenę w głowie.

Wszyscy słuchali z otwartymi ustami. Nawet Anne Radcliffe porzuciła robótkę ręczną i wpatrywała się w rzekę, siedząc obok Lili. Wydawało się, że dziewczyna po raz pierwszy opuściła swój własny świat. Szczur, który dał się ponieść swojej wyobraźni, postanowił kontynuować opowieść:

– Panie Dickens, a czy duch i Scrooge mogliby pójść do jego starej szkoły? – zapytał Szczur, a Karol, ku zdziwieniu wszystkich, pozwolił mu mówić.

– Właśnie w szkole – ciągnął Szczur – spotkali samotnego chłopca, opuszczonego przez wszystkich kolegów. W ławce, przed ledwie tłącym się ogniem siedział chłopiec, którym kiedyś był Scrooge. Siedział sam i czytał.

– Scrooge zapłakał, przysięgam – pisnął Szczur. – Zapłakał nad sobą, biednym, zapomnianym dzieckiem i nad swoim dzieciństwem – opowiadał Szczur, przypominając sobie, jak stary dyrektor płakał przez sen i wzywał matkę.

Zamarli w ciszy, a dźwięki zewsząd dochodziły do nich wzmocnione. Skrzeczenie mewy, która nurkowała w wodzie, by złapać rybę. Skrzywienie wózków inwalidzkich na drodze do przytułku. Syreny statków w porcie. Anne odwróciła się do Karola. Jego oczy dziwnie błyszcząły. Mały Tim odważył się przerwać przedłużającą się ciszę.

– Biedy Scrooge – powiedział współczująco. – Zapomniał, że on też był kiedyś dzieckiem.

– Biedny... biedny mały Scrooge – wyszeptala Lili, wyobrażając sobie, że głaszcze go po głowie.

Kluczem jest uczucie. Karol pomyślał, że to jedyny sposób, by stworzyć prawdziwego potwora. Czarny charakter. Do tej pory zawsze mu się wydawało, że trzeba zrozumieć potwora, by uczynić go wiarygodnym. Pomógł mu to pojąć Tim, ze swoją dziecięcą mądrością, będący w tym magicznym momencie życia, kiedy człowiek zadaje sobie pytania, których potem już nie stawia.

Ludzki mózg nie lubi pustki. Potrzebuje wyjaśnień. Być może dlatego od tej chwili wszyscy tam obecni nie zapomną postaci pana Scrooge'a. Nie mogli wiedzieć, że zapomnieć nie będą go mogły również kolejne pokolenia, wiele lat później.

To nie była zaplanowana część eksperymentu. Wydarzyła się sama. Spontanicznie. Przez całe popołudnie, jeden po drugim, niczym Scrooge, znów czuli się dziećmi, którymi kiedyś byli. Jak gdyby duch minionych świąt pozwolił im odzyskać dzieciństwo. Nagle przebiegła wśród nich mała Florita. W kolorowej sukience, z zasmarkanym nosem, podkradała kwiaty, by dać je babci, która robiła z nich eliksiry. A gdy przypomniała sobie zapach smażonej fasoli, aż jej ślinka pociekła. Tuż za nią biegł pogwizdujący chłopak z rękami w kieszeniach. Dziewięcioletni Marley w spodenkach z zerwanymi szelkami. Dopiero co zszedł po trapie wielkiego statku. Na nogach miał nowe buty, prezent od dziadków. Potężny i czarny Tom też chwalił się butami. Zrobiła mu je ciotka Clarise, kiedy miał dwanaście lat. Góra była z filcu, a podeszwa z drewna, które stukało o wybrukowane ulice Filadelfii. Tamtego dnia pomyślał, że zajdzie daleko. Anne i Luciana, dziewczynki w podobnym wieku, mogłyby zagrać w łapki. Obie miały warkocze do pasa – jedna złote, druga kasztanowe. Luciana zaintonowała neapolitańską pieśń. Na jej dźwięk babcia wałkująca makaron podczas jej urodzin wzruszyła się do łez. *Ouh Babbo...* szepnęła, przypominając sobie, jak ojciec brał ją

pod pachy, by wyobraziła sobie, że fruwa.

Anne, śmiejąc się łobuzersko, zobaczyła siebie samą – dziewczynkę o długich i chudych nogach, obserwującą niebo z okna domu w Jersey. Wyobrażała sobie, jaka jest ziemia na księżycu. Może pokryta srebrnym proszkiem, który przykleja się do butów? Ada poczuła zapach sosnowego lasu tuż po deszczu. Powiedziała kilka słów po niemiecku, litanię, którą odmawiała jej matka, kładąc jedzenie na progu domu i prosząc, by trolle uszanowały ich sen.

Panna Lili nie myślała o swoim dzieciństwie. Nie potrafiła, ponieważ jej umysłem zawładnęła inna wizja. Upłynęła chwila, zanim zorientowała się, że była jedyną osobą, która trwała w ciszy.

Podeszła do Karola i powiedziała:

– Chodź, mały. Wymyjemy te umorusane ręce.

Pisarz przez kilka chwil patrzył w niespokojne oczy Lili. Wtedy jednak nie wyjawiał, co takiego w nich dojrzał. Ani tego, co Lili, pogrążona w jednej ze swoich wizji, szeptała mu do ucha, opowiadając o przyszłości. Za spowijającą rzekę mgłą wyraźnie widziała Historię świata. Cieszył go widok „dzieci” bawiących się z małym Timem na plaży. Wymieniali się marzeniami i planowali przygody, które chcieli przeżyć. Z odmętów pamięci wyciągali zapomniane kawałki dzieciństwa: zapach matki, Boże Narodzenie, pierwszą kąpiel, pierwsze spojrzenie na morze. Wspólnie dziwili się światem tak, jakby zobaczyli go po raz pierwszy. Zagłębiali się we wspomnieniach, aż w końcu odkryli, że są one źródłem szczęścia zamkniętym w słowie czy pieszczocie.

Coś kazało Karolowi wyjąć kompas z kieszeni.

Coś sprawiło, że igła nie błdziła tak jak zwykle. Kręciła się coraz szybciej i szybciej, jak oszalały zegar, który próbował cofnąć czas.

Szczur dostał przydomek nie tylko ze względu na niewielki wzrost, ale też dlatego, że potrafił przecisnąć się przez każdą dziurę, która wydawała się niedostępna dla człowieka. Po skończonej sesji Karol zdecydował, że odprowadzi go do zakładu poprawczego. Niewielka istota, którą właśnie uczynił jedną ze swoich postaci, bardzo go intrygowała. Nie spodobało się to Anne. Odmowa pomocy w wywiezieniu dziecka sprawiła, że odnosiła się do Karola z rezerwą.

– To ja muszę go odprowadzić, panie Dickens – powiedziała. – Rozumiem, że nie zna pan naszych zasad, ale to ja się nim zajmuję. Ja go odebrałam i ja odprowadzę go do jego pokoju.

– Doskonale, Anne. Powiem więcej – cudownie. W takim razie odprowadzę was oboje.

Pod bacznym spojrzeniem Luciany cała trójka ruszyła w drogę powrotną.

W trakcie spaceru Anne wyglądała wojowniczo. Tymczasem Szczurowi nie zamykała się buzia. Opowiedział Karolowi o tym, że nie znał swojego prawdziwego imienia. Od samego początku wszyscy tak do niego mówili. Nie znał też swoich rodziców. Wychowywał się w grupce portowych złodziejasków. Szybko zaczęli go wykorzystywać – wkładał się do sklepów spożywczych, spuszczały go na linie do łodzi rybaków albo chowali w wozach rolników, między koszami pełnymi owoców, które sztuka po sztuce wyrzucał tak, żeby mogli je złapać członkowie gangu. Sztukę kradzieży do perfekcji opanował na cmentarzu przy kościele Świętego Pawła. Był to pierwszy w Nowym Jorku katolicki cmentarz. Położony na dolnym Manhattanie, na Barclay Street. Potem grupa katolików kupiła część cmentarza, żeby wznieść katedrę Świętego Patryka, pomiędzy ulicami Mott i Prince. Część terenu dalej pełniła funkcję cmentarza. To był istny raj dla złodziejasków mieszkających w kamienicach czynszowych, po drugiej stronie ulicy. Nie pojmowali, na co zmarłym ubrania, buty i klejnoty. Szczur, ze szczyptą dumy, wspominał, jak ścigany przez strażnika przeciskał się do rodzinnych grobowców bogaczy przez okrągłe rozety. Wykradał z trumien cenne przedmioty. W pamięć szczególnie zapadło mu ciało zmarłej dziewczynki, której chciał wyrwać lalkę. Najdroższe z tych lalek wyglądały jak prawdziwe, bo miały naturalne włosy. Na czarnym rynku wysoko je ceniono. Z przerażeniem

przypomniawszy sobie, jak szarpnął lalkę, by uwolnić ją ze śmiertelnego uścisku właścicielki. Nagle lalka otworzyła oczy. Niemal dostał zawału! Po cmentarzu rozniósł się taki wrzask, że aż się strażnicy obudzili. Właśnie za to wysłano go do zakładu poprawczego na Wyspę.

– Nie żałuję – powiedział. – Dlaczego mam żałować, że zabrałem coś, co już nikomu nie było potrzebne?

Anne i Karol wysłuchali też opowieści o tym, jak przyjechał do zakładu poprawczego i z powodu wyglądu i braku dokumentów nie można było ustalić jego wieku. Mimo to, potraktowano go surowo. Przez osiem lat znosił poniżanie i dręczenie ze strony towarzyszy niedoli. Zmarszczył niewielki nos. Kiedy przyłapano ich na nocnych rozmowach, karano, nie pozwalając spać przez kilka dni. Dostawali ciosy, kiedy padając na ziemię ze zmęczenia, opuszczali szereg. Najgorsze było to, że zmuszano ich, by bili się wzajemnie. Za każde uchybienie. Mogło to być ziewnięcie podczas rozmowy ze strażnikiem, poproszenie o większą porcję czy potrzeba pójścia do łazienki. Uchybieniem było już to, że żyli. Że oddychali.

„Dzieci, ustawcie się w szeregu” – Szczur przypomniał sobie głos jednego z opiekunów. Za chwilę się poprawił, bo nie nazywano ich dziećmi. „No, dalej, barachło! Ustawić się w szeregu, rozebrać i położyć ubrania z boku”. Potem w białym, szczękając zębami, wychodzili ze stołówki. Strażnik wkładał im rękę do majtek i sprawdzał, czy przypadkiem nie wynoszą skórek chleba.

Z udawanym uśmiechem powiedział, że na szczęście, przez wygląd, strażnicy uważali go za mało atrakcyjnego, a nawet odrażającego. Wyglądało to, jakby dziękował matce naturze, że stworzyła go dziwadłem. Za to, że ochroniła go przed gorszymi rzeczami.

– Mieszkałem tu już jakiś czas. Pewnego dnia obudziłem się z myślami, jakich nie miałem nigdy wcześniej. Aż sam się zdziwiłem. Wiecie z jakimi? – powiedział, zatrzymując się pośrodku drogi i pokazując im, żeby się przybliżyli, jakby chciał wyznaczyć im jakieś hultajstwo. – Obudziłem się, mając ochotę kogoś zabić.

Karol i Anne stali bez ruchu, jakby ktoś zamienił ich w słupy soli. Zadowolony Szczur wbiegł do budynku zakładu poprawczego i kazał im przyjść na kolejne spotkanie.

\*

Kiedy Karol w końcu ochłonął, złapał Anne za ramię i powiedział, że natychmiast pójdą do Scraugha. Nie mógł pozwolić, by to trwało ani sekundę dłużej. Musiał mu powiedzieć o wszystkim, co zobaczył i usłyszał. O wszystkim, czego dyrektor nie chciał widzieć, skryty w mroku, który tak bardzo go uspokajał. Na nic zdały się błagania pielęgniarki. Nie rozumiesz, że jesteś obcokrajowcem?



Nie dasz rady tego zmienić, działając zgodnie z prawem! Nie dociera do ciebie, że najlepsze, co możesz zrobić dla kogoś takiego jak Szczur, to dać mu możliwość uczestniczenia w czymś dobrym? Jeżeli o wszystkim opowie, wyrzucą ją z Wyspy i ci biedacy pozostaną zupełnie bezbronni. A dziecko Lili czeka taki sam los... Ale Karol już nie słuchał jej krzyków. Zawładnął nim gniew i oburzenie. Prawie wciągnął ją po schodach do gabinetu dyrektora. Wpadli do niego niczym huragan, nie pukając do drzwi.

Zastali w nim Lucianę. Opowiadała Scraughowi najnowszy odcinek powieści, której niechcący był bohaterem. Wtargnięcie sprawiło, że starzec aż podskoczył i przysiadł na oparciu starego fotela. Był tak blady, jakby naprawdę zobaczył ducha. Drżały mu usta.

– Co, do diabła...? – powiedział, sprawdzając puls. – Czyżby w przynajmniej imperium brytyjskim zapomniano, że do drzwi się puka?

– Owszem. Kiedy znajdujemy się w miejscu, w którym pogwałcono wszystkie normy społeczne, z prawami ludzkimi włącznie, to dobre wychowanie schodzi na dalszy plan, panie Scraugh.

Głos pisarza był wzburzony. Anne Radcliffe stała w drzwiach, ze zrezygnowaną miną. Nic z tego, co chciał powiedzieć, nie zmieni mentalności Scraugha. Pomyślała, że ich wyda i wyobraziła sobie tę scenę jako ostatnią w jednej z wielkich dickensowskich powieści. Bez litości dla bohaterów. Bez nadziei na to, że zmienią swój los.

– Nie wiem, co pana ugryzło, panie Dickens, ale na pewno możemy o tym porozmawiać innym tonem – wytknął Scraugh, zaniepokojony ogniem płonącym w oczach Anglika. Ten typ miał wiele znajomości i mógł mu przysporzyć kłopotów.

– Nie można rozmawiać po przyjacielsku, kiedy są łamane podstawowe prawa – odparł pisarz.

– No proszę – syknął dyrektor. – Nie mogłem się doczekać, kiedy znowu zaczniesz mi pan cytować tych pańskich liberałów...

Karol zrobił kilka kroków w jego kierunku.

– Jak może pan przymykać oczy na to, co tu się wyprawia? – oburzył się. – Jak może pan tolerować te wszystkie niegodziwości w instytucji, za którą pan odpowiada!

Luciana przeprosiła ich i wybiegła z gabinetu. Pędziła schodami w dół i rozpytywała wszystkich o pannę Grady.

– O czym pan mówi? – warknął Scraugh, zbliżając się wojowniczym krokiem do tego bezczelnego Anglika, który miał śmiałość podnieść na niego głos. – Osoby tu osadzone znalazły się na Wyspie właśnie dlatego, że nie potrafią przestrzegać norm, zmarnowały swoje życie albo nie mają gdzie się podziać. Jasno się wyraziłem? Żyją z dobrej woli innych! To i tak dużo.

Tym razem to Karol przesunął się w jego kierunku, jakby zamierzał zapędnąć go w kozi róg. Podszedł tak blisko, że dyrektor musiał zadrzeć brodę, by na niego spojrzeć.

– Nie zastanawia się pan, panie Scraugh, czy to miejsce czyni ludźmi gorszymi, czy lepszymi? Nie dziwi pana, dlaczego w więziennych celach trzeba było wyrwać ze ścian haczyki na ubrania? Dlaczego chłopcy z zakładu poprawczego regularnie toną w rzece? Dlaczego ryzykują życie, żeby przepłynąć rzekę wpraw? Powiem panu dlaczego: bo niektórzy wolą umrzeć, niż siedzieć tu w takich warunkach – powiedział i oparł się na zakurzonej kredensie, wyczerpany.

– Skoro wolą umrzeć – odparł Scraugh niemal ze śmiechem – to niech umierają. Przynajmniej choć trochę zmniejszy się przeludnienie. Jak powiedział to sam Malthus.

Karol nabrał powietrza. Nie mógł zrozumieć, jakie przeżycia uczyniły Scraugha tak bezwzględny.

– Malthus, drogi panie, mówił o ograniczeniu urodzeń w tych społecznościach, które nie mają środków, by się wyżywić. Nie mówił o zabijaniu głodem, zimnem i brakiem nadziei tych, którzy już się urodzili. Ludzi, którzy są obywatelami swoich państw tak jak pan i ja. Których życie jest tyle samo warte, co pana i moje. Których mają prawo liczyć na instytucje dobroczynne. – Jego oczy pały złością. – Czy może chce pan decydować o tym, gdzie i jak duże jest to przeludnienie? Może wskaże pan, kto powinien żyć, a kto umrzeć? Doskonale – zaśmiał się sarkastycznie. – Ale proszę się mieć na baczności, panie Scraugh. Bo pewnego dnia, kiedy będzie pan już zbyt stary, pańscy zwierzchnicy usuną pana z tego biura. I być może w oczach pańskich następców także pan będzie mniej godny i użyteczny od innych... – Podniósł ręce i złapał się za głowę. – Och! Mój Boże! Jak to możliwe, że taka kreatura czuje się bezkarna.

Stojący kilka metrów dalej Scraugh z wytrzeszczonymi oczami obserwował go z niedowierzaniem nie tylko ze względu na przemówienie, którego musiał wysłuchać. W prawej ręce pisarz ścisnął gasidło, które zniknęło z jego nocnego stolika. To, w połączeniu z opowieścią Luciany, w której rozpoznał wiele faktów ze swej przeszłości – nieświadomie ujawnionych przez sen – sprawiło, że Scraugh zaczął obawiać się o własną poczytalność.

Podążając za wzrokiem starca, Karol nagle zrozumiał, dlaczego ten patrzy na niego w oszołomieniu.

– Wyrzucił je przyływ – zaimprovizował Karol, wyciągając gasidło w jego kierunku. – Poznaje je pan?

Scraugh nie odpowiedział. Położył gasidło na kominku i powoli odwrócił się do pisarza, nerwowo szukając chusteczki w kieszeniach.

– Muszę przyznać, panie Dickens, że mnie pan rozczarował – wychrypiął

i wytarł nos. – Używa pan tych ludzi, by zebrać materiał. Zmusił ich pan nawet, by sobie przypomnieli to, co utracili, wiedząc, że prawdopodobnie nigdy nie opuszczą Wyspy. A teraz wykazał się pan nadzwyczajnym cynizmem. Więc jak pan śmie mówić mi o człowieczeństwie?

Karol patrzył na niego z wściekłością. Wahał się przez kilka sekund. Spojrzał na Anne spode łba.

– Prawdopodobnie nigdy nie opuszczą Wyspy. Sam pan to powiedział, prawdopodobnie... – powiedział Karol, myśląc o dziecku, którego spodziewała się Lili, i o spisku, w którym nie chciał wziąć udziału.

Kiedy ponownie otworzył usta, głos Anne rozległ się od strony drzwi.

– Prawdopodobnie tak, panie Scraugh. – Pielęgniarka zrobiła kilka kroków naprzód. – Dlatego ci ludzie mają prawo, by żywić się szczęśliwymi wspomnieniami. Jeżeli o nich zapomną, jeżeli będą pamiętać tylko te nieszczęśliwe albo jeżeli pomyślą, że poza Wyspą czeka ich jeszcze większe nieszczęście, to nie będą walczyć z chorobą. Nie będą próbować stać się lepszymi ludźmi. Nawet dzieci z zakładu poprawczego nie będą marzyć o lepszym życiu. Pogodzą się z tym, że życie z nich zakpiło. Zatracą człowieczeństwo. – Zrobiła słodkie oczy i złożyła dłonie jak do modlitwy. – Nie wie pan, jak wielką moc pan posiada, panie Scraugh. Dopóki są na Wyspie, to pan decyduje o ich szczęściu lub nieszczęściu.

– O szczęściu? – niechętny zaśmiał się Scraugh. – O szczęściu? – Wydmuchał nos. – Panno Radcliffe, czyżby zaraziła się pani pewnymi poglądami? Chyba nie wyrecytuje mi pani teraz pouczającego przemówienia? Zasada większego szczęścia! Do diaska! Przecież pani ledwie umie czytać... To bardzo pięknie brzmi na papierze, ale chętnie bym zobaczył panicza Benthama, jak stosuje swoje teorie tu, na Wyspie Blackwella.

– Panie Scraugh, nie trzeba płynnie czytać, by trzeźwo myśleć. – Jej głos stał się hardy. – Powie pan, że to słowa niewarte funta kłaków, że szczęścia nie da się zmierzyć. Być może tak jest na tamtym brzegu. Ale na tym, panie Scraugh, da się. Szczęściem może być choćby ogień w kominku w najzimniejsze godziny dnia. Dla pana budżetu to niewiele, a dla nich to ulga po pracy na mrozie.

Dyrektor stał jak kołek, zaskoczony oczywistością tego, co powiedziała. Nie patrzył na nich. Stali w świetle dopalającej się świecy.

– Cholerni Anglicy i te ich wścibskie nosy! – wyrwało się Scraughowi. – Mówię panu, jak ma pan pisać te pańskie bajki? – Schował się w mroku gabinetu, mamrocząc coś między jednym kichnięciem a drugim. – Niech pan każe napalić w kominkach... niech pan każe napalić... jakby robiło im to jakąś różnicę...

Gdyby to zrobił, zobaczyliby, że nic się nie zmieni. Kazałby napalić w kominkach tylko po to, żeby się przekonała. Szczęśliwi? A jeżeli potem nie będą mu się zgadzały rachunki... Przerwał na chwilę. Był już tylko głosem, unoszącym się w półmroku. Potem rozległo się głośne: „Cóż za głupoty!” i Karol uśmiechnął

się, unosząc do góry brew.

\*

Tej samej nocy Florita, wychylona przez okno przytułku, obserwowała rozgwieżdżony nieboskłon. Tylko ona jedna wiedziała, że dziś gwiazdy stały niezwykle wysoko. Zdarzało się to tylko raz na tysiąc pięćset lat.

– *Mahuiztiquez ilhuicatl...* – wyszeptała.

Jej towarzyszka z pokoju, zamiast wiercić się na pryczy i narzekać jak zawsze, dzisiaj leżała nieruchomo pod cienkim kocem.

– Linda! – wymamrotała Florita.

Nie było odpowiedzi.

– Linda! – powtórzyła nieco głośniejszym głosem. – Chyba nie umarłaś, co?

Cisza.

– Co mówiłaś? Coraz bardziej głuchnę – wybełkotała w końcu staruszka, podnosząc szyję jak żółw.

Florita odetchnęła z ulgą.

– Niebo mówi, że szczęście się do nas uśmiechnie – odpowiedziała jej szamanka.

Staruszka odwróciła się na łóżku.

– Całe szczęście – powiedziała. – Może przynajmniej do śniadania znowu będą dawać kleik.

\*

W zimnym pokoju Lili godzinami nuciła. Otulała brzuch ramionami i włosami. Nie chciała, by jej dziecko poczuło zimno, w którym miało się urodzić. Nagle, w pobliżu żołądka, pojawiła się wypukłość, w której Lili rozpoznała jedną z pięć. Uśmiechnęła się, zafascynowana. Już niedługo – szepnęła. Już niedługo... Ktoś uśmiechnął się po raz pierwszy w życiu. Dziecko rozczapierzyło pięć paluszków, tak szeroko jak potrafiło, i przyłożyło małą dłoń do dłoni matki. Potem włożyło palec do ust i dało się unieść ciepłym dźwiękiem kołysanki, która dochodziła do niego spotęgowana, jakby mieszkało wewnątrz pięknego instrumentu.

\*

Tej samej nocy Anne i Karol spotkali się w obserwatorium, pełni sceptycyzmu. Na ceramiczny globus spływała uparcie ścieżka wody, płynąca z Kanady do Brazylii. W otoczeniu map nieznanymi światami, lunet i książek podróżniczych tych dwoje przypominało dwóch politycznych dysydentów, którzy planują przewrót. Tamtej nocy postanowili podjąć przygodę, która okaże się najbardziej emocjonującą w ich życiu. Anne kręciła globusem szczupłym,

skaleczonym palcem. Globus kręcił się coraz szybciej, mijały minuty, godziny, miesiące i lata.

*Wyspa Blackwella, 1867 r.*

Globus kręcił się i kręcił, wprawiany w ruch małymi, mokrymi dłońmi dziewczynki, która popychała go tak, jak gdyby nie potrafiła pozwolić mu zatrzymać się. Kręciła nim tak zapamiętale, aż w końcu kontynenty zwały się w brunatną smugę. Potem wszystko zaczęły zalewać oceany, a wirujący globus stawał się coraz bardziej niebieski.

– Objechałam świat dookoła! – krzyknęła Nellie ze środka.

Dickens stał w drzwiach. Powoli ogarniał wzrokiem swoją dawną kryjówkę.

Margaret stąpała powoli po czarno-białej posadzce, przykrytej teraz przez roślinność i warstwę suchych liści naniesionych przez wiatr.

Budynek wyglądał onirycznie, jak wyjęty z baśni. Na regałach nadal stały książki. Brakowało tylko niektórych – tych zalegających na podłodze, których kartki mieszały się z liśćmi. Instrumenty pomiarowe stały na swoich miejscach, ale pokryte rdzą. Wszystko wyglądało tak samo, z wyjątkiem wielkiej dziury w dachu, która sprawiła, że w obserwatorium zamieszkały wiatry. To one rozrzucały krzesła to tu, to tam. W samym środku, zachęcone światłem sączącym się przez ogromną wyrwę w dachu, wyrastało potężne drzewo. Jego gałęzie wybiły szyby w oknach i witrażach, by wydostać się na zewnątrz. Wokół wyrastały mniejsze drzewa, których korzenie zaczęły wyrzyszczać posadzkę. Wszystko to sprawiło, że biblioteka wyglądała, jakby w niej wyrósł zaczarowany las. Czas i deszcz zrobiły swoje, pokrywając mszystą patyną olejne obrazy na ścianach, a nawet pełną mapę teczki, która leżała na masywnym stole, czekając aż ktoś do niej zajrzy. Miejsce wyglądało, jakby ktoś je nagle opuścił. Jak gdyby korzystający z niego ludzie wyparowali, a natura postanowiła odzyskać to, co do niej należy.

Dickens podszedł do kominka. W środku wciąż leżało kilka pniaków, także pokrytych warstwą zieleni. Wbijając wzrok w regał, rozpiął płaszcz, schylił się i wyciągnął kilka książek. Nellie podbiegła do niego, krzyżąc: „Skarb! Skarb!”. Bardzo ostrożnie, obserwowany przez oszołomioną dziewczynkę, pisarz wyciągnął pokrytą kurzem drewnianą skrzynkę. A zaraz potem statyw.

– Ale, co...? – Nauczycielka zbliżyła się i badała wzrokiem dziwne urządzenie. – Czy to... stary aparat fotograficzny? Dickens przetarł oczy.

– Tak, zastanawiałem się, czy jeszcze tu jest – wykaszła.

Przeprosił je i ruszył w stronę drzwi. To na pewno przez kurz, powiedział.

Oparł się o framugę drzwi i głęboko oddychał.

Chciał je zobaczyć. Od kiedy tylko zapytał Margaret, czy obserwatorium nadal stoi na swoim miejscu. Bo na tym stole, na tej sofie i przed tym kominkiem wraz z Anne Radcliffe stworzyli marzenie. Marzenie, o którym wiedzieli, że było niemożliwe do spełnienia. Jednak to dzięki niemu, podczas wspólnie spędzonych nocy, powiedzieli sobie, co czują. Rozmawiali o tym, czego naprawdę pragną. Czytali naukowe czasopisma i szukali na mapach miejsc, o których odwiedzeniu marzyli. Narysowali świat skrojony na ich miarę, sprawiedliwe miejsce do życia.

– Była moją przyjaciółką – powiedział Dickens, a usta mu zadrżały. – Z nikim innym nie byłem tak bardzo sobą. Przestałem być pisarzem Karolem Dickensem. Byłem Karolem, człowiekiem, który zapomniał, że był dzieckiem o brudnych dłoniach.

Margaret przechadzała się po obserwatorium. Przyglądała się miejscu, które zawsze wydawało jej się niezwykle. Teraz wiedziała, że związana jest z nim historia, której część poznała.

– Ostrzelali je podczas wojny – wytłumaczyła. Na szczęście nie było więcej strat.

Oboje podnieśli wzrok na dziurę w suficie, nad którą przepływały chmury. Cóż za ironia, że tragedia stworzyła coś tak brutalnie pięknego, pomyślał Karol, któremu znowu wydało się, że widzi, jak Anne przemierza bibliotekę drobnymi i cichymi krokami, poprawia jeden z przekrzywionych obrazów i ogrzewa dłonie przed kominkiem, a jej rozpuszczone, jasne włosy falują, unoszone ciepłem płomieni.

– Wtedy postanowił pan im pomóc – odważyła się powiedzieć Margaret.

Karol potaknął. Mała Nell dała się ponownie zahipnotyzować przyjemności, jaką z powtarzalności czerpią tylko dzieci. Kręciła i kręciła globusem, z którego powierzchni zniknęły niektóre państwa i jeden z oceanów.

Pisarz potarł dłonie – jego oczy zapragnęły, by w zimnym kominku zapłonął ogień.

– Po rozmowie ze Scraughem zrozumiałem to, co Anne próbowała wytłumaczyć mi od samego początku – wyznał. – Zrozumiałem jej frustrację. Jej gniew. Zrozumiałem, dlaczego postanowiła zmienić świat własnymi metodami.

Tocząca się na Wyspie walka była natury politycznej, nie społecznej. Anne zaś jako realistka wiedziała, że nie ma sensu uświadamiać Scraugha, skoro za dwa lata miały odbyć się wybory. Na niewiele by się im zdało, gdyby ktoś inny zasiadł w jego spowitym mrokiem fotelu. Właśnie dlatego starzec zdawał się przejmować tylko tym, by specjalnie mu nie przeszkadzano i by mógł wykazać się wynikami, które zapewniłyby mu stanowisko niezależnie od tego, kto dojdzie do władzy.

– Tamtego popołudnia – ciągnął Karol – kiedy zobaczyłem, jak cała grupa

bawi się na plaży niczym dzieci, kiedy poczułem nadzieję, z którą na mnie parzyli, przekonani, że im pomogę wywieźć dziecko Lili z Wyspy, kiedy spojrzałem na przerażoną twarz Anne, kiedy wysłuchałem słów, które odważyła się rzucić Scraughowi i kiedy dostrzegłem jej determinację, pomyślałem, że muszę to zrobić.

– A kompas? – zapytała Margaret, zaintrygowana.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tak się zachowywałem? – Uśmiechnął się zaskoczony. – To sekret, którego nie mogę ci wyjawić przed końcem opowiadania. Jest pani bardzo ciekawska, Margaret!

– Jestem ciekawa, czy pomógł panu podjąć decyzję. W końcu miał panu wskazać marzenia, prawda?

Karol uniósł brew.

– Ma pani bardzo dobrą pamięć... Pożycz mi pani trochę? Z dnia na dzień mi jej ubywa – Westchnął. – Tak, myślę, że na swój sposób tak... w końcu wskazał mi drogę.

Margaret wytarła aparat spódnicą.

– A zdjęcie? To, które pan ze sobą nosi... zrobiono je tym aparatem, prawda?

Karol przytaknął z tajemniczą miną.

– To jest skarb, którego pan szukał? – zapytała nauczycielka.

Pisarz uśmiechnął się nostalgicznie.

– Och, nie, nie, nie... Odszukanie skarbu po dwudziestu pięciu latach będzie znacznie trudniejsze. Szkoda, że minęło ich aż tyle... – Spojrzał na nią z nadzieją. – Być może będę potrzebował pani pomocy.

Nellie z uporem kręciła Ziemią i zastanawiała się, co też mogło się stać z kompasem. Też chciałyby mieć taki. Na wypadek, gdyby się zgubiła. Później, kierowana intuicją, poprowadziła palec od Londynu do Brindisi, potem z Brindisi do Bombaju. Z Bombaju spacerowała dwoma palcami do Kalkuty. Potem przesunęła palec morzem, do Hong Kongu, a stamtąd do Szanghaju, gdzie zatrzymała się na dłuższą chwilę, żeby odpocząć. Wstrzymując oddech, przeskoczyła do San Francisco, potem przeprawiła się przez niewiarygodnie wysokie góry do Fort Kearney. W końcu dotarła do Nowego Jorku i napotkała spojrzenie Dickensa, który w jednej chwili zrozumiał, że dla tej dziewczynki Wyspa i Nowy Jork są zbyt małe.

\*

Nawet gdybyśmy nie wierzyli w przeznaczenie, to można sobie wyobrazić Nellie zaczytującą się w książce Juliusza Verne'a. I to, że książka wywrze na niej tak wielkie wrażenie, że dziewczynka wyobrazi sobie samą siebie w wieku dwudziestu pięciu lat, w długiej, dopasowanej angielskiej sukni podróżnej, z niewielką walizką, do której włoży sfatygowany egzemplarz powieści, i zepsuty kompas, któremu będzie ślepo wierzyć. A może przypomni sobie, jak kręciła



wyblakłym globusem, kiedy dwadzieścia pięć lat później, już jako słynna reporterka, wejdzie do gabinetu swojego szefa, wszechmocnego Josepha Pulitzera, i poprosi go, żeby sfinansował jej wyprawę dookoła świata, aby mogła sprawdzić, czy podróż Phileasa Fogg'a była możliwa. Prawdopodobnie właśnie dlatego, kiedy Pulitzer jej odmówi – twierdząc, że w taką podróż może się wybrać jedynie mężczyzna – Nellie podniesie wzrok na szefa i z dumą zapewni, że przeszła już świat na palcach.

Przez siedemdziesiąt dziewięć dni tysiące czytelniczek będą śledzić przygody Nellie na łamach gazety „The World”. Co więcej, konkurencyjna gazeta wyśle nawet jedną ze swoich reporterek, by przemierzyła tę samą trasę, tyle że w przeciwnym kierunku. Jej konkurentce się nie uda, ale Nellie owszem, będzie pierwszą osobą, która potwierdzi, że marzenie Verne'a da się spełnić.

Nawet wielki Verne nie był zdolny sobie wyobrazić, że już urodziła się osoba, która spełni marzenie jego bohatera, Phileasa Fogg'a. Ani że ta osoba w swojej podróży dookoła świata zatrzyma się w Paryżu, by go poznać. Ani że w ramach zakładu zostawi mu kompas bardzo podobny do tego, należącego do jego przyjaciela Karola Dickensa, który zapewniał, że kompas wskazuje miejsce, w którym spełniają się marzenia. Czy przypadkiem nie marzyli o tym samym?

\*

Zimny wiatr poruszył liśćmi i otworzył książki leżące na posadzce. Powiew przywrócił Dickensa, Margaret i Nellie do rzeczywistości. Przez chwilę wydawało się, że cała trójka poddała się tej samej iluzji. Zobaczyli, jak z sufitu spadają maleńkie płatki śniegu. Wpadały przez dziurę w dachu i po strumieniu światła ześlizgiwały się do środka, osiadając na meblach i książkach.

Nellie otworzyła usta, wystawiła język i czuła, jak roztapiają się na nim, jeden po drugim. Stali w miejscu, oczarowani tym widokiem. Wtedy zobaczyli Anne Radcliffe – przeszła przez bibliotekę małymi, stanowczymi krokami. W kominku płonął ogień, a śnieg padał nie w środku, lecz na zewnątrz.

*Wyspa Blackwella, 1842 r.*

– Przygoda może być szalona, ale poszukiwacz przygód nie. – Karol mówił do Anne, oparty, w wiktoriańskiej pozie, o konsolę kominka w obserwatorium. Pielęgniarka stała odwrócona plecami i patrzyła, jak śnieg zmienia wyspę, pobielając jej nagie drzewa, budynki i latarnie. Pejzaż za oknem zdawał się zastygać, tak jak czas, kiedy byli razem. Odwróciła się do niego. Dni spędzone na Wyspie Blackwella zmieniły go. Na jego policzkach wyrosła broda, której już nie golił. Elegancka aksamitka pod szyją ustąpiła miejsca grubemu szalikowi. A mimo to jego uśmiech odmłodził.

Bez wątpienia wciągał ją każdy odcinek jego wigilijnej opowieści, ale też uświadomiła sobie, że zaczyna go kochać. Karol, stojąc przy kominku, uniósł brew w ten swój tak charakterystyczny sposób i zapytał:

– Więc... jaki masz plan?

Anne nie mogła, nie chciała tego uniknąć. Niczym mała dziewczynka, której przyniesiono długo wyczekiwany prezent, podbiegła do niego i objęła go ramionami. Karola przeszedł dreszcz. Pierwszy raz poczuł jej bliskość. Zapach jej włosów pozbawił go tchu. Nie mógł się ruszyć. Kiedy w końcu go puściła, zdał sobie sprawę, że drżała, a twarz jej płonęła. Zawładnęła nim nieskończona czułość.

– Panno Radcliffe, ostrzegam panią, jeżeli przebierze pani miarkę, nie będę się z panią spotykał sam na sam – zażartował, udając wyniosłość. Podchodził do niej powoli, a ona cofała się, aż w końcu oparła się o ścianę. Stali tak blisko siebie, że niemal stykali się nosami. – Powinna pani zrozumieć, że nie wszystko pani o mnie wie. Na przykład tego, że mam nadzwyczajną zdolność do... dostrzegania piękna. Proszę więc, by sobie pani wyobraziła, że każde z nas trzyma w dłoni koniec tej samej liny. – Jego oczy musnęły jej usta, oczy i kawowe piegi na czole. Spoważniał. – Nie napinaj tej liny, Anne, chyba że chcesz, żebym za nią pociągnął, zgoda? – Z tej odległości i przez kilka niekończących się sekund Anne widziała w jego niebieskich oczach odbijający się płomień z kominka.

Zmień atmosferę, Karolu, znajdź jakieś wyjście z tej sytuacji – mówił sam do siebie podczas tej krótkiej chwili, kiedy stojąc tuż obok siebie, wymieniali oddechy. Cóż ty wyrabiasz? W jego głowie rozległ się głos Kate, przemawiającej do niego noc przed wyjazdem na Wyspę, w pokoju gościnnym posiadłości

Sunnyside. Powiedziała wtedy coś, co go zabolalo, a o czym zapomnial.

– Kolejny raz wybierasz siebie, Karolu – robila mu wyrzuty, nie mogac nadazyć za swoim nadaktywnym malzonkiem, za jego filantropijnymi potrzebami. Być może, być może miała rację – pomyslal, stojac tak blisko innej kobiety. Robil to wszystko dla własnej przyjemności, dla swojego ego i by rozliczyć się z wypełnioną biedą przeszłością, którą Kate ignorowała. Chociaż... jakie to miało znaczenie? Jakie to miało znaczenie, skoro pomagal innym? Ale to, że przytulal Anne, że czul jej ciało, że ją kochal... tego nie daló się niczym wytłumaczyć.

Wpatrywál się w jej spékane wargi. Był o krok od tego, by ich spróbowac. Wtedy postanowil odczarowac tę scenę, dajac jej ojcowski pstryczek w nos. Anne odsunęła się od niego, jakby znużona czy oszołomiona, a jej twarz plonęła jeszcze mocniej.

\*

Pól nocy poświęcili na to, by Anne wyjasnila mu ze szczególamí cały plan oraz to, jak chcieli wywieźć dziecko z Wyspy. Zdaniem Flority nie było żadnych wątpliwości, że niemowlę przyjdzie na świat w trakcie pobytu Karola. Musialo tak się stac, bo jego pozwolenie wygasalo za tydzień. Staruszka miała pewną teorię: tak jak starcy woleli umierac w najzimniejszych miesiacach i nad ranem, tak pierworódki przyspieszaly poród, szczególnie podczas pełni. Księżyc zaczął rosnąć kilka dni temu, więc według doświadczonej akuszerki narodziny były bardzo bliskie.

Karol sluchal Anne w zamyśleniu i, od czasu do czasu, zaskakiwal ją coraz bardziej nerwowymi pytaniami: gdzie i jak Lili urodzi, żeby nikt się nie zorientowal? Anne odpowiadala mu, obgryzajac paznokcie, że jeżeli Lili zacznie rodzić w ciągu dnia, to poprosi, by umieszczono ją w izolatce w ambulatorium, tłumaczac, że podejrzewa, iż dziewczyna zapadla na jakas zakaźną chorobę, i ona, Anne, na ochotnika zglosi się na nocny dyżur. W ambulatorium zakładu psychiatrycznego było wiele sal dla chorych, a rzadko kogokolwiek w nich umieszczano. Dlatego na pewno udaloby jej się umieścić Lili w miejscu, do którego większość pracowników woli się nie zbliżac. Później przeniosą ją do obserwatorium, jedyne miejsce na Wyspie, którego nikt nie odwiedzal. Gdy tylko zaczął się zbliżac termin porodu, Szczur co noc wspinal się po gzymsie na drugie piętro, przeciskal się przez okno do Lili i obserwowal, co się dzieje. Szczur był jedynym łącznikiem. Jeśli zaczęłyby się skurcze, miał powiadomić wszystkich członków wspólnoty. Ada miała zacząć wrzeszczeć, jakby dostala kolejnego napadu hysterii. Zwykle, gdy jakiś pacjent tak się zachowywal, reszta chorych godzinami wyła, wszyscy biegali i krzyczeli. Wykorzystujac ten chaos, Anne miała się zakraść do pokoju Lili i zabrac ją do ambulatorium, gdzie czekałyby, aż wszystko się uspokoi. Potem musiałyby, niezauważenie, wyprowadzić ją z zakładu.

Gdyby poród zaczął się w ciągu dnia, Anne powiedziała by, że Florita także cierpi na infekcję, żeby szamanka mogła odebrać poród. Gdyby Lili nie urodziła do wieczora, wróciliby do planu A, czyli do kwarantanny ze względu na chorobę zakaźną. Przez małego Tima – jedyną osobę, która mogła wchodzić i wychodzić z więzienia – powiadomiliby Marleya. Ten zamieniłby się z którymś z więźniów, żeby na pewno, w określonym dniu, być na łodzi opuszczającej Wyspę.

Plan wydawał się ryzykowny, chociaż, zdaniem Karola, w zasadzie nieźle pomyślany.

– Jak wywieziemy dziecko z Wyspy? – zapytał ją przestraszony.

– No cóż... – zawahała się Anne, z grymasem obrzydzenia. – Naszą jedyną szansą są beczki po paliwie do latarni morskiej, które więźniowie układają przy obserwatorium. Co jakiś czas, gdy jest ich już bardzo dużo, Marley je zbiera i wywozi z Wyspy na drugi brzeg rzeki.

– Beczki po paliwie? Oszalałaś? Mogą być toksyczne! W środku nie ma zbyt dużo powietrza. Dziecko się udusi!

– Zrobimy dziurki.

– Co potem dzieje się z tymi beczkami? – zapytał, tracąc cierpliwość.

– Zawożą je do portu, żeby napełnić je tranem.

Pisarz krążył po pokoju i przeczesując włosy dłońmi, ciężko wzdychał. Taki miała plan? Świetnie. Gdyby to on miał napisać zakończenie tej historii na podstawie tego, co przed chwilą usłyszał, to uduszone i poobijane dziecko dotarłoby na kuter wielorybników, gdzie rybacy, otwarłszy beczkę, zobaczyliby najbardziej przerażający widok w życiu. Poza tym jaka była jego rola w tym szaleństwie? Był wyraźnie wzburzony.

– Musisz być na tej łodzi – kontynuowała – aby upewnić się, że dziecko dopłynie całe i zdrowe. Potem wymyślisz coś, żeby zabrać beczkę i znajdziesz mu dobrą rodzinę w Nowym Jorku i...

Karol rozpiął kamizelkę i opadł na fotel.

– A co mam powiedzieć strażnikom? Że chciałbym wziąć sobie beczkę na pamiątkę? Anne, na Boga...

Wtedy zobaczył na jej twarzy największe rozczarowanie, jakie kiedykolwiek widział.

– Cóż... sądzę... że musimy wymyślić lepsze zakończenie tej historii, dobrze? Daj mi trochę pomyśleć, może coś mi przyjdzie do głowy...

Coś musi wymyślić, bo nie może się już wycofać. Musiał sprawić, żeby ta historia nie skończyła się tak jak wszystko, co ostatnio pisał: śmiercią dziecka.

– Wy sprowadźcie dziecko na świat, bo na tym się nie znam. A ja zajmę się tym, żeby je stąd wywieźć, zgoda?

Anne westchnęła głęboko i oboje wpatrywali się w ogień w kominku. Karol pomyślał, że fikcja jest potrzebna, by znaleźć prawdziwe rozwiązania. Tak właśnie

swoje teorie tworzyli filozofowie. Bez zaakceptowania postulatu fikcji nie rozwija się myśl polityczna, to nie jego słowa, ale Benthama. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musiał uciec się do fikcji, żeby zrealizować cel: znaleźć rozwiązanie, które będzie miało konsekwencje w rzeczywistości i doprowadzi do szczęśliwego końca.

\*

Poranek zaskoczył ich, gdy jak w pozostałe dni rozmawiali o wszystkim, co się wydarzyło. Anne wydawała się myśleć o przyszłości, a Karol – po raz pierwszy – o przeszłości.

Anne spacerowała wzdłuż pierwszego piętra biblioteki i rękawem sukni wycierała grzbiety niektórych książek. Czytała tytuły tylko tych, które ją zainteresowały: *Katalog roślin leczniczych*, *Pływy morskie*, *Kartografia Meksyku*. Karol obserwował pojawiające się i znikające fałdy jej zielonej sukni, którą zamiatała wąską, drewnianą kładkę. Zeszła na dół z opasłym atlasem o złoconym grzbiecie i przyznała, że nigdy nie wyjechała poza Nowy Jork.

– Nie marzyłeś, by podróżować? – zapytał Karol, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Moje marzenia? – odparła, śmiejąc się. – Moje marzenia nie sięgają aż tak daleko.

– No proszę, nie spodziewałem się, że dziś w nocy usłyszę miłosne wyznanie.

Anne cmoknęła i pokręciła głową. Uśmiechnęła się delikatnie.

– Jesteś egocentrykiem, wiesz?

– Wiem. Jeżeli uważasz, że jestem egoistą, to obawiam się, że masz rację – przytaknął obojętnie. – Ale jeżeli sądzisz, że chcę, by wszystko kręciło się wokół mnie... to obawiam się, że to też prawda. Taki zawód.

Anne odwróciła wzrok i udawała, że go ignoruje. Karol oparł łokcie na poręczach fotela.

– Czy naprawdę nie zastanawiałaś się, co chciałabyś zobaczyć przed śmiercią?

Anne zacisnęła usta, a jej długie palce zabębniły na okładce książki. Unikala jego wzroku.

– Myślę, że przed śmiercią chciałabym... – Patrzyła gdzieś bardzo daleko. – Chciałabym móc coś powiedzieć.

Karol wydawał się zdziwiony.

– Tak, przed śmiercią chciałabym... – uniosła podbródek i dokończyła – móc głosować. Chciałabym, żeby wszyscy mogli. Żebyśmy wszyscy mieli szansę powiedzieć, co myślimy. Właśnie tego chciałabym, zanim umrę.

Siedziała z atlasem w dłoniach, marząc o czymś, czego na próżno szukać

w tej książce. Chciała zobaczyć świat pełen ludzi mających takie same prawa. Anne nie mogła wiedzieć, że w tamtej chwili, z przyszłości, przyglądał jej się Dickens dożywający swoich dni. Spoglądał na nią w roku 1867, roku, który rozpocznie się przyznaniem prawa głosu Afroamerykanom. Roku, w którym partia konserwatywna przyzna prawo głosu angielskim robotnikom. To będą pierwsze oznaki tego, że spełni się marzenie Anne.

Anne przypomniała sobie z ironią, jak pewna staruszka opowiadała jej, że w New Jersey, gdzie mieszkała jako dziecko, kobiety mogły kiedyś głosować. Wszystko przez błąd redakcyjny w Konstytucji z 1776 roku, w której użyto słowa „ludzie” zamiast „mężczyźni”. Przez trzy dekady zdawało się to nikomu nie przeszkadzać i kobiety głosowały. Aż w końcu jakiś mędrzec, po długich rozmyśleniach nad tym, czy kobiety w ogóle są ludźmi, obalił to prawo, pisząc nową konstytucję w 1807 roku.

Karol zaśmiał się zafascynowany anegdotą, która właściwie wydała mu się przerażająca.

– Nigdy nie chciałaś wrócić do domu? Albo do Anglii? Skoro tu jest, jak jest...

– Wrócić? – zdziwiła się.

Karol ciągnął swój wywód: sama powiedziała, że jest irlandzką katoliczką i sufrażystką. Chociaż być może powodowało nim coś innego niż rozum. Być może chciał sobie wyobrazić jak wyglądałaby w ciężkim, ołowianym świetle Irlandii. Zobaczył nawet, jak spaceruje brukowanymi uliczkami... Nie, nie, nie... przywołał się do porządku. Dlaczego jego głowa płała mu takie figle.

Anne zdawała się nie rozumieć. Jakby nagle zaczęli rozmawiać w dwu różnych językach.

– Chcę, żeby ten kraj był moim, Karolu...

Pisarz pogładził świeżą brodę. Też miał wrażenie, że Anne mówi innym językiem. Jak miałyby poczuć się częścią tego kraju? Co łączyło ludzi w Ameryce? Choćby w Nowym Jorku, w miejscu przyjmującym różne religie, rasy, wartości i pochodzenie... W mieście, w którym niedługo będzie więcej Włochów niż w Mediolanie, tylu Niemców, ilu liczy Berlin, dwa razy więcej Irlandczyków niż w Dublinie i więcej Żydów niż liczy sobie Warszawa.

Anne miała jednak nadzieję, że to się zmieni. Nie była ignorantką. Jeżeli była za coś wdzięczna doktorowi Akermannowi, to za możliwość przysłuchiwania się ze schodów politycznym debatom, jakie odbywały się w jego salonie, na północnym Manhattanie. Dzięki nim zrozumiała, że doktor był tak zwanym rdzennym Amerykaninem, a ona należała do rosnącej grupy Irlandczyków, których tak bardzo się bali i którymi gardzili. Dowiedziała się, że mają ich za skorumpowanych pijaków i obiboków. Słuchała radości, z jaką przyjaciele doktora, do których należała większość budynków i dawnych fabryk na południu

Manhattanu, chwalili się tym, że dzielili swe posiadłości na marne klitki, w których mieszkały całe rodziny. Dowiedziała się też, że prawo ubogich istniało tylko po to, żeby legitymizować getta, w których mieszkali tacy jak ona, nie przeszkadzając panu Akermannowi i jego przyjaciółom.

– Będę czuć, że to mój kraj, będę patriotką nie wtedy, gdy ten kraj będzie bardziej katolicki czy irlandzki. – Anne powiedziała to z przekonaniem. – Powiem, że to moja ojczyzna, gdy będzie sprawiedliwa. By poczuć się jak w domu, potrzebuję jedynie sprawiedliwości.

Właśnie wtedy Karol zrozumiał, że Anne nigdy nie opuści Wyspy Blackwella.

Największa przygoda czekała na nią właśnie tu. W więzieniu obwarowanym wodą, gdzie wszystko dociera z opóźnieniem. Karol poczuł, że węzeł niewidzialnego sznura zaciska mu się na szyi.

– Myślę, że aby tak się stało, ten kraj musi przebyć długą drogę, Anne. A ty jesteś jeszcze bardzo młoda.

– Dlatego czasami trzeba pójść na skróty i moim zdaniem dlatego wpakowaliśmy się w to wszystko razem – powiedziała, puszczając do niego oko. – Jeżeli zawsze będziemy chodzić utartymi ścieżkami, to nigdy nie dojdziemy dalej, niż doszliśmy.

Po raz pierwszy Karol pożałował, że Anne nie była politykiem. Po raz pierwszy też chciał jej wyznać swoje pochodzenie. Chciał opowiedzieć o głodzie i fabryce, która zastąpiła mu szkołę. O więzieniu, które zastąpiło mu dom. O tym, jak każdego dnia pragnął tylko, żeby stał się cud. Żeby nie musiał budzić się ze świadomością, że ich nieodpowiedzialny ojciec z każdym dniem zadłużał się coraz bardziej i że wylądują na ulicy. Ale nie mógł.

– Nie chcesz mieć dzieci? Założyć rodziny? – zapytał, myśląc o dziecku skrywającym się w brzuchu Lili. O istocie, która połączyła ich już na zawsze.

Anne podniosła oczy znad atlasu, po którym od dłuższej chwili bez ustanku podróżowała.

– Oczywiście – odpowiedziała, wyraźnie ożywiona. – Wyobrażam sobie, że jestem w ciąży. Że siedzę przy pianinie, ledwie dosięgając klawiszy. Obok stoi mój mąż, poważny i poważany, powoli przekłada kartki z partyturą. A u naszych stóp leży trójka dzieci i czyta...

Karol uśmiechnął się, a Anne położyła dłonie na biodrach. W tym momencie wyglądała jak wyjęta z tego rodzinnego obrazka.

\*

Panna Grady zapukała do drzwi dyrektora. Naprzeciw dogasającego kominka zobaczyła Scraugha. Jego zgarbione ciało rzucało na ścianę przerażający cień.

Pielęgniarka trzymała w dłoni dwa listy bez znaczków, które znalazła w pokoju Anne.

– Panie dyrektorze – powiedziała panna Grady.

– Kto idzie? Czego chce? Przyszedłeś po mnie? – pisał z przerażeniem starzec, który zauważył jedynie, że przez otwarte drzwi wślizgnęła się biała postać.

Scraugh zdał sobie sprawę z tego, że jest pierwsza w nocy, zupełnie jak w opowieści. Duch pojawił się punktualnie niczym śmierć, tuż po tym, jak zegar wybił godzinę.

– Cofnij się posłańcu piekieł! Cofnij się! – wrzasnął. – Zostaw mnie! Proszę, zostaw.

Panna Grady – zdumiona – w jednej dłoni miętoszyła listy, a drugą silnie zaciskała na zwisającym na piersi krzyżu. Nie miała pojęcia, z kim rozmawia starzec. Nagle, jakby znikąd, posypał się na nią grad ząbków czosnku. Aż poczerwieniała ze strachu i wybiegła z pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Na szczycie szafy, błyszczące, nerwowe oczy Szczura rozbłysły wesoło.

\*

Przełożona pielęgniarek zbiegała po schodach, przeskakując po dwa stopnie, z prędkością, o jaką się nie posądzała. Działy się dziwne rzeczy... Ale jedno było pewne, Scraugh postradał zmysły... Nieważne, jutro rano da mu listy, co skończy się natychmiastowym wyrzuceniem Radcliffe. Ale co tu się ostatnio wyrabiało? Dotarła do westybulu, gdzie spotkała Lucianę. Podziękowała jej za informacje o burzliwej rozmowie Radcliffe i Anglika z dyrektorem. Kwestionowali jej metody? – Zdziwiła się, drapiąc pająkowatą brodawkę i chowając ją pod wykrochmalonym kołnierzykiem fartucha. Wiedziała, że spiskują przeciwko niej. Ale jest już za późno – uspokoiła się i ze świeczką w dłoni zniknęła w mroku długiego korytarza. Zbyt późno...

Dotarła do piwnicy, gdzie pomiędzy pluskiem wody dał się słyszeć inny dźwięk. Ściany, omiotane światłem, zdawały się przybliżać. Nagle rozległ się ponury głos mężczyzny.

– Gdzie mam ją zanieść, panno Grady?

Na ziemi leżała niedawno przyjęta pacjentka, dygocząca Darcy Moore w podziurawionych pończochach i z dłońmi skrzyżowanymi na brzuchu.

– Do więzienia dla mężczyzn. Daj ją Tytusowi, pilnuje wejścia. Będzie wiedział, co z nią zrobić.

– Myślę, że źle się czuje – powiedział Tom, który wynurzywszy się z mroku, przyglądał się kobiecie jednocześnie zafascynowany i zdezorientowany.

Przełożona pielęgniarek odwróciła się do niego niczym drapieżny ptak. Powiedziała mu, żeby się pochylił, a kiedy to zrobił, wylała mu na kark wrzący wosk. Olbrzym ryknął, a w powietrzu rozszedł się zapach osmalanej skóry.



– Ona to lubi, kretynie! – Złapała kobietę za długie włosy. Powietrze przeszło piśnięcie, kobieta miała rozciętą wargę. – Dlatego tutaj jesteś, prawda? Wybijemy ci to z głowy, robiąc coś pożytecznego dla chłopców z więzienia. Muszą ukoić nerwy. Wszyscy na tym skorzystacie! – Odwróciła się do Olbrzyma. – Zrób jedyną rzecz, jaką potrafisz. Bądź posłuszny!

Olbrzym, próbując zdrapać płamę wosku zastygającą na jego grubej, ciemnej skórze, zapalił pochodnię. Potem chwycił kobietę, zarzucił ją sobie na ramię, niczym poleć mięsa i zaniósł do więzienia.

*Dzień 10*

Kompasy można porównać do prostych istot – nie ma sensu z nimi dyskutować. Ale Karol wiedział, że północ nie zawsze jest północą. Wiele wieków wcześniej, w średniowieczu, mapy *orientowały się*, i stąd jego nazwa, na orient.

Wschód słońca, Jerozolima, Niebo.

Zachód zawsze był mroczny. Piekło.

Znajdował się na Wyspie Blackwella, a dokładnie w zakładzie psychiatrycznym, na krańcu najbardziej zbliżonym do Hell's Gate, na zachód od brzegu, z którego tego ranka wiatr niósł dźwięki paradnej muzyki. Karol zamknął okno – jego twarz odbiła się w zaparowanej szybie. Anne już spełniła swoje marzenie: była tu i pomagała mieszkańcom Wyspy. Tak mu przynajmniej wyjaśniła ubiegłej nocy, kiedy opowiedział jej historię kompasu, którego igła, aż do przyjazdu w to miejsce, kręciła się jakby zagubiona. Teraz, w końcu znalazła północ. Na północy Wyspy, dokładnie tam, gdzie wznosił się zakład psychiatryczny.

Dlatego chciał podarować kompas Anne. Ale ona, wysłuchawszy wzruszającej historii o nim i umierającej dziewczynce, i potrzyawszy kompas przez kilka sekund w otwartej dłoni, powiedziała, żeby zatrzymał go, bo doszła do wniosku, że Karol jest dużo bardziej zagubiony niż ona.

Miała rację. Przestał rozumieć samego siebie. Kiedy zbliżył się do okna i odkrył, że tego ranka świat znowu pokrył się bielą, doświadczył dziwnego złudzenia optycznego. Miał wrażenie, że rzeka się poszerzyła i że położony na drugim brzegu Nowy Jork oddalał się z każdą chwilą coraz bardziej. A wraz z nim jego dotychczasowe życie, odczyty na uniwersytetach i jego książki. Blakły twarze Kate i Washingtona oraz spotkania literackie w Royal Society w Londynie. Nawet głosy jego dzieci i Anglia w szybkim tempie zmieniły się w nieistotne okruchy pamięci. Wszystko, co do tej pory przeżył, odeszło na drugi plan, niewyraźny jak jego twarz rozmazana przez parę. I nagle, w tym oblanym wodą więzieniu, poczuł się nieopisanie wolny.

Poza tym zamknął się pewien cykl. Znowu, tak jak pierwszego dnia, kiedy obudził się na Wyspie, była niedziela. Wiedział to, ponieważ za oknem leniwie przechadzały się niewielkie grupki pielęgniarek, bielą zlewających się ze śniegiem.

Od wczesnego ranka powietrze przeszywał dźwięk dzwonu, wyprzedzający te, które docierały z Manhattanu.

Dziesięć dni. Minęło trochę ponad tydzień, od kiedy Łódź przedarła się przez mgłę, by zawieźć go do jednej z jego powieści. Zaledwie dziesięć dni temu poznał Tima, Floritę, Marleya i Lili...

Jeszcze dziesięć dni temu Anne Radcliffe nie istniała.

Takie właśnie były powieści. Jednego tygodnia jest tylko biały papier, a tydzień później rozległy świat zamieszkały przez postaci i ich historie. Dlatego tamtego dnia doszedł do wniosku, że Nowy Jork zasługuje na swoją powieść. To miasto stworzone ze ścinków marzeń, legend, opowieści i postaci, które czekały na napisanie.

Przyciągnął krzesło, usiadł przy rozchwanym biurku i chwycił za pióro. Wydało mu się obce. Czuł się jak szermierz, który zapomniał, jak trzymać szpadę. Nie pamiętał, by kiedykolwiek przez tak długi okres nic nie napisał. Od kiedy skończył osiemnaście lat, pisał od dziewiątej rano do drugiej po południu, od dwóch do czterech stron dziennie. Zazwyczaj pisał tylko po jednej stronie kartki czarnym atramentem. Chociaż dwa lata i cztery miesiące temu zaczął używać granatowego. Przed przyjazdem na Wyspę brak niebieskiego atramentu przyprawiłby go o chorobę. Ale teraz nie. Już nie.

Zanurzył pióro w kałamarzu i podnosząc je, uрониł kilka czarnych kropeł. Potarł dłonią po dobrze już zarysowanym zaroście. Tego ranka napisał dwa listy.

Pierwszy obiecał Kate. „Kochana moja...”, zaczął. Uspokajał ją, pisząc, że jak nigdy dotąd czuje, że żyje. To akurat było prawdą. Napisał też, że cieszy się, że przyjechał na Wyspę. Tu też nie skłamał. Skłamał za to, pisząc, że za nią tęskni.

Ponieważ – choć to zadziwiające – nie brakowało mu świata, który zostawił na drugim brzegu.

W tym samym liście poprosił ją, by zrobiła coś przed jego powrotem.

Ze wzrokiem utkwionym w białej kartce, jakby miał zacząć następny rozdział, nowy, zachwycający rozdział, który zrywał z przeszłością, napisał kolejny nagłówek: „Mój drogi Washingtonie...”. Dziękował mu za umożliwienie przeżycia tego niezwykłego doświadczenia, które okazało się nad wyraz budujące. Miał wrażenie, że zawarł pokój ze światem i nigdy nie czuł się tak zainspirowany, uwolniony od konwencji i *bardziej wolny*... Poprosił go też, żeby załatwił pozwolenie dla dziennikarza „New York Timesa”, niejakiego Seymoura Friedmana, który poprosił o zgodę na zrobienie mu zdjęcia z pobytu na Wyspie Blackwella w dniu jego odjazdu.

Westchnął głęboko i zakleił koperty. Jeżeli chciał, żeby dotarły na czas, musiał się pospieszyć, żeby zdążyć, zanim wypłynie więzienna łódź.

\*

Okolo południa Anne Radcliffe poszła po Darcy Moore, której nie zastała w łóżku. Ada znowu ją zaalarmowała. Nie widziała Darcy od wczorajszej kolacji, a Anne wyobrażała sobie, co mogą oznaczać te dziwne nocne zniknięcia. Nie pierwszy raz działo się tak, gdy do zakładu przywożono prostytutkę.

Panna Grady miała na ich punkcie obsesję.

Anne przemierzała zakład, sala po sali. W trakcie poszukiwań natknęła się na Lili stojącą w smudze światła. Wydawała się pochłonięta sobą, pisała coś palcem na szybie, którą raz po raz pokrywała parującym oddechem. Anne podeszła, ale nic nie odczytała, bo litery niemal natychmiast zniknęły. Lili się odwróciła, a rozpoznawszy pielęgniarkę, przytuliła się do niej. Potem złapała ją za rękę i podeszły do szyby tak blisko, że niemal dotykały jej nosami. Lili wypuściła delikatnie powietrze, a na powierzchni szyby pojawiło się imię. Anne spojrzała na nią pytająco.

– Tak ma się nazywać? To jest imię?

Lili spuściła wzrok i pogładziła brzuch. Głaszcząc włosy Lili, pielęgniarka pomyślała, jak bardzo jej pełna nadziei radość kontrastowała z beznadzieją, w jakiej żyła.

W sali stało trzydzieści łóżek przykrytych tylko prześcieradłami. Anne przemknęło przez głowę, że w ostrym świetle poranka wyglądają jak całuny. Już miała wyjść, kiedy usłyszała piśnięcie. Znalazła ją tuż obok okna. Darcy leżała zwinięta w kłębek, z tłustymi włosami przyklejonymi do twarzy i z wybitym zębem. W tych samych ubraniach, w których ją przywieziono, tyle że teraz poszarpanych i zakrwawionych. Anne podniosła dłoń do ust, by powstrzymać mdłości. Kiedy podeszła, by jej pomóc, poczuła smród potu. Dziewczyna nakryła głowę ramionami.

– Niech mnie pani nie wysyła do tych mężczyzn, proszę, proszę... – powiedziała bardzo cicho.

Anne zabrała Darcy Moore do ambulatorium, zagotowała wodę, usadziła ją w balii i podała jej duży kawałek mydła.

– Umyj się porządnie – powiedziała, bojąc się, że kobieta może mieć rany, w które wda się infekcja.

Potem Anne zasłoniła ją parawanem. Potem wytarła ją ręcznikiem i objęła jej twarz obiema dłońmi.

– A teraz słuchaj uważnie. Od tej chwili cierpisz na poważną chorobę weneryczną, rozumiesz?

Przerażona dziewczyna przytaknęła.

– Jest ci słabo i piecze cię przy sikaniu.

Dziewczyna patrzyła na nią zdeorientowana.

– Ale nic takiego się nie dzieje...

Anna się zniecierpliwiła.

– Jeszcze tego nie wiemy. Na razie wydaje się, że jesteś zdrowa. A to cud. Chodzi o to, żeby nikt cię nie tknął, dopóki tutaj jesteś. Rozumiesz?

Darcy przytaknęła ze łzami w oczach i ucałowała dłonie Anne.

– Masz dobrą pamięć, Darcy? – zapytała Anne, próbując się uśmiechnąć.

– Znam na pamięć ze sto piosenek. Śpiewam je w tawernach, w porcie.

– Dobrze, w takim razie zapamiętaj tę piosenkę. Znają ją na Wyspie. Potem zaśpiewam ci melodię.

Przez niemal godzinę Anne czytała jej fragment vademecum medycznego. To była próba generalna przedstawienia, które uratowało życie Darcy.

Kiedy szły po kręconych schodach zakładu, natknęły się na ordynatora w towarzystwie więźnia. Dyrektor wracał z weekendu, a więzień niósł za nim płaszcz i niewielką walizkę. Na widok pasiaka Darcy skurczyła się.

– Panie Angelopoulos, ma pan chwilę? – zapytała Anne Radcliffe.

Lekarz odwrócił się niechętnie, a więzień przystanął ze wzrokiem wbitym w podłogę. Poprosiła Darcy, żeby opowiedziała lekarzowi, o czym rozmawiały. O symptomach, podkreśliła, żeby lekarz mógł stwierdzić, co jej dolega. Darcy, trzymając się poręczy, jak wtedy gdy stawiała na scenie tawerny, wyrecytowała niczym papuga: swędzenie dłoni i stóp, dreszcze, ból głowy i gardła, zmęczenie i dziwne krosty tam, na dole...

Lekarz szeroko otworzył oczy schowane za brudnymi okularami, i stwierdził:

– Krętek blady. – Obydwie udały zaskoczenie. – Innymi słowy: kiła.

– Boże... – krzyknęła Anne. – Co będzie z osobami, które już miały albo dopiero będą mieć z nią kontakty?

Lekarz przyjrzał się dziewczynie z obrzydzeniem.

– Proszę sobie wyobrazić, że wielu z nich nawet nie będzie wiedziało, że są chorzy. Ale bakteria, mimo braku symptomów, będzie w ich organizmach. – Więzień zacisnął szczękę i podrapał się po głowie. – W pierwszej fazie choroby bakteria uszkadza serce, potem oczy, potem mózg i układ nerwowy, kości, żyły i każdy inny organ... mogąc powodować śmierć! Poza tym – podsumował zasapany lekarz – nie rozumiem, jak można z tymi babsztylami...

I ruszył schodami w górę. Za nim szedł więzień, który zbladł tak bardzo, że zlewał się z brudną bielą ścian.

Anne z całych sił ścisnęła skołowaną Darcy za ramię i próbując ukryć radość, zaciągnęła ją do westybulu.

\*

O dwunastej rozdzwonił się dzwon w kaplicy Świętego Nelsona. W ruch wprawiał go kaznodzieja Curtis, który przyplął rano, by jak w każdą niedzielę, odprawić nabożeństwo. Mało kto na Wyspie wiedział, że w rzeczywistości był poniedziałek. Dzień wcześniej kaznodzieja musiał udzielić ostatniego

namaszczenia na Manhattanie. A ponieważ mieszkańcy Wyspy Blackwella nie mieli poczucia czasu, poprosił, by pozwolono mu przyjechać dzień później. Mimo swoich sześćdziesięciu lat kaznodzieja w dalszym ciągu nie mógł powstrzymać radości podczas kołysania dzwonem. Niemal nikt nie zauważył, że na dzwonie nadal znajduje się wypukły napis „Boreas”, nazwa statku, z którego pochodził, data wodowania: „10 maja 1785 r.” oraz zdanie: „Tylko ci, którzy żeglują do Boga, będą błogosławieni”. Nikt poza nim nie wiedział, że w swoim czasie dzwon znajdował się na dziobie okrętu wojennego. Ani że białe i niebieskie deski, z których zbudowano kaplicę, przepłynęły kiedyś Morze Karaibskie. Curtis przez dwadzieścia lat „wybijał szklanki” na tym dzwonie. Tyle że już wtedy dzwon pływał nie na wojennym okręcie, ale na „Tritonie” – statku handlowym, w który go przemieniono. Ów dzwon wyjawiał kaznodziei, będącemu wówczas marynarzem, sekret, który ten przysiągł zabrać ze sobą do grobu: swoje prawdziwe i szlachetne pochodzenie oraz nazwę statku, która widniała na jego korpusie. Od kiedy Curtis jako szesnastolatek zaokrętował się na „Tritona”, przez całe spędzone na nim życie, wybijał na tym dzwonie ostrzeżenia dla innych statków, gdy płynali we mgle. A kiedy po pięciu latach od podjęcia służby usłyszał, że admirał Nelson poległ po swoim największym zwycięstwie – bitwie pod Trafalgarem – wydzwonił jego śmierć, tak samo jak wydzwaniał zwycięstwa. Ale przede wszystkim to dźwięk tego dzwonu dotrzymywał mu towarzystwa podczas wacht. A kiedy statek rozebrano, i kiedy Curtis ostatecznie zakończył służbę, brak jego dźwięku przyprawiał go o przeraźliwą tęsknotę i uczucie pustki, znacznie gorsze niż choroba morską.

Po tym, jak w jednym z rejsów niemal nie utonął, postanowił zostać kaznodzieją. Za ostatnią wypłatę kupił dzwon z historycznego okrętu, kilka desek z kadłuba, boje, drzwi z kapitańskiego mostka, kilka bulajów i inne marynarskie rupiecie. Zbudował z nich niewielką kaplicę tuż nad rzeką. W tym celu wybrał wyspę położoną najbliżej Hell’s Gate, miejsca, w którym nieomal stracił życie.

\*

Idąc do kościoła, Florita usłyszała głębokie i potężne łkanie. Dochodziło z szopy, na którą nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi. W środku, zgięty wpół na przycy, siedział Olbrzym. Na jej widok załkał jeszcze głośniejsze i zakrył twarz rękoma.

– Przede mną nie musisz się ukrywać, *hueh hueyi* – powiedziała, wchodząc do szopy i siadając u jego boku.

Olbrzym patrzył na nią nieufnie. Oczy miał mokre od łez. Staruszka pogłaskała jego skołtunione czarne włosy, zabiła kilka wszy biegnących po czole i pogładziła po plecach, pocieszając jak dziecko. Czuł się samotny, prawda? Czuł się inny. Nawet tu nie umiał znaleźć sobie miejsca. Oczywiście, mój *hueh hueyi* –

mówiła. Jest ci smutno. Musiał widzieć i przemilczeć tyle rzeczy. Ale ona wiedziała, jak go przekonać, że to, co się wydarzyło, nie było straszne.

– Ja... – powiedział Olbrzym. – Ja... jestem zły.

Staruszka, która siedząc obok niego, przypominała szmacianą lalkę, poklepała go po ogromnej nodze. Jak może być zły? Niech nie gada głupot.

– Tom – mówiła słodkim głosem – czujesz się tak, bo cierpisz na dziwną chorobę.

Olbrzym uniósł szyję, a usta wykrzywiły mu się jak do płaczu.

– To dziwna choroba, bo ty cierpisz, a tak naprawdę leczyć powinni się inni.

Obserwował jej zmatowiałe oczy z zagubieniem, ale też z ulgą. Co mu dolegało? Czy był tak zły, że na wszystkich sprowadzał nieszczęście? Dlaczego jego matka zmarła przy porodzie? Dlaczego Barnum nazywał go potworem?

– Jesteś czarny, Tom. Tylko tyle. *Mochi!* – Staruszka wstała. – Jesteś czarny, a Fugate jest niebieski. Nawet jeżeli będą cię chcieli przekonać, że to coś złego, to pamiętaj, że to nieprawda. Przez to nie może ci być smutno. Nie od ciebie zależy, czy inni wyzdrowieją. Ty rób tak, jak podpowiada ci to wielkie serce, które masz tam w środku – powiedziała, dotykając jego piersi. – A teraz pójdziemy razem na mszę. Poprosisz Boga o przebaczenie za to, co cię trapi.

Staruszka podniosła się i podała Olbrzymowi pochodnię.

– Ukarze mnie – jęknął Tom.

– Za co? Dlaczego miałby cię ukarać?

Na jego czarnej twarzy pojawił się strach wielu pokoleń.

– Bo mój Bóg... jest biały.

\*

Uwagę Karola przyciągnęło wesole dzwonienie na zaśnieżonej plaży. Usłyszał je już pierwszego dnia po przyjeździe na Wyspę. Liczył na palcach, próbując uporządkować i oddzielić jedno zdarzenia od drugich. Według jego rachunków minęło... dziesięć dni. Patrzył, jak z zakładu poprawczego i przytułku wyłaniają się szare gromady. Długie rzędy ludzi, którzy odpowiedzieli na zawołanie dzwonu.

Jedyną osobą, która przemierzała Wyspę w przeciwnym kierunku, był Scraugh. Jego powóz stukotał na drodze, kierując się na pomost na południu. Później Karol dowiedział się, że dyrektor zawsze wyjeżdżał na niedzielę i poniedziałek, żeby wypocząć. Tym razem ogłosił, że wróci dopiero we wtorek. Czy Scraugh miał jakieś życie poza wilgotnymi murami zakładu? – zastanawiał się ciekawej i nieznannej historii swojej postaci. Co robił w niedzielę na Manhattanie? Spotykał się z nieliczną rodziną, która mu została? Nie – powiedział sam do siebie. – Ma jakichś znajomych? Czy spotyka się wyłącznie z politykami, których błaga oczami głodnego psa, by przedłużyli mu umowę?

\*

Kiedy Karol doszedł do kaplicy, okazało się, że w środku jest tylu ludzi, że ściany budynku zdawały się pękać. Tuż obok Olbrzyma zobaczył Floritę. Bująła dzwonem, rozbawiona niczym kociak, z długimi warkoczami, spływającymi po obu stronach pomarszczonej twarzy, w niebieskiej spódnicy.

– Na szczęście dziś otwarli kaplicę, bo przy takiej śnieżycy... – powiedziała z uśmiechem odsłaniającym nierówne, białe zęby, i wróciła do kołysania dzwonu.

Karol uśmiechnął się do niej. Uwielbiał Floritę. Przypomniawszy sobie, że obiecała nauczyć go kilku słów w języku *nahuatl*, żeby mógł pochwalić się przed kolegami z Royal Society. Zaczyna jeszcze dziś – pomyślał z przekonaniem.

– Florito, czy w twoim języku jest jakieś słowo na dzwon?

Florita potaknęła nadgorliwie.

– Oczywiście. – Podeszła do niego, wykrzywiła twarz i powiedziała: – *Tlatzitzilitztepuztli*.

– Aż tyle, żeby powiedzieć dzwon? – oburzył się pisarz. – Przecież to bardzo mały dzwon!

Karol wywrócił oczami. Być może miał zbyt optymistyczne założenia, co do *nahuatl*.

Ale Florita już go nie słuchała. Z rozbawioną miną podeszła do ołtarza: zobaczył, jak wkłada coś czarnego i podłużnego do środka drewnianej rzeźby Jezusa, zwisającej na jednej z rybackich sieci. Był pochłonięty obserwowaniem tej niecodziennej czynności, kiedy nadeszła Anne z Darcy. Początkowo jej nie poznał – bez makijażu, ze spiętymi włosami, posiniaczoną twarzą i w szpitalnym kitlu.

I... w końcu. Ledwie mógł w to uwierzyć. To on. Tak, to musiał być on. Poznał go po marnie lakierowanych skrzypcach, które niósł pod pachą. John McCarthy, latarnik we własnej osobie. Ostatnia z postaci w jego opowieści. Od tej chwili przestał być wyobrażeniem. Miał bujne i posiwiałe włosy. Dobrze ogoloną brodę. Białą karnację rudzielca. Żyłaste i chude ciało, silne jak na jego wiek. Kiedy spotkali się wzrokiem, posłał Karolowi nieufne spojrzenie i skierował się w stronę ambony.

Potem przeszła duża grupa pielęgniarek, prowadzona przez pannę Grady, która przywitała Dickensa dziwnie nieprzyjemnym uśmiechem. Mały Tim przykuśtykał z Adą, która na tę okazję przygotowała papierową woalkę, podziurawioną z taką starannością, że wyglądała jak tiul. Na końcu wszedł młody lekarz-pisarz, na którego okrągłej twarzy malowało się bezwarunkowe uwielbienie. Podeszedł do Karola tak zasmucony, że nie zatrzymał się w porę i nastąpił mu na stopę.

– Ja... przepraszam, panie Dickens... proszę mi wybaczyć.

Karol westchnął. Nie miał wyjścia.



– Rzuciłem okiem na pański rękopis, doktorze...  
– Pen.  
– Słucham? – zapytał pisarz.  
– Na... na nazwisko... mam Pen, proszę pana – odpowiedział lekarz.  
– A to ci zbieg okoliczności – odrzekł Anglik. – W takim razie proszę wybrać sobie jakiś pseudonim, żeby uniknąć nieznośnej dwuznaczności.

Młody lekarz przytaknął nerwowo. Karol uniósł brew.

– Widzi pan... myślę, że powinien pan zacząć od ułożenia tekstu, spokojniejszego rozpoczęcia opowiadania, określenia bohatera i nauki stosowania myśluków w dialogach. Reasumując... ile powieści przeczytał pan przed napisaniem swojej, doktorze... Pen?

Mężczyzna zdawał się dusić. Anne zbliżyła się do nich i rozbawiona przysłuchiwała się rozmowie.

– W całości? – zapytał lekarz.

– Tak, Pen... od początku do końca.

Lekarz zwiesił głowę.

– W całości, od deski do deski... cóż, myślę... myślę, że żadnej, proszę pana – wydukał, ścisząc głos.

Karol uśmiechnął się do niego protekcjonalnie.

– Tak podejrzewałem... – Wywrócił oczami. – Powinien pan trochę poczytać, Pen.

– Nie chcesz wejść i posłuchać kaznodziei, Karolu? – przerwała im Anne, przychodząc z pomocą biednemu lekarzowi, któremu zaczynały drżeć mięśnie twarzy.

Pisarz – nadal w afekcie – spojrzał na Anne i skrzyżował ramiona.

– O religii wiem tylko tyle, że jest sprzeczna z radością. Nie wiem, czy akurat to jest mi teraz potrzebne...

– To dlatego, że nie znasz parafii Świętego Nelsona – nalegała.

Co takiego powiedziała? Święty Nelson? Do diabła, co to za święty?

W końcu wszedł i stanął w kącie. Tylko dlatego, że Anne go o to prosiła. Nie obeszło się jednak bez gderania, jak wtedy gdy Kate ciągnęła go do kościoła w Londynie.

– Zrobiłaś ze mnie przestępcę – szepnął do pielęgniarki. – Co jeszcze? Nawrócisz mnie na katolicyzm?

Co to to nie! Mamrotał komentarze, które rozśmieszyły pielęgniarkę i wywołały chichoty wśród jej koleżanek. Jednocześnie pocierał brodę, na którą już niemal nie zwracał uwagi.

Zamilkł na widok nietypowego wnętrza. Obok ambony stał latarnik McCarthy oraz niewielki chór złożony z mężczyzn i kobiet – większości więźniów. Ołtarz ustawiono pomiędzy dwoma kołami sterowymi. Przyozdobiono je

zwisającymi kolorowymi sieciami, które nadawały wnętrzu teatralnego charakteru.

Za ołtarzem zwiślał potężny żagiel. Kiedy wyłoniła się zza niego ogorzała twarz kaznodziei, chór zaintonował irlandzką pieśń *Amazing Grace*, która zaskoczyła go i wzruszyła. Jak później wyjaśnił kaznodzieja, był to hymn kaplicy Świętego Nelsona. Napisał ją młodzieniec, który tak jak święty uratował się z tonącego statku. John Newton był angielskim handlarzem niewolników. Będąc o krok od śmierci, obiecał, że jeżeli ocaleje, będzie błagał o przebaczenie za wszystkie swoje grzechy. *Cudowna Boża Łaska ta, z kajdan wyswobodziła mnie, zbawiła takiego lajdaka jak ja* – chór śpiewał z przekonaniem. – *Zgubiony, nędzny byłem ja, lecz odnalazłem się. Ślepcem byłem ja, lecz na oczy przejrzałem.* Newton skomponował tę pieśń, kiedy zszedł z pokładu i został kaznodzieją. W międzyczasie studiował teologię, łacinę, muzykę i instrumentalistykę. Śpiewający tę pieśń ludzie, schronieni przed śniegiem w kaplicy Świętego Nelsona, czuli, jak napętnia ich niewytłumaczalne poczucie wolności.

Kaznodzieja miał w sobie wiele z szekspirowskiego aktora. Obrzucił zebranych przeszywającym spojrzeniem. Morze wyrzeźbiło głębokie bruzdy na jego czole i policzkach. Głos grzmiał tak, jakby przemawiał sam Neptun. Jego gęsta biała broda zdradzała marynarską przeszłość, a obfity brzuch zamiłowanie do piwa. Po hymnie zaczął kazanie od fragmentu Pieśni nad Pieśniami.

Uwagę Karola zwróciła niezwykłość amerykańskich kaznodziejów – przesadny i nieco teatralny sposób przechadzania się po ambonie. Pomyślał jednak, że kogoś takiego jak kaznodzieja z Wyspy Blackwella nigdy w życiu nie byłby zdolny sobie wyobrazić. Wszystkie metafory w kazaniu nawiązywały do morza i do marynarskiego życia. Opowiadał o cudownym i wspaniałym świętym Nelsonie, którego Karol, po długim namyśle, w ostateczności rozpoznał jako admirała Nelsona. Często mówił z egzaltacją. Miał też dziwaczny zwyczaj wkładania ogromnej Biblii pod pachę i spacerowania z nią tam i z powrotem, przyglądając się uważnie zebranym.

– Skąd przychodzą ci ludzie? Z luku pełnego grzechów. A dokąd zmierzają? W górę! W górę! – powtarzał coraz głośniejsze. – Gotowi obrać kurs na Niebieską Chwałę! Tam gdzie nie ma sztormu czy złej pogody... To miejsce, do którego idą pokorni, to port. Tam morze zawsze jest spokojne. Tam nie wpadniecie na skały. Tam nie popuszczą cumy pokusy. Tam nie wpłyniecie na mieliznę. Tak jest, pokój, pokój, pokój. Tylko pokój! – Uderzenie w Biblię. – Umiłowany jest kapitanem, waszym admirałem, a gwiazda kompasem. Kompasem! Kompasem dla wszystkich marynarzy! – Kolejne trzy uderzenia.

Karol nie mógł się powstrzymać. Włożył dłoń do kieszeni płaszcza, by poczuć zimną i okrągłą szybkę.

\*

Po godzinie ognistego kazania wszyscy ruszyli z powrotem do swoich ośrodków. Kaznodzieja żegnał się z tymi, których znał. Karol zwrócił uwagę na to, że ściska ręce wiernych z prawdziwym uczuciem. Zauważył też, że kiedy Tom poprosił o spowiedź, panna Grady przerwała mu i poleciła, żeby załatwił to kiedy indziej, bo teraz jest potrzebny w zakładzie.

– Czyli jest pan pisarzem – zapytał kaznodzieja, wyciągając do Karola rękę i wyrywając go z zamyślenia.

– Tak. – Uśmiechnął się. – Muszę przyznać, że pańskie kazanie wydało mi się nadzwyczaj dramatyczne.

Kaznodzieja, najwyraźniej zadowolony z komplementu, pozdrowił Anne. „Annie!” – zawołał. Nagle podniósł w górę ramiona.

– Pić, pić, wachlarz, wachlarz, drapać, drapać!

Wszyscy zamilkli, zdziwieni. W końcu kaznodzieja parsknął grzmiącym śmiechem.

– To ostatnie słowa, jakie admirał Nelson wypowiedział przed śmiercią. Kula wystrzelona z muszkietu przedziurawiła mu kręgosłup! – Zaśmiał się ponownie i podrapał po brzuchu. – Gdybym chciał panu opowiedzieć wszystkie opowieści... musiałby pan pisać do końca życia.

– Co chciał powiedzieć Nelson? – zapytał Tim, ciągnąc kaznodzieję za wełniany sweter.

– Nie wiem, synu. Wyobrażam sobie, że od postrzału postradał zmysły... Wie pan, panie Dickens, że przewieźli go do Anglii, zakonserwowanego w beczce koniaku? Ha, ha, ha... cóż za wspaniały koniec dla marynarza! – Odwrócił się do ambony. – Szczurku! W tę niedzielę znowu nie byłeś na mszy. Ale przynajmniej mógłbyś się przywitać.

Zza ołtarza wyjrzały nerwowe, zaczerwienione oczy Szczura, który wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka. Spróbował powiedzieć „dzień dobry”, ziewając przeciągle i pokazując przez kilka sekund zajęcze zęby.

Dopiero wtedy Karol zdał sobie sprawę z tego, że nie było Lili. Anne też to zauważyła. Szczur zapytany, potwierdził, że miała ciężką noc.

– Już niedługo – powiedziała Florita, stojąca przy jednym z bulajów w kaplicy.

– Tak, już niedługo – powiedział kaznodzieja, napędzając im stracha. – Najwyższa pora, żeby wrzucić opętaną wiedźmę do rzeki!

*Pocheoa*, wyrwało się zazwyczaj słodkiej Floricie, która instynktownie wybrała *nahuatl*, żeby przeklinać do woli. Przesuwała się po ławce w stronę wyjścia. Ale kaznodzieja już ją dojrzał i przywoływał ruchem palca. Florita, drobiąc kroki, podeszła do ołtarza, mamrocząc: *Chichi quixtiano*. Kaznodzieja wyciągnął ze środka rzeźby czarny kamień, który staruszka obserwowała z przerażeniem. *Ahuacatl!* – psioczyła. Mężczyzna podał jej kamień, a ona w te

pędy go chwyciła i przycisnęła do piersi, zaciskając zęby.

– Straszna z ciebie buntowniczką, Florito... – szepnął Curtis, udając niezadowolony.

\*

Szamanica robiła to już od dawna, ale nikt jeszcze nie schwytał jej na gorącym uczynku. Czasami wkładała onyks do świecy, w którą wpatrywała się przez całą mszę. Na początku, kiedy ponoć nie znała chrześcijańskich obrzędów, wrzuciła go do kielicha. Biedny kaznodzieja omal się nie udusił przy picu wina. Zachowanie Flority nie było związane z szamanizmem. Był to prawdziwy i zaplanowany bunt. Nawet Karol, który siedział na ławce wyraźnie rozbawiony, wiedział, co robiła.

Przeczytał gdzieś, że pod panowaniem hiszpańskim plemiona z niektórych terenów, zamiast sprzeciwiać się narzucanej im ewangelizacji i narażać się na represje, działały znacznie sprytniej. Umieszczały relikwie, posążki czy minerały, reprezentujące ich bogów w obrazach i rzeźbach, które kazano im tworzyć i czcić.

Dzięki temu Florita przez długi czas mogła czcić swoich bogów w tajemnicy. Podobnie było z tym pełnym spółgłosek, a jednak dźwięcznym językiem, w którym protestowała. Oczywiście obowiązkiem kaznodziei było ostrzeżenie jej, że za takie praktyki czeka ją wieczne potępienie. Jednak w głębi ducha Karol miał wrażenie, że kaznodzieja traktował całą sprawę raczej jak zabawną grę w poszukiwanie przeklętego onyksu.

\*

Kaznodzieja odwrócił się, próbując powstrzymać salwę śmiechu. Karol puścił oko do staruszki. A ona przeszła przez kaplicę swoimi drobnymi kroczkami i zajęła miejsce obok Toma, który ze spuszczoną głową siedział w ostatniej ławce. „Siadła obok Toma!” – powtarzali między sobą, nie mogąc wyjść ze zdumienia. – Uwagi Karola nie uszło to, że w kaplicy został też latarnik, John McCarthy. Czas włączyć do opowieści kolejną postać, ale najpierw musiał wprowadzić pewną zmianę...

Olbrzym modlił się na końcu kaplicy.

Karol, nieco zaniepokojony, zastanawiał się, za co musiała przeproszać ta wolna od wszelkiej niegodziwości dusza, zamknięta w tym niezwykłym ciele. Zasmucił się, że nawet w miejscu takim jak Wyspa Blackwella, gdzie wszystkich mieszkańców łączyło nieszczęście, nie było równości między ludźmi.

Biali oddzieleni od czarnych.

Ostatnia ławka nie była równa pierwszej.

Pocieszył się tym, że na jego oczach zmaterializowało się kolejne z liberalnych założeń. Wolność wyznania. W głębi duszy przyznał, że ta kaplica to

najlepsze miejsce do kontynuowania opowieści.

Postanowił, że kolejny odcinek swojej wigilijnej opowieści zacznie od uczy, którą chciwy pan Scrooge zastanie w swoim salonie, gdy w półśnie wyjdzie z sypialni. To nie był jego pomysł. Co więcej, uważał, że biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich żyli jego słuchacze, to bardzo okrutny pomysł. Wbrew oczekiwaniom był to pomysł Flority, która chciała z nim porozmawiać po mszy. Od poprzedniego spotkania, w którym wszyscy tak aktywnie uczestniczyli, Karol odczuwał nieznaną mu wcześniej radość z pytania entuzjastycznych słuchaczy o to, co chcieliby usłyszeć. Cieszyło go też podejmowanie wyzwania, by wszystkie ich pomysły dopasować, niczym kawałki nieznanego mu układanki, by je uwiarygodnić i nadać im znaczenia w rozwoju fabuły.

Najbardziej zaskoczyła go prośba Flority. Chciała, żeby w kolejnym odcinku znalazło się świąteczne przyjęcie. Kiedy prosiła go o to z zapadniętymi oczami, miętosząc spódnicę, Karol pomyślał o długich kolejkach ustawiających się na zewnątrz przytułku i o kawałku chleba dziennie. Z początku sądził, że nie będzie mógł spełnić jej prośby. Omówił to z Anne i zaskoczyło go, że zdaniem pielęgniarki był to doskonały pomysł. Najwyraźniej ulubionym tematem rozmów mieszkańców Wyspy Blackwella było jedzenie. Potrafili godzinami opisywać smaki i zapachy tego, co zjedliby, gdyby nie byli na Wyspie.

Anne miała na ten temat swoją teorię. Uważała, że kierował nimi ten sam impuls, który pchnął ludzi do tego, by w czasach kryzysu dowiadywać się jak najwięcej o życiu bogaczy. O tym, jak wyglądały ich domy, o ich podróżach, szczegółach garderoby czy rodzaju perfum, którymi się spryskiwali. W najgorszym okresie, jaki przechodził Nowy Jork, wystarczyło, że gazeta zwiększyła liczbę plotkarskich stron, żeby trzykrotnie zwiększyć sprzedaż. De facto chodziło o ten sam mechanizm, który można zaobserwować w dziecięcych zabawach. Wystarczy, że dziecko powie: „A teraz jestem straszliwym piratem” i nagle chucherko staje się legendarnym korsarzem.

Marzenia nic nie kosztują.

Lepiej przeżyć coś w marzeniach niż wcale – podsumowała Anne. Poza tym on, dzięki swojej niezwykłej pamięci, będzie potrafił odtworzyć każdy szczegół: zapachy, kolory, a nawet rodzaj potraw. I na pewno zrobi to w sposób tak

obrazowy, że poczują, jakby tam byli. Właśnie się za to zabierał w kaplicy Świętego Nelsona. Choć nie bez poczucia winy i strachu, że Anne i Florita się mylą. Karol spojrział na spragnionych opowieści słuchaczy, siedzących w pierwszej ławce. Poczul się jak jeden z tych kaznodziejów, którzy rozdają złudną nadzieję.

– Nad ranem Scrooge, którego w nocy odwiedził duch minionych świąt, nie mógł uwierzyć w to, co w jakiś magiczny sposób pojawiło się w jego salonie, gdzie jeszcze słychać było echo wybijanej pierwszej...

Karol podwinął rękawy surduta, jakby obawiał się, że poplami je jakimiś delicjami, i zaczął wymieniać potrawy: indyki, gęsi, dziczyzna, kurczaki, mięsiwa... Opisał olbrzymie porcje pieczeni, prosięta, długie wianki kielbas, ciasta nadziewane mięsem... Dłuższą chwilę zajęło mu opisywanie babek z rodzynkami, beczek ostryg i pieczonych kasztanów. Mówiąc, przyglądał się Szczurowi, który w ekstazie przymknął oczy, i kaznodziei, któremu w brzuchu głośno burczało.

– Pośrodku bufetu... – Pisarz zawiesił głos i spojrział na Toma siedzącego z tyłu ze spuszczoną głową. – Pośrodku bufetu rozparł się wygodnie wesóły olbrzym o ujmującej powierzchowności. W dłoni trzymał pochodnię przypominającą róg obfitości.

Jeden po drugim, wszyscy odwrócili się w stronę Toma, a on, po raz pierwszy tego poranka, podniósł wzrok. Karol ruszył w głąb kaplicy, nie spuszczać z niego oczu.

– Oczy ducha były pogodne, ubrany był w ciemnozielony płaszcz, obszyty dookoła białym futrem...

Wtedy rozbawione Anne i Ada wstały. Z pomocą kaznodziei podniosły reszkę żagla i przeciągnęły go przez całą kaplicę, aż w końcu dotarły do Olbrzyma i przewiesiły mu go przez ramię. Całości dopełniła Ada. Zniknęła na kilka sekund, by wrócić z pokrytą lodem gałęzią, która w jej dłoni błyszczała niczym diamentowa tiara.

Ada, z wielkim namaszczeniem, ukoronowała oniemiałego Olbrzyma. Pisarz szeptem ciągnął dalej:

– Na skroniach miał wieniec ze świeżego ostrokrzewu, poprzetykany soplami błyszczącego lodu...

Wyglądało to naprawdę imponująco. Szczególnie kiedy Tom podniósł się uroczyście i ruszył środkiem kaplicy, ciągnąc za sobą żagiel, niczym jakaś olbrzymia panna młoda. Krople wody spływały z sopli lodu na jego gęste czarne włosy.

Nagle pisarz uniósł w górę palec, jakby o czymś zapomniał.

– Ach! – powiedział. – Wszystkiemu, czemu pobłogosławił swoją płonąca pochodnią, przynosił szczęście i obfitość.

Inicjatywę przejął więzień Marley. Zdjął świecę z ołtarza, udając, że jest pochodnią Olbrzyma. Karol, ujęty tym materialnym wcieleniem jednej ze swojej

postaci, poczuł, że opowieść znowu go wciąga.

Duch powiedział Scrooge'owi, że za dotknięciem jego płaszcza będą mogli przenieść się w dowolne miejsce i zobaczyć, jak ludzie obchodzą Boże Narodzenie.

Karol zrobił intrygującą przerwę. Wszyscy spoglądali na siebie z uwagą, napiętą do granic możliwości.

– Dokąd duch zabrał Scrooge'a, panie Dickens? – zawołał John McCarthy, który jak dziecko dał się uwieść opowieści.

Karol, równie zaskoczony co zachwycony, przyglądał mu się przez chwilę: smągła i szczupła twarz, czoło bez zmarszczek i skrzypce na kolanach. Potem spojrzał na Anne, przytulającą Darcy Moore, na olbrzymiego i czarnego Toma w tunice, na więźnia Marleya, na małego Tima bez szans na dobre życie i na Adę. Nagle wpadł na pewien pomysł.

– Cóż – powiedział Karol, wstając i wchodząc na pierwszy stopień ambony. – Prawda jest taka, że mógłby go zabrać w wiele miejsc. Ale ja sam nie umiem podjąć odpowiedniej decyzji. Dlatego... myślę, że powinniśmy zagłosować.

„Zagłosować?“, wykrzyknęło kilka głosów. „Zagłosować!“, powiedziało kilka innych znacznie ciszej. A to nie jest nielegalne? Nagłe zamieszanie przyciągnęło nawet latarnika, który przysiadł się do grupy, onieśmielony. „Ale jak to się robi? Nigdy czegoś takiego nie robiliśmy“, mówili jedni. „Kiedy ja jestem więźniem“, usprawiedliwiał się Marley. „A ja jestem za młody!“, pisał Szczur. „A ja... panie Dickens...“, za plecami Karola odezwał się pokornie Tom, „ja... jestem czarny“.

Anne milczała. Za to jej oczy – niczym dwa niebieskie ostrza – nie odrywały się od oczu Karola. Jakby nie wierzyły w to, co chciał dla niej zrobić.

Dwunastoosobowa grupa głosowała poprzez podniesienie ręki, zamieniając Wyspę Blackwella w pierwsze miejsce na ziemi, gdzie wszyscy mieli prawo głosu.

W ten sposób zwykłą większością głosów zdecydowali, że Scrooge, uczepiony tuniki olbrzyma, przeleci nad łąką, a potem uda się... Dokąd? Przecież nie na morze? Właśnie, że tak, na morze. Scrooge, ku swojemu przerażeniu – Karol mówił dalej, unosząc ramiona – spojrzy w dół i zobaczy znikający ostatni kres ziemi: nagie skały wybrzeża. Ogłuszy go ryk wody. Słyszycie? – zapytał Karol, wpadając w coraz większą euforię i wykorzystując to, że coraz to silniejsze poddmuchy wiatru nacierały na bulaje kaplicy... Rozszalałe morze wyje i ryczy. – Karol mówił głosem, przypominającym burzę. W końcu ją dojrzeli, oddalona od łądu... wzniesiona na skale... całe lata zapamiętałe uderzana bałwanami... stała...

– Latarnia morska!!! – wrzasnął McCarthy, ku zdziwieniu pozostałych. Propozycja została natychmiast przyjęta oklaskami.

– Dotarli do Wyspy Blackwella! – krzyczał mały Tim.

Karol zaniósł się śmiechem. Ach, tak? Ręce do góry ci, którzy chcą, żeby dotarli do Wyspy... Przytłaczająca większość wybuchnęła wesołym aplauzem.



– Tak więc dotarli do samotnej latarni morskiej – potwierdził Karol przed zachwyconą publicznością.

Ale nawet tam, zapewnił, dwaj mężczyźni pilnujący ognia latarni, rzucającego smugę światła na groźną rzekę, podali sobie twarde dłonie i życzyli wesołych świąt.

– Jeden z nich był starszy – ciągnął pisarz, przyglądając się reakcji oniemiałego Johna McCarthy’ego. – Duch pobłogosławił latarnikom pochodnią. A wtedy starszy latarnik, którego poorana zmarszczkami twarz wyglądała jak twarz maskarona z dziobu starego okrętu, zaintonował starą irlandzką pieśń. Śpiewał z całą mocą.

Wtedy latarnik, bez chwili wahania, chwycił porzucone na ambonie skrzypce i zaczął grać. Zagrał tę starą irlandzką kolędę, którą pozostali już wiele razy słyszeli, gdy z oddali przynosił ją wiatr. Pieśń, która towarzyszyła Karolowi w jego nocnych wyprawach do obserwatorium. Kołysankę, która już zawsze będzie przypominać Anne o pisarzu i ich potajemnych schadzkach.

Z akordów melancholijnej melodii pisarz tkął opowieść: Scrooge i duch dużo zobaczyli. Odwiedzili też wielu ludzi, a wszystkie ich wyprawy kończyły się szczęśliwie. Gdzie jeszcze się udadzą? Mały Tim się niecierpliwił. Pisarz, rozkładając ramiona jak do lotu, odpowiedział mu, że odwiedzili sierocińce, szpitale i więzienia. Zapewnił, że duch zbliżał zapaloną pochodnię do łóżek mieszkańców Wyspy Blackwella, by każdemu dać trochę szczęścia: pacjentów rozweselał, więźniom łagodził wyrzuty sumienia, starszych leczył z nostalgii, a dzieciom przywracał nadzieję...

Pisarz był tak pochłonięty opowieścią, że ochłonął dopiero, gdy Olbrzym stanął nad nim. Tom przechadzał się między nimi ciężkim krokiem, nad każdym z namaszczeniem pochylał pochodnię, jakby okadzał ich kadzidłem.

Kiedy dotarł do małego Tima, zatrzymał się.

Olbrzymia postać ducha górowała nad kalekim chłopcem. Metalowy szkielet skrzypiał, gdy chłopiec machał zwisającymi z ławki nogami. Jego wielkie oczy napełniły się łzami. Nigdy wcześniej nie był tak smutny.

– Panie Dickens, a czy Scrooge i duch mogliby zawitać do domu, w którym mieszkałby chłopiec o kulach? – zapytała Anne, błagalnie.

Karol uderzył się dłonią w czoło.

– Oczywiście! Zapomniałem! Przecież tak właśnie było! – powiedział, a chłopiec uśmiechnął się szeroko.

Karol powiedział słuchaczom, że w drodze powrotnej duch i uczepony jego płaszcz Scrooge zatrzymali się w progu jednego z domów, by pobłogosławić mu pochodnią.

– Tu mieszka bardzo dobry, ale bardzo zadłużony człowiek o imieniu... – pisarzowi po raz pierwszy zadrżał głos. Przez chwilę myślał, że nie da rady mówić

dalej. Serce mu zabiło mocniej, bo był o włos od wypowiedzenia nazwiska, dla którego w tej opowieści nie było miejsca. Nazwiska własnego ojca.

Spojrzał w zmartwione oczy Anne. Poczł pełne napięcia oczekiwanie słuchaczy. Serce waliło mu jak szalone. Spojrzał na dłonie. Były spocone tak jak wtedy, gdy zaniemówił podczas swojego pierwszego wykładu.

– Cratchit – wrzasnął Tim Cratchit, oszalały ze szczęścia. – To był dom Boba Cratchita!

W ten sposób Tim przejął opowieść. To wszystko, co od miesięcy trzymał w sobie, ciążyło mu bardziej niż żelastwo, które na sobie nosił. To wszystko, czego nie był zdolny przetrwać. Zaczął opowieść od tego, jak jego rodzina spędzała Boże Narodzenie. Tym sposobem Cratchitowie już na zawsze zostali wciągnięci przez wir literackiej fikcji.

Tim opowiedział im, jak jego matka, ubrana w nicowaną suknię ozdobioną wstążkami, nakrywała do stołu z pomocą Belindy. Tak, Belindy, bo tak miała na imię młodsza z jej córek. Najstarszy syn, Peter Cratchit, wkładał widelec do garnka z ziemniakami, które mocno uderzały o pokrywkę. Tim opowiadał, oblizując się na samo wspomnienie. Dwóch młodszych Cratchitów, chłopiec i dziewczynka, wbiegli, krzycząc, że poczuli zapach gęsi i że ta gęś im się należy. A na dźwięk słów: „Wraca tata!”, wszyscy biegli się schować. Mały Tim powiedział, że zawsze tak robili w święta. Bob Cratchit, jak zawsze, wrócił z niewieloma monetami w kieszeni, ale ciesząc się z tego, że na jego ramionach siedzi najmłodszy z synów – dumnie powiedział mały Tim.

Tamtego dnia – powiedział mały Tim, kładąc dłonie na ławce – ojciec powłóczył nogami bardziej niż zwykle. Nie chciał nic powiedzieć żonie i dzieciom, ale Tim już wiedział, co go trapiło. Nie udało mu się zarobić tyle, żeby kupić leki dla syna i zrobić coś, czego nie spodziewał się nigdy zrobić. Czegoś, czego nigdy w życiu nie zrobił, powtórzył mały Tim, prawie krzycząc. Ukradł je, wykorzystując nieuwagę aptekarza. Syn, siedząc na jego ramionach, wszystko widział, ale udawał, że nic nie zauważył.

Tamtego wieczoru mały Tim, głośniejsz niż kiedykolwiek, uderzał w stół i krzyczał: „Hurra!”. Jego rodzeństwo zawsze tak robiło, kiedy matka zaczynała kroić zbyt małą dla nich gęś.

– Hurra! Hurra! Hurra! – krzyczał desperacko mały Tim przed poruszonymi słuchaczami.

Żeby hałas zagłuszył myśli ojca.

Żeby przepędził wyrzuty sumienia – przynajmniej w Boże Narodzenie. W ostatni dzień, który spędzą wszyscy razem. Zanim do drzwi zastuka policja.

Zebrani w kaplicy wysłuchali zeznania małego świadka. Historii, której dotychczas nikomu nie opowiedział. Słów, które strażnicy chcieli za wszelką cenę z niego wyciągnąć. Powodu, dla którego mieszkał na Wyspie Blackwella.

– To była moja wina – wyznał malec i znowu zaniósł się płaczem.

Anne uklękła przed nim, a jej spódnica ułożyła się na podłodze niczym delikatny kwiat. Objęła małego Tima. „Nie, kochanie”, powiedziała, całując go w policzki, oczy i zimny nosek. „Nie, nie, nie, to nie ty jesteś winien, kochanie...”. Olbrzym położył swoją kojącą dłoń na głowie chłopca i zbliżywszy do niego swoją pochodnię, szepnął z przekonaniem: „Niech Bóg ci błogosławi”. Dopiero wtedy mały Tim podniósł wzrok i uśmiechnął się przez wielkie jak groch łzy.

\*

Kiedy tamtego popołudnia wyszli z kaplicy Świętego Nelsona, zobaczyli nieoczekiwane słońce, a Karol poczuł rozlewające się po jego ciele ciepło. Kaznodzieja – wysłuchawszy opowieści, jakby była najlepszym kazaniem, jakie kiedykolwiek usłyszał – uścisnął mu dłoń z taką energią, że nieomal wyrwał mu ramię.

– Dickens, jest pan dobrym człowiekiem – oznajmił zza gęstej białej brody.  
– Robi pan dla tych ludzi coś bardzo ważnego.

Kaznodzieja puścił jego dłoń i włożył czapkę. W tamtej chwili Karol coś zrozumiał. Jeżeli wszyscy mieszkańcy Wyspy się u niego spowiadali, to kaznodzieja, lepiej niż ktokolwiek inny, zna stan ich sumień i... zapewne wie też, co ich trapi i z wszelkim prawdopodobieństwem wie też, co planuje grupa buntowników.

Nawet Anne, która przecież jest katoliczką, też mu się zwierza.

Zanim się pożegnali, marynarz spojrział w niebo. Wkładając płaszcz, powiedział, że wielkie ciemne chmury znad Atlantyku zwiastują deszcz. Dlatego postanowił, że na czas potrzebny do zakończenia opowieści zostawi klucze do kaplicy, żeby służyła im za schronienie, gdyby sprawy się skomplikowały. Podkreślił ostatnie słowo, marszcząc brwi. Wyjeżdżając, może je przekazać Anne. Zniknął we wnętrzu swojej starej łodzi, podczas gdy wiatr nadal huśtał dzwonem.

Kiedy wyszli, okazało się, że śnieg jest nadal puszysty, co zachęciło dzieci do rozpętania wojny na śnieżki. Co ciekawe i zaskakujące, bitwę zaczął Tim, który w końcu odzyskał chęć do zabawy. Chłopiec trafił w Szczura, a ten rzucił śnieżką w Marleya, ale on był zbyt zdenerwowany, by cokolwiek zauważyć. Stał, z oczami wbitymi w trzecie okno na drugim piętrze zakładu psychiatrycznego, zastanawiając się, jak się czuje Lili. Nawet latarnik i Florita dali się wciągnąć do zabawy śnieżkami. Tymczasem Ada całą sprawę potraktowała bardzo poważnie. Na szczęście udało im się powstrzymać jeden z jej ataków paniki, tłumacząc, że nic jej nie grozi. Anne i Karol gonili się wokół kaplicy. W końcu Anne, zdyszana, podbiegła do niego, rozcierając nos zaczerwienioną od zimna dłonią.

– Popatrz na nich, Karolu – powiedziała, wskazując na śmiejącą się grupkę.  
– Ty wrócisz do Londynu. Do twojej pięknej żony i uroczych dzieci. Oni tu

zostaną, ale dałeś im najpiękniejszy z bożonarodzeniowych prezentów. Rozumiesz? Bawią się i wierzą, że ich życie ma sens. To wszystko dzięki tobie. – Karol strzepnął śnieg z surduta i spojrzał na drugi brzeg. Anne, dotykając jego brody, zmusiła go, by na nią spojrzał. – Ale oni dają ci coś bardziej cennego. Kiedy będziesz odchodził z tego świata, nie będziesz myślał o swoich powieściach. To nie one sprawią, że będziesz czuł, że zrobiłeś coś ważnego. Ale jestem pewna, że pomyślisz o nich i o dziecku, któremu pomożesz przedostać się na drugi brzeg rzeki.

Wyciągnęła dłoń, by pogładzić policzek pisarza, któremu po raz pierwszy brakło słów. Potem podwinęła białą spódnicę i ruszyła za resztą.

Chwilę później zjawili się strażnicy pod wodzą panny Grady, która przynosiła tragiczne wieści odnośnie do przyszłości Anne Radcliffe.

Ale przybyli zbyt późno, by powstrzymać rozbudzoną radość.

Przybyli zbyt późno, żeby zrozumieć, dlaczego Olbrzym paradował z ustrojonymi soplami lodu wieńcem na czole i pochodnią płonąca w blasku słońca.

Wiadomość o nieuniknionym odejściu Anne Radcliffe miała spaść na Wyspę niczym bomba i to dokładnie w chwili, gdy wydarzenia nabierały rozpędu. Pokraczny i szybki krok przełożonej pielęgniarek, która zmierzała przez łąkę w jej kierunku, z prawą dłonią zaciśniętą na krzyżu, mógł być jedynie złą wróżbą. Równie złą, jak to, że Szczur, którego wysłali, żeby sprawdził, jak się czuje Lili, jeszcze nie wrócił.

Tamtego poranka, gdy w śnieżnej scenerii na Wyspie Blackwella po raz pierwszy rozległ się śmiech, Anne Radcliffe miała otrzymać najgorszą z wiadomości.

– Wiem o wszystkim – syknęła panna Grady.

W dłoni trzymała listy. Z oczami utkwionymi w tych dwóch nieszczęsnych kopertach Anne odtwarzała w głowie treść jedynych dwóch listów, których nie zniszczyła.

– Mój Boże, co w nich napisałam, mój Boże – powiedziała głośno, nie mogąc sobie przypomnieć. Jeżeli panna Grady jakiegoś nie powinna znaleźć, to na pewno był to list do Tima. W nim, podszywając się pod matkę chłopca, nakłaniała go, żeby nie zeznawał przeciw ojcu.

Panna Grady spoglądała na Anne tryumfalnie.

– To poważna sprawa, panno Radcliffe. Nie wiem, czy ma pani świadomość, że to... – z ust panny Grady wydobyła się para – fałszerstwo, wyrządzanie szkód w psychice pacjentów, manipulacja świadkiem... Kochana, odpowie pani za to!

Stojący kilka metrów dalej Karol przyglądał się tej scenie z poważną miną, a strażnicy rozdzielali grupę i odprowadzali każdego do odpowiedniego ośrodka.

Coś było nie tak. Zdecydowanie coś było nie tak...

Panna Grady oświadczyła Anne, że obydwie pójdą do dyrektora, kiedy tylko pan Scraugh wróci z Manhattanu. Potem zadowolona z siebie panna Grady odeszła, rzucając Darcy Moore „dzień dobry”, które zabrzmiało jak wyrok śmierci.

Chwilę później Anne szybkim krokiem weszła do kaplicy. Za nią niczym cień szła prostytutka. Kiedy pisarz wszedł za nimi, zobaczył Anne, siedzącą na jednej z ławek, ze wzrokiem wbitym w krzyż.

– Co my teraz pocniemy, Karolu – powiedziała, przełykając ślinę i próbując

powstrzymać łzy.

Powiedziała mu co się stało. Zwolnią ją za dwa dni, po powrocie Scraugha. Kto wie, czy nie trafi do więzienia. Darcy siedziała tuż obok niej i rytmicznie gładziła jej dłoń, aż w końcu Anne cofnęła rękę jak oparzona. Co będzie z nimi wszystkimi, kiedy odejdzie? Spojrzała na Karola z przerażoną miną. Zostaną sami, zdani na łaskę panny Grady i stadka jej ogłupiałych owieczek...?

– Musi być coś, co mogę zrobić – zniecierpliwił się Karol, przechadzając się po ambonie. Nagle z całej siły uderzył pięścią w ołtarz. Anne aż podskoczyła. Karol odwrócił się do niej. – Anne, to się nie może tak skończyć. Nie teraz. Nie tak zakończyłbym tę opowieść... Nie napisałbym czegoś takiego, bo to bez sensu. – Kolejne uderzenie zaciśniętej pięści.

Jednym susem zbiegł ze schodów. Rzucił się na ławkę. Podparł głowę dłońmi. Miał dość pisania tragedii. Potrzebował, żeby ta historia skończyła się dobrze. Anne, poruszona jego desperacją, powoli wstała z ławki. Karol poczuł jej zimną dłoń na swoich włosach.

– Mój biedny... mój kochany. – Głaskała go, jakby był jednym z jej dzieci. – Nie rozumiesz, że ta historia już dawno temu wymknęła ci się spod kontroli? Sam to powiedziałeś, Karolu. Takie jest życie. – Zaśmiała się sama z siebie. – A ja głupia myślałam, że być może ja... że z twoją pomocą będę mogła napisać ją na nowo. Niestety. Jest jak jest. Zapłacę za swoją ignorancję. Wciągnęłam nas w coś, czego nie potrafię dokończyć. Tak mi przykro...

Karol ujął jej dłoń w chwili, gdy pewien głos przypomniał im, że nie są sami.

– Panno Radcliffe – usłyszeli niemal niesłyszalny, drżący szept.

Oboje podążyli za jego echem, by zobaczyć Darcy Moore. Teraz była ledwie cieniem zuchwałej, pulchnej dziewczyny, która podeszła do pisarza tuż po zejściu z łodzi.

Zbliżyła się do nich.

– Wiem o panie Grady coś, czego nie wie nikt.

Wtedy Darcy opowiedziała im coś, czego nikt nie byłby zdolny sobie wyobrazić. Coś, co sprawiło, że przestali bać się panny Grady.

\*

Tego samego popołudnia, na drugim piętrze zakładu psychiatrycznego, panna Lili z ust Ady dowiedziała się, jakie miała szczęście, że nie poszła na mszę. Wroga flota wzięła ich z zaskoczenia! Dałaby wiarę? Na szczęście – tłumaczyła Ada, chowając jeden ze swoich klejnotów do szkatułki – na szczęście nie ponieśli dotkliwych strat. Potem delikatnie zdjęła papierową woalkę i równie delikatnie położyła ją na pryczy.

– Jak dobrze, że przyszłaś mnie odwiedzić, kochana – mówiła z wdzięcznością w oczach. – Przyjaciółki coraz rzadziej mnie odwiedzają. Pewnie

mają za daleko. Kiedy Paul jest w podróży, ten dom jest taki pusty...

Lili słuchała, albo przynajmniej sprawiała takie wrażenie, obejmując brzuch. Jej oczy były jeszcze zapuchnięte od snu. Potargane, rude włosy splotła w warkocz sięgający pasa. Nagle poczuła, że lepiej jej się oddycha. A jakiś nieznany ciężar opadł jej na wzdórek łonowy. Nie знаła medycznych powodów tego zajścia, ale zrozumiała, że już niedługo uwięzione w jej wnętrzu dziecko wyjdzie na wolność. Tak właśnie Lili myślała o swoim dziecku.

Nie chciała zatrzymywać go przy sobie. W głębi duszy Lili pamiętała, że najważniejszym, co można dać innej istocie ludzkiej, jest prawo do stanowienia o sobie samym. Choć ze względu na otaczający ją chaos nie była w pełni sił umysłowych, to pamiętała, że zanim zanurzyła się w odmętach szaleństwa, wybrała osobę, która zajmie się jej dzieckiem.

Jedyną, która jej wierzyła, kiedy jeszcze była przy zdrowych zmysłach: Anne Radcliffe.

Kiedy Szczur wdrapał się po gzysie, zastał dwie rozmawiające kobiety. Jego uwagę zwróciły cienie pod oczami Lili i to, jak chroniła brzuch. Ada podała jej jedną ze swoich wyimaginowanych herbatek, która ewidentnie poprawiła Lili humor. Zajęte sobą nie zwracały uwagi na otoczenie. Wokół nich kołysała się część chorych. Inni, jak zawsze, mówili do pustych ścian, ślinili dłonie lub wpatrywali się w miejsce położone gdzieś daleko, ponad sufitem. W oczach Szczura te dwie kobiety były niczym dwie damy, które spotkały się, aby pogawędzić przy herbatce.

Jakże inaczej wygląda świat tych, którzy są szczęśliwi.

\*

Właśnie tak czuł się John McCarthy, kiedy wrócił do pracy. Szczęśliwy. Poznać to można było po tym, że jego chude, żylaste ciało poruszało się z większą niż zwykle lekkością. Po tym, że podśpiewywał przez całą drogę powrotną do latarni i że idąc, słyszał nie tylko swój głos. Od kiedy głos tej kobiety zabrzmiał po raz pierwszy, słyszał ją za każdym razem, gdy śpiewał. Kiedy Darcy po raz pierwszy zaśpiewała do melodii jego skrzypiec, stary latarnik wzruszył się do głębi serca. Głos Darcy przeniósł go do dzieciństwa. Dlatego kiedy dotarłszy do latarni zbierał i układał w środku puste beczki po paliwie – był pewien, że znów sypnie śnieg – zaczął nucić pierwsze takty piosenki idealnie pasującej do jej głosu. Skomponował ją podczas pierwszej nocy na wachcie. Opowiadała o morzu i irlandzkich marynarzach. Wszedł do latarni, wyjął skrzypce z futerału i podszedł do piecyka, żeby trochę je ogrzać. John McCarthy rozmarzył się, naciągając struny i strojąc instrument. Być może kiedyś emigranci będą udawać się do jego ojczyzny, już bogatej i niepodległej Irlandii. Być może w kraju ludzi dziś pozbawionych domów i ziemi powstanie nowa grupa właścicieli, którzy wybudują miasta tak potężne jak Nowy Jork. Być może w irlandzkich portach na ląd będą schodzić

tysiące ludzi poszukujących nowej i zielonej ojczyzny. Pociągnął za jedną ze strun, która zadźwięczała podwyższonym D. W swojej pustelni latarnik nie wiedział, że w epoce cudów i postępu, oraz dobrobytu rodzącego się w Anglii i Stanach Zjednoczonych, jego otoczona dostatkiem Irlandia umierała z głodu. Nie wiedział, że połowa jej mieszkańców opuszczała brzegi ojczyzny, by już nigdy do niej nie wrócić. Najwyższy czas pokazać, iż dobrze wiecie się narodom wolnym i dobrze rządzonym. Że słudzy są leniwi i nieudolni tylko w oczach ich panów, pomyślał McCarthy, wspominając angielskie jarzmo. Że uprawianie czyjejś ziemi nie daje radości.

Pobiegł na górę, przeskakując strome schody co dwa stopnie. Wyszedł na taras. Niebo mieniło się wszystkimi kolorami tęczy. Wziął głęboki wdech i oparł się łokciami o barierkę. Już mu nie przeszkadzało, że Anglik przyjechał na Wyspę. Nawet oni mieli dosyć czasu, żeby wszystko przemyśleć. Wydawało mu się, że uszanują silną i wolną Irlandię.

Tamtej nocy nic nie mogło pełnego nadziei starca powstrzymać przed napisaniem kolejnej pieśni. McCarthy nie wiedział, że kobieta odpowiedzialna za rozbudzenie w nim tęsknoty za ojczyzną w rzeczywistości nie nazywała się Darcy Moore. Ani tym bardziej, że była krok od wyjawienia jednej z najlepiej skrywanych tajemnic Wyspy Blackwella.

\*

Darcy Moore nie zawsze tak się nazywała. Nazwisko miała po mężu, panu Moore. Niech spoczywa w pokoju! Poprawiła biust, jakby nadal nosiła suknię z dekoltem, którym uwodziła wszystkich marynarzy w Nowym Jorku. Zwilżyła usta i mówiła dalej: stary Moore był jednym z jej klientów, gdy trafiła do Five Points. Jak wiele młodych Irlandek przybyła do Stanów Zjednoczonych, marząc o lepszej przyszłości, ale Nowy Jork nie dał jej szansy. Bardzo szybko nauczyła się, że Five Points, ludzka dżungla na południu Manhattanu, to miejsce, w którym nie spotkała ją nic dobrego.

Początkowo szukała szczęścia, śpiewając w skromnej tawernie na Bowery. Właściciel, Niemiec o posturze beczki z piwem, pozwolił jej występować co noc. W zamian dostała dach nad głową i mogła zatrzymywać napiwki. Na ścianach tawerny, wspomniła z pewną nostalgią, wisiały portrety Jerzego Waszyngtona, królowej Wiktorii i amerykański orzeł. Ponieważ do tawern przychodzili głównie marynarze, na ścianach znajdowały się też obrazy przedstawiające pożegnania z ukochanymi. Nigdy też nie brakowało samotnych klientów, którzy o ukochanych pragnęli zapomnieć. Na początku śpiewała słynną balladę o Zuzannie – zanuciła pod nosem, uśmiechając się do Karola i Anne, jakby występowała na scenie. Potem nauczyła się tej o piracie Johnie Paulu i pod czujnym wzrokiem królowej Wiktorii i Waszyngtona udawała, że nigdy nie śpiewała przed dostojniejszą publicznością.



W końcu, któregoś dnia – ciągnęła Darcy, szarpiąc sukienkę tak, jakby chciała ją z siebie zerwać – właścicielowi tawerny nie dopisało szczęście w kartach. Potrzebne mu były pieniądze. Zażądał, żeby zapłaciła za pokój, w którym mieszkała. Na nic zdało się łzawe błaganie i przypominanie, że nie tak się umawiali. Właściciel tawerny zagroził, że jeżeli nie zapłaci, to zadzwoni po policję. Chociaż, dodał, mogą to załatwić w inny sposób.

Darcy Moore już nie uśmiechała się. Mężczyzna zaprowadził ją w miejsce, którego nie zobaczyliby nawet w najgorszym sennym koszmarze. Ulicą spływało sięgające kostek błoto. Idąc, uciekali przed biegającymi gromadnie chudymi świniami. Skrzypiącymi przy każdym kroku schodami wspięli się do ciemnego pokoju, który mężczyzna oświetlił zapalką. W świetle płomyka – nie mogła w to uwierzyć – zobaczyła coś, co wyglądało jak góra łachmanów. Okazało się, że były to czarne kobiety, które spały stłoczone jedna na drugiej. Mogłabym przysiąc, panie Dickens! Anne, to było straszne! Ich białe zęby szczękały, a błyszczące oczy spoglądały na nich z zaskoczeniem i przerażeniem. Raz po raz kaszłały z powodu dymiącego piecyka. Śmierdziało przypalonymi ubraniami i skórą. Z każdego kąta wyłaniały się sylwetki, ślaniające się jak we śnie.

Nagle spośród tego piekła wyłoniła się ona.

Darcy zawiesiła głos. Przełknęła ślinę. Skuliła się w sobie.

Kobieta, której twarzy nigdy nie zapomni. Miała mocną szczękę i przerażająco długi nos. „Panno Gretel, przyprowadziłem następną, która nie płaci” – przypomniała sobie, co powiedział właściciel tawerny. Przerażająca kobieta sprawdziła, czy nie ma wszy, przyjrzała się jej zębom, podniosła jej spódnicę i włożyła brudny palec w ciało. Nada się – stwierdziła.

Anne pokręciła głową. Karol wziął głęboki wdech.

– Tak zaczęłam się sprzedawać, w tamtej ruderze. Aż w końcu uratował mnie mój Moore. – Darcy zaszlochała i dwa razy się przeżegnała. – U jego boku, w Nowym Orleanie przeżyłam najpiękniejsze dziesięć lat życia. Ale ten egoista niespodziewanie zmarł. Ktoś mnie oskarżył o to, że dałam mu więcej miłości, niż jego biedne, stare serce mogło znieść. – Zaśmiała się kwaśno. – Postanowiłam wrócić na Manhattan i znów zarabiać na życie, śpiewając w tawernach. Od czasu do czasu śpiewałam na osobności. Rozumiecie, co mam na myśli. Ale Bowery nie było już takie jak wcześniej... Kiedy wróciłam do Five Points, budynku burdelu już nie było. Powiedzieli mi, że spłonął z winy mieszkańców i stanu piecyków. Panna Gretel zniknęła, bo policja poszukiwała jej za stręczycielstwo.

Karol i Anne, choć słuchali kobiety z uwagą, wymienili spojrzenia, nic nie rozumiejąc.

– Ależ, Darcy – zirytowała się pielęgniarzka. – Co to ma wspólnego z...?

– Jeszcze się nie zorientowałaś? – Darcy uśmiechnęła się, ukazując niepełne uzębienie. – Ta kobieta, przysięgam na mojego zmarłego męża, to panna Grady.

Anne i Karol spoglądali na siebie oniemiało. Potem pielęgniarka wstała i chwyciła Darcy Moore za ramiona. Czy była pewna? Powtarzała, potrząsając kobietą. Czy była pewna? Kobieta odparła, że nigdy nie zapomniaby tej twarzy. Jak mogła ją zapomnieć? Czy ktoś, kto widział diabła, zapomniaby jego rogi? Tak samo ona nie mogła zapomnieć ohydnej, włochatej brodawki na szyi. Tymczasem w głowie Karola rozsypane elementy układanki zaczęły układać się w obraz. Panna Grady i jej obsesja na punkcie odkupienia win, prostytutek i chęci ich ukarania.

Panna Grady w wolne dni nigdy nie opuszczała Wyspy. Panna Grady schroniła się w miejscu, gdzie nie szukano by zbiega. W więzieniu.

– Wierzę ci – powiedział Karol, a obydwie kobiety zamarły. – Problem w tym, że nikt inny nie uwierzy...

Chyba że... Wtedy przypomniał sobie zabiegającego o wywiad dziennikarza z „New York Timesa”, Friedmana, którego miał zaprosić na Wyspę.

Napisze do niego. Tak, napisze do niego.

Ale najpierw trzeba się rozprawić z panną Grady. Mogą wysłać jej dane, mówił do Anne w uniesieniu, żeby sprawdzić, czy są prawdziwe. Ale trzeba się spieszyć. Do powrotu Scraugha zostały zaledwie dwa dni. Potem Grady pokaże mu listy i zwolni Anne...

Pielęgniarka przerwała jego entuzjastyczny monolog mówiąc, że nie dotrą na czas, i zapłakała. Poczta odbierają co dwa dni, a dziś rano już odebrali.

Cała trójka ponownie pograżyła się w milczeniu. Siedzieli na ławce, wpatrywali się w przestrzeń zrezygnowani. Nagle huknął głos tak gromki, jakby zza ambony przemówił sam Neptun.

– Nie mogę złamać tajemnicy spowiedzi... ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebym dostarczył list.

*Dzień 11*

Powróciła mgła. Ciężkie chmury przepływały z północy na południe Wyspy. Mały Tim wyrzwał przez zakratowane okno celi, w której sypiał.

Tamtego poranka nawet ptaki były zaniepokojone. Wyłaniały się nie wiadomo skąd, pikowały nad Wyspę, by nagle odlecieć i zniknąć w chmurach z furkotem.

Nadeszła chwila prawdy, pomyślał malec, łapiąc za kule, gdy dwóch strażników prowadziło go na przesłuchanie przed nieuchronną rozprawą ojca.

\*

Tamtego ranka na Wyspie Blackwella wszyscy byli niespokojni.

Poprzedniego wieczoru Anne Radcliffe powiedziała każdemu z nich z osobna, że nadchodzi chwila prawdy. Podała im też zdanie-klucz, którego mieli użyć w obecności innych osób: „Zaraz wyjdzie słońce”. To było ich hasło. Metafora oświecenia, która – mając na uwadze poranny wygląd nieba – brzmiała mało optymistycznie. Anne nie odważyła się jednak powiedzieć im, że może wkrótce opuści Wyspę.

Mogła mieć jedynie nadzieję, że historia Darcy Moore okaże się prawdziwa. Oskarżenie panny Grady bez dowodów może tylko pogorszyć sprawę. Zaledwie za dwa dni wróci Scraugh i o wszystkim się dowie. Uciszyć mogą ją jedynie dowody!

Westchnęła z głębi piersi. Nie spała całą noc. Wpatrywała się w dwie niewielkie akwarele zawieszane na ścianie swojego pokoju. Przedstawiały krajobrazy z Wyspy: stary budynek więzienia, przytułek z przeszklonymi galeriami, masywny gmach zakładu psychiatrycznego z ośmiokątną wieżą i, oczywiście, otoczoną mgłą latarnię, która wyglądała jak ogromne cygaro tłące się pośrodku rzeki. W głębi obu obrazków, na plaży, spacerowały małe postaci, zredukowane do delikatnych pociągnięć pędzla.

Będzie za tym piekłem tęsknić, zdała sobie z tego sprawę i zaskoczyła tym samą siebie. Potem przyglądała się, jak światło poranka przywracało meblom kształty. Będzie tęsknić za małym Timem. Za potajemnym pisanem listów z Adą. Za opiekowaniem się Lili i każdą z tych osób, którym próbowała dać trochę ciepła, gdy po zejściu z pomostu ich dotychczasowe życie odchodziło w niebyt. Ale teraz,

teraz będzie też tęsknić za Karolem i jego opowieścią wigilijną w odcinkach. Ponieważ mimo wszystko to były najprawdziwsze ze świąt Bożego Narodzenia, jakie kiedykolwiek przeżyła. Po raz pierwszy ktoś wysilił się, by spełnić jedno z jej marzeń.

Nie wiedziała, kto namalował akwarele. Być może stara pielęgniarzka, która wcześniej mieszkała w tym pokoju. Może zawodziła ją pamięć, a nie chciała zapomnieć, jak wygląda Wyspa Blackwella. Jeden z obrazków przekrzywiał się przy każdym trzaśnięciu drzwi. Zawsze wtedy wydawało jej się, że rzeka rozleje się na jej łóżko. Wstała, poprawiła obrazek i nagle poczuła, że już niedługo ona też stanie się jednym z tych pozbawionych twarzy pociągnięć pędzla, uwięzionych w krajobrazie.

\*

Wyglądając przez wysokie, oszklone galerie przytułku, Florita obserwowała mgłę. Pomyślała, że ona wszystko ułatwi. Potrzebowali, by tego dnia matka natura była po ich stronie.

Nadszedł czas.

Była pewna. Poprzedniego wieczoru podrzuciła jeden z butów panienki Lili. Upadł językiem do góry, a to oznaczało, że poród już niedługo. Florita wyciągnęła chusteczkę z kieszeni. W środku połyskiwały różnych rozmiarów rzeczne otoczaki. Potrząsnęła nimi i otworzyła dłoń. *Ahuacatl!*

Znaki były wszędzie. Musiała się przygotować.

Miesiącami czuwała nad zdrowiem dziecka i matki. Nie pozwoli, by stała im się krzywda. Pilnowała, żeby Lili nie zbliżała się do niektórych roślin – szczególnie figowców i winorośli. Kobiety z jej wioski nie pozwalały nawet, by suszyć na nich ubrania. Przez nie dziecko mogłoby urodzić się chore psychicznie, a w najlepszym wypadku, w dorosłym życiu, wpaść w alkoholizm. Na Wyspie nie było ani jednego z tych drzew, ale dla pewności obeszała ją dwa razy.

Jeszcze raz potrząsnęła kamieniami leżącymi teraz na dłoni. Rzuciła nimi jak kostkami. Kamienie jak szalone potoczyły się korytarzem. Florita dziwnie się uśmiechnęła.

Przez ostatnie miesiące współdziałała z Anne Radcliffe. Teraz, kiedy dziecko przyjdzie na świat, żeby zapewnić mu szczęście w życiu, będą po raz pierwszy musiały obciąć mu paznokietki w kącie za drzwiami. Poza tym, co zdaniem Flority było najważniejsze, musiały zachować jego pępownię. To amulet, który ochroni dziecko. W jej wiosce pępownię zwykle dobrze chowano. Na wszelki wypadek, gdyby jej właścicielowi kiedyś była potrzebna. Być może to przesady, ale Anne Radcliffe nigdy nie odważyła się z nich kpić.

Staruszka zebrała kamienie. Na ramiona zarzuciła sfatygowaną chustkę z niebieskiej wełny. Odetchnęła głęboko zapachami przynoszonymi przez naturę.

*Coccone...* westchnęła głośno i pomyślała o swoich dzieciach. Tuż po narodzinach mówiła do nich *pipiotzin*, bo przypominały jej kurczęta z nastroszonymi piórkami.

Nagle się uśmiechnęła. Jej matczyne serce w jakiś sposób wiedziało, że wszystko będzie dobrze. Tak samo jak wiedziało, że będzie to ostatni raz, kiedy sprowadzi dziecko na świat.

\*

Więzień Marley zaczął dzień w najgorszy z możliwych sposobów. W drodze do pracy w kamieniołomie zauważył, że przy drzwiach obserwatorium nie stoi stos pustych beczek po paliwie, w których mieli przewieźć dziecko. Przeklęty latarnik! Dlaczego akurat tego ranka musiał porzucić rutynę, którą niezmiennie zachowywał przez ostatnie dziewięć lat. Marley nie umiał ukryć rozczarowania. Kiedy nadejdzie czas, trzeba będzie wymyślić inne rozwiązanie.

\*

Nieco bardziej na południe Karol spacerował pod ciężkimi chmurami, próbując rozgrzać dłonie chuchaniem. Musiał odnaleźć kaplicę Świętego Nelsona, bo tam umówił się z grupą, aby opowiedzieć im ostatnią część opowieści. Tam też dowie się czegoś o Lili. We mgle zamajaczył płomień. Pod nim ukazał się Tom stawiający nadzwyczajnie długie kroki. Karol zdziwił się, zauważywszy, że Olbrzym od wczoraj nie ściągnął z głowy korony z ostrokrzewu. Sople zwisały teraz także z jego włosów. Kiedy spostrzegł pisarza, podszedł do niego i pobłogosławił go pochodnią.

– Dokąd mam pana zaprowadzić – zapytał, jakby nie mówił do niego, a do Scrooge’a. Jakby mógł polecieć z nim dokądkolwiek.

– Do kaplicy, Tom. Pójdziemy do kaplicy Świętego Nelsona – odpowiedział. I ruszył za nim.

\*

Darcy Moore spędziła noc w więzieniu. Panna Grady kazała Olbrzymowi, by ją tam zaprowadził, ale on po raz pierwszy nie wykonał polecenia. Przez całą noc siedział na pryczy w swojej szopie z zapaloną pochodnią. Przysiągł sobie, że od tej pory będzie innym przynosił wyłącznie szczęście.

Pomimo to przełożona pielęgniarek złapała kobietę za ramię i osobiście, w środku nocy, odprowadziła ją do więzienia. Kiedy dotarły do stróżówki, spostrzegła przerażoną minę, z jaką przyglądał im się strażnik.

Tamtej nocy nikt nie tknął Darcy Moore. Nie jest czysta – ostrzegali się nawzajem. Irlandka spała spokojnie na pryczy, na której jej właściciel nie odważył się położyć przez wiele kolejnych miesięcy.

\*

Szczur spędził całą noc zwinięty pod łóżkiem Lili. Poprosiła go o to Anne Radcliffe. Dlatego jako pierwszy wiedział, że nad ranem zaczęła się skarżyć na bóle. Potem usłyszał, że śpiewa kołysankę. Od czasu do czasu przerywała śpiew, jakby brakowało jej tchu albo jakby zapomniała kolejnej zwrotki. Po chwili śpiewała dalej. Szczur zamknął oczy i chciał myśleć, że śpiewa dla niego. Potem wyobraził sobie bezpieczną przyszłość tego dziecka. Poczł zazdrość, dumę i narastający bunt. Wszystko naraz. Chciał sobie wyobrazić, że to on jest dzieckiem uratowanym przez nich z Wyspy. Że zaczyna życie z kochającymi go rodzicami. Nagle dostrzegł swoją bladą, wymizerowaną twarz w szybie. Nikt nigdy nie spojrział na niego bez odrazy. Jedynie czarująca Lili zaśpiewała mu kołysankę do snu.

Kiedy się obudził, przez okno wpadało już światło. Zapewne zdrzemnął się. Zmartwił się, bo teraz będzie mu trudniej zejść po gzymsie tak, żeby nikt go nie zauważył. Widział, jak materac wygina się pod naporem ciała kobiety. Ale coś go zaniepokoiło: z łóżka ściekał jakiś płyn, tworząc kałużę na podłodze. To znak, o którym mówiła mu Anne. Wyczołgał się spod łóżka. Lili leżała na plecach. Na jej twarzy malował się nieopisywalny ból. Obiema dłońmi trzymała brzuch.

Nadszedł czas. Pobiegł ile sił w nogach, aby przekazać wiadomość reszcie.

\*

– Nie martw się, Lili, oprzyj się na mnie – powiedziała Anne, kiedy przybiegła ponaglona przez Szczura.

Pośpiesznie wytarła podłogę szmatą. Lili opierała się o ścianę, skurcze były coraz silniejsze. Podtrzymując ją możliwie najdelikatniej, ruszyła w stronę ambulatorium na parterze – strefy przeznaczonej na kwarantannę. Już na dole nasmarowała jej ramię i policzki maścią przygotowaną przez Floritę. Policzki Lili natychmiast zapłonęły alarmującą czerwienią. Anne patrzyła na nią przestraszona. Kiedy zrobiły się purpurowe, przestraszyła się, że być może Florita trochę przesadziła. Na szczęście to tylko barwnik, odetchnęła z ulgą. Zaraz potem poszła zawiadomić ordynatora, że pacjentka najprawdopodobniej zapadła na chorobę zakaźną.

Kilka minut później doktor Angelopoulos oraz panna Grady, stojąc w drzwiach, wysłuchali o symptomach choroby i z przerażeniem obserwowali dziewczynę.

– Naprawdę bardzo się poci – zauważył lekarz, zapadając się w sobie. – Nawet stąd widać egzemę, a skoro pani ją zbadała i twierdzi, że wystąpiła na całym ciele...

– W takim wypadku uważam, że panna Radcliffe powinna zająć się chorą – stwierdziła panna Grady, zgrzytając zębami z zadowolenia. – Inaczej to może się

rozprzestrzenić na cały zakład. Niech z nią zostanie. Za kilka dni zobaczymy, jak się sprawy mają.

Lili, przykryta kilkoma kocami, uśmiechnęła się do nich, mokra od potu. Jej zielone oczy znowu patrzyły gdzieś daleko, poza ściany. Stało się – pomyślała Anne, próbując opanować nerwy i pragnąc, by panna Grady i lekarz czym prędzej wrócili do swoich zajęć. Tom powinien już czekać przed drzwiami.

\*

Nigdy nie zapomni tego widoku. Była pora spaceru. Mgła jeszcze nie odeszła. Szczur biegał po Wyspie i informował każdego po kolei, jak opętany krzycząc: „Zaraz wyjdzie słońce!”. Wszystkich wprowadził tym w osłupienie. Szczególnie pannę Grady, która usłyszawszy, jak wrzeszczy pod oknem Anne Radcliffe i zerkając na otaczające ich kłębowisko chmur, pomyślała, że wyrostek nadawał się, by przenieść go z zakładu poprawczego do psychiatrycznego. Szczur dobrze się spisał – wszyscy zainteresowani spotkali się przy wejściu do obserwatorium. McCarthy wychylił się z latarni, zastanawiając się, o co chodziło tym wszystkim zebrany w mgłę ludziom.

Na ich twarzach malowały się niepokój i nadzieja. Wydawali się rodziną, która zebrała się, by powitać nowego członka.

Wtedy zjawił się Tom, niosąc w ramionach Lili.

Tuż przed nimi szła oświetlająca drogę pochodnią Anne i Ada z ręcznikami. Wykorzystali moment, w którym budynek pustoszał, by przenieść Lili.

– Tepeu pobłogosławił nam niskimi chmurami – powiedziała Florita.

Położyła wysuszoną dłoń na brzuchu Lili, odwróciła się do reszty i powiedziała uroczyście: *Ihaz!*

\*

Minęły prawie cztery godziny. Mężczyźni spacerowali jak w letargu. Kobiety, zamknięte w obserwatorium, pomagały rodzącej. Nie dobiegł ich ani jeden krzyk. Cisza była tak gęsta, że ledwie mogli oddychać. Gdyby nie tak dziwne okoliczności, gdyby ta rodzina nie składała się z więźniów, sierot, szaleńców i biedaków, gdyby odgłosy mew nie zagłuszały krzyków Lili, Karol opisałby tę scenę jako zwyczajny poród.

Oparci o fasadę, żując tytoń, rysujący kulą na piasku czy też liczący ogniwa kajdan, czekali na cud.

Kiedy w końcu otworzyły się drzwi obserwatorium, Tom, Szczur, mały Tim i Karol rzucili się do budynku biegiem. W drzwiach stała Anne. Wycierała dłonie ręcznikiem. Miała zmęczoną twarz i niewielki kosmyk włosów przyklejony do spoconego czoła. Kiedy spróbowała coś powiedzieć, wybuchnęła płaczem.

Wszyscy zamarli, zaniepokojeni, nie wiedząc, co to oznacza.

– Anne! Na Boga! Powiedz coś! – wrzasnął Karol, nie potrafiąc się dłużej powstrzymać.

Anne wzięła głęboki wdech, przełknęła ślinę i w końcu wydusiła z siebie:

– Mamy śliczną dziewczynkę.

\*

Scena przypominała jakąś niezwykłą szopkę. Lili leżała na fotelu, tuż obok kominka. Otoczona książkami, globusami i mapami wyglądała jak muza nauki. Obok niej stała Anne i ocierała jej pot z czoła.

Florita kursowała bez ustanku, przynosząc i odnosząc wiadra wody. Powiedziała, że mała jest tak śliczna, że musi ochronić ją przed złym spojrzeniem. Darcy Moore chciała się dowiedzieć, jak można się przed nim obronić. Przed złym spojrzeniem? – Florita odparła, że trzeba zrobić to, co zawsze. Wystarczy zawiązać na nadgarstkach, ale niezbyt ciasno, czerwone wstążki. Na razie poradzą sobie, zakładając jej ubranka na lewą stronę. To też dobry sposób.

Karol poszukał spojrzenia Anne, która usiadłszy na oparciu fotela, spoglądała na ramiona Lili, na kołysaną w nich różową drobinę. Kiedy stanął naprzeciw niej, Anne odgarnęła świeżo upieczonej matce długie, rude pasma, za którymi, niczym za kurtyną w teatrze, schowane było dziecko. Karol poczuł przeszywający go dreszcz.

Pisarz przysunął poplamiony atramentem palec do koca. Dziecko pochwyciło go z niespodziewaną siłą.

Przez chwilę nie byli zdolni robić nic innego niż gratulować sobie nawzajem, bo maleństwo należało po trosze do nich wszystkich. Florita kołysała dziecko, szepcząc *coneatzintli... coneatzintli*, coś, co w jej języku oznaczało „maleństwo”.

W końcu przyszedł Marley. Powiedział, że udało mu się ulotnić podczas jednego z odpoczynków i... Zamilkł. Krok za krokiem zbliżał się do Lili, która wydała mu się piękniejsza i delikatniejsza niż kiedykolwiek. Jak orchidea, tak, jak orchidea, którą musiał się opiekować. Choć nic nie wiedział o kwiatach. W osłupieniu wyciągnął ramiona. A Lili bez chwili wahania podała mu dziecko.

I wtedy Marley zapłakał.

Zapłakał, czując ciepły ciężar zawiniątka.

Przez jakiś czas czuwali nad snem Lili. Więzień Marley nie czuł ciężaru kajdan, mały Tim zapomniał o kulach, Florita o bolących kościach, a Ada o wojnach. Późnym rankiem Lili otworzyła oczy, uniosła się nieco i wbiła wzrok w okno, głaszcząc miękką łusą główkę.

– Widzieliście ją? – Wydawało się, że jej oniemiałe z zachwyty oczy wyglądają poza szybę, za którą tylko ona dostrzegą białą lunę. – Ona... była piękna. Podeszła do okna i spojrzała na moje dziecko. Wielka Pani z rzeki... Powiedziałam jej, że jeszcze nie może jej zabrać. Że jeszcze nie nadszedł czas.



Lili widziała, jak Wielka Pani odchodzi, krocząc po wodze i ciągnąc za sobą tunikę utkaną z mgły... W końcu zniknęła za Manhattanem, w miejscu, w którym rozmywa się granica między morzem a niebem.

*Wyspa Blackwella, 1867 r.*

Oszołomieni wspomnieniami we troje zbliżyli się do okna obserwatorium. Później poszli do latarni, gdzie rozwiewały się resztki mgły. Rzeka lizała rąbek spódnicy Margaret, a ona z zatroskaną miną odwróciła się do Dickensa, który trzymał za rękę małą Nellie.

– Czyli to tu, w obserwatorium, Lili urodziła córkę – potwierdziła Margaret, zafascynowana.

Karol przytaknął. Być może było to jedyne otoczone radością dziecko, które przyszło na świat na tej Wyspie – powiedział i pogłaskał szorstkie kosmyki Nellie, która nadal wypatrywała białej damy na rzece. Karol nie mógł się powstrzymać – wyobraził sobie córkę Lili w wieku Nellie. Zastanawiał się, czy odziedziczyła rude włosy matki i jej urzekający głos.

W tym samym czasie, na zimnej austro-węgierskiej ziemi, augustianin, który nauczył się od ojca szczepić drzewka owocowe, zadawał sobie niezwykle pytania. Próbował na nie odpowiedzieć przed kolegami z Towarzystwa Historii Naturalnej w Brnie na podstawie obserwacji czterech ziaren grochu. Gregor Mendel już w tej chwili mógłby dać Dickensowi kilka wskazówek, ale społeczność naukowa dopiero trzydzieści lat później zda sobie sprawę z tego, że ten przyrodnik wytyczył nową linię w historii nauki. Linię, której doniosłość można było porównać jedynie do znaczenia, jakie dla rozwoju fizyki miały prawa Newtona.

\*

Z dala od naukowych spraw, na Wyspie Blackwella, Karol Dickens, Margaret i Nellie wracali do zakładu psychiatrycznego. Po drodze Margaret opowiedziała mu, że nigdy nie widziała kaplicy Świętego Nelsona, chociaż słyszała o legendzie z nią związanej. Ponoć któregoś lata porwał ją huragan, pozostawiając tylko kilka walających się po plaży desek. Wydarzyło się to w niedzielę, niedługo po tym, gdy kaznodzieja zmarł ze starości. Tamtej nocy w swoim domu na Brooklynie – gdzie w otoczeniu kompasów i lunet postanowił dożyć swych dni – położył się spać nieco wcześniej niż zwykle i już się nie obudził. Kiedy huragan porwał kaplicę, wszyscy na Wyspie mówili, że marynarz wrócił po swój statek i wyruszył na morze. Pielęgniarki mówiły też, że zdaniem psychicznie chorych,

w wietrzne niedziele, w okolicach plaży, słycać radosne dzwonienie.

Margaret, krocząc po plaży z naturalną elegancją, wspomniała, że poznała Olbrzyma Toma. Coraz to starszy, przemierzał Wyspę z zapaloną pochodnią. Błogosławił każdemu, kogo spotkał na drodze. Oczywiście nie wiedziała, skąd u niego ten dziwaczny zwyczaj. Ukryła go, gdy na Wyspie wybuchły zamieszki. Przez trzy dni Nowy Jork był pogrążony w chaosie. Lincoln zdecydował, że powoła mężczyzn między osiemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia i wcieli ich do wojska Unii. Iskra wybuchła, gdy rozniosła się wiadomość, że każdy, kto zapłaci trzysta dolarów, nie będzie musiał iść na front, ponieważ na jego miejsce wyślą kogoś innego. To było takie niesprawiedliwe... Tamta plotka sprawiła, że podział na biednych i bogatych stał się w Nowym Jorku głębszy niż kiedykolwiek. Irlandczycy i czarni patrzyli, jak ich synowie i mężowie stają się jedynymi, którzy zasilają szeregi wojsk Unii. Tak nie mogło być. Iskra rozpałała ogień.

Margaret ściszyła głos, żeby nie słyszała jej biegnąca przed nimi Nellie. Mówiła dalej, wspominając tamte dni. Hordy wściekłych imigrantów zaatakowały domy bogaczy w północnym Manhattanie. Najgorsze było to, że wybuchła też nienawiść w stosunku do Murzynów, których obwiniano za wojnę.

– Linczowali ich na ulicy – wspomniała Margaret, kładąc dłoń na piersi. – Którejś nocy przyplłynęła na Wyspę łódź. Chcieli zabrać stąd wszystkich czarnych. Tak przynajmniej oznajmił dowódca grupy uzbrojonych mężczyzn. Przez tydzień ukrywaliśmy Toma w latarni. To było jedyne miejsce, którego nie przeszukali. Nie pozwolił na to pan McCarthy, twierdząc, że to irlandzka ziemia. W dodatku nie odmówił sobie przyjemności, by z tarasu oddać dwa bardzo przekonujące strzały, gdy tymczasem po drugiej stronie jego żona chlusnęła zawartością nocnika – parsknęła śmiechem.

– Deklaracja jak się patrzy – zażartował Dickens. – Stary McCarthy... jakbym go widział. Ale... co pani powiedziała... żonaty?

Margaret ciągnęła, nie zwracając uwagi na jego słowa:

– Po zakończeniu wojny nowy rząd przeprowadził inspekcję na Wyspie. Uznano, że Tom był traktowany jak niewolnik. Ukarano ówczesnego dyrektora – nie był nim już Scraugh – a Toma zmuszano do opuszczenia Wyspy. Problem w tym, że Tom wcale nie chciał odejść. A raczej nie miał dokąd. – Margaret uśmiechnęła się czule.

Olbrzym przez jakiś czas mieszkał w Five Points. To był czas, w którym uwolnieni czarni byli zagrożeniem – tanią siłą roboczą, która konkurowała z białymi. Barnum próbował go zatrudnić za minimalne wynagrodzenie. Kiedy spłonęło muzeum na Manhattanie, założył wielki obwoźny cyrk, na którym zarabiał krocie.

Barnum... – przypomniał sobie pisarz, zatrzymując się, by złapać oddech.

Powietrze było tak zimne, że bolały go płuca. Biedny Tom – pomyślał. Pod koniec życia musiał stawić czoło wszystkim swym demonom. Anne opowiadała mu, jaką paniką reagował na nazwisko dyrektora cyrku.

– Co się z nim stało? – zapytał Dickens.

– Ponoć był tragarzem w porcie i straszył chłopców, którzy rzucali w niego łupinami kasztanów. – Nauczycielka pokiwała głową. – Wie pan, jacy są chłopcy.

Jeżeli chodzi o resztę członków grupy, którą nazywał „ruchem oporu”, miała wiadomości tylko od niektórych. Margaret ze smutkiem przyznała, że trudno by było ustalić miejsce pobytu każdego z nich. Można by zajrzeć do ich kartotek, ale te spalono podczas wojny, aby – na wypadek wygranej Lincolna – uniknąć problemów.

Wszystko, co stało się na Wyspie Blackwella musiało tam zostać. Inaczej trzeba by zbyt wiele tłumaczyć.

– Za to swoich dni dożyła tu panna Grady – powiedziała Margaret gorzko. – To pewnie oznacza, zgodnie z tym, co mi pan powiedział, że nie udało się znaleźć dowodów na wszystkie potworności, których się dopuściła.

Dickens pogładził brodę i uniósł brew.

– No cóż, kochana – powiedział, podając jej ramię. – Po wojnie świat nie jest już czarno-biały. Teraz dostrzegamy szeroki wachlarz szarości, nie sądzi pani?

Nellie pociągnęła go za rękę.

– Pani z rzeki! – krzyknęła i odbiegła, podskakując niczym koziołek.

– Nie oddalaj się za bardzo! – ostrzegła ją zaskoczona Margaret. Potem odwróciła się, żeby Dickens nie zauważył, że już dłużej nie mogła powstrzymać łez.

Pisarz ich nie dostrzegł, ponieważ przyglądał się Nellie biegnącej w poszukiwaniu zjawy. Patrząc, jak maleje w oczach, przypomniał sobie rozmowę przeprowadzoną kilka dni wcześniej z pewnym rozważnym Francuzem na statku, którym przyплыnęli do Nowego Jorku. W zasadzie był to raczej monolog Dickensa, którego Auguste wysłuchał. Wydawał się dziwnym człowiekiem, który potrafi spędzać w milczeniu całe godziny. Szczupły brunet z gęstą, czarną brodą i cerą białą jak śnieg.

Karola zawsze intrygowali ludzie, którzy potrafili patrzeć bez mrugania. Tak właśnie robił Auguste. Ale dlaczego akurat teraz sobie o nim przypomniał. Skojarzenia umysłowe od zawsze były dla pisarza tajemnicą. Uprzytomnił sobie, że powodem, dla którego przywołał wspomnienie, było dokładnie to, o czym nie rozmawiali.

\*

Pozornie mdły Auguste krył jednak fascynującą historię. Jedyne, co po miesiącu podróży udało się z niego z wielkim trudem wyciągnąć, sprawiło, że

w oczach Dickensa stał się intrygującą postacią. Auguste był rzeźbiarzem i podróżował do Nowego Jorku, ponieważ jego przyjaciel, francuski prawnik i polityk, Edward Laboulaye, wpadł na fantastyczny pomysł, by Francja ofiarowała Stanom Zjednoczonym prezent upamiętniający stulecie niepodległości. Zlecono wykonanie statui, która miała być gotowa na tę okazję. Laboulaye pomyślał, że to sprawi radość narodowi, który nadal cierpiał i wciąż odbudowywał się po drugiej wielkiej wojnie w swojej Historii.

Problem w tym, że Auguste Bartholi nie miał pomysłu.

Powiedziano mu, że to ma być coś wielkiego, porównywalnego jedynie z Kolosem Rodyjskim. Dlatego postanowiono wysłać go za ocean w poszukiwaniu inspiracji. Któż mógł wiedzieć, że Francuz nie będzie nawet musiał zejść ze statku, by ją znaleźć. Los chciał, że podróżował ze słynnym Karolem Dickensem, który wybierał się na cykl spotkań literackich w Stanach Zjednoczonych. Pisarz znany był z tego, że świetnie opowiada. Dlatego gdziekolwiek się zjawiał, zawsze otaczał go wianuszek oczarowanych słuchaczy.

Właśnie na pokładzie, kiedy już niemal dopływali do Ameryki, Francuz usłyszał, jak Dickens opowiada pewną historię tak wiarygodnie, że każdy mógłby uznać ją za prawdziwą. Niedaleko Manhattanu, na wyspie zamieszkiwanej przez więźniów, sieroty, biedaków i szaleńców, poznał kobietę, która w mgliste dni widywała białą damę spacerującą po rzece. Z czasem dostrzegało ją coraz więcej osób. A zjawa nie napędzała ich strachem, tylko budziła w nich nadzieję.

Francuz już nigdy nie mógł pozbyć się tego obrazu z głowy. Podobnie jak Nellie, która była przekonana, że pewnego dnia pozna tę wielką panią, nadchodzącą znad morza. Ale nawet mimo dziecięcej fantazji nie potrafiła sobie wyobrazić, że wielka dama przybędzie w dwustu czternastu kontenerach, na pokładzie okrętu francuskiej marynarki.

Czy Francuzowi uda się wznieść ogromną statwę? – zastanawiał się Dickens, przyglądając się zmęczonym wzrokiem niewielkiej sylwetce Nellie, która powiększała się z każdą chwilą. Kiedy podeszła do niego, zatrzymała się i postanowiła odtworzyć na piasku kilka słów, których nauczyła się tamtego popołudnia. Nie chciała ich zapomnieć. Chwyliła patyk i dużymi literami narysowała „W”, a potem „O”... przez chwilę zastanawiała się, czy kolejną literą powinno być „L” czy „Ł”.

*Wyspa Blackwella, 1842 r.*  
*Dzień 12*

– Wolność jest jak miłość. Nie da się jej zdobyć na zawsze – powiedziała Anne Radcliffe, wkładając mały, zardzewiały klucz w drzwi kaplicy.

Karol wszedł za nią do środka. Przez bulaje wpadała zielona poświata i rzucała na ścianę cień drewnianego Chrystusa, który kołysał się na jednej z sieci. Karol usiadł na ławce, która kiedyś musiała stać na pokładzie. Przez chwilę wydawało mu się, że traci równowagę, że pomieszczenie kołysze się.

Dla członków „ruchu oporu” z Wyspy Blackwella tych ostatnich kilka dni było najszczęśliwszymi w życiu. Od kiedy po raz pierwszy zobaczyli twarzyczkę dziecka Lili, od kiedy ta mała doskonałość objawiła się na Wyspie, uwierzyli w cuda. Niczym piękny widok sprawiający, że marynarze nie zauważają wdzierającej się do statku wody, dziecko sprawiło, że więzień Marley zapomniał, że nie mieli jak go przetransportować. Pielęgniarka zapomniała, że może za kilka dni będzie musiała opuścić Wyspę, a Karol, że jeszcze nie otrzymał wieści ani od dziennikarza, ani od Kate – jego ostatnich dwóch szans, by powiódł się plan, w którym zdecydował się wziąć udział.

Wszyscy członkowie grupy, na zmianę, przychodzili do obserwatorium podczas codziennej przerwy spacerowej, żeby dotrzymać Lili towarzystwa. Tymczasem ona nie widziała świata poza swoją córeczką. Jakby przez te jedyne dwa wspólnie spędzone dni chciała jej przekazać wszystko to, co uczyni ją silną w przyszłości, którą przeżyje bez niej. Językiem miłości przekazywała nowo narodzonej istocie swoją wizję świata.

Wydawało się, że zapomnieli też o dwóch szepczących osobach, które przygotowywały kaplicę na ostatni odcinek opowieści. O osobach, które już nigdy miały się nie zobaczyć.

Tego ranka Anne promieniała. Zebrała włosy w długi warkocz, z którym wyglądała znacznie młodziej. Jej głos był bardziej melodyjny niż zwykle. Włożyła obcisłą bluzkę w niewielką brązową kratkę. Spod pielęgniarskiego fartucha wystawały szerokie mankiety.

Karol przyglądał jej się z uwagą. Stała przed nim Anne Radcliffe – niezłomna Ann z Wyspy. Nie była już ani sztywna, ani porywcza. Doceniał każdą

z jej niezauważalnych zmian. Teraz niemal zawsze czesała się tak, by nie ukrywać długości włosów. Policzki były zaróżowione – może naturalnie, a może delikatnie pomalowane. No i tego dnia włożyła bardziej dopasowaną i twarzową bluzkę.

Zaskoczonemu Karolowi wyjaśniła, że w zakładzie unikano rozmów o Lili. W dalszym ciągu wszyscy byli przekonani, że śpi w pomieszczeniach przeznaczonych na kwarantannę. Nikt nie miał też ochoty zbliżyć się do Anne, z obawy przed zarażeniem.

– Od ciebie zarazić można się jedynie odwagą – powiedział, próbując rozprostować na podłodze żagiel, który leżał zwinięty w kącie. – Ale muszę ci powiedzieć, że nie zgadzam się z tym, co powiedziałaś. Obawiam się, że jestem znacznie bardziej romantyczny. Wierzę, że wolność i miłość są absolutne.

Odwróciła się, zdziwiona.

– Absolutne?

– Może to zająć wieki, ale da się je zdobyć na zawsze...

– Karolu, bajkopisarz z ciebie.

Pisarz uniósł brwi z wyraźnym zdziwieniem.

– Trochę cię znam i nigdy nie powiedziałbym, że jesteś pesymistką.

– Bo nią nie jestem – zapewniła, kładąc ręce na biodrach. – Właśnie dlatego walczę. Walczę, bo wierzę, że wolność można zdobyć. Chodzi mi o to, że nawet jeżeli ja dożyję czasów, w których na tej Wyspie będzie się szanować ludzką godność, to zawsze trzeba będzie pilnować, by przebywający tu ludzie ponownie nie stracili praw. Pamiętaj, że poznałam staruszki, które mogły głosować w Jersey...

Mocniej związała biały fartuch, podkreślając wąską talię. Zapytała, czy pomyślał, co będzie, kiedy któregoś dnia zostanie zniesione niewolnictwo. Być może kiedyś skończy się wyzysk czarnych i, kto wie, może Tom będzie kiedyś wolnym człowiekiem. Ale wyzysk przejmą w spadku biedniejsze kraje. Czy nie tak stało się w Anglii?

– Kiedy wy wkroczyliście w liberalizm, my zaraziliśmy się wirusem niewolnictwa – kontynuowała, ściągając świecę z ołtarza. – Bogate kraje mogą sobie pozwolić na liberalizm. Chociaż wy, liberałowie, wcale nie jesteście bardziej miłośnikami w swoich karach. Jesteście tylko bardziej higieniczni. – Podkreślała każde zdanie ruchem palca wskazującego. – W miejscach odosobnienia, gdzie nie docierają reformy, gdzie mgła i morze przesłaniają widok, prawa człowieka nadal będą zagrożone.

Karol słuchał skupiony, jak zawsze, gdy pielęgniarzka wygłaszała jeden ze swoich manifestów.

Anne się uśmiechnęła.

– Czy coś nie tak? – powiedziała nagle, z niewinną miną.

Pisarz pokręcił głową.

– No dalej, powiedz, o czym myślisz – nalegała.

– W tej chwili najbardziej żałuję, że nie mogę cię stąd wywieźć w kufrze podróżnym – powiedział i zamilkł. – Że nie mogę cię zabrać do Anglii i postawić na mównicy w Parlamencie.

Anne zaśmiała się kokieteryjnie i poczuła, że płoną jej uszy. Nic nie schlebiało jej tak bardzo, jak komplementy, które Karol prawił jej inteligencji. Był pierwszym mężczyzną, który jej słuchał. To sprawiało, że czuła się niezwykłą osobą. Nie dlatego że był to wielki Karol Dickens, o czym coraz częściej zapominała, ale dlatego że wyciągał z niej to, co było najlepsze. Ożywiał jej wyobraźnię.

Rozmowa z nim była uskrzydlająca.

Owocowała tysiącem pomysłów, na które by nie wpadła, rozmawiając sama ze sobą. Nie miała wątpliwości, że jest niezwykłym mężczyzną.

– A co powiesz o miłości? – zapytał Karol, ostrożnie podchodząc do niej od tyłu.

Anne czuła jego kroki. Z każdym z nich jej serce biło coraz szybciej.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała, nie odwracając się i próbując zyskać na czasie.

– Czy wierzysz, że jej też nie można zdobyć na zawsze – wyjaśnił, zatrzymując się kilka kroków od niej.

– Jest delikatniejsza nawet od wolności. – Przełknęła ślinę. – Jest jak nowo narodzone dziecko, które nie może się samo obronić. Ma małe szanse przeżyć w świecie targanym wojną i głodem.

– Ale nie jest to niemożliwe, jeżeli będziesz bronić jej ze wszystkich sił. Jeżeli dasz jej szansę nawet wtedy, gdy wydaje się, że nie ma żadnych szans. – Karol czuł, że wpadł w pułapkę własnych metafor. – To twoje słowa, Anne, miłość jest jak wolność.

Wziął głęboki wdech. Ten jeden jedyne raz chciał być całkowicie szczery. Po delikatnych ruchach jej ramion poznał, że oddychała coraz szybciej. Nagle Anne odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz.

Karol, po raz pierwszy odkąd się poznali, zobaczył, że się boi.

– Miłość jest zaprzeczeniem wolności, Karolu – powiedziała.

– A ja myślę, Anne... że jest tym samym – odparł i zbliżył się o krok, co najwyraźniej ją przestraszyło.

– Zależy od punktu widzenia, nie sądzisz? – broniła się Anne, jak nigdy dotąd walcząc z własnymi instynktami. – Nie tak samo patrzy się na rzekę z tego brzegu jak z Manhattanu. Ja patrzę na nią z tego brzegu. Dla kobiety miłość oznacza, że ktoś jej kiedyś powie: chcę, żebyś była moja.

Karol, stojąc tak blisko niej, poczuł, że otwiera się między nimi głęboka przepaść. Nie mógł jej zamknąć, choć właśnie to dyktował mu rozum. Pragnął



Anne. Chciał ją chronić, zabrać ze sobą na drugi koniec świata.

– Nie wydaje ci się, że mylisz miłość z pożądaniem? – zapytał, by doprowadzić rozmowę do końca.

– Nie wydaje ci się, że to ty je mylisz? – odparła, patrząc mu w oczy.

Na ich szczęście, czy też na nieszczęście, ktoś wrzasnął: „Są w środku!”, więc odłożyli rozmowę na później.

\*

Kiedy wszyscy dotarli na miejsce, Karol zamknął drzwi kaplicy Świętego Nelsona. Uprzytomnił sobie, że to będzie ostatni odcinek opowieści wigilijnej. Ale gdy spojrzął na twarze swoich nielicznych słuchaczy, gdy dostrzegł, jak się zmieniły, postanowił jeszcze o tym nie myśleć.

W pierwszym rzędzie, machając nogami w powietrzu, siedzieli mały Tim i Szczur. Karola zaskoczyło zachowanie tego ostatniego, kiedy wczorajszego popołudnia wszyscy stali wokół Lili. Gdy mały Tim, idąc ucałować główkę nowo narodzonej, upuścił kulę, Szczur, który normalnie roześmiałby się, podał mu ją. Już od jakiegoś czasu przychodzili razem, a Tim opowiedział mu nawet o „wyblakłych tygrysach”. Za to nikt jeszcze nie wiedział, że poranne bohaterstwo było spowodowane tym, co przeżył podczas przesłuchania przed rozprawą ojca. Tylko Marley wiedział, że w oczach więźniów mały Tim był bohaterem. Poprzedniego ranka zaprowadzono go do zimnej więziennej sali, gdzie dwóch strażników próbowało go przekonać, żeby powiedział prawdę. Mówili, że tak będzie lepiej dla jego rodziny. Mały zaniósł się przekonującym płaczem i przyznał, że to on sam, we własnej osobie, ukradł lekarstwa. Strażnicy spojrzeli na przyznającego się do winy małego kalekę i zrozumieli, że żaden sąd go nie ukarze. Albo mały był bardzo sprytny, albo faktycznie sam ukradł leki, co wzruszyłoby każdego. Tim przyglądał im się wielkimi, pełnymi łez oczami i uśmiechał się w duszy. Zrozumiał, że niesprawiedliwość nie zawsze pokonuje się prawdą.

Za to Ada na dobre zaadoptowała Darcy Moore. Oczywiście nadal uważała ją za bezczelną, pyską i ordynarną, ale przy odrobinie cierpliwości każdego można oszlifować. Od dawna szukała damy do towarzystwa i po rozmowach z wieloma kandydatkami uznała, że ta była najbardziej odpowiednia. Poza tym była bardzo dowcipna i rozśmieszała ją swoimi teoriami o przyszłości świata. Jej zdaniem Stany Zjednoczone będą niepodległe. Cóż za zabawna niedorzeczność! Latarnie gazowe wyprą lampy olejowe. Jakby mogły zastąpić starą dobrą świecę... wtrącała Ada, co wywoływało uśmiech na twarzy Darcy Moore. W zamian za towarzystwo i ramię podawane w trakcie spacerów Darcy mogła słuchać opowieści o europejskich dworach, książętach i księżniczkach, które Ada kiedyś znała. Poza tym, krok po kroku, Ada uczyła ją czytać, używając do tego starej gazety, której nigdy nie wypuszczała z rąk i w której dla niej zatrzymał się czas. W tamtym dniu.

W dniu wydania gazety. W dniu, w którym straciła męża.

Anne zdziwiła się, widząc, że do kaplicy wchodzi John McCarthy ze skrzypcami w dłoni. „Proszę mi wybaczyć, panno Radcliffe, ale pomyślałem, że przyda wam się muzyka do oprawy opowieści”, wydukał, ściągnając czapkę i tłumacząc, że słyszał, że jedna z osób w grupie śpiewa... Wszyscy spojrzeli na Moore, bo McCarthy rzadko chciał mieć do czynienia z mieszkańcami Wyspy.

Latarnik wykonywał samotny zawód. Wszyscy jednak wiedzieli, że każdy, kto zbyt długo patrzy w morze, prędzej czy później usłyszy głos syren. Ale Johna McCarthy’ego zdawał się przyciągać głos bardzo konkretnej syreny. Takiej, która zdążyła już kilkakrotnie, powolnym ruchem założyć nogę na nogę, ciesząc się, że do starego irlandzkiego grajka nie dotarła wiadomość o jej chorobie wenerycznej. Dlatego Anne kazała jej porozmawiać z latarnikiem po spotkaniu. Musiał być z nimi albo przeciwko nim. Darcy poprawiła biust.

– Zajmę się tym, panno Radcliffe – powiedziała, mrużąc oczy. – Jeszcze dziś w nocy McCarthy będzie jednym z nas.

Potem przysła Florita, która trzymała straż w obserwatorium i doglądała Lili. Chwilę później zjawił się Olbrzym, który pobłogosławił im pochodnię i usiadł – tym razem z resztą grupy.

– Brakuje jedynie Marleya – zauważył Karol. – Ktoś go widział?

– Rano poszedł z tymi dwoma od łodzi – powiedział Tim.

Pielęgniarka i Karol spojrzeli po sobie, jakby gwałtownie wylądowali w rzeczywistości. Marley nie przyszedł, bo dziś przywożono pocztę. Marley był na łodzi, którą przyplynie poczta i Scraugh.

W tamtej chwili ich los już był w drodze na Wyspę. Karol uśmiechnął się do Anne, a ona wzięła głęboki wdech.

Pomyślał, że cokolwiek się stanie, to przyjazd tu i tak był tego wart.

\*

Karol, stojąc przed wyczekującą publicznością, przypomniał, że chytry Scrooge wiedział, że odwiedzą go trzy duchy, a do tej pory przybyły dwa. Duch minionych świąt – spojrział na Szczura szczerzącego zęby. I duch obecnych świąt – tłumaczył, wskazując brodą na Toma, który podniósł pochodnię, jak wywołany z listy obecności. Ale widok, który teraz ukazał się oczom Scrooge’a, był najmniej przyjemny ze wszystkich – kontynuował Karol, rozpinając surdut i szeroko otwierając oczy.

– Kiedy był już bardzo blisko niego – mówił szeptem – pan Scrooge padł na kolana, bo wiatr otaczający ducha zdawał się przynosić smutek i tajemnicę...

Karol opisał im najstraszniejszego ze wszystkich duchów. Ubrany był w czarną szatę, zakrywającą całe ciało, głowę i twarz. Widać było jedynie białą, trupią dłoń. Karol, całkowicie pochłonięty opowieścią, nie usłyszał, że mały Tim

nieustannie pyta, dlaczego ten duch jest taki straszny. W tamtej chwili Karol nie zastanawiał się nad tym, dlaczego nadaje tak przeraźliwą formę przyszłości. Duch wzbił się ponad nich – przeraźliwy i czarny. Przestraszył Scrooge’a nie mniej niż samego Dickensa, bo duch przyszłych świąt był niczym innym, jak wcieleniem strachu pisarza. W jego głowie najbliższa przyszłość była równoznaczna z przyplłynięciem łodzi, którą podróżowała poczta i dyrektor zakładu psychiatrycznego. A odległa przyszłość oznaczała życie bez Anne.

Pielęgniarka, czytając w jego strachu jak w książce, dodała:

– Zjawa naprawdę tak wyglądała. – Pielęgniarka usiadła obok malca i przytuliła go. – Ale pod czarnym płaszczem skrywała się kobieca twarz, której zjawa jeszcze nie chciała pokazać. I biała tunika, uszyta z mgły. Gdy zjawa szła, jej tunikę brano za chmury na niebie.

„To Pani z rzeki!” – wrzasnął rozemocjonowany Tim. Słowa Anne uspokoiły grupę, a nawet wyzwoliły wybuch radości. Karol, raczej skołowany, przyglądał się, jak przez kilka chwil wszyscy się cieszyli. Dla Anne przyszłość nie była zjawą. Nie bała się jej. A co najważniejsze, sprawiła, że nie bali się jej też ci, którzy ją otaczali.

Nagle wzburzony Tim wybiegł z kaplicy. Jak oszalały krzyczał, że chce zobaczyć zjawę. Nie zdołali go powstrzymać. Wybiegli za nim na plażę. Krajobraz oświetlało zimowe słońce. Spokojna rzeka delikatnie szumiała. Na manhatańskim brzegu jeździły miniaturowe powozy i spacerowały setki maleńkich postaci. Karol patrzył, jak Anne łaskocze malca, a ten, śmiejąc się i krzycząc, rozplata jej jasny warkocz i wiesza się jej na szyi. Patrzył, jak kładzie go na piasku, tuż obok kul, i zasypuje całusami. A mały Tim zaraża pozostałych radosnym śmiechem.

Porażony tą sceną, opowiedział im, jak zjawa zabrała starca do domu, w którym zobaczyli piękną kobietę bawiącą się z małym chłopcem. Darcy i Florita spojrzwały na siebie podekscytowane i pewne tego, co to oznacza. To Anne – szeptały pomiędzy sobą. To ona – powiedział Szczur.

– „Po co mnie tu przywlokłeś?!” – wrzasnął Scrooge do ducha, rozpoznając kobietę. „Nie chcę tu być!” – ciągnął Karol z błyszczącymi oczami. Anne, poruszona, całowała raz za razem dziecko, które nadal trzymała w ramionach.

– Scrooge’owi było trudno znieść tyle piękna, bo znał tę kobietę. – Zawiesił głos, nie spuszczać z niej wzroku. – Bo kiedyś ją kochał i nie potrafił jej tego powiedzieć. Właśnie wtedy, przyglądając się z przeszłości, zdał sobie sprawę, że... – musiał odchrząknąć – zdał sobie sprawę z tego, że przeżył życie bez niej.

Anne podniosła wzrok, ale nie miała siły na niego spojrzeć. Tim bawił się jej włosami i zadawał pytanie za pytaniem. Dlaczego fale zawsze płyną do brzegu? Dlaczego słońce zachodzi w tym samym miejscu? Dlaczego ludzie nie mówią sobie, że się kochają? Tymczasem ona udawała, że nie słyszy zakończenia opowieści. Nawet nie patrzyła. A on, jej niezapomniany Karol, z oczami

przypominającymi rozmytą niebieską akwarelę, mówił teraz w swoim imieniu. Jego słowami przemawiał Scrooge, starzec, który w końcu wyznawał miłość i który poddał się uczuciom, a one odżyły, gdy spotkał swoją utraconą miłość.

– Przyznaję, że chciałem. – Postać mówiła głosem pisarza. – Chciałem dotknąć jej ust swoimi ustami. Chciałem zadać jej pytania, żeby w odpowiedzi musiała rozchylić usta. Chciałem podziwiać jasne rzęsy okalające przymknięte oczy. Chciałem, żeby nie musiała oblewać się rumieńcem. Chciałem uwolnić jej włosy, z których każdy lok byłby najpiękniejszym prezentem. – Karol wpatrywał się w Anne.

Wszyscy, poruszeni, patrzyli na siebie i na dwie postacie, które stały się bohaterami tego rozdziału, Florita rozpoczęła głośny aplauz. Reszta dołączyła do niej, wzruszona. Anne siedziała na piasku. Zanurzyła twarz w bujnej czuprynie Tima, aby ukryć łzy spływające jej po policzkach, wywołane monologiem postaci, która przez chwilę stała się lalką brzuchomówcy. Zganiła Tima za jego harce i poszła po szal, który zostawiła na ławce w kaplicy.

Pozostali odprowadzili ją wzrokiem. Moore dała kuksańca Adzie, a ta szturchnęła Floritę. Trzy kobiety puściły do siebie oczko i wymieniły podeksycytowane spojrzenia. Tymczasem mężczyźni, zdeorientowani, patrzyli, jak Anne oddala się szybko. Potem Karol zobaczył podniecone twarze – to znak, żeby mówić dalej. Kiedy wstał, gotowy kontynuować, rozległ się głos, który przyniósł im tak potrzebną zmianę nastroju.

– Dzień dobry wszystkim – huknął Marley tak radośnie, że ledwie go poznali. Głównie dlatego, że miał coś szokującego na twarzy. Uśmiech. Marley się uśmiechał.

Za nim zjawiła się Anne, która wróciła pośpiesznie, dojrawszy go z wnętrza kaplicy.

– Marley, czy pan Scraugh z tobą wrócił? – zapytała znużona.

– Przyszła poczta? – zapytał Karol, ledwie pozwalając jej skończyć.

Więzień, zaskoczony, że z jego przybyciem wiązano tyle nadziei, odpowiedział:

– Tak, wrócił, i tak, przywiozłem pocztę – mówiąc to, podszedł do pisarza, ciągnąc za sobą łańcuchy, i podał mu dwa listy.

Anne patrzyła, jak z ręki do ręki wędrują dwie koperty, w których znajdowała się ich przyszłość. Reszta, nieświadoma, że w kopertach znajdują się dwa wyroki, domagała się, by pisarz dokończył opowieść. Liczyli na to, że romantyczna historia będzie miała szczęśliwe zakończenie.

– Racja, Karolu – przytaknęła Anne, wysilając się, żeby na niego spojrzeć. – Powinieneś dokończyć opowieść. Wszystko inne może poczekać, prawda?

A on, wbijając w nią wzrok, powoli włożył oba listy do kieszeni surduta.

W nadmiarze emocji nie zauważyli, że stary dyrektor zakładu nadciągał od

strony pomostu. Kiedy zobaczył Dickensa z zastępem wariatów na plaży, uległ ciekawości. Ruszył w ich stronę, okrążając kaplicę. W końcu znalazł się na tyle blisko, żeby usłyszeć gładki, aktorski głos Anglika. Dokładnie w tym momencie zaczął opisywać scenę, która zaniepokoiła Scraugha, i to bardzo.

– Po wizycie u platonicznej miłości Scrooge’a duch przyszłych święt zabrał starca do pogrążonego w mroku łoża. – To wywołało więcej niż kilka gwizdów niezadowolenia ze strony publiczności. – Obok łoża stał zgaszony lichtarz, a na łożu spoczywały kościste zwłoki, otoczone głęboką samotnością. – Najstraszliwszym z głosów pisarz wyjaśnił im, że drzwi były szeroko otwarte. – Ktoś zerwał zasłony z okien, a z otwartych szuflad komody wystawały ubrania. Odejdźmy stąd! – Przerażony starzec krzyczał do ducha, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co to wszystko oznacza. – Karol ciągnął opowieść przed strwożonymi słuchaczami. – Duch posłuchał, ale nie po to, by ulżyć starcowi. Z pokoju zaprowadził go na mroczny cmentarz, gdzie na końcu jednej z alejek znajdował się samotny grobowiec. – Karol rozejrzał się dookoła. – Czy to siebie widziałem na śmiertelnym łożu? – wrzasnął pan Scrooge, padając na kolana, a kościsty palec ducha wskazywał to na niego, to na grobowiec – powiedział pisarz i ciągnął dalej, naśladując drżący głos Scraugha. – Nie, duchu! Nie, nie, nie! Ale palec wciąż wskazywał na niego. W końcu stary skąpiec pochwycił tunikę ducha przyszłych święt i z desperacją wrzasnął: Duchu! Posłuchaj mnie! – Karol padł na kolana. – Zmieniłem się! Jestem innym człowiekiem, niż byłem do chwili poznania ciebie! Jeżeli nie ma dla mnie żadnej nadziei, to dlaczego mi to pokazujesz?

Karol wpadł niemal w trans, a reszta obserwowała go w zaskoczeniu. Szczególnie przesądny dyrektor zakładu, który nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Przed ucieczką do gabinetu, w którym chciał się zamknąć z wianuszkami czosnku na szyi, powstrzymywało go jedynie to, że chciał się dowiedzieć, jak skończy się ta opowieść. Zastanawiał się, po jakiego diabła pisarz zabił bohatera. Przeklęci Anglicy i ich cholerny czarny humor! – wrzasnął w duchu, skulony za kaplicą. Dreszcz, który przeszedł go od stóp do głów, sprawił, że o mały włos nie kichnął, ale udało mu się powstrzymać.

– Ale wtedy – usłyszał głos pisarza – kiedy duch oskarżycielskim palcem nadal wskazywał grobowiec, a starzec złożył dłonie, by po raz ostatni błagać o zmianę przeznaczenia, wtedy nagle... – Pisarz zawiesił głos. – Zauważył, że duch kurczy się coraz bardziej i bardziej... aż w końcu zniknął.

– Zniknął? – pytali się nawzajem, zdumieni.

– Tak, tak – odparł Karol. – Pan Scrooge obudził się, leżąc w łóżku. W swoim własnym łóżku! W swojej sypialni. Przez szyby wpadało jasne i uspokajające światło. Otworzył okno i wyjrzał, ulica była gwarna i radosna jak zawsze... Niemożliwe! Było Boże Narodzenie! Dzięki ci, mój przyjacielu, Jakubie Marley! – krzyknął Dickens, ponownie naśladując zgorzkniały głos starca. –

Dzięki, duchy, za to, co mi pokazałyście! Scrooge jednocześnie śmiał się i płakał – zapewnił pisarz, śmiejąc się. – Starzec próbował się ubrać, ale wdziewał ubrania na lewą stronę. Czuł się lekki niczym piórko. A kiedy wyszedł na ulicę, z szerokim uśmiechem krzyczał: „Wesołych Świąt!”. Do każdego, kogo spotkał.

Pisarz opowiedział im, jak pan Scrooge szedł przez miasto, pozdrawiając tych, na widok których wcześniej warczał.

– W końcu zapytał młodzieńca w odświętnym stroju: Jaki mamy dzisiaj dzień, synu? A młodzieniec, z całkowicie zaskoczoną miną, odparł, że jest Boże Narodzenie. – Karol uśmiechnął się. – Pan Scrooge postanowił, że od tej chwili będzie wszystkim życzył Wesołych Świąt Bożego Narodzenia...

Pisarz zawiesił głos. To była długa przerwa. Nie po to, by wziąć oddech czy stworzyć tajemniczą atmosferę. To była przerwa podobna do tej, którą robi czytelnik, wiedząc, że za chwilę pozna zakończenie.

Karol uniósł w górę rękę.

– Stary Scrooge już nigdy więcej nie zadawał się z duchami. Wszyscy mówili, że nikt tak jak on nie świętował Bożego Narodzenia, jeżeli oczywiście ktokolwiek w ogóle umiał je obchodzić jak należy.

Pisarz opuścił rękę. Spojrzał na nich zmęczony, zadowolony i szczęśliwy. Tak, szczęśliwy. Potem skłonił się im z teatralną powagą. Tylko mały Tim mógł dodać coś do takiego zakończenia. Z bezmierną radością wrzasnął: „I niech Bóg wam wszystkim błogosławi!”. Zaraz potem rozległy się gromkie brawa. Wyglądali jak rozentuzjasmowana po premierze publiczność. Ukryty za kaplicą dyrektor także klaskał, podekscytowany i wdzięczny za to, że pisarz postanowił uratować postać. To sprawiło, że zobaczył go Tom.

Odwrócił się w jego stronę z wrodzoną sobie powolnością, uniósł w górę pochodnię i dudniącym głosem wrzasnął:

– Panie Scrooge! – Okrzyk zmroził krew w żyłach i oklaski. – Wesołych Świąt!

Starzec, nadal w szoku, skrzywił się, a potem uśmiechnął na tyle, na ile pozwoliła mu jego dziwaczna twarz. Uniósł w górę dłoń w geście pozdrowienia.

– Wesołych Świąt... – wybełkotał zakłopotany i ruszył w stronę zakładu.

Wszyscy patrzyli po sobie, zaskoczeni. Potem posypały się gromkie brawa. Latarnik, nie nastroiwszy skrzypiec, wygrywał kolędę. Wszyscy życzyli sobie Wesołych Świąt, myśląc o narodzinach, o których nie mogli mówić. Narodzinach ich prawdziwego mesjasza, który uświadomił im, że marzenia się spełniają. Ada i Darcy Moore złożyły sobie życzenia, pieczętując je delikatnym całusem. Florita życzyła Wesołych Świąt Tomowi i poprosiła go, żeby się pochylił, by mogła go pocałować w czoło. Darcy Moore wyszeptwała życzenia do ucha latarnika, zanim ten zaczął śpiewać ze zdwojoną siłą. Pośrodku tej radości, śmiechów i życzeń spotkali się oni.

- Wesołych Świąt, Karolu – powiedziała, podając mu rękę.
- Wesołych Świąt, Anne – życzył, całując wewnątrz jej dłoni.

Chwilę później wszyscy wesoło wracali przez łąkę. Tymczasem dwoje bohaterów tego rozdziału otwierało listy, jakby czekali na diagnozę, która może ocalić lub zakończyć ich życie.

\*

To była pierwsza noc, której John McCarthy nie spędził w swojej latarni, odkąd ją wybudował. Była to też pierwsza od bardzo dawna noc, podczas której poczuł się całkowicie i bezkrotnie szczęśliwy.

Darcy wyjawiała mu sekret.

Zaufała mu.

Dlatego w świetle leniwego księżyca spacerował, grając na skrzypcach. Melodia, która w rzeczywistości była kołysanką, niesła się po Wyspie Blackwella niesiona wiatrem. Dzięki niej chociaż na chwilę zamilkły niemogące zasnąć dzieci w sierocińcu, ustały bójkę w zakładzie poprawczym, zelżały bóle chorych i ucichły krzyki w zakładzie psychiatrycznym. Stojący w oknie Scraugh zastanawiał się, czy to jego wyobraźnia zamienia wycie wiatru w piękną melodię. Tamtej nocy umierający w przytułku starcy odchodzili uśmiechnięci.

*Dzień 13*

Z samego rana panna Grady przemierzała korytarze swojego małego imperium, kierując się w stronę izolatek. Była w złym humorze. Pielęgniarki, które mijalała po drodze, pozdrawiały ją i nie patrzyły jej w oczy z ostrożności, z jaką traktuje się wściekłego psa. Panna Grady nie mogła się już doczekać, by dopaść swoją ofiarę. Od poprzedniego dnia bezskutecznie próbowała dostać się do dyrektora zakładu, żeby porozmawiać z nim o ważnej sprawie fałszowania listów przez Anne Radcliffe. Stary dureń wyznaczył jej spotkanie dopiero na dziś rano.

Syknęła jak gęś i przyspieszyła kroku. Całe wczorajsze popołudnie musiała słuchać wiatru, który przynosił znad plaży kryształowy śmiech Anne. To było nie do zniesienia! Otoczona grupą patałachów, jak zawsze, chroniona przez pyszałkowatego pisarza, który, Bogu dzięki, już za kilka godzin ulotni się z ich życia i z Wyspy. W końcu nadeszła jej chwila – powiedziała sama do siebie. Scraugh czekał na nią w gabinecie. Zachwycona panna Grady przyłożyła chustkę do ust i nosa i otworzyła drzwi izolatki.

Nic nie mogło zdziwić jej bardziej niż widok izolatki... pustej! Co wykombinowała ta podła szmata! Kto pozwolił jej zabrać chorą! I, co najważniejsze, gdzie się podziewały?

Uśmiechnęła się przebiegle. Dobrze, bardzo dobrze... powiedziała, zapinając sztywny biały kołnierzyk tak ciasno, że nieomal się nie udusiła. Szala przechyła się jeszcze bardziej na jej stronę. Ta dziewczyna jest nie tylko zuchwała, ale i głupia jak but. Odwróciła się i zobaczyła ją w drzwiach. Oczy miała wielkie jak spodki.

– Proszę, proszę... – wybełkotała przełożona pielęgniarek z satysfakcją. – Wygląda na to, że nie ustaje pani w wysiłkach pakowania się w tarapaty.

Anne stała niczym posąg, choć serce jej waliło. Panna Grady złapała za wiszący na swojej piersi krzyż, jak zawsze wtedy, gdy chciała kogoś ukarać. Skrzydełka jej nosa drgały, a krwiożerczy uśmiech wykrzywił twarz.

– Pan Scraugh czeka w biurze, panno Radcliffe. Jednak ostrzegam, że po tym, co właśnie zobaczyłam, doniosę na panią do władz. Proszę się nie martwić. Być może wcale nie będzie pani musiała opuścić Wyspy. Wystarczy, że zmieni pani strój i budynek.

Wtedy Anne w końcu udało się otworzyć usta. I zrobiła to z całą



wściekłością, którą przez ostatnie lata skrywała. Przed oczami stanęła jej Lili z córeczką. Nie mogła ich zawieść. Nie teraz.

– Tego by pani chciała, prawda? – wypaliła Anne bez tchu. – Mogłaby pani dalej zmuszać chorych, żeby sprząтали aż do utraty sił. Mogłaby pani, razem ze swoją tresowaną sforą, torturować tych, którzy już cierpią katusze. Kapać ich w lodowatej wodzie, dobijać zapaleniem płuc... – Nerwowo zacisnęła palce. – Tego by pani chciała, prawda? Zamknąć się tu w swoim piekle i katować innych. Żeby nikt nie mógł pani powstrzymać...

Panna Grady patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Jak pani śmie? – wrzasnęła wściekle.

– Nie, panno Grady... Jak pani śmie wyrzucać pielęgniarkę, która odmawia wykonania pani zbrodniczych rozkazów? Jak pani śmie podburzać do zgwałcenia kobiety?

– Ma pani na myśli tę dziwkę? – panna Grady zaśmiała się hałaśliwie.

– Bardzo mi przykro, panno Grady, ale już nie boję się pani.

Anne w końcu odetchnęła. Poczowała się pewniej.

– Mam to gdzieś, Radcliffe – wrzeszczała jak oszalała. – Nie rozumiesz? Popełniłeś przestępstwo! Mogę je udowodnić. Popełniłeś dwa przestępstwa! A ty nie masz nic. Na całej Wyspie nie znajdziesz wystarczająco dużej pielęgniarki, żeby potwierdzić swoje zarzuty. A każdy popierający cię pacjent będzie uznany za wariata. Nie masz nic, Radcliffe! – Nerwowo drapała się po głowie. – Nie ma śladów. Kogo poprosisz, żeby zeznawał przeciwko mnie? Don Kichota z La Manchy? Tę staruchę, która pomagała ci pisać liściki? Starą wariatkę, która myśli, że trwa wojna? – Zaśmiała się. – A teraz zamknij się i za mną! Nie mam czasu na głupoty. Dyrektor czeka na nas w gabinecie. I ciesz się, że cię wyrzucą, zanim wyjedzie Anglik. Inaczej, razem z twoimi koleżankami, wyprawiłybyśmy ci niezłe pożegnanie...

Anne stała oparta o framugę drzwi, jakby spodziewała się trzęsienia ziemi. Nie drgnęła nawet, a wargi drżały jej z wściekłości. Przełożona pielęgniarek ruszyła do niej złowrogim krokiem.

– Panno Grady, mam tylko jedno pytanie. Potem możemy iść do dyrektora. – Panna Grady zatrzymała się zaskoczona. – Dlaczego nigdy nie opuszcza pani Wyspy?

Przełożona pielęgniarek przekrzywiła głowę i zacisnęła zęby mocno, aż do bólu.

– Słucham?

– Zastanawiam się tylko, dlaczego w wolne dni nie wyjeżdża pani z Wyspy.

Anne uniosła brodę. Jej niebieskie oczy otworzyły się jeszcze szerzej. Panna Grady patrzyła na nią bez mrugnięcia okiem.

– A co cię to obchodzi?

– Mnie? Wcale. Ale myślę, że policja mogłaby być zainteresowana.

– Nie wiesz, w co się pakujesz, Anne...

Panna Grady okrążyła ją powoli, zachowując bezpieczną odległość, gotowa w każdej chwili rzucić się na nią. Nagle coś ją zatrzymało.

– Myli się pani. Anne doskonale wie, w co się pakuje – powiedział męski głos.

W drzwiach pojawił się Karol, z poważną miną i oczami utkwionymi w przełożonej pielęgniarce. A ona, zdezorientowana, cofnęła się o kilka kroków.

– Co to ma znaczyć? – powiedziała Grady, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji.

– Panno Grady – zaczął spokojnie Dickens – to znaczy, że nawet jeżeli nikt nie wysłucha głosów z Wyspy Blackwella, to mnie na drugim brzegu na pewno wysłuchają. To znaczy, że już wystarczająco dużo dowiedziałem się z pani ust. To znaczy także, że z odcinka na odcinek mojej wigilijnej opowieści miałem okazję rozmawiać z tymi, których pani nazywa dziwkami, nędzarami i szaleńcami. Ale jakby i tego było mało – potrząsnął trzymanymi w dłoni listami – właśnie otrzymałem list od słynnego dziennikarza z „New York Timesa”, którego poprosiłem o zbadanie pani przeszłości. Nadal jestem poruszony tym, czego się o pani dowiedział, panno Grady. Czy może powinienem mówić panno Gretel Dismark?

Przełożona pielęgniarce oparła się o zagłówek łóżka, próbując ukryć, że kręci jej się w głowie, którą wypełniły obrazy pożaru burdelu, krzyki kobiet palących się w klitkach. Nie! Nie chciała ich słyszeć! Ucieczka w środku nocy, kiedy podczas rozgardiaszu głośno dzwięczały strażackie dzwony. Przypomniała sobie, przerażona własnym sadyzmem, jak wybiera jeden z paszportów zabranych kobietom, które zmuszała do prostytucji. Być może jego właścicielka dogorywała już pomiędzy zwęglonymi resztkami budynku. Dwie noce ukrywała się w domu jednego z dawnych klientów. W końcu udała się na Wyspę Blackwella, żeby już nigdy z niej nie wrócić. Tak, żeby nie wrócić... Wszystko to gorączkowo kotłowało się w jej głowie. W końcu zobaczyła dwie twarze, wpatrujące się w nią oskarżycielsko i pogardliwie. Nie wiedzieli, przez co przeszła, nie znali jej powodów, nie rozumieli, że sama siebie skazała na Wyspę, że to było wystarczającą karą.

– Jeżeli trafi pani do więzienia, a sądząc po dowodach, to nieuniknione – kontynuował Karol, przerywając jej wewnętrzne tłumaczenia – to na długo. A jeżeli przez przypadek trafi pani do więzienia tutaj, na Wyspie, to wolę nawet nie myśleć, co panią czeka, gdy zamkną panią w celi z więźniarkami, które pani...

– Dość! – jęknęła przerażona. – Dość! Czego chcecie?

Anne zbliżyła się do niej.

– Sprawiedliwości – powiedziała, szukając jej oczu. – Żeby pomogła pani

złagodzić ból, który pani zadała, panno Grady. Co pani na to? Niech pani całkowicie odda się tym, których pani krzywdziła.

– I oczywiście – dodał Karol – wyznaczę pani swoją zastępczynię i następczynię. Będzie nią Anne, kobieta, której póki żyję, nie waży się pani tknąć.

Panna Grady, z opuszczoną głową, zrezygnowana, powoli przytaknęła. Anne i Karol spojrzeli na siebie niczym dowódcy armii, która wracała z pierwszej zwycięskiej bitwy.

\*

Kiedy zapukali do drzwi dyrektora, te otwarły się z delikatnym ociąganiem. Wygląd gabinetu ich zaskoczył. Przez ogromne okna wpadało dziwne światło. Chociaż Karol pomyślał, że dziwne było raczej to, że światło w ogóle wpadało, sprawiając, że gabinet wydawał się większy i oświetlając meble, których wcześniej nie zauważył. W kominku buzował ogień, a przed nim stał Scraugh. Wyglądał, jakby przespał co najmniej dziesięć lat. Był też bardziej niż zwykle wyprostowany. Nawet panna Grady dostrzegła tę zmianę.

– Niech pan wejdzie, Dickens... ma pan jakąś obsesję z tym staniem w przeciągach – powiedział, i cała trójka podeszła do kominka.

Zaczął się od krótkiego wstępu, w którym panna Grady poinformowała dyrektora, że chciała się z nim spotkać, ponieważ potrzebuje kogoś zaufanego, kto pomoże jej nadzorować pracę pielęgniarek. Jest coraz starsza i powinna zacząć myśleć o odejściu. To zaskoczyło Scraugha, ale wydało mu się niezwykle rozsądne. Potem obie kobiety opuściły gabinet, bo dyrektor chciał porozmawiać z pisarzem na osobności. Kiedy zamknęły się drzwi i kiedy zniknęła za nimi rozpromieniona twarz Anne Radcliffe, Scraugh poprosił go, by usiadł.

– Powiedziano mi, że zakończył pan swój eksperyment, panie Dickens.

– To prawda.

– Chciałbym panu pogratulować. – Wytarł szpiczasty nos ogromną chusteczką. – Udało się panu poskromić bardzo trudną grupę. Jak pan tego dokonał?

– Wystarczyło ich słuchać.

Starzec wywrócił oczami.

– Oczywiście, oczywiście... – wybełkotał. – Słuchać... tak... – Potem podniósł głos. – Muszę przyznać, że sądziłem, że nie da pan sobie z nimi rady, ale... zachowywali się bardzo rozsądnie. No, może poza tym Olbrzymem...

– Tomem – wtrącił Karol.

– Tak, tym. Nie wiem, po jakie licho całymi dniami błogosławi ludzi...

Potarł wydatną brodę i przeszedł przez gabinet z rękami założonymi na plecach.

– Mogę panu zadać jedno pytanie, panie Dickens? – powiedział tajemniczo.

– Bardzo proszę.

– Być może wyda się to panu dziwne, ale... Niektórzy mówią, że wy, pisarze, przez to, że tyle czasu spędzacie samotnie, wymyślając historie... że to rozwija w was... jakby to powiedzieć... swojego rodzaju szósty zmysł. Zdolność do wycucia tego, co zdarzy się w przyszłości. – Karol próbował ukryć uśmiech. Scraugh mówił dalej. – Zastanawiam się, czy sądzi pan, że ten kryzys się kiedyś skończy? Czy mieszkańcy tego przekłętego kraju kiedyś zaufają czemuś innemu niż brzęk złota i srebra w kieszeni? Czy...

Karol przyglądał się mężczyźnie ze współczuciem, a on rzucał pytanie po pytaniu, jakby stał przed wyrocznią. Ten stary skąpiec nigdy się nie zmieni. Nie był podobny do jego Scrooge'a. Nie miał takiej jak on zdolności do wyciągania wniosków lub też nie chciał jej mieć. Jego krajanie umierali z głodu. Na Wyspie, na której mieszkał, nieszczęśnicy marzyli o tym, by choć na godzinę dziennie rozpalano w kominkach. A on, stary i przesądny skąpiec, przekonany o jasnowidztwie pisarza, chciał wiedzieć, czy kiedykolwiek pomnoży zainwestowane na giełdzie pieniądze. Pieniądze, z których nigdy nie będzie się cieszył, bo nie będzie miał z kim. Pieniądze, które na nic mu się nie przydadzą.

Pisarz oparł łokcie na kolanach, jakby chciał zdradzić Scraughowi wielką tajemnicę. Scraugh zbliżył się do niego tak bardzo, żeby nikt inny nie usłyszał rady, której pisarz ewidentnie chciał mu udzielić.

– Niech pan się nie martwi, przyjacielu – powiedział Karol, przypominając sobie słowa i przepowiednie Lili. – Ten kryzys minie tak samo, jak przeminie ludzka pamięć. Ludzie zapomną o tym, że przestali ufać politykom. Panika z tysiąc osiemset trzydziestego siódmego roku przejdzie do Historii i my też do niej przejdziemy. Jak zawsze po kryzysie przyjdzie wielka wojna, żeby niektórzy mogli zarobić na przemyśle zagłady, ale... – Zawiesił głos i uśmiechnął się złośliwie. – Niech się pan nie martwi, bo cel zawsze uświęca środki. Nadejdzie czas dobrobytu, który pogrąży naród w głębokim śnie i który przywróci mu ufność. Banki szybko rozrosną się. Poczucie dobrobytu będzie tak wielkie, że ludzie przestaną sprawdzać, czy ich złote i srebrne monety leżą w sejfach. Właśnie wtedy, kiedy kraj wyda się niezwykły... Bum! – Klasnął, a Scraugh aż podskoczył. – Wtedy nadejdzie kolejny kryzys. Okaże się, że cała ta radość była zaledwie zasłoną dymną. Kolejna panika, kolejny kryzys, i wszystko zacznie się od nowa. Tym razem wpadniemy w szpony systemu, który przyniesie kolejny kryzys. Ale proszę się nie martwić, nie dożyje pan tych czasów. Mam nadzieję, że odpowiedziałem na pańskie pytanie, panie Scraugh?

Starzec patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– To straszna przyszłość! – Opadł na fotel tak głęboko, że nogami machał w powietrzu. – Przyjeliśmy sprawny system. Dzięki niemu staniemy się wielkim krajem! Jest pan jasnowidzem – przecież można coś zrobić, żeby nam się

powiodło.

Karol wydawał się zaskoczony.

– Oczywiście, że można. – Scraugh wydawał się zadowolony. Słuchał go uważnie, jak na kazaniu. – Trzeba zbilansować budżet, napełnić skarbiec i zmniejszyć dług publiczny. Trzeba utemperować i kontrolować arogancję biurokracji. Tylko wtedy nie dojdzie do kolejnego bankructwa. A ludzie bogaci będą musieli nauczyć się pracować, zamiast żyć z dochodów.

Zamyślony Scraugh kiwał głową i usiłował zapamiętać tę nową mądrość, która zdawała się go oświecać.

– Genialne! Jest pan wizjonerem! Sam pan to wymyślił, czy to któryś z tych pańskich angielskich reformatorów? – zapytał.

– To słowa Cyclerona. Żył wiek przed Chrystusem. A teraz, proszę mi wybaczyć – powiedział, po czym wstał i życząc mu miłego popołudnia, zniknął za drzwiami.

Starzec został sam w gabinecie. Stał przed kominkiem, zadziwiony i wpatrzony w buzujący przed sobą ogień.

Kto wie, może pisarze naprawdę potrafią przewidywać przyszłość? Kiedy Karol schodził kręconymi schodami zakładu psychiatrycznego, nie mógł wiedzieć, że wypowiedział te słowa w dniu, w którym rozciągnięto pierwszy kabel pomiędzy Wall Street a Londynem. Dzięki tej arterii dokona się pierwsza transakcja pomiędzy dwiema giełdami. Niedługo potem powstanie niewidzialna sieć, którą popłynie strumień fikcyjnych pieniędzy. A wkrótce wszyscy oddadzą się hazardowi, zmieniając świat w ogromne i perwersyjne kasyno, które w kolejnych wiekach będzie wywoływało kryzysy i fale głodu o coraz szerszym, światowym, zasięgu.

\*

Do przodu, do tyłu, złapać się za ręce, ukłon, obrót, podskok, powrót na miejsce i znowu do przodu.

McCarthy, niczym olbrzymi konik polny, pocierał skrzypce smyczkiem. Anne uderzała w tamburyn. Oboje tupali stopami o podłogę. Na parkiet wyszły trzy dziwaczne pary: Darcy z sięgającym jej obfitego biustu Szczurem, Karol z Adą oraz Florita z Olbrzymem. Korowód poprowadziła Ada, która jakby odmłodziła o dziesięć lat. Obrót pojedynczy, obrót podwójny, para w prawo, para w lewo... Ada pstrykała palcami, wywracała oczami, wykręcała kolana do środka i wirowała na palcach i piętach tak szybko, jak szybko palce Anne uderzały w tamburyn.

W końcu nadszedł czas na prawdziwe świętowanie. Ada pokazywała taneczne kroki, które wszyscy powtarzali, potykając się i śmiejąc. Karol poprosił, aby w obserwatorium pozwolono mu urządzić pożegnalną potańcówkę dla swoich nowych przyjaciół. Panna Grady, z obrzydzeniem, przekazała prośbę dyrektorowi

zakładu. Scraugh się zgodził, bojąc się, że pisarz mógłby dodać nowy rozdział do swojej opowieści z jego udziałem.

Jak najprawdziwsze Boże Narodzenie – pomyślała Anne, pobrzękując tamburynem i przyglądając się nietypowemu, jak na tę porę, wyglądowi obserwatorium. Ada, z fryzurą przyozdobioną maleńkimi gwiazdkami z papieru, unosiła poły sukni z jutowego worka i odsłaniała zmęczone kostki, by reszta mogła powtarzać kroki. Reszta, w dwóch idealnie równych rzędach, podążała za jej wskazówkami. Lili kołysała córkę w rytm piosenek. A dziewczynka – z wyciągniętymi w górę rączkami, chwytającymi rude kędziory matki – wydawała się zachwycona wesołym zgiełkiem. McCarthy grał na skrzypcach i wytupywał rytm stopą, nie tracąc z oczu Darcy Moore, która tańczyła i śpiewała, nie spuszczać z niego wzroku. Więzień Marley i Olbrym Tom także tańczyli. Na zmianę też robili rundkę wokół budynku, by przegonić ewentualnych ciekawskich. Anne zarekwirowała mięsa i owoce z lekarskiej jadalni i urządzili sobie małe przyjęcie. Na kominku grzał się nawet kociołek ponczu. Florita serwowała parujący napój w glinianych kubeczkach. Tańczył nawet mały Tim, usadowiony na ramionach pisarza.

Anne siedziała obok Lili i patrzyła na nich, szczęśliwa. Bez wątpienia jest dobrym ojcem, pomyślała, patrząc, jak podąża za rytmem muzyki i wskazówkami Ady, z bezwładnymi nóżkami małego Tima zwisającymi mu z ramion. Spozstrzegli, że na siebie patrzą.

Wtedy McCarthy przestał grać. Podniósł kubek i wrzasnął:

– Toast za Anne Radcliffe, prawdziwe światło tej Wyspy!

Wszyscy unieśli kubki w górę. Karol przełożył małego Tima na ramiona Marleya i podszedł do Anne.

– Panno Radcliffe – powiedział z ujmującą grzecznością – czy zechce pani ze mną zatańczyć?

A ponieważ wszyscy obserwowali ją kątem oka, Anne natychmiast się zarumieniła. Ostrzegła go, że nie umie tańczyć i na pewno go podepcze. Ale on pociągnął ją za rękę i poderwał na nogi. Ponownie rozbrzmiały grające na irlandzką nutę skrzypce, a jej stopy podążyły za znajomym rytmem. Kręciła się uczepiona jego ramienia, aż poczuła, jak znikają ściany obserwatorium. Nagle nie było ani więzień, ani zakładów psychiatrycznych, a ona znajdowała się wśród świętującej rodziny.

\*

Później, szczęśliwi i zmęczeni, usiedli z boku, żeby omówić ostatni etap planu. Nie mogli stracić czujności teraz, kiedy byli tak blisko osiągnięcia celu. Po pacyfikacji panny Grady będzie o wiele łatwiej, powiedziała Anne, rozplatając gruby warkocz. Panna Grady była niczym zranione zwierzę, które musieli uważnie

obserwować. Listy, które Karol otrzymał tego ranka, przyniosły dwie ważne wiadomości. Seymour Friedman, dzięki swoim informatorom, zdobył wiele wiadomości na temat zbiegłej panny Gretel – opis pająkowatego pieprzyka nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Ale to nie wszystko – poinformował też, że następnego ranka przybędzie na Wyspę, żeby zrobić obiecane pisarzowi zdjęcie.

Drugi list był od Kate. Potwierdzała, nie bez pewnego zaniepokojenia, że wykonała zadanie. Karol poprosił, żeby wysłała mu do portu mały kufer podróżny z ubraniami, które chciał rozdać mieszkańcom Wyspy. Miał go odebrać dziennikarz, który tam się wybiera. Pod koniec listu napisała, że przyszedł list z Londynu od Macredy’ego. Przekazała, że dzieci mają się dobrze. Napisała też, że za nim tęskni. Czytając list pielęgniarce, Karol pominął ten fragment, ale ona była tak szczęśliwa, że mają jak wywieźć dziecko, że nawet nie zwróciła uwagi na to, kto podpisał list. Po tym, jak Karol wyjmie zawartość kufra, Tom zanieśie go do obserwatorium. Tam zrobią w nim otwory i wyłożą go kocami oraz ręcznikami. Poczekają do ostatniej chwili i włożą dziecko do kufra. Marley zanieśie go na łódź, a tam zajmie się nim Karol. A co, jeżeli zacznie płakać? – martwił się Karol. Pielęgniarka uśmiechnęła się przebiegle i odparła, że Florita przygotowała napar, który je uspi. Pisarza bardzo to zaniepokoiło. Napar? – Zasepił się, wspominając efekty pamiętnej herbatki i zawstydzoną Lucianę. – A jeżeli mu zaszkodzi? – Anne uspokoiła go, zapewniając, że poprzedniej nocy sama go piła, żeby zasnąć.

– Dziś w nocy Lili będzie spać w ambulatorium. Nie możemy ryzykować – powiedziała Anne, obserwując, jak Lili radośnie tuli córeczkę.

– Czyli to ostatnie chwile, które spędzą razem – odparł Karol, a w jego oczach pojawił się znany jej błysk. – Nie wyobrażam sobie, jakie to trudne... Już wie?

Pielęgniarka potaknęła smutnie i przeniosła wzrok na bliżej nieokreślony punkt na ścianie. Ale Lili już pogodziła się z rozstaniem z córeczką. Od porodu miała więcej wizji niż zazwyczaj. Za każdym razem, gdy nadciągała mgła, mówiła, że widzi, jak pani z rzeki zagląda przez okna. Mówiła, że jej dziecku będzie z nią lepiej. Tylko ona mogła jej dać szczęście. Dziewczynka musiała przepłynąć na przeciwległy brzeg. Z nią lub bez niej.

\*

Tamtej nocy godziny płynęły wolniej. Mróz zelżał. Śmiech mieszał się z dźwiękami skrzypiec i stukaniem obcasów. Aż w końcu powoli wszystko ucichło, pozostawiając ich szczęśliwymi jak nigdy dotąd.

Dużo rozmawiali, planowali życie dziecka Lili, zastanawiali się, co czeka je na drugim brzegu. Drugi brzeg... Niektórzy jak McCarthy, Florita i Tim zastanawiali się, jak wyglądają dzielnice, których nigdy nie odwiedzili.

– Jak jest na Broadwayu, panie Dickens? – zapytał Szczur.

Anne uśmiechnęła się.

– Karolu, pójdziemy na spacer po Manhattanie?

Pisarz, nadal siedząc, podał jej ramię.

– Dobrze... chodźmy. – Spojrzał zamyślonym wzrokiem. – Broadway... jest bardzo słoneczny. Czerwona cegła wygląda tak, jakby przed chwilą wyciągnięto ją z pieca. A dachy powozów połyskują jak węgiel. Powożą woźnice tacy jak Marley, ale są też czarni, w słomkowych kapeluszach, czapkach z filcu i ze skóry, w bawełnianych marynarkach... Patrzcie tam! Tam jest jeden w liberii, czeka, aż jego pan, bez wątpienia republikanin z Południa, wyjdzie z banku. – Karol się skrzywił, a niektórzy przyglądali mu się zdziwieni. – Chodźmy dalej. Anne, muszę przyznać, że twoja suknia z błękitnego jedwabiu jest naprawdę piękna. Niech Bóg uchowa amerykańskie kobiety i ich suknie! Ta różnorodność parasoli. Te satyny we wszystkich kolorach tęczy! Te różowe, cienkie pończochy. Te dopasowane, eleganckie buciki... Młodzieńcy namiętnie wywijający kołnierzyki koszul i noszący wypielęgnowane baczki. Idziemy dalej, a ulica zapełnia się ekspedientami i urzędnikami, którzy noszą się w stylu bajronicznym.

– Na ulicy nie ma Irlandczyków? – zapytała Anne.

– Ot co! – poparł ją McCarthy.

– Oczywiście, że są... – zaśmiał się pisarz. – Właśnie miałem o nich powiedzieć. Nawet gdyby założyli maski, każdy by ich rozpoznał po długich, niebieskich surdutach i błyszczących guzikach. Jeden z nich ma w dłoni pomięty kawałek papieru, z którego próbuje na głos odczytać skomplikowaną nazwę, a drugi przygląda się wszystkim drzwiom i jej szuka. – Pisarz wskazał na prawo i wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. – Teraz wchodzimy na ulicę, która nazywa się Wall Street. Na tej ulicy jedni w szybkim tempie zbili fortunę, a drudzy, równie szybko, popadli w ruinę. Niektórzy z handlarzy, których teraz widzicie, tak jak mężczyzna z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, włożyli pieniądze do sejfów. A kiedy je otwarli, znaleźli jedynie zeschnięte liście. – Słuchacze wydali z siebie głośne „Ochhh”. – Chodźmy, są bardziej interesujące ulice. Uwaga! Powozy pędzą jak szalone. Ten w ostatniej chwili wyminął dwie korpulentne matrony, ścinające zakręt truchcikiem.

– Świnie? – zapytała Ada. – Coś takiego nie zdarzało się w mojej dzielnicy.

– Tak Ado, świnie. To padlinożercy z biednych dzielnic i czasami docierają do tych bardziej eleganckich. Od małego puszczają je samopas, więc świnie z Manhattanu stały się nad wyraz inteligentne.

Lili zakwiliła krystalicznie czystym śmiechem, którym zaraziła córkę.

– Przecież jest noc – wyszeptała nagle, a jej zielone oczy zajaśniały.

– Masz rację, Lili. – Karol uśmiechnął się. – Teraz ulice są oświetlone. A ta konkretna aż roi się od połyskujących płomyków gazu. Przypomina mi Oxford Street... To tu, to tam widać schody prowadzące do piwnic. A w nich znajdują się



kręgielnie, czytelnie i tawerny...

– W jednej z nich śpiewa piękna brunetka... – powiedziała prostytutka.

– To Darcy! – wrzasnęła podekscytowana Florita.

– Tak – potaknął Dickens z uśmiechem. – Tej nocy występuje słynna Darcy Moore. Zajrzymy przez okno?

– Tak! – krzyknęli wszyscy jednym głosem.

– Tawerna pęka w szwach – powiedział pisarz. – Słyszycie głos Darcy? Delikatne stukanie młoteczka, który kruszy lód? Przy barze palą cygara. Niektórzy rozmawiają o polityce. Inni przeglądają gazety, które żyją sensacjami i zaglądają pod dachy domów, żeby potwierdzić zmyślane plotki i przypisać znanym najgorsze, nieopisane...

– Karolu! – wykrzyknęła rozbawiona Anne, ciągnąc go za ramię. – Wróć... A może zabierzesz nas do teatru?

Nieco zmieszany Karol odchrząknął i się uspokoił.

– Do którego chcecie iść? Park i Bowery to bardzo eleganckie budynki, ale są niemal zupełnie opustoszałe. Jest jeszcze Olympic, maleńki teatr z wodewilem i burleską.

– Chodźmy tam! – krzyknął Marley.

– Dobrze, wejdźmy więc. Na scenie stoi pan Michell, komik i niezwykle oryginalny, którego miałem przyjemność poznać w Londynie.

– Cudownie! – zawołała zachwycona Ada. – Pójdziemy do garderoby i poprosimy o autograf.

– Oczywiście, kochana, oczywiście.

I tak przez dłuższą chwilę zwiedzali muzea i teatry. Spacerowali ulicami handlowymi, a w jednej z piekarń kupili wyśmienity tort... Tymczasem Lili, która знаła taki Nowy Jork, jakby całkowicie wymazała go z pamięci. Siedziała, wpatrując się w swoje śpiące maleństwo.

Minęły kolejne godziny. Członkowie ruchu oporu o szczęśliwych i zmęczonych twarzach, jeden po drugim, jak w procesji, żegnali się ze swoim dzieckiem. Już nigdy więcej mieli nie zobaczyć jego jasnej twarzyczki. Tej nocy dziecko miało zostać pod opieką Anne.

Kiedy nadeszła pora pożegnania, postanowili zostawić Lili samą.

Na zewnątrz noc była jasna. Księżyc zaczął się zmniejszać. Wydawało się, że nad Wyspą rozpościera się gwiazdny abażur. Przez okna widzieli, jak Lili po raz ostatni przytula córkę, całuje jej łysą główkę i długim palcem kreśli na jej czole znak. Potem powiedziała jej coś, co próbowali odczytać z ruchów jej warg, i ułożyła ją na fotelu, obok kominka. „Szczęśliwej podróży, kochanie” – powiedziała, a mała rączka, której paluszki wskazywały, że będą kiedyś tak długie, jak palce jej matki, łapała teraz jeden z nich z instynktowną siłą. „Szczęśliwej podróży, najdroższa” – powtórzyła uśmiechnięta, a duża przezroczyta łza spłynęła

po jej policzku i spadła wprost do ust jej córki. Magiczna szczepionka, której słodko-słony smak nieświadomie już zawsze będzie pamiętać... „Bądź wolna” – szepnęła, przechodząc przez pokój i oddalając się, uśmiechnęta czarująco.

\*

W obserwatorium zapanowała cisza. Muzyka zastąpił wiatr, który nad ranem dał tak, jakby chciał zdmuchnąć latarnię morską. Przed kominkiem Anne tuliła dziecko, podając mu butelkę. Karol obserwował ją, siedząc naprzeciwko. Przez chwilę mogli się wydawać dumnymi rodzicami na pięknym obrazku. Jasne włosy Anne opadały na dziecko, które jadło zachłannie i od czasu do czasu uśmiechało się.

– Wyrośnie z niej piękna dziewczyna – ziewnęła Anne i odstawiła butelkę.

Wytarła umazaną mlekiem buzię i położyła spokojnie śpiące dziecko na poduszce fotela.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła Karola. Mężczyzna stał tuż obok niej, porażony tym, że oto urzeczywistniła się jedna z jego fantazji. Patrzył na nią tak, jak nikt wcześniej. Zobaczył Anne jako kobietę i matkę. Wyobraził sobie ją jako siedzącą przed kominkiem uroczą staruszkę, opowiadającą fantastyczne bajki wnukom... Podeszedł do niej, ujął jej dłoń i przyciągnął ją do siebie. Odsunął loki z czoła.

– Nic nie rozumiesz, prawda? – Anne westchnęła pokonana, czując go tak blisko. – Nie rozumiesz, że już skończyłeś opowieść. Nie zepsuj jej teraz monologiem, który wcale do niej nie pasuje.

– Skąd możesz to wiedzieć? Nie wiesz, co znajdzie się w tym monologu.

Grzbietem dłoni pogładził jej blady i szorstki policzek. Musnął brwi, nos i usta.

– Wiem – powiedziała, a zamknawszy oczy pozwoliła, by objął ją w pasie. – Bohater powie dziewczynie, że nie może bez niej żyć. A ona wysłucha go i wpatrując się w niego cielecym wzrokiem, zapragnie uwierzyć, choć przez jedną noc, że to możliwe. – Jej ciało, zmęczone napięciem, zachwiało się w jego ramionach. – Ale następnego dnia, kiedy mgła się rozrzedzi i odpłynie z Wyspy, wszystko wróci do rzeczywistości. Wtedy ona zda sobie sprawę z tego, że nie urodziła się po to, by podążać za mężczyzną. A on zrozumie, że nie może i nie chce porzucić rodziny.

– Ale to ja jestem pisarzem i to ja zdecyduję, jak zakończy się ta opowieść.

Anne otworzyła oczy.

– Więc pozwól, że pominę tę stronę. Jestem czytelniczką i postanawiam nie czytać przynajmniej tej strony. Niech tej nocy fantazje pozostaną tam, gdzie ich miejsce. – Utonęła w jego oczach. – A jutro niech mgła zmaże to wszystko.

\*

Karol objął ją w świetle płomienia zalewającego pokój bursztynową poświatą. A ona zgubiła się w jego krzepkim i ciepłym ciele. Bardzo powoli rozplatał jej jasny warkocz i zanurzał dłonie w morzu kosmyków. Poczul, że pachną rumiankiem.

Zbliżył usta do jej ust. Poczul jej przerywany oddech i całował te małe, zimne wargi, drżące pomiędzy jego ustami, aż udało mu się je rozgrzać.

Całowali każdy kawałek skóry. Wędrowali w górę i w dół, zapamiętując każdą małą dolinę, wgłębienie i górskie pasmo. Jak odkrywcy pospiesznie rysujący w głowie mapę intymnej geofizyki, by mogli odtworzyć ją w pamięci, kiedy będą z dala od siebie. Zatopili się w sobie, jakby nie obchodziło ich, czy znajdą drogę powrotną.

*Dzień 14*

Kiedy świt zajrzał do okna, Karol otworzył oczy. Leżał na fotelu, trzymając w ramionach otuloną kocem Anne. Tuż obok, w fotelu, spało dziecko Lili, które oddychało w rytmie ich oddechów. Leżeli tak całą wieczność, z zamkniętymi oczami, choć obudzeni. Przedłużali tę chwilę czystego szczęścia, która pozostanie w ich pamięci jako kolejny rozdział opowieści. Szkoda, że rzeczywistości nie można napisać tak, jak powieści – pomyślał Karol, okręcając jej loki wokół swoich palców, nieświadomy tego, że ich miłosne uniesienie mogło mieć świadków. Tego, że ktoś obserwował tę scenę zza brudnego okna. Ktoś, czyje oczy kipiały zdziwieniem i gniewem. Ktoś, kto zobaczywszy to wszystko, był gotowy zniszczyć takie zakończenie opowieści.

\*

Tymczasem, po drugiej stronie Wyspy, pomiędzy porannymi mgłami drogę torowała sobie łódź, popychana przez wiosłujących sześciu więźniów. Gęsta mgła rozstała się i Seymour Friedman zobaczył jeden z najbardziej porażających widoków, jaki miał okazję zobaczyć w całym swoim dziennikarskim życiu. Pożałował tego, że schował aparat do futerału i że statyw nie utrzymałby równowagi w tak chybotliwym środku transportu. Lata później, kiedy córka zapyta go o najlepsze zdjęcia jego życia, odpowie jej, wspominając ten widok: „Te, których nie zrobiłem”. Ponieważ żeby sfotografować to, co miał teraz przed oczami, musiałby uwiecznić na fotografii delikatny ruch warstw jedwabistej mgły opływającej twarz przypominającego pirata strażnika, otaczającej go dookoła ołowianej wody, wagę kamiennych budowli, które zdawały się zatapiać Wyspę, pokutny krok ubranych w pasiaki więźniów spacerujących w określonym szyku i atmosferę niezwyklej przygody, którą nadawała temu krajobrazowi latarnia odcinająca się na tle gęstych chmur. Ruchomy obraz, pomyślał niewysoki dziennikarz. Nawet sobie nie wyobrażał, że pierwszy film, zarejestrowany przez przywieziony do Nowego Jorku wynalazek braci Lumière, pokaże przejażdżkę łodzią wokół właśnie tego skrawka lądu.

Kiedy Seymour Friedman postawił stopę na pomoście na Wyspie Blackwella, poczuł, że zerwał ostatnią łączącą go z rzeczywistością cumę. Na

stałym lądzie czekał na niego samotny czarny olbrzym z zapaloną pochodnią.

– Niech szczęście będzie z tobą – powiedział Olbrzym, zarzucając na ramię okazały futerał chroniący aparat.

Marley związał strąki włosów w kucyk, założył pasiastą czapkę i jednym susem wyskoczył z łodzi. Powiedział Friedmanowi, że natychmiast poinformuje pana Dickensa o jego przybyciu, i odszedł, dźwigając kufer podróżny pisarza. Dziennikarz, nadal oszołomiony, ograniczył się do podążania za swoim aparatem – ostrożnie, proszę uważać, to bardzo delikatny sprzęt... – spoczywającym w ramionach człowieka, który wyglądał jak przybysz z innego świata. W końcu dotarli do kaplicy Świętego Nelsona, która z początku dziennikarzowi wydała się kryjówką rozbitka.

\*

W zakładzie psychiatrycznym Ada wstała bardzo wcześnie. Chciała się przygotować do zakończenia misji. Drżącymi dłońmi rozczesywała rude włosy Lili i zaplatała je w długi warkocz. Musimy być gotowe – powiedziała młodej matce.

To był początek ich wolności.

W jej głowie dziecko już należało do Nowego Świata.

I w pewnym sensie tak było. Lili, zamknięta we własnym świecie, z czułością spoglądała w puste ramiona, splecione na piersi tak, jakby kołysały niewidzialne dziecko. Będzie tak robić przez wiele lat i z tego będzie znana na Wyspie. Z czasem wokół Lili zaczną krążyć wiele legend. Słuchając, jak śpiewa kołysanki wiatrom, ci, którzy poznali jej tajemnicę, będą jej współczuć, nie domyślając się, że pomieszane zmysły Lili nadal będą widzieć dziecko w ramionach.

\*

W pokoju obok Darcy Moore ścieliła łóżko, próbując ukryć malujący się na jej twarzy uśmiech piętnastolatki. Obudziła się z piosenką na ustach i grającą w sercu muzyką. Przypadkiem była to ta sama piosenka, którą podśpiewywał właśnie latarnik McCarthy, zaparzając w jednym garnku liście herbaty, podarowanej mu przez Floritę. W tamtej chwili nawet nie podejrzewał, że podarowany mu przez staruszkę smaczny napój był napojem miłosnym. Już po pierwszym łyku spojrział smutno na metalowy kubek, który nigdy nie miał kubka do pary. Oparty o barierkę swojej wysokiej latarni, poczuł się samotny jak nigdy dotąd.

Miał swoją ziemię.

Miał też pracę: wskazywał marynarzom drogę do portu. A gdzie był jego port? Kiedy w końcu do niego zawinie? Jaki to wszystko ma sens, jeżeli nie ma się tym z kim podzielić? Zmartwiony McCarthy kilkakrotnie okrążył taras latarni.

Nagle wydało mu się, że słyszy kroki. Nie wiedzieć dlaczego, ale wyobraził sobie, że Darcy Moore stoi na dole, pozdrawia go i puka do drzwi. Z całych sił wyteżył zmęczone oczy, ale dojrzał tylko więźnia Marleya z kufrem podróżnym. Uderzał w drzwi obserwatorium najpierw pięścią, a potem dobijał się otwartymi dłońmi.

\*

Karol otworzył drzwi. Intensywnie wpatrywały się w niego, po raz pierwszy pogodnie, oczy więźnia. Przyjechał fotograf – oznajmił, i ciągnąc kajdany, wszedł do środka. Obok kominka siedziała Anne. Tuliła małą w ramionach i poła ją naparem. Zobaczywszy kufek, na chwilę przerwała.

– Musimy się pospieszyć – nalegał Marley. – Tom jest z dziennikarzem i nikt nie trzyma straży na zewnątrz. To niebezpieczne.

Zabrali się do pracy. Karol podwinął rękawy koszuli i wyjął ubrania z kufra. Marley pogrzebaczem robił otwory w bocznej ścianie kufra. Jego wnętrze było wyłożone żółtą satyną. Włożyli do środka kilka poduszek i kufek wydał im się kołyską godną księżniczki. Atmosfera w pokoju zrobiła się gęsta. Wszyscy wiedzieli, że nadszedł czas. Marley podszedł po pielęgniarki.

– Mogę? – zapytał, patrząc na dziecko.

Anne włożyła mu dziewczynkę w ramiona. Owionął go zapach mleka i pozwolił, by na chwilę oszołomiła go niecodzienna szarość jej źrenic. Pocałował ją w czoło i powiedział: „Powodzenia, maleńka”. Potem pospiesznie oddał ją pielęgniarce. Rozpuścił kucyk, a kiedy kilka strąków włosów zakryło mu oczy, poinformował szorstko, że zaczeka na nich na zewnątrz.

– Marley – powiedział Karol, trzymając w dłoni butelkę brandy, którą dostał od Irvinga. – Niech strażnik pilnujący łodzi pociągnie kilka solidnych łyków przed wypłynięciem. Powiedz, że to prezent ode mnie. Za pomoc z bagażem...

Więzień wziął butelkę i wyszedł z obserwatorium.

Karol przyglądał się małej. Dziewczynka wypła łąpczywie napar i pochlipywała sennie w ramionach pielęgniarki.

– Anne, nie możemy dłużej czekać – powiedział. – Już czas.

Anne potaknęła w milczeniu. Ucałowała małą pospiesznie i podtrzymując jej główkę, włożyła do zaimprovizowanej kołyski. Potem przytuliła się do Karola. „Dziękuję...” – powiedziała cicho – „Dziękuję”. – Karol wziął jej znów zimne dłonie w swoje.

– Wydostaniemy tę małą z Wyspy, Anne. Obiecuję ci to.

Dziewczynka bawiła się, pociągając za koc, w który ją zawinęli. Potem przeciągle ziewnęła i zasnęła. Napar Flority zaczął działać. Karol włożył surdut i poczuł, że coś ciąży w jego kieszeni. Włożył do środka dłoń, wyjął i otworzył kompas.

Igła stała w miejscu. Tym razem wskazywała na kufek, zza którego

obserwowała go Anne. Wtedy zrozumiał, że w końcu je odnalazł. Kompas, tak jak mu to przepowiedziała Mary na łożu śmierci, zaprowadził go do jednego z jego marzeń. Do marzenia, które za chwilę miało się spełnić. Do marzenia, które będzie wspominał do końca swych dni.

Jego marzeniem było wywiezienie tej małej istoty z Wyspy.

Teraz musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby plan się powiódł.

Nie mógł ich teraz zawieść.

Pisarz zbliżył się do kufra. Dziecko, choć spało, najwyraźniej wyczuło jego obecność, bo wyciągnęło rączki, w które Karol instynktownie włożył złotą busolę.

– Wskaże ci marzenia, maleńka – szepnął, gładząc główkę dziewczynki. – A ty, w zamian, pomożesz innym spełnić marzenia.

Anne przytuliła się do jego pleców. Potem uważnie, żeby nie obudzić małej, pomogła mu zamknąć pokrywę kufra, za którą zniknęła twarz dziewczynki. Sądziła, że już nigdy jej nie zobaczą.

\*

Poprzedniej nocy Luciana, na polecenie panny Grady, zawiadomiła wszystkie osoby biorące udział w eksperymencie, że pan Dickens chciał się z nimi pożegnać. Sprowadził też dziennikarza z „New York Timesa”, żeby zrobił im zdjęcie na pamiątkę spotkania. Jak można się było spodziewać, wywołało to wielkie poruszenie wśród pielęgniarek. „New York Times”? – powtarzały między sobą podczas śniadania. Czy o nich prasa też napisze? Za to Luciana, chociaż chętnie nadstawiała ucha wszelkim plotkom, tym razem czuła, że zżera ją zazdrość i nienawiść. W nocy nie mogła zasnąć. Poprzedniego wieczoru panna Grady zwołała wszystkie pielęgniarki i poinformowała je, że zaczną przygotowywać Anne Radcliffe, by w przyszłości mogła ją zastąpić. Jak to możliwe? Przecież nią gardziła! Czarę goryczy przelała jedna z jej koleżanek, która chichocząc, wyjawiała jej, że pan Dickens poprosił o pozwolenie, by wieczorem wyprawić pożegnalne przyjęcie, na które jej nie zaproszono.

Ale Anne Radcliffe, oczywiście, była zaproszona.

Ona, ona... Ona! Tak. Ona! Powtarzała, szarpiąc szczotką gęste ciemne włosy. Ona... omamiła go tą swoją dziecięcą twarzyczką i przebiegłym umysłem. Przecież nie potrafiła przeczytać dwóch pełnych linijek jego powieści. Dlaczego? – pytała, popłakując z wściekłości i ubierając się, żeby wyjść na spacer. Nie wytrzyma już ani sekundy dłużej. Co takiego w niej widział? Zastanawiała się na głos, zamiatając spódnicą oblodzoną drogę. W końcu ciekawość, czy też instynkt odtrąconej, zawiodły ją do obserwatorium. Kiedy była już blisko, skuliła się i podeszła do jednego z okien.

Ostrożnie zajrzała przez szybę.

W środku panował półmrok. Zdawało jej się, że zza spowijającej okno pary

jej oczy dostrzegają największy koszmar. Byli tam. Obejmowali się w świetle kominka i wtedy zobaczyła... Nie, to niemożliwe, powiedziała. To musiał być zły sen, bo nie miało to żadnego sensu.

Później, obawiając się, że nikt jej nie uwierzy, próbowała opowiedzieć o wszystkim pannie Grady. Ale ona nie chciała słuchać.

– Ale Panno Grady – nalegała, podając jej filiżankę parującej herbaty. – Musi mnie pani wysłuchać. Widziałam ich razem. Obejmowali się. I było tam też...

Przełożona pielęgniarek cisnęła filiżanką o podłogę i złapała ją za włosy.

– Nie wiem, co do ciebie nie dotarło, Luciano. Powiedziałam, że nie mam czasu na twoje babskie fochy. Wyświadczyć mi przysługę i się uspokój. A teraz idź i poszukaj osób, o których ci mówiłam. Niech zrobią to zdjęcie i się stąd zabierają. Zrozumiałaś?

Włoszka podniosła z podłogi filiżankę i czepek, który spadł podczas szarpaniny. Roztrzęsiona wybiegła z jadalni, odprowadzana uważnym wzrokiem koleżanek. Nie – powiedziała płacząc – Anne Radcliffe jej nie upokorzy.

\*

W kaplicy Świętego Nelsona zebrała się grupa osób, które wprowadziły Seymoura Friedmana w stan osłupienia. Pierwsza przyszła Florita. Dziennikarz spoglądał w jej matowe oczy, a ona zadawała mu setki naukowych pytań.

– Powiedz mi, *cocone*, czy na wyspie, z której pan przybył, studiuje się planety? – zapytała, a jej twarz marszczyła się w uśmiechu. – Czy wiedzą, że obecny układ gwiazd nie powtórzy się przez następne czterdzieści pięć lat?

– Nie wiem, co powiedzieć, proszę pani – odpowiedział dziennikarz, próbując przyzwyczać się do jej silnego, kwaśnego zapachu. – Nie czytałem o tym w żadnej gazecie.

– Ach, i jeszcze jedno, nie ma pan czasem tytoniu? – Skrzywiła się stara szamanka.

Friedman szeroko otworzył oczy. Nie ze względu na pytanie szamanki, ale ponieważ przechodzący tuż obok nich mężczyzna, który pozdrowił ich miłym „dzień dobry”, miał skórę niebieską jak letnie niebo nad Manhattanem.

\*

Potem przyszły Lili i Ada. Ta ostatnia cały ranek przygotowywała się do sesji zdjęciowej. Wy tłumaczyła coraz bardziej zdziwionemu dziennikarzowi, że poinformowała o niej całą swoją służbę. Poza tym była też wierną czytelniczką jego gazety. Na dowód pokazała mu egzemplarz, z którego zostało niewiele więcej niż okładka. Mężczyzna dostrzegł wyblakłą datę. Wydana pięć lat temu, tuż przed kryzysem – pomyślał. Wtedy jeszcze nie zwrócił uwagi na milczącą Lili. Dziewczyna osunęła się na ławkę ostrożnie, jakby obawiając się, że obudzi



niewidzialne dziecko, które tuliła w ramionach.

W drzwiach stała Darcy Moore z rozpuszczonymi, zmierzwionymi włosami. Szczebotała ze swoim latarnikiem, który przyspieszył kroku, widząc, że dziewczyna zbliża się do kaplicy.

McCarthy nie mógł przestać się nią zachwycać. Była tak piękna z rozpuszczonymi włosami. Pomyślał, że wspaniale wygląda w blasku rzeki.

Darcy odwróciła się, odrzucając włosy do tyłu. Zauważyła, że pasowała mu ta biała broda i że podobają jej się nieco starsi mężczyźni.

– Jak długo będzie pani przebywać na Wyspie Blackwella? – zapytał McCarthy, który nie mógł sobie wyobrazić, że przestanie móc ją oglądać.

– Cóż – odpowiedziała – w zasadzie trudno stwierdzić. Wszystko zależy od decyzji lekarzy.

– Mogę zapytać, za co panią skazano? – Pierwszy raz się zainteresował.

– Chodzi o to, że... – tłumaczyła z udawanym zawstydzeniem. – Że nie mogę się powstrzymać... no wie pan... że mam problem... jestem zbyt namiętna... Gdyby nie uznawali tego za chorobę, to mój piękny zadek wylądowałby w więzieniu.

Mężczyzna westchnął głęboko. Włożył dłonie do kieszeni wysłużonych spodni i powiedział, nie potrafiąc na nią spojrzeć:

– A czy pomogłoby... czy ja wiem, czy mogłoby pomóc, gdyby ktoś się zajął panią i pani zbytnią namiętnością... to znaczy, chciałem powiedzieć, chorobą?

Kobieta uśmiechnęła się. Jak na dłoni było widać, że myśli, iż McCarthy ma jej mało do zaoferowania. Ale to i tak więcej niż kiedykolwiek miała. Oferował jej kubek gorącej herbaty, śpiewanie piosenek z dzieciństwa i mieszkanie w wieży, na której rozpalał ogień, by wskazywała statkom drogę między skałami. Nie interesowało jej, czy kiedyś postradał zmysły. A on nie chciał wiedzieć, czy wcześniej była prostytutką. Prawdą jest, że przez dwadzieścia lat małżeństwa nigdy się tego nie dowiedzieli.

\*

Szczur i mały Tim bawili się na łące w odgadywanie przyszłości dziecka Lili. Zdaniem Tima zaadoptuje ją rodzina marynarzy. Potem dziewczynka nauczy się żeglować, zostanie odkrywczynią i będzie walczyć z piratami... Szczur wyśmiał jego pomysł i powiedział, żeby nie był głupi. Dziewczyny nie mogą być odkrywcami! Przez dobrą chwilę zanosił się śmiechem. Nie... będzie się dużo uczyć, a kiedy dorośnie, zostanie wielką damą. Będzie się kolorowo ubierać. I będzie nosić kapelusz tak ogromny, że z trudem będzie wsiadać i wysiadać z powozu – zdecydował Szczur, przypominając sobie kobiety, które poprzedniego wieczoru „widział” podczas spaceru z Dickensem.

Będzie taka jak one, zdecydował i odsłonił zęby, co mały Tim przyjął jako próbę uśmiechu.

– To oni! Idą! – wrzasnął podekscytowany Tim na widok wyłaniającej się z mgły pielęgniarki w towarzystwie Toma i jego pochodni.

Za nimi szli Karol i Marley, którzy nieśli kufer. Wszyscy wylegli z kaplicy, a wiatr rozkołysał dzwon „Boreasa”. Dziennikarz, zobaczywszy ich, nie mógł uwierzyć, że stoi przed nim ten sam człowiek, który zaledwie dwa tygodnie wcześniej wsiadł na łódź. Zeszczupłał, jego policzki pokryła świeża broda, której już nigdy nie miał zgolić, a w jego oczach było światło kogoś, komu wyjawiono tajemnice tego świata. Postawili kufer we wnętrzu kaplicy. Karol wyszedł, zamknął za sobą drzwi i uściśnął dłoń Friedmana.

– Dziękuję, że pan przyjechał, panie Friedman. To wielki dzień – powiedział, a dziennikarz stwierdził, że nawet głos mu się zmienił.

Dziwne – pomyślał. Dickens mówił z delikatnym irlandzkim akcentem, którego wcześniej nie zauważył.

\*

Zgodnie z poleceniem fotografa wszyscy udali się na plażę, ciągnąc ze sobą kufer, czego Friedman za nic nie mógł zrozumieć. Kiedy dotarli na miejsce, Karol usiadł na kufrze, a pozostali zebrali się wokół niego tak, jak za każdym razem, kiedy snuł swoją opowieść. U jego stóp siedział mały Tim, z kulami skrzyżowanymi na nogach. Obok siedziała Florita, rozprostowując spódnicę w niebieskie i zielone ptaki. Potem siedzieli: Ada z papierowymi kwiatami we włosach, Darcy Moore z wypiętą do przodu pierśią i latarnik trzymający ją pod ramię. Nieco dalej na piasku siedział Szczur. Za nim stał Marley żujący tytoń, sprawiający wrażenie, jakby tylko tamtędy przechodził. Po lewej stał Tom, który z zapaloną pochodnią i wieńcem na bujnej czuprynie wyglądał monumentalnie. Po jednej stronie Karola stała Anne Radcliffe, delikatnie opierając dłoń na jego ramieniu. Po drugiej – nieobecna myślami Lili, muskająca palcami kufer podróżny pisarza.

Dziennikarz przyglądał się temu niezwykle obrazkowi. Ten Dickens naprawdę jest niesamowity – pomyślał, obserwując go przez soczewkę aparatu, który przed chwilą ustawił na statywie. Jednak w tamtej chwili poczciwy Seymour Friedman nie mógł wiedzieć, co w rzeczywistości fotografował. Ani tego, że na zdjęciu była jeszcze jedna osoba. Ani tym bardziej tego, że po zrobieniu zdjęcia jego los się odmieni, a ono samo na zawsze odbije się na jego przyszłości. Nie rozumiał też, dlaczego niektórzy instynktownie spoglądali na kufer, na którym siedział Dickens.

– Czy to nas wciągnie? – zapytał mały Tim głośno. Taka ewentualność przeraziła Floritę, która wyobraziła sobie swoją duszę uwięzioną w małej skrzynce niczym w klatce ze świerszczami.

Jednak prawdziwa panika wybuchła po tym, gdy Friedman, z całkowitą

swobodą, zapytał Dickensa, czy ma strzelić jeszcze raz.

Ada wrzasnęła: „Padnij!” i gwałtownie zakończyła spotkanie, przekonana, że fotograf należy do wrogiej armii. „Zdrajca!” – wrzasnęła jak oszalała i rzuciła się na kufer, by chronić go własnym ciałem. Tym sposobem zakończyli sesję. Kiedy w końcu udało im się uspokoić Adę, sprawdzili, czy czegoś sobie nie złamała i ruszyli lekkim krokiem z powrotem w stronę kaplicy.

Łódź przyplynie za godzinę – oznajmiła im Luciana, która zjawiła się, przywołana hałasami.

Anne i Karol spojrzeli na siebie zatroskani.

– Chciałbym się chwilę pomodlić – powiedział nagle Karol ku zaskoczeniu Włoszki. Potem zwrócił się do dziennikarza: – Nie ma pan nic przeciwko? Pomodłę się za tych biedaków przed wyjazdem. Anne, zechce mi pani towarzyszyć?

Anne pospiesznie przytaknęła i ruszyła za nim. Dziennikarz nieco się zdziwił nagłą duchową potrzebą pisarza, który do tej pory słynął ze swojego sceptycyzmu. Postanowił jednak dać mu czas, o który prosił, dlatego powiedział, że chętnie pospaceruje plażą i trochę się rozejrzy. Nie codziennie ma się okazję spojrzeć na Nowy Jork z tego brzegu – powiedział, poprawiając czapkę i przyglądając się Dickensowi, który wraz z Marleyem niósł kufer do kaplicy. Dziennikarz z największą ostrożnością schował aparat. Niemal w tej samej chwili gorliwy olbrzym wyrwał mu futerał z dłoni i zaniósł go do kaplicy.

– Ależ oczywiście, proszę iść – zachęcał go Karol. – Poczekamy tu na pana i zaopiekujemy się sprzętem do pańskiego powrotu. Wystarczy zagapić się tu trochę, a w ułamek sekundy nawet ubranie człowiekowi zniknie – powiedział i zamknął drzwi kaplicy.

Dziennikarz, w towarzystwie Marleya, chwiejnym krokiem oddalił się plażą. Kopiąc wyrzucone przez rzekę kawałki drewna, zastanawiał się, jak można żyć w tym miejscu pozbawionym nadziei, radości i właściwie wszystkiego. W miejscu, w którym nawet mewy milkły.

\*

Wewnątrz kaplicy, tak jak zawsze, pachniało jak na statku. Anne uklęknęła i próbowała dojrzeć coś przez jeden z otworów w kufrze. Karol złapał ją za ramię i powoli podprowadził do ołtarza. Jej biały fartuch na chwilę zamienił się w suknię panny młodej.

Anne otoczyła jego szyję ramionami.

– To koniec naszej przygody – wyszeptała. Skaleczonym palcem gładziła pierwsze płytkie zmarszczki, które pojawiły się na czole pisarza. Teraz już wiedziała, że tworząc, marszczył czoło. Była pewna, że właśnie w tym miejscu wykluwały się wszystkie jego opowieści... Pocałowała go.

Karol popatrzył w jej oczy, dwa lustra, które odbijały zmieniające się kolory rzeki. Być może gdyby wiedziała, że nie różnią się pochodzeniem, być może wtedy...

– Anne, chcę ci coś powiedzieć. – Wahał się przez kilka chwil. W końcu wziął głęboki wdech. – Jest coś, o czym ci nie powiedziałem. Chcę, żebyś wiedziała to, czego nikomu nigdy nie powiem... Tak naprawdę ja...

Anne ponownie go pocałowała, nie chcąc usłyszeć końca zdania, korzystając z prawa do niewiedzy.

– Dla mnie jesteś i zawsze będziesz Karolem, pisarzem przeznaczenia – powiedziała. – Cudownym człowiekiem, którego nigdy nie zapomnę.

Karol po raz pierwszy pozwolił sobie na łzy.

Ponieważ mówiąc komuś, że nigdy go nie zapomnisz, mówisz, że go kochasz. Ponieważ od kiedy tylko napisał pierwsze słowo, pragnął być niezapomnianym. Płakał, tak, płakał przed tą kobietą, która tak dobrze go знаła, która przekonała go do podjęcia najważniejszego wyzwania, która wyciągnęła z niego prawdę, która w zaledwie czternaście dni przełamała jego dumę, która była jego towarzyszką, kochanką i przyjaciółką, która zaraziła go pasją życia, jakiej miała więcej niż ktokolwiek. Ponieważ wiedział, że ona nigdy tego nie przyzna, powiedział:

– Anne Radcliffe, a jeżeli nigdy nie przestanę cię kochać?

Anne zgubiła się w błękitach jego oczu.

Potem przytulił ją po raz ostatni. Chociaż w marzeniach będzie robić to jeszcze wiele razy. Jej jasną i czystą twarz nada tysiącu swoich bohaterów. Z każdego miłostnego wyznania swoich bohaterów uczyni posłańca swoich własnych słów i deklarację uczuć do Anne. Będzie miał nadzieję, że dotrą do niej przez ocean niczym pisany szyfrem list.

Potem poprosił ją, żeby na chwilę zostawiła go samego. Potrzebował kilku minut, by dojść do siebie. Inaczej ktoś mógłby coś podejrzewać.

Anne przytaknęła powoli i zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

\*

Kiedy wyszła, Marley i dziennikarz czekali już przy łodzi z pozostałymi pięcioma skazańcami. Był też strażnik z piracką przepaską, a jego jedyne oko wyraźnie zamgliła brandy. Jak mu powiedział Marley, to prezent od pana Dickensa.

Mgła przesłaniała wszystko, zupełnie jak w dniu jego przyjazdu.

Na pomoście stali też pan Scraugh, panna Grady i Luciana. Wydawało się, że przyszli się upewnić, czy Dickens na pewno wyjedzie. Za nimi w idealnym szeregu stanęły pielęgniarki, obok zajęli miejsca doktor Angelopoulos, aspirujący pisarz, i trzech młodzi lekarze, jego koledzy.

Karol poprosił Olbrzyna i Marleya, żeby wnieśli bagaże na pokład. Seymour Friedman szedł za aparatem, nerwowo powtarzając: „Ostrożnie, jest bardzo delikatny, ostrożnie”. Pozostali członkowie ruchu oporu przyglądali się kufrowi z uśmiechem, jakby wszyscy wybierali się na drugi brzeg. Tylko panna Lili stała na plaży, uniesiona na palcach, pozwalając, by wiatr bawił się jej włosami, stęskniona, wyczekująca cudu.

Karol schylił się, żeby przytulić małego Tima. – Pamiętaj, odkrywco, trzymaj się z dala od tygrysów – powiedział i puścił do niego oczko. Potem podszedł do Flority, która podała mu torbę pełną herbaty. Pogłaskała go po policzku. – Mój *cocone*... – szepnęła czule. Potem pożegnał się ze swoimi dwoma duchami. – Powodzenia, przyjacielu – życzył Tomowi, wyciągając do niego dłoń. Część personelu medycznego na chwilę przestała niespokojnie zerkać na zegarki i obserwowała go w osłupieniu. Karol ujął dłoń Olbrzyna w swoje dłonie: oby przy kolejnym spotkaniu byli wolnymi ludźmi. Tom pobłogosławił mu pochodnię. Potem przyszła kolej na Szczura. Poprosił go, by opiekował się panną Lili i aby zawsze pamiętał to, jak się teraz czuje, uczestnicząc w czymś wielkim. Ucałował dłoń Ady – podała mu papierowy kwiat, który wypięła spomiędzy włosów. Zapewne ukryła w nim jakąś wiadomość, ponieważ z porozumiewawczą miną powiedziała mu, żeby zasadził go zaraz po powrocie do Anglii. Darcy Moore i John McCarthy pożegnali go, stojąc z tyłu. Karol zauważył ich skrzętnie skryte, splecione dłonie.

Skraugh przeciskał się przez grupę lekarzy i pielęgniarek. Podszedł do niego.

– No, dobrze, panie Dickens. Mam nadzieję, że ten miesięczny pobyt u nas okazał się owocny.

– Spędziłem tu zaledwie dwa tygodnie – poprawił go Karol.

– No, proszę. – Dyrektor potarł brodę. – A miałem wrażenie, że znacznie dłużej, naprawdę. Cóż, mam nadzieję, że kiedy będzie pan opowiadał prasie o naszych ośrodkach... doświadczenie pobytu na Wyspie przywoła miłe wspomnienia... – powiedział i spojrzał krzywo na dziennikarza.

– Dziękuję za pańską gościnność, panie Skraugh. Może pan w to wierzyć lub nie, ale dzięki panu zebrałem wspaniały materiał do powieści...

Dyrektor otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale przerwało mu dochodzące z łodzi miauczenie. Coś jakby daleki płacz. Wszyscy odwrócili się w stronę rzeki, skąd spoglądał na nich przerażony Marley.

Wtedy Luciana wybuchnęła gromkim, wściekłym i niepowstrzymanym śmiechem. Dzięki ci Boże! *Grazie, grazie Madonna!* Panna Grady odwróciła się w jej stronę skonsternowana.

Anne, zatrwożona, spojrzała na Karola.

– Chwileczkę! – wrzasnęła Luciana jak oszalała. – Powiedziałam, chwileczkę!

Bojowym krokiem podeszła do łodzi.

– Wyciągnąć kufer! Natychmiast! – zażądała wyniośle.

Ada i Florita złapały się za ręce, a przerażony Szczur podbiegł do Anne Radcliffe. Strażnik-pirat obserwował to wszystko, otumaniony alkoholem.

– Panno Grady, co to ma znaczyć – wydusił z siebie zgorzony Scraugh.

– Niech pan każe otworzyć kufer. Proszę mi zaufać, panie Scraugh – nalegała Włoszka.

Anne zaszła jej drogę.

– Panno Grady, czy będzie pani tolerować takie zachowanie? – ostrzegła Anne złowrogo.

W grupie lekarzy i pielęgniarek wybuchło zamieszanie.

– Luciano, czy pani oszalała! – wrzasnęła stara diablica.

– Nie jestem wariatką, panno Grady – odparła Włoszka, chichocząc. – Zaraz się pani przekona.

Anne próbowała ją zatrzymać. Tymczasem Karol spoglądał na dziennikarza z uspokajająco-ironiczną miną i kręcąc palcem wskazującym na wysokości skroni, sugerował, że Luciana postradała zmysły.

W całym tym zamieszaniu oszalała Włoszka zaczęła szarpać za uchwyt kufra. Zdesperowany Marley, próbując zachować równowagę na łodzi, ciągnął za drugi uchwyt, a strażnik wrzeszczał do Scraugha, pytając, co ma zrobić. Od całego tego ciągnięcia kufer, ku przerażeniu członków ruchu oporu i zaskoczeniu dziennikarza, wpadł do rzeki.

Kufer zaczął szybko nabierać wody przez zaimprovizowane wywietrzniki. Wszyscy obecni podnieśli krzyk. Anne odepchnęła Włoszkę, wymierzając jej siarczasty policzek, i weszła do wody aż po kolana. John McCarthy wskoczył do rzeki, żeby uratować kufer przed zatopieniem. Kilka chwil później panna Grady i Luciana wyciągały kufer z wody, a lekarze zajmowali się latarnikiem, który dygotał i prychał na brzegu.

Włoszka posłała im triumfalne spojrzenie i z wściekłością manipulowała przy zamku. Tymczasem Scraugh krzyczał, że takie zachowanie jest nie do przyjęcia.

Anne podciągnęła przemoczoną suknię. Ruszyła pędem i rzuciła się na kufer. Potem spojrzała na Karola błagalnym wzrokiem. Pisarz obserwował ją z dziwną obojętnością i dał jej znak, żeby otworzyła kufer.

Otworzyła go. Powoli. Cała drżała.

Wszyscy zajrzeli do środka.

Nic.

W środku była tylko woda, która zniszczyła żółtą satynę i rozmiękczyła kwiecisty papier, którym wyłożono wewnętrzną stronę wieka.

Otumaniona Anne podniosła zaczerwienione oczy na uśmiechniętego Karola

i patrzyła z niedowierzaniem.

Przełożona pielęgniarek odwróciła się do Luciany niczym harpia.

– Panno Grady – ryknął Scraugh i patrząc spode łba na dziennikarza, chwycił ją pod ramię. – Myślę, że musi pani przemyśleć kryteria, według których wybiera pani pielęgniarki.

Luciana nie mogła uwierzyć w to, co się stało. A kiedy doktor Angelopoulos włókł ją do zakładu, wrzeszczała: *Ach, Madonna santissima!* Ratuje! Przecież widziała je na własne oczy. Mieli dziecko. Dziecko! Koleżanki spojrzały na nią ze współczuciem i udały się w drogę powrotną do zakładu. Za nimi ruszyła grupa strapionych lekarzy. To kwesta statystyki, nagle zgarbiony Scraugh wyjaśnił dziennikarzowi. Niektórzy członkowie personelu zapadają w chorobę. To bardzo ciężka praca, wychrypiał. Ale mieli sposoby, by poradzić sobie z takimi wyjątkowymi przypadkami. Panna Grady natychmiast zaproponowała, żeby zamknąć Lucianę z „tymi od lin”, przynajmniej do czasu, aż zaobserwują choćby najmniejszą poprawę.

\*

Członkowie ruchu oporu szukali oczu pisarza z tym samym pytaniem wymalowanym na twarzy. Pisarz ograniczył się do uspokajającego gestu. Do widzenia, przyjaciele. Niech Bóg wam błogosławi, powiedział. Nie tracąc więcej czasu, Karol ostatni raz pocałował dłoń Anne. Kobieta patrzyła na niego w dalszym ciągu oniemiała. Oddech miała płytki, przerywany.

– Do widzenia, Anne. – Odetchnął głęboko. – Proszę pamiętać, że zawsze będę trzymał mój koniec liny.

– Do widzenia, panie Dickens. – Uśmiechnęła się na tyle, na ile starczyło jej sił. – Dziękuję, że pozwolił nam pan zamieszkać w jednej ze swoich opowieści.

Potem szepnął jej coś do ucha i wszedł na pokład.

Oszołomieni konspiratorzy ukradkiem skierowali oczy w stronę, w którą patrzyła Anne: na czarny futerał spoczywający obok dziennikarza, na łódź, z której ponownie dochodziło niemal niesłyszalne kwilenie.

– Panie Scraugh, mam jeszcze jedną prośbę – krzyknął Karol, nakładając cylinder i zerkając na wioślarzy, którzy odpychali łódź od pomostu. – Jak pan wie, my, Anglicy, lubujemy się w ceremoniach. Sprawiłoby mi wielką przyjemność, gdyby więźniowie zaśpiewali mi pieśń pożegnalną. Czy nie miałby pan nic przeciwko, żeby John McCarthy przygrywał im z brzegu na skrzypcach?

Anne parsknęła czymś pomiędzy śmiechem a szlochem. Zdumiony Scraugh przytaknął.

– Oczywiście, ależ oczywiście... – zgodził się skołowany.

Na wszystkich świętych, pomyślał, kuląc się wewnątrz płaszcza. Ten Anglik był nieznośnie ekstrawagancki.

Marley i Karol na całe gardło zaintonowali pieśń, nie czekając nawet na pierwsze, dochodzące z plaży dźwięki. Dołączył do nich nawet, rozochocony brandy, strażnik-pirat.

Łódź, która miała zawieść ich z powrotem do rzeczywistości, odbiła od brzegu Wyspy. Powoli, z każdym pociągnięciem wiosła, zagłębiała się we mgle. Karol nie przestawał śpiewać *Amazing Grace* – pieśni, którą zaintonowali w kaplicy Świętego Nelsona, wiersza napisanego przez handlarza niewolników. Patrzył na machające na pożegnanie dłonie i czapki szaleńców wylatujące w górę niczym dziwaczne mewy. Słuchał dobiegających z brzegu głosów konspiratorów z Wyspy Blackwella, śpiewających w rytm wygrywanej na skrzypcach melodii. Starali się, by ich głosy przebiły się przez niewidzialny mur, by dotarły na przeciwległy brzeg. Słuchał głosów zapewniających, że nie ugną się przed niesprawiedliwością tego świata, że nie będą szanować krzywdzącego prawa. Słuchał tego chóru rewolucjonistów, niosącego to samo przesłanie, które w tej samej chwili wybrzmiewało po drugiej stronie świata, wyśpiewywane przez chór niewolników z *Nabucco*. Udało im się sprawić, by jeden z nich przedostał się na drugą stronę rzeki.

Karol szukał na drugim brzegu Anne. Spacerowała po plaży, nie odrywając od niego wzroku. Nadciągający od morza wiatr trzepotał jej włosami. Nieco dalej dojrzał Lili. Powiewała na plaży niczym piękna biała flaga. Żegnała ich ruchem eterycznej dłoni.

– Nadchodzi – nagle krzyknęła ożywiona, kiedy podeszła do niej pielęgniarzka. Wychudłym palcem wskazywała miejsce, z którego wylaniała się mgła. – Wiedziałam. To pani z rzeki, Anne. Widzisz ją? Przyszła zabrać moją córeczkę.

Anne przytuliła ją, śmiejąc się. Przez łzy patrzyła na znikającą we mgle łódź. Pisarz, wciąż śpiewając, położył czubki palców na futerale aparatu.

Pierwszy zniknął dach zakładu psychiatrycznego. Następnie, jedna po drugiej, rozmyły się sylwetki postaci. W końcu stojąca na plaży Anne, główna bohaterka, wyparowała niczym biały smukły duch.

Potem ucichły skrzypce.

Zgasło rytmiczne pulsowanie latarni.

Pozostały tylko wydobywające się z bieli głosy. Jakby zasiadł nad pierwszą stroną nowej powieści, która rozpocznie się na drugim brzegu.



*Wyspa Blackwella, 1867 r.*

Dickens śpiewał. Śpiewał głosem, na którym czas odcisnął swe piętno. Śpiewał tak, jakby przez te dwadzieścia pięć lat nigdy nie przestawał nucić hymnu napisanego przez nawróconego handlarza niewolników. Hymnu, który ironicznym zrządzeniem losu szybko za swój przyjmą chóry gospel. Hymnu, który w Harlemie wyśpiewywać będą oplakujący Luthera Kinga. Hymnu, który wykrzykiwać będą młodzi, protestując przeciwko wojnie w Wietnamie.

Dickens śpiewał, a Margaret i mała Nellie słuchały go, wtulone w siebie. Chorzy wyszli z zakładu psychiatrycznego i otaczali ich, zaciekawieni. Tak jak wtedy, wiele lat temu. – „Co stało się potem? – zapytała Margaret, wycierając policzki chusteczką. Dickens zatopił wzrok w szarym horyzoncie, rozmazanym przez fabryczny dym. Mijały lata, kochana, jedynie lata płynęły...

Pisarz opowiedział, jak po przybiciu do gwarne go, jasnego i pełnego pośpiechu portu na Manhattanie odwrócił się, by popatrzeć na płaską linię szarych budynków, w którą zmieniała się Wyspa Blackwella. I jak w tamtej chwili pomyślał, że to wszystko mu się tylko przyśniło.

Tak blisko i tak daleko...

Uściskał dłoń więźnia Marleya, który z najwyższą ostrożnością podał mu futerał i pożegnał się skinieniem głowy.

Łódź odpłynęła, jak zawsze, niknąc we mgle.

Potem Seymour Friedman zagwizdał na woźnicę. Przed odjazdem Karol delikatnie włożył futerał do powozu. Proszę – powiedział. Proszę uważać, żeby nikt panu nie ukradł aparatu. Dziennikarz szeroko otworzył oczy. Niech tak nie mówi, nawet w żartach. Nawet za tysiąc lat nie uzbierałby wystarczająco, żeby go odkupić. Wtedy pisarz rozpiął surdut i sięgnął do kieszeni. Zapytał go, ile takie cacko może kosztować. Potem wcisnął mu w dłoń gruby plik banknotów. Czy to wystarczy? Powiedział, że to na wszelki wypadek, gdyby aparat się zepsuł. Dziennikarz otworzył oczy jeszcze szerzej. Ależ panie Dickens... Pisarz przerwał mu i powiedział, że gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości, to powinien skontaktować się, zachowując pełną dyskrecję, z Anne Radcliffe.

Karol zamknął drzwi powozu, a dziennikarz wychylił się przez okno. Niech się pan nim dobrze opiekuje, powiedział Dickens, starannie wymawiając każde

słowo. I proszę przekazać żonie, żeby się nie martwiła. Zawiesił tajemniczo głos. Czasami dzieci pojawiają się po wielu latach, kiedy człowiek najmniej się ich spodziewa. Proszę mi wierzyć, coś o tym wiem. Potem dwukrotnie uderzył w powóz.

Tamtego popołudnia równie zdezorientowany jak zadowolony dziennikarz, przekonany, że pisarz oszalał podczas pobytu na Wyspie, wszedł po schodach do domu z taką energią, że nawet aparat wydał mu się lżejszy niż zwykle. Nie zrozumiał usłyszanych słów aż do chwili, kiedy otworzył futerał przy żonie, opowiadając jej w euforii, że nie tylko zrobił wywiad na wyłączność, ale i dostał pieniądze... To cud, na który czekaliśmy! – powiedział dokładnie w chwili, gdy ukazała im się zaróżowiona twarzyczka dziecka, które niczym Mojżesza wyratowano z wody. Na piersi maleństwa spoczywał kompas.

Margaret próbowała o coś zapytać, ale Dickens jej nie usłyszał. Śpiewał, siedząc na plaży, i przypomniał sobie, jak zostawszy sam w kaplicy, przełożył dziecko z kufra do futerału. Podpowiedziało mu to serce czy przecucie? Przypomniał sobie, jak ukrył aparat za amboną i jak przed wejściem na łódź powiedział Anne, żeby schowała go w obserwatorium.

Dickens śpiewał dalej, bo tak naprawdę nigdy nie przestał nucić. *Zgubiony, nędzny byłem ja, lecz odnalazłem się. Ślepcem byłem ja, lecz na oczy przejrzałem.* Przez cały ten czas mijały lata, Margaret, jedynie lata płynęły. Wrócił do Anglii z Kate. Nowojorscy krytycy nie tylko wściekle zaatakowali jego książkę *Notatki z podróży do Ameryki*, w której opisywał swoje wrażenia z Nowego Świata, ale też zmieszali z błotem całą jego twórczość. Kiedy był już niemal pewien, że nie podniesie się po takim ciosie, postanowił, że znowu powinien zacząć kierować się intuicją. Pomyślał, że na Wyspie Blackwella nauczono go wierzyć w moc marzeń, w to, że tylko dzięki nim można pokonać każdą przeszkodę. I choć nie mógł opowiedzieć o tym, co tam zobaczył, chciał spisać opowieść wigilijną, którą opowiadał im na plaży. Chciał zrobić to dla nich... Umówił się z wydawcą i powiedział, że chce napisać opowieść o duchach i nadziei... Skąd mógł wiedzieć, że właśnie ta opowieść zapewni mu miejsce w książkach Historii.

Dickens śpiewał dalej, ale coś ścisnęło mu gardło. Jakby nadal, w jakimś sensie, czuł się winny. Wtedy przed oczami przepłynęły mu, niczym podmuch wiatru, narodziny każdego z szóstki dzieci, głośny rozwód z Kate, wiadomość o śmierci ukochanego Washingtona i wybuch wojny, którą przepowiedział...

\*

Margaret i Nellie wsłuchiwały się w śpiew pisarza, który utkwiał wzrok w spokojnej teraz rzece. Przed oczami nauczycielki, niczym żołnierze, przemaszerowały wspomnienia chwil spędzonych na Wyspie z Anne Radcliffe. Chwil, w czasie których zostały przyjaciółkami: spacer po plaży z Darcy, wdową

po latarniku, i jej pełne swady opowieści o dawnych czasach na Wyspie. Zauważyła, że dzięki opowieści Dickensa i fotografii, którą teraz ścisnęła w dłoni, udało jej się wyobrazić sobie twarze i głosy niektórych postaci, o których opowiadała wtedy Anne. Wyobraziła sobie elegancką staruszkę, która dożyła stu lat i która, jeszcze przed jej przybyciem na Wyspę, nauczyła czytać i pisać wiele mieszkających tutaj dzieci. Wspomniała najślynniejszego w Five Points, niewysokiego chuligana, który został przywódcą jednego z gangów, zawiadujących wozami strażackimi. Choć oddawał się licznym nielegalnym zajęciom, to uratował też życie wielu ludziom, ponieważ potrafił wślizgnąć się dosłownie wszędzie. Pomyślała o małym Timie, który wrócił do domu, gdy okazało się, że jego ojca nie można skazać. Przypomniała sobie też pana Scraugha, starego dyrektora, który odwrotnie niż Scrooge dokładał ogniwo do swojego łańcucha i którego w ostatnich latach życia pożerały spóźnione wyrzuty sumienia. Podobnie było z panną Grady, która ostatnie lata życia spędziła, siedząc w oknie, gnębiona przez setki mściwych duchów. Za to nigdy, tak do końca, nie uwierzyła w legendę panny Lili. Aż do dzisiaj – pomyślała Margaret z czułym uśmiechem. Teraz rozumiała też, dlaczego z biegiem lat Anne coraz bardziej to denerwowało. Mówiono, że któregoś burzowego dnia Lili jak zwykle poszła na plażę, by wskazywać na horyzont, i nie wróciła. Niektórzy chorzy twierdzili, że widzieli z okien, jak Lili kroczy po wodzie i znika we mgle.

Margaret westchnęła. Tak bardzo tęskniła za Anne. Tak bardzo chciała, żeby mogła teraz z nimi być. Nauczycielka przypomniała sobie triumfalny wzrok Radcliffe, kiedy w końcu otworzono szpital Smallpox na południowym krańcu Wyspy, o który tak usilnie zabiegała jako przełożona pielęgniarek. Przypomniała sobie też okrutny żart losu – epidemię ospy, która wybuchła kilka lat temu i dzięki której na jakiś czas na Wyspie Blackwella zapanowała demokracja. Zgodnie z zarządzeniem, wszystkich chorujących wywożono na Wyspę. Wszystkich. Biedni i bogaci, czarni i biali leżeli w nowym szpitalu. To właśnie im Anne Radcliffe poświęciła ostatnie dni życia: ocierała im pot z czoła i smarowała ich kojącymi maściami, które nauczyła ją robić Florita. By zapomnieli o chorobie i by marzyli na jawie, dzień i noc, streszczała im powieści, które potrafiła już płynnie czytać. Wiele z nich było autorstwa Dickensa. W końcu sama się zaraziła.

Marzycielka Anne tej nocy, kiedy trawiona gorączką żegnała się ze światem, zapewniła Margaret, że pewnego dnia wielki pisarz Karol Dickens powróci na Wyspę, by dalej snuć swoją opowieść.

Piękną opowieść, w której Anne żyła od tamtej chwili...

Kłęcząc nad zimnym kamieniem, Karol pogładził palcami jej imię, tak samo jak kiedyś gładził jej usta.

ANNE RADCLIFFE

(1822–1866)

Pogładził też znajdujące się w nawiasie daty. Wszystkie te lata, które przeżył bez niej, każdą jedną sekundę, w której jej migdałowe oczy były otwarte.

Margaret podeszła do pisarza i pomogła mu wstać.

Nawet mała Nellie, wzruszona, wyciągnęła do niego dłoń.

Anne chciała, by ją pochowano u stóp latarni. Mimo zakazu. Choć nie była to święta ziemia, dla niej właśnie taką była. Dickens uśmiechnął się boleśnie.

– Byłbym naprawdę rozczarowany, jeżeli nie popełniłabyś tego ostatniego rewolucyjnego występu, Anno Radcliffe – powiedział drżącymi ustami i wciąż wpatrzony w grób otrzepał spodnie.

Naprawdę nie ma lepszego miejsca, by ją wspominać, pomyślał. Na tabliczce, pod jej imieniem, wyryto zdanie:

*Prawdziwe światło tej Wyspy*

Także dla niego była światłem przez te wszystkie lata po powrocie z Wyspy. Przez wiele lat go oświeślała. Kiedy ponownie znalazł się pomiędzy swoimi afektowanymi kolegami z Royal Society w Londynie. Podczas rozmów z politykami, z którymi zwykle umawiał się na popołudniową herbatę i kanapki z ogórkiem, a którzy bali się jak mali chłopcy za każdym razem, gdy napotykali jakąś przeszkodę. Którzy twierdzili, że nie mogą sprzeciwić się koronie i władzy. Którzy narzekali, że brak im narzędzi, by wprowadzić wolność. Wtedy patrzył na nich i na siebie z czułością bardzo zbliżoną do zawstydzenia. Wyciągał coraz starszą fotografię z szuflady biurka i rozmyślał o blasku tej kobiety, o jej sile i o Wyspie.

– Na tej Wyspie – krzyknął pisarz – w tym otoczonym wodą więzieniu, w tym miejscu, w którym nie istniało nic z tego, o co ludzie walczyli, spotkałem wolnych ludzi. Rozumiesz, Margaret?

Wyczerpany przetarł twarz dłońmi.

Wyznał Margaret, że przez wszystkie te lata bardzo pragnął dostać od Anne choćby krótką wiadomość. Przez cały ten czas wysyłał na Wyspę każdą swoją wydaną książkę i zawsze wpisywał w niej zaszyfrowaną dedykację. Przesłał także *Opowieść wigilijną*, którą napisał rok po opuszczeniu Wyspy.

– Ale Anne nigdy nie odpisała – poskarżył się pisarz. – Nawet nie wiem, czy je dostała.

Wtedy Margaret, która na chwilę weszła do obserwatorium, by zostawić go samego z bardzo osobistymi wspomnieniami, zaprotestowała. Wróciła na plażę i podchodząc do niego, podała mu coś, co chowała za plecami.

KAROL DICKENS

*Opowieść wigilijna*

Otworzył książkę, z której wypadły dwie kartki. Na pierwszej stronie rozpoznał swoje pismo i jedną z tych wiadomości, które przysyłał niczym list w butelce:

*Londyn, grudzień 1843 r.*

*Dla mojej kochanej Anne:*

*Pamiętaj, że wciąż trzymam mój koniec liny.*

*Z największą miłością i uwielbieniem*

*Karol*

Właśnie miał zamknąć książkę, kiedy je dostrzegł. Zdanie, które nie należało do niego. Napisane wąskim, pochyłym pismem, którego nigdy wcześniej nie widział. Napisała tylko: „Ja też. Na zawsze”, a obok jej podpis rozmazany ku końcowi, jakby kiedyś zamókł.

Wiadomość, która dotarła do niego z zaświatów. Anne chciała, by mu ją przekazano, kiedy przyjedzie na Wyspę. Być może sama nigdy nie potrafiłaby tego zrobić. Dickens zamknął książkę i pogładził okładkę wierzchem dłoni.

– Jest pańska – potaknęła Margaret, próbując wydobyć słowa z gardła.

\*

Zimna i dziwna cisza spowiła Wyspę. Mewy zataczały nad nimi spokojne kręgi. Tylko Nellie, trzymając pisarza za rękę, podśpiewywała niektóre urywki piosenki, której przed chwilą się nauczyła.

Czy niedostrzegalny ruch jednego pokolenia mógł wywołać rewolucję w kolejnym? – zastanawiała się wielokrotnie Anne Radcliffe podczas bezsennych nocy spędzonych w obserwatorium. Stali razem, Nellie, Margaret i on. Troje ludzi zjednoczonych przez dzieje Wyspy. Gdyby podejrzenia Scraugha okazały się

prawdą, to być może Dickens mógłby przewidzieć, że jego nowa, mała bohaterka kiedyś wróci na Wyspę, żeby odwdziżyć się za przysługę. Że zapamięta słowa piosenki i obrazy z tamtego dnia. Że Nellie zapamięta swoje nowe imię, chociaż nie będzie wiedzieć, że zawdzięcza je autorowi *Magazynu osobliwości*. Być może potrafiłby wyobrazić sobie także to, że zostanie jedną z najsłynniejszych dziennikarek swoich czasów, mając niewiele ponad dwadzieścia lat. Oraz to, że udając chorą psychicznie, pozwoli umieścić się w budzącym grozę zakładzie na Wyspie Blackwella i w ten sposób wymyśli nowy rodzaj dziennikarstwa – reportaż uczestniczący. Być może wyobraziłby sobie też to, że Nellie napisze serię kontrowersyjnych reportaży *Dziesięć dni w domu wariatów*, która zatrzęsie sumieniami w całym kraju.

Kiedy sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, dzięki tym reportażom ostatecznie skończono z bezprawiem na Wyspie.

\*

Nellie – dziewczynka, którą Historia będzie wspominać jako dobrodziejkę Wyspy Blackwella – podbiegła do nich, rozkładając błękitny płaszczyk niczym skrzydła. Margaret złapała ją w ramiona.

– Czyli dobrze znała pani Anne? – dopytywał zaintrygowany Karol.

Margaret się uśmiechnęła. Prawdą było to, że pielęgniarka opowiedziała jej część tej historii.

– Ale wie pan przecież, jaka była Anne. Uczucia trzymała w sobie i zawsze pomijała ważne szczegóły. Powiedziała mi za to, że pan, podobnie jak ona, też był skromnego pochodzenia – przyznała Margaret.

Dickens odwrócił się do nauczycielki, unosząc brwi.

– Co pani powiedziała?

Margaret nie rozumiała jego zdziwienia.

– To niemożliwe, kochana – zapewnił. – Wielokrotnie chciałem jej o tym powiedzieć. I chociaż potem tego żałowałem, to... nigdy tego nie zrobiłem.

Nauczycielka chwilę się zawahała. Nie wiedziała, czy wypada jej poruszać ten temat. Czy czasem go nie obrazi.

– Anne... powiedziała mi, że się domyśliła, bo zawsze przy śniadaniu wkładał pan do kieszeni coś na później – rzekła, bacznie przyglądając się jego reakcji. – I dlatego że tak jak niektórzy ludzie na Wyspie zawsze obserwował pan jedzenie, aż do momentu, gdy stawiano je na stole. I jeszcze dlatego, że...

– Coś podobnego! – parsknął, krzyżując ramiona. – Przed tą pielęgniarką nic się nie ukryło – skrzywił się.

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem. Potem oboje parsknęli śmiechem. To prawda, Anne miała zadatki na detektywa, przyznała Margaret. Potem spojrzała w niebo, które w niektórych miejscach zaczynało czerwienić. Zbliżał się wieczór.

Otuliła się brązowym, wełnianym szalem. Trzeba było zacząć się zbierać. I nagle, jakby jeszcze coś zostało do wyjaśnienia, odwróciła się do pisarza.

– Mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście, kochana – odparł. – Jeżeli po tych wszystkich pytaniach jeszcze jakies ci zostało. Proszę się nie krępować. W końcu w jedno popołudnie opowiedziałem pani wszystko to, co przez ostatnie dwadzieścia pięć lat ukrywałem przed własnym spowiednikiem.

Margaret wahała się przez chwilę.

– Proszę się nie wstydzic...

– Dlaczego igła kompasu wciąż się kręciła?

Pisarz się uśmiechnął.

– Jest pani bardziej dociekliwa niż jakikolwiek dziennikarz, którego kiedykolwiek poznałem. – Złączył dłonie i potarł je o siebie. – Cóż, obawiam się, że na koniec będę musiał panią rozczarować.

Wy tłumaczył jej wtedy, że po powrocie z Nowego Jorku udał się na bal wyprawiony na jego cześć. Poznał tam inżyniera, który zapewnił go, że Wyspa Blackwella jest skałą granitową... z dodatkiem magnetytu.

– Tak więc, z przykrością muszę panią poinformować, że pewnie nawet teraz jesteśmy namagnesowani! – powiedział pisarz.

Prawda była jednak taka, że w głębi duszy, tak wtedy jak i teraz, te fakty naukowe niewiele go obchodziły. Jeżeli czegoś był pewien, powiedział do Margaret, sięgając po cylinder i laskę, to tego, że kompas był przedmiotem, który wybrała jego wyobraźnia, by dać mu odwagę podejmowania decyzji. Mniejsza o to, kochana... Margaret słuchała go z najwyższą uwagą. Niemal nie mrugała. Być może żałowała, że odebrano jej magię, którą rozkoszowała się, gdy opowiadała.

– Proszę nie robić takiej miny i zapamiętać jedno: niech rzeczywistość nigdy nie stanie pani na przeszkodzie do pięknych marzeń – powiedział pisarz.

Dlatego przez cały ten czas zaledwie jednej osobie opowiedział o kompasie. Jedynej, która uwierzyła. Opowiedział tę historię Juliuszowi Verne'owi, w Paryżu, w 1855 roku. Jeżeli na świecie istniał ktoś, kto mógł ją przyjąć bez zastrzeżeń, to na pewno był to on.

– I proszę bardzo – parsknął śmiechem – dzięki tej swojej łatwowierności jest bogatym człowiekiem!

Dickens przypomniał sobie entuzjastyczną minę młodego Verne'a. Kompas, który wskazuje marzenia, powtarzał raz za razem. Nie tylko uwierzył w całą tę fantastyczną historię, ale też żałował, że sam nie ma takiego instrumentu.

– Kompas, który podarowała mi Mary, stał się dla mnie symbolem. – Laską na piasku Karol rysował cztery główne kierunki świata. – Wyobraźnia czyni nas wolnymi, Margaret. I jeżeli moje własne doświadczenia czegoś mnie nauczyły, to tego, że nawet jeżeli los wydaje się niemożliwy do zmienienia, to można odwrócić

kierunek, w którym biegnie. Ponieważ każdy z nas jest panem własnego losu. Nawet w miejscu tak niezmiennym, jak to. I dlatego...

– Dlatego postanowił pan dać go tamtej dziewczynce – przerwała mu Margaret ze wzrokiem utkwionym za horyzontem.

– Tak – potaknął szorstko. – Ponieważ ja otrzymałem już najwspanialszy z prezentów.

– Żeby prowadził ją przez życie – nalegała nauczycielka.

– Tak, żeby nie zapomniała, że musi podążać własną drogą.

– Myśli pan, że na coś jej się przydał?

Dickens wziął głęboki wdech i głucho uderzył laską w piasek. Utkwił wzrok gdzieś daleko. Bardzo daleko.

– Nie wiem, Margaret. I już nigdy się tego nie dowiemy.

Wtedy Margaret powiedziała coś niewytłumaczalnego:

– A może jednak tak.

Margaret włożyła dłoń do kieszeni spódnicy. Między jej palcami pojawił się, jakby za sprawą magicznej sztuczki, stary złoty kompas.

Karol kilkakrotnie powoli zamrugał oczami, jakby próbował obudzić się z trwającego wiele wieków snu. Podniósł oczy na ostatnią z postaci, która nagle się przed nim objawiła. Stała przed nim już nie nauczycielka, już nawet nie Margaret. Przyjrzał się jej zaróżowionej twarzy, naturalnemu uśmiechowi i targanym coraz zimniejszym włosom, ciemniejszym niż u matki. W jego głowie rozbrzmiał głos Anne: „Ani ty, ani ja nie zmienimy porządku na Wyspie, ale możemy uratować dziecko. A może w przyszłości ono ocali następne, a one kolejne dziesiątki...”. I oto stała przed nim Margaret, niczym odpowiedź na pytania, które wtedy sobie zadawali. „A te dziesiątki staną się armią wolnych ludzi, którzy będą pamiętać, że kiedyś ktoś pomógł im odmienić ich los. Będą wiedzieć, że to możliwe...”. Drżącymi, poplamionymi atramentem dłońmi ujął twarz dziewczyny, która załapała się łzami, zupełnie tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy dotknął jej małej rączki.



## Epilog

Popołudnie dobiegało końca. A wraz z nim ostatnia część opowieści o Wyspie Blackwella.

Margaret opowiedziała mu, że jej ojciec, Friedman, wychował ją jak własną córkę. I że nigdy nie zerwał kontaktu z Wyspą. Znacznie później dowiedziała się, że co kilka miesięcy wysyłał Anne listy, a czasem nawet zdjęcia, by pokazać jak urosła. Pielęgniarka czytała je pozostałym konspiratorom. Przez lata nadzieja przychodziła do nich z zewnątrz, z drugiego brzegu rzeki, gdzie część ich duszy zaznała wolności, gdzie Margaret biegała i rosła.

Nigdy się nie dowiedzieli, czy Lili rozpoznaje dziecko na zdjęciach, bo od dnia, w którym jej córka zniknęła, wciąż kołysała ją w ramionach.

– Mój ojciec – powiedziała Margaret, próbując powstrzymać emocje – zawsze mówił, że ocalił mnie z wody, jak Mojżesza. Potem wytłumaczył mi, że urodziłam się na Wyspie Blackwella... Wtedy pomyślałam, że zabrali mnie z domu dziecka. Nigdy nie powiedział mi, kim jest moja matka, mimo że wciąż o to pytałam.

– Nie wiedział, kim była – przerwał jej Dickens, czule wspominając nerwowego Friedmana.

Margaret wytłumaczyła mu, że mając szesnaście lat – utraciwszy nadzieję na to, że kiedykolwiek pozna osobę, która wydała ją na świat – postanowiła poznać miejsce, w którym się urodziła. Ojciec nie miał wyjścia i musiał skontaktować ją z Anne Radcliffe.

– Muszę przyznać, że chciałam uciec, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Wyspę i żyjących tu ludzi – powiedziała dziewczyna. – Chciałam o tym miejscu zapomnieć, ale nie udało mi się. Później zrozumiałam, że muszę coś z tym zrobić. – Wzięła głęboki wdech. – Anne zawsze mówiła, żebym poczekała, aż pan opowie mi tę historię.

Dickens wyciągnął rękę.

– Ale dlaczego ja?

Margaret się uśmiechnęła.

– Ponieważ, jej zdaniem, opowiada pan lepiej niż ktokolwiek.

Córka Lili podniosła dłoń do ust, przeprosiła pisarza i pogładziwszy go po

ramieniu, ruszyła na koniec plaży. W dłoni trzymała kompas i zdjęcie, na którym w końcu mogła zobaczyć twarz matki. Nellie ruszyła za nią, zwalniając, jak nakręcana lalka, której zabrakło sił.

W końcu odnalazł skarb Wyspy Blackwella. Spełnione marzenie wielu ludzi. Pisarz rozmyślał, podczas gdy w jego wyobraźni kołysana wiatrem, szczupła, elegancka i drobna sylwetka bez wysiłku zmieniała się w eteryczną Lili, wskazującą na horyzont. Stojąca nad wodą dziewczyna przez chwilę płakała, zerkając na kompas, który od zawsze jej towarzyszył. Patrzyła, jak igła wskazuje jednocześnie wszystkie i żaden z kierunków. Układała w głowie brakujące elementy wspomnień.

Mała Nellie podbiegła do Dickensa i zawiesiła mu się na szyi.

On złapał ją za ramiona i kręcił, kręcił tak długo, że dziewczynce wydało się, że lata.

Czy wyobraźnia może dać wolność zniewolonym? – zastanawiał się Dickens, a krajobraz wirował wokół niego. Czy niesłyszalne głosy mogą spełnić wspólne marzenie? Te pytania kazały mu wrócić na Wyspę Blackwella. Te oraz jedno przeznaczone dla Anne, na które odpowiedziała mu gdzieś z góry. Tak, teraz już wiedział, że tak, pomyślał i śmiejąc się zarażony dziecięcą radością, wspominał Anne bawiącą się z małym Timem w promieniach słońca.

Margaret była żywą odpowiedzią na wszystkie jego pytania.

Udało nam się, Anne, szepnął Dickens. Udało nam się.

Kiedy nauczycielka wróciła, zastała śmiejących się do rozpuku pisarza i Nellie. Bez zastanowienia wyciągnęła otwartą dłoń, w której leżał kompas.

– Ja już spełniłam swoje marzenie – powiedziała Margaret z zaczerwienionymi, ale uśmiechniętymi oczami. – Dzięki pańskiej opowieści w końcu poznałam matkę.

Pisarz przymknął oczy i pokręcił głową.

– Rozumiem, Margaret, ale... to już nie należy do mnie. Do ciebie należy decyzja, komu go powierzyć.

Margaret przez kilka sekund przyglądała się kompasowi. Potem przyklękła przed Nellie, która słuchała ich pogrążona w milczeniu.

Dziewczynka, kokietyjnym kobiecym gestem, odrzuciła do tyłu warkocze. Wzięła kompas, jakby był największym skarbem, i delikatnie nim potrząsnęła.

„Hurra, hurra!”, krzyknęła nagle, podrygując i podskakując niczym żaba. „Mój kompas, mój kompas!”. Jej głos rozbrzmiał wokół latarni. Pokazywała go każdemu, kogo spotkała, budząc zainteresowanie chorych, którzy się do nich zbliżali. To kompas marzeń! Krzyczała raz po raz, aż w końcu coś ją zatrzymało. Przyglądała się kompasowi, kiwając głową. Igła kręciła się szybko jak szalona...

Komu przekaze kompas Nellie, gdy już napotka swoje przeznaczenie? – zastanawiał się Dickens, patrząc na niewielką figurkę przemieszczającą się po

plaży, pomiędzy sylwetkami pacjentów.

\*

Nellie patrzyła, jak kręci się jej kompas. W ten sam sposób, w jaki popatrzy na niego, kiedy śladami Phileasa Fogg'a objedzie świat dookoła. A kiedy odwiedzi postarzałego Juliusza Verne'a w Paryżu, ten zapyta ją o uszkodzone urządzenie. Wtedy Nellie opowie mu, do czego służy kompas i że któregoś zimowego dnia, kiedy była jeszcze bardzo małą dziewczynką, dostała go na plaży od pewnego starszego mężczyzny. A osłupiały Verne wyjawi Nellie nazwisko owego mężczyzny.

Wtedy Nellie, tak jak wiele lat wcześniej zrobiła to Margaret, postanowi, że już spełniła swoje marzenie o przejechaniu świata dookoła. Podaruje kompas pisarzowi, którego powieść napełniła jej głowę marzeniami. A on przyjmie go wzruszony tym zbiegiem okoliczności. Jakie marzenie spełni Verne i komu podaruje kompas, to już zupełnie inna historia.

Ale zanim to wszystko się wydarzy, minie jeszcze wiele lat. Na razie Nellie biegała po ośnieżonej plaży, z magicznym kompasem w dłoni.

\*

Dickens uśmiechnął się na widok biegnącej Nellie. Potem odwrócił się za Margaret, której sylwetka odcinała się na świetlistym tle rzeki. Nauczycielka, idąc, pozdrowiała chorych, zwracając się do każdego po imieniu.

Nagle pisarz poczuł, że ogarnia go fala czystego i niepojętego szczęścia.

– Margaret! – krzyknął, ze zdwojoną energią. A kiedy się odwróciła, dodał: – Pomyśl życzenie!

W oddali Margaret patrzyła na niego z uśmiechem, jakby nie zrozumiała, co powiedział. Jego krzyk zwrócił także uwagę chorych, którzy powoli odwracali się w jego stronę.

– No, dalej! Wyobraź sobie, co tylko zechcesz! Możemy marzyć, o czym chcemy!

Nagle odezwał się głos, który zdecydowanie nie był głosem Margaret.

– Chcę przejść po rzece aż do Manhattanu! – wrzasnął mężczyzna w szpitalnym kitlu, który biegł jak szalony, rozkładając ręce niczym aeroplan.

Dickens patrzył, jak wykrzykując swoje marzenie, pędzi wokół latarni, goniony przez Nellie. Zaśmiał się serdecznie.

Ściągnął cylinder i strzepnął z niego sadzę. To dobre zakończenie – pomyślał dumny, patrząc na biegnących. Włożył cylinder, zacisnął lewą dłoń na lasce i włożył pod pachę swoją *Opowieść wigilijną*. Zamknął oczy i wsłuchując się w niesiony wiatrem śmiech Nellie, próbował zamknąć pod powiekami wspomnienie Anne Radcliffe.

Dlatego tylko Margaret zorientowała się, co się dzieje.

– Mój Boże... – krzyknęła, zasłaniając usta dłonią i wpatrując się w punkt, tuż przy brzegu rzeki.

Karol odwrócił się w stronę, w którą patrzyła Margaret. W tę samą stronę biegli wszyscy pozostali na brzegu wariaci.

Pisarz nie zapomniał tego widoku do końca życia. Wariat szedł po rzece, przyglądając im się z zadowoleniem. Czy to rozum płatał mu figle? Mógł przysiąc, że mężczyzna idzie po wodzie. W dodatku szedł powoli, spoglądając na nich jak ci, którzy doznali olśnienia.

Tam gdzie wszystko jest niemożliwe, nagle wszystko staje się możliwe... przypomniał sobie zdumiony Karol i przetaił oczy. Nagle, na okrzyk: „Wolność!”, pozostali chorzy zeskoczyli z brzegu i zaczęli ślizgać się po rzece, która przestała być barierą.

Wyspa postanowiła podarować mu jeszcze jeden, ostatni cud.

Dopiero teraz Dickens zorientował się, że podczas gdy snuł swoją opowieść, East River zamarzła. Tak to już bywa z opowieściami. To one decydują, kiedy chcą się skończyć.

Spojrzał na rzekę, a w jego niebieskich oczach odbijała się biel; uwięzione w lodzie statki wyglądały jak zrobione z kryształu, a ich zeszywniałe flagi opadały pod ciężarem szadzi. Dojrzał nawet niewielkie sylwetki śmiałków, którzy z drugiego brzegu także odważyli się wejść na lód. Dickens, Margaret i Nellie wybuchnęli śmiechem, gwałtownym, głośnym i zaraźliwym, patrząc na szaleńców biegnących po białej tafli w kierunku Manhattanu i pędzące za nimi pielęgniarki, które raz po raz się przewracały.

Pisarzowi wydało się nawet, że wiatr przyniósł śmiech z zaświatów Anne Radcliffe. Wydawało mu się, że słyszy śmiech tych, którzy tu umarli, śmiech Ady i Flority. Śmiech tych, którzy byli tu więzieni, śmiech Marleya i Szczura. I dudniący śmiech niewolników. Wiatr niósł kaskady ich śmiechu. Nellie zdawało się, że słyszy śmiech Lili, kiedy zobaczyła, jak na przeciwległym brzegu rzeki wyłania się jej wizja.

Dziewczynka, która ścisnęła w dłoni zaczarowany kompas, szła powoli, wpatrzona w przeciwległy brzeg. Usłyszała suchy huk trzęsienia ziemi i naprzeciw niej wyłonił się las świetlistych, kamiennych wież, które wznosiły się aż do nieba. Pomędzy wyspami, niczym dzieło niewidzialnego pająka, szybkim ścięciem wyszywały się mosty ze złotej nici. Aż w końcu zobaczyła ją. Daleko za ostatnią biegnącą po lodzie sylwetką. Znacznie dalej niż kończyła się Wyspa i rzeka. Tam, gdzie rozpoczynała się mgła.

Nellie otworzyła okrągłe, czerwone usta w dziecięcym zdumieniu. Była tam. Prawdziwa. Biała pani, którą marząca na jawie Lili widziała na rzece. Musiało ją dostrzec także wiele maleńkich postaci uciekających przez lód, bo zatrzymywały

się to tu, to tam na zamrożniętej rzece.

Patrzyli jak idzie przez wodę, z niewzruszonym obliczem i tuniką ciągnącą mgłę. W końcu zatrzymała się dokładnie tam, gdzie rzeka łączy się z morzem. Podniosła w górę prawą rękę, by złapać gwiazdę. Wyrwała ją z firmamentu, a gwiazda rozbłysła w jej ogromnej dłoni. Potem odwróciła się powoli w stronę oceanu, być może po to, żeby któregoś dnia powitać ludzi wolnych.

## Podziękowania

Dziękuję tym, którzy odwiedzili mnie na Wyspie Blackwella, kiedy się na niej zamknęłam. Częścią tej książki są: Antonia Kerrigan, Rosa Montero, Luis Antonio Muñoz, Jorge Eduardo Benavides, Carmen Posadas, Gabriela Llanos, Juana Erice, Ana Belén Castillejo, Ana Lirón, Carlota del Amo, Miguel Angel Lamata oraz Luisa Gonzalez Arollo.

Dziękuję mojej mamie za to, że wciąż ze mną marzy.

Dziękuję mojemu redaktorowi, Alberto Marcosowi, za uwagę, którą poświęcił tekstowi i postaciom.

Dziękuję Davidowi Triasowi za to, że od początku wierzył w tę historię.

Karolowi Dickensowi dziękuję... za wszystko.

